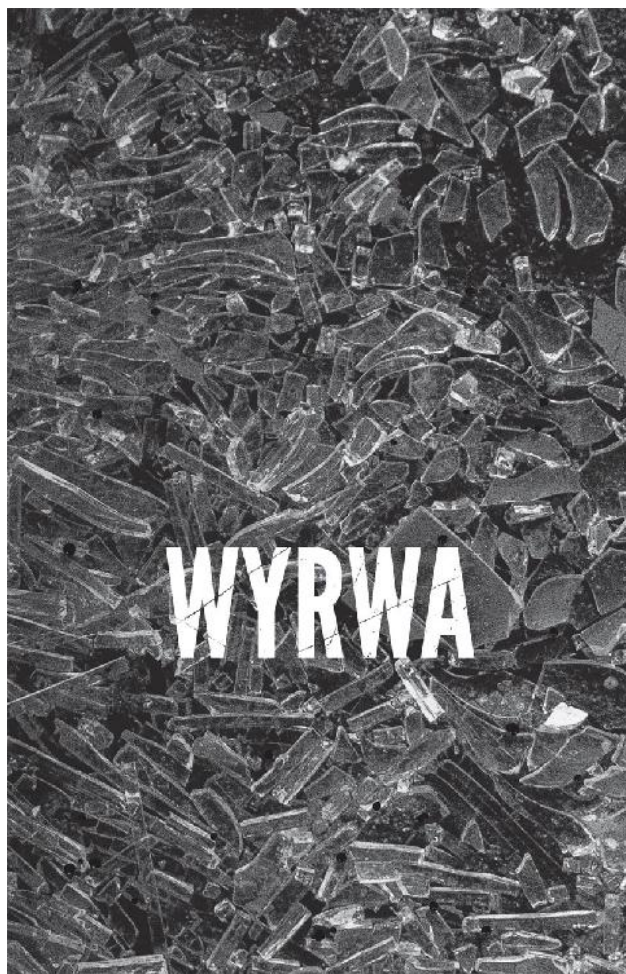


WOJCIECH CHMIELARZ

WYRWA

MARGINESY





WOJCIECH
CHMIELARZ
WYRWA

MARGINESY

Spis treści

Karta redakcyjna

WYPADEK

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

POGRZEB

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

POSZUKIWANIA

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

STARE WILCZE

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

GOSPODA POD LIPAMI

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

WOJNAR

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

DECYZJA

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

ZABÓJSTWO

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Wydawca i redaktor prowadzący ADAM PLUSZKA
Redakcja KAROLINA MACIOS
Korekta MAŁGORZATA KUŚNIERZ, JAN JAROSZUK
Projekt okładki i stron tytułowych MICHAŁ PAWŁOWSKI
Zdjęcia na okładce
© Kevin Frayer / Getty Images; suman bhaumik / iStock by Getty Images
Łamanie **manufaktura** | manufaktu-ar.com

Copyright © by Wojciech Chmielarz
Copyright © by Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2020

Warszawa 2020
Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-66500-17-4

Wydawnictwo Marginesy Sp. z o.o.
ul. Mierosławskiego 11A
01-527 Warszawa
tel. 48 22 663 02 75
e-mail: redakcja@marginesy.com.pl
www.marginesy.com.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](#)

WYPADEK

Po raz pierwszy dotarło do mnie, że Janina naprawdę odeszła, w chwili, kiedy stanąłem przed bramą przedszkola i zastanawiałem się, jak powiedzieć córce, że jej mama nie żyje. Wcześniej, i wiem, że zabrzmiało to banalnie, wszystko to zdawało mi się cholernie nierzeczywiste. Ale za kilka minut miałem stanąć przed moją małą dziewczynką i wypowiedzieć słowa, które na zawsze zmienią jej życie. Wiedziałem, co się stanie. Wiedziałem, że wybuchnie płaczem. Wiedziałem, że będzie płakać przez wiele dni, przez wiele nocy. Że jej poczucie bezpieczeństwa, wiara w ten świat, w to, że to jest dobre miejsce, gdzie mieszkają dobrzy ludzie i nikomu nie może stać się NAPRAWDĘ nic złego, zostanie bezpowrotnie zniszczona. Że będzie potrzebować miesięcy, może lat, by dojść do siebie. Uporać się z traumą. Nauczyć się żyć ze strachem o najbliższych. Za kilka chwil miałem odebrać jej dzieciństwo. Pomyślałem wtedy, że nie ma nic bardziej rzeczywistego, i zrobiło mi się niedobrze.

Oparłem się o bramę przedszkola. Ogrodzenie było zielone, stare i powyginane, wielokrotnie je odmalowywano. Gdzieś tam farba odchodziła, a wtedy ukazywały się, jedna pod drugą, upakowane ciasno kolejne jej warstwy. Zaciskałem dłonie na prętach, kurz, który na nich osiadł, brudził mankiety białej koszuli. W czoło wbijały mi się tępe metalowe groty ozdabiające bramę na górze.

Myślałem o tym, że dzieci nie powinny umierać przed rodzicami, a rodzice nie powinni umierać wtedy, kiedy dzieci są dziećmi. To jest po prostu niesprawiedliwe. Rodzice powinni widzieć, jak ich córki, synowie rosną, zmieniają się w nastolatki, jak pojawiają się im włosy na nogach, pod pachami, wokół genitaliów, jak wstydzą się oznak dorastania – budzących się piersi, zmieniającego barwę głosu, jak zakochują się po raz pierwszy, drugi, trzeci, jak przeżywają kolejne rozczarowania i porażki, zdają na

studia albo z nich wylatują, układają sobie życie, zdobywają żonę, męża, jak rodzą im się ich własne dzieci i wszystko się powtarza. A dzieci powinny oglądać przez lata swoich rodziców. Obserwować, jak się zmieniają, jak we włosach pojawiają im się kolejne pasma siwizny, skóra zaczyna obwisać i pokrywać się zmarszczkami, z początku drobnymi, ledwo zauważalnymi, potem coraz głębszymi. Powinni wziąć udział w tym procesie, kiedy rodzice przestają być jedynym autorytetem, kimś, kto tłumaczy świat, i zmieniają się w przeciwnika, kogoś, kto częściej karze i wymaga, niż pomaga, a miłość do nich coraz częściej ustępuje niechęci, a potem nawet nienawiści, żeby wreszcie po latach powrócić wraz ze zrozumieniem – silniejsza, ale i spokojniejsza niż kiedykolwiek.

Odebrano im to.

Rodzice powinni umierać późno. Wtedy, kiedy są już starzy. Wtedy, kiedy wszyscy są już na to gotowi. Spokojnie. A ich odejście powinno być zapowiedziane setkami znaków: drobnymi urazami, przewlekłymi chorobami, wcześniejszymi zawałami, diagnozami lekarskimi, wizytami na drugim krańcu Polski u specjalistów z profesorskim tytułem i stosem lekarstw na wszelkie możliwe dolegliwości w plastikowym koszyczku w pachnącej zwietrzałym lakierem szufladzie.

Nie gwałtownie. Nie wtedy, kiedy nikt się tego nie spodziewa. Nie w momencie, gdy ich odejście oznajmia lekko przejęty obcy głos w słuchawce aparatu.

Kobieta, trzydziestolatka w piaskowym płaszczu i granatowej sukience odsłaniającej podrapane kolana, wyszła z przedszkola. Prowadziła chłopczyka o gęstych kręconych włosach i w za dużej kurtce, pewnie po starszym rodzeństwie, który przyciskał do piersi wściekle żółtą koparkę. Obrzuciła mnie zaniepokojonym spojrzeniem, chwyciła synka za dłoń, przyciągnęła do siebie, a potem minęli mnie szybkim krokiem.

Zatrzymali się po około dwóch metrach. Kobieta nachyliła się do synka, szepnęła mu coś do ucha, po czym wróciła do mnie. Dotknęła nieśmiało mojego ramienia. Cały zeszywniałem, jakby nagle przestała we mnie krążyć krew.

– Przepraszam, czy pan jest tatą Iwonki? – zapytała z troską.

Pociągnąłem nosem i przetarłem wierzchem dłoni oczy. Wyprostowałem się i obróciłem, mając nadzieję, że wyglądam w miarę przyzwoicie. Chłopiec bawił się koparką, imitując cichutko odgłosy pracującego silnika.

– Tak – odpowiedziałem głucho.

– Chodzimy do jednej grupy. To znaczy mój Pawełek chodzi z Iwonką do jednej grupy. Do Wesołych Skoczków.

Skupiłem wzrok na chłopczyku. Klęczał teraz i pakował mokre po niedawnym deszczu patyczki do łyżki koparki. Przewoził je kilkadziesiąt centymetrów, a potem wyrzucał jednym energicznym ruchem. Faktycznie, kojarzyłem go. Kilka razy widziałem, jak bawił się z innymi dziećmi drewnianymi klockami. Budowali jak najwyższą wieżę, żeby potem zniszczyć ją z głośnym śmiechem. Jego ojciec był barczystym mężczyzną o równie bujnej jak u syna czuprynie i ramionach pokrytych tatuażami. Pracował jako budowlaniec. Kiedyś, czekając w szatni, aż jego dziecko włoży buty, opowiadał innemu ojcu o Ukraińcach, z którymi teraz pracuje. „Zabierają nam pracę” – rzucił ten drugi, ale bez gniewu, raczej żartobliwie. „No co ty. Naszych to, kurwa, nie ma. Wszyscy wyjechali w euro zarabiać. Gdyby nie te skurwysyny, tobyśmy w tym kraju nic nie wybudowali” – odpowiedział budowlaniec. Jedna z matek spojrzała na niego oburzona i wskazała na maluchy. Budowlaniec machnął ręką, jakby nic się nie stało, ale jednak potem uśmiechnął się przeproszająco. Stałem wtedy niedaleko i poczułem coś na kształt wyrzutów sumienia. Żałowałem, że to nie ja zwróciłem mu uwagę, by nie przeklinał przy dzieciach. Nie dlatego, że jakoś szczególnie mi to przeszkadzało. Po całym dniu w pracy ze zgiętym karkiem i wpatrywaniu się w excelowe tabelki byłem zubożniały i zmęczony. Ale przeczuwałem, że Iwonka powtórzy jedno z zasłyszanych słów w domu, a wtedy Janina spyta, skąd ona je zna, i będę musiał opowiedzieć o ojcu Pawełka, a wtedy Janina zapyta, co zrobiłem, kiedy zaczął przeklinać, i będę musiał przyznać, że nic, a wtedy ona spojrzy na mnie rozczarowana i rozżalona, jakbym nie wiadomo jak ją zawiódł.

Potrząsnąłem głową, bo poczułem, że odpływam. Nie wiedziałem, dlaczego właśnie teraz zaatakowało mnie to wspomnienie. Wydało mi się to nawet zabawne, jednak zamiast się uśmiechnąć, zamknąłem oczy, żeby nie wybuchnąć płaczem.

– Co się stało? – zapytała kobieta.

– Moja żona nie żyje – odpowiedziałem.

Nie zamierzałem jej tego mówić, ale słowa, te słowa same wyleciały mi z ust. Jakby już tam siedziały i tylko czekały na okazję do ucieczki.

– Nie żyje?

– Nie żyje.

– Mój Boże... – Patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami, w których już zaczynały zbierać się łzy. Przejęła się, choć Janina nie była kimś jej bliskim, tylko matką dziecka z tej samej przedszkolnej grupy.

– Proszę nie mówić o tym Iwonce. Ja muszę sam...

– Tak. Oczywiście.

Oprócz żalu dojrzałem w jej spojrzeniu rodzącą się ciekawość. Wahała się, czy zadać kolejne pytanie. Wiedziała, że to niestosowne, jednak pokusa okazała się zbyt silna.

– Co się stało?

Przełknąłem z trudem ślinę, a w piersi poczułem wielki, ołowiany wręcz ciężar.

– Wypadek samochodowy – wyrzuciłem z siebie szeptem.

– Tak mi przykro.

– Dziękuję.

Przechyliła lekko głowę i zapadła między nami długa, niezręczna cisza. Wyglądało na to, że zastanawia się, co może jeszcze dodać, ale nie potrafiła na nic wpaść. Przeszepowywała z nogi na nogę, coraz bardziej speszona, i chyba już zaczynała żałować, że w ogóle podjęła tę rozmowę. Normalnie bym jej współczuł albo sam szukał okazji, żeby zakończyć to spotkanie,

jednak teraz było mi to obojętne. Janina, Janka nie żyła, a ja musiałem powiedzieć o tym naszym dzieciom. Tylko to się liczyło. Nic więcej.

– Muszę już iść – odezwała się kobieta. – Pawełek...

– Niech pani idzie – odpowiedziałem. – Niech pani nie mówi Iwonce. Ani nikomu innemu.

– Nie powiem – obiecała.

– Niech pani nie mówi.

Kiwnęła głową na znak, że rozumie. Podeszła do syna. Poprosiła go, żeby wstał z ziemi. Chłopak zaprotestował, bo właśnie udało mu się zapełnić łyżkę koparki drobnymi kamieniami, które zamierzał wysypać na znajdującą się nieopodal kupkę patyków. Kobieta pozwoliła mu więc dokończyć zabawę, co chwila nerwowo zerkając w moją stronę, a potem chwyciła go za przegub małej dłoni i odeszli pośpiesznie.

Patrzyłem za nimi, aż zniknęli za najbliższym zakrętem. Nie było w tym ani natarczywości, ani ciekawości. Po prostu odwlekałem to, co nieuniknione.

Odetchnąłem. Zerknąłem na swoje dłonie. Lepiły się od brudu i potu. Wytarłem je w chusteczkę. Potem wyjąłem komórkę, włączyłem aparat i tryb do robienia selfie. Przejrzałem się w ekranie jak w lusterku. Na twarzy, na czole i w okolicach oczu, w miejscach, gdzie przed chwilą się masowałem, żeby pozbyć się tego straszego, tępego ucisku, który zdawał się miażdżyć mi czaszkę, dostrzegłem szare smugi. Wziąłem kolejną chusteczkę i doprowadziłem się do porządku.

Poczłapałem w stronę wejścia do przedszkola. Zostało mi jeszcze z dziesięć, może piętnaście metrów, ta krótka droga ciągnęła się jak całe kilometry.

Przy drzwiach musiałem nacisnąć przycisk domofonu. Zawahałem się, przypatrywałem się z ciekawością swojemu palcowi, bo ten drżał tak, jakbym właśnie wychodził z ciężkiej delirki. Ale w końcu nacisnąłem to, co trzeba.

– Słucham. – Z głośnika odezwał się damski głos.

– Maciej Tomski – przedstawiłem się. – Przyszedłem po córkę.

Wpuścili mnie do środka. Panował tam przyjemny chłód. Wnętrze było kolorowe, niedawno odnowione. Na ścianach widniały różne zwierzątka: misie, pszczołki, zajączki. Wszystkie uśmiechnięte, żyjące w zgodzie i harmonii. Pomyślałem sobie, że chciałbym teraz zobaczyć tutaj jelonka Bambi. Albo małego Simbę. Albo z niezwykłych bohaterów Elżę i Annę, syrenkę Arielkę lub Bellę. Kogokolwiek, kogo mógłbym pokazać córce i powiedzieć, popatrz, oni też wychowali się bez mamy i wszystko dobrze się skończyło. Jednak na ścianie nie namalowano nikogo, kto mógłby przynieść mojej córce pociechę.

Nad drzwiami sali Wesołych Skoczków znajdowała się drewniana figurka zielonego konika polnego w kapeluszu. Przypominał trochę tego z disnejowskiego *Pinokia* (Pinokio! Kolejna postać, która wychowała się bez matki). Zapukałem, jednak chyba nikt mnie nie usłyszał. Nacisnąłem więc klamkę i wszedłem do środka. Dzieciaki akurat miały czas wolny. Część rysowała coś przy stolikach, inne po prostu bawiły się na podłodze. Wychowawczynie siedziały przy biurku, uzupełniały dziennik. Na mój widok się uśmiechnęła.

– Pan po Iwonkę?

– Tak – powiedziałem przez ściśnięte gardło.

– Zaraz ją zawołam.

– Nie trzeba. – Powstrzymałem ją.

Zacząłem szukać wzrokiem córki, ale to ona zauważyła mnie pierwsza i uśmiechnęła się szeroko. Iwona miała cztery lata. Wszyscy zawsze powtarzali, że jest podobna do mnie, choć ja, patrząc na nią, widziałem tylko jej matkę. Te same oczy, ten sam lekko zadarty nos i te same piegi na jego czubku i policzkach. Zrobiło mi się słabo. Oparłem się o framugę. Iwona biegła do mnie radośnie, więc wyciągnąłem w jej stronę dłoń, żeby przybiła mi piątkę. Zrobiła to z rozpędu, z całej siły. Rozległo się głośne plaśnięcie. Pomachałem ręką, udając, że zabołało.

– Uff... Jak mocno... – wydusiłem z siebie.

Mój głos brzmiał tak słabo i cicho, że sam go ledwo usłyszałem. Przełknąłem ślinę, żeby trochę zwilżyć gardło.

– Zbieraj swoje rzeczy – powiedziałem już głośniej, wyraźniej. – Przyniosłaś jakieś zabawki?

Pokiwała głową. Podreptała do leżącego nieopodal pudła i wyjęła z niego niewielkiego wełnianego misia. To była jej ulubiona maskotka. Przynajmniej przez dłuższy czas, bo jak to u dziecka, gusta mojej córki się zmieniały. Raz nie mogła żyć bez tandetnego króliczka kupionego na wakacjach we Włoszech, innym razem bez domagającej się nieustannie mleczka i opieki lalki – prezentu na trzecie urodziny. Jednak wełniany miś zawsze wracał. Robiło mi się miło, ilekroć go widziałem. Była to pierwsza zabawka, którą jej dałem. Czekala w łódeczku, kiedy przywieźliśmy ją ze szpitala.

– A właśnie, à propos – odezwała się wychowawczyni. – Dzisiaj nie jest dzień przynoszenia zabawek. Bardzo proszę, żeby tego przestrzegać.

– Tak, oczywiście. Ale to wyjątkowa sytuacja – powiedziałem.

Popatrzyła na mnie wyczekująco, spodziewając się pewnie, że rozwinę temat. I przez moment odczułem pokusę, żeby faktycznie to zrobić. Chciałem zobaczyć wyraz jej twarzy, kiedy dowie się, co się stało. Zamiast tego jednak wybąkałem tylko krótkie „Przepraszam” i wyprowadziłem córkę z sali.

Usadziłem ją na ławce w szatni. Poprosiłem, żeby włożyła buty i zdjąłem jej bluzę z wieszaka.

– Gdzie masz kurtkę? – zapytałem, rozglądając się dookoła.

– Kurtkę?

– Miałaś kurtkę, gdy cię odwoziłem do ciotki. Gdzie jest?

Iwona przez chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią, równocześnie siłując się z lewym butem.

– Ciocia nie dawała mi żadnej kurtki.

Renata pewnie o niej zapomniała i teraz leży u niej w mieszkaniu. Kiedyś ją odbierzemy. W sumie na dworze zrobiło się dość ciepło.

Iwona skończyła walkę z butami i zapięła rzepy. Potem podniosła główkę i zmarszczyła brwi, myśląc nad czymś intensywnie.

– A to nie mamusia mnie dzisiaj odbiera?

Na chwilę stanęło mi serce. Gorączkowo próbowałem sobie przypomnieć, co mówiłem poprzedniego wieczoru, ale nie potrafiłem. Poczułem się tak, jakby moja piękna czteroletnia córeczka właśnie dźgnęła mnie lodowatym szpikulcem.

– Nie.

– Dlaczego nie?

– Mama... – Urwałem. Nie wiedziałem, jak dokończyć.

– Wróciła już z delegacji? – zapytała Iwonka.

A potem wszystko wydarzyło się już samo. Pokręciłem głową.

– Nie. Nie wróciła – powiedziałem.

– Miała wrócić.

– Miała – potwierdziłem. – Ale... Ale musiała jeszcze zostać.

– Na delegacji?

– Tak. Musiała jeszcze zostać na delegacji.

W jej oczach odbił się cień smutku. Znowu mnie ścisnęło. Dłonie zaczęły mi drżeć. Schowałem je za plecami, żeby Iwona niczego nie zauważyła.

– A kiedy wróci?

Nie oszalałem. Wiedziałem, że nie mogę jej okłamywać. Przynajmniej nie cały czas. Prędzej czy później przecież dowie się prawdy. Mogłem jednak podarować jej jeszcze jeden dzień dzieciństwa.

– Jutro – odparłem. – Mama wróci jutro.

Iwona uśmiechnęła się szeroko. Radośnie. Najpiękniej na świecie. Patrzyłem na nią i nie wiedziałem, czy kiedykolwiek zbiorę się na odwagę, by powiedzieć mojej córce, że zabiłem jej matkę.

To nie była miłość od pierwszego wejrzenia.

Zresztą czy taka miłość w ogóle istnieje? Ludzie przecież najczęściej wchodzi w związki z osobami, które znają od lat. Kręcą się wokół siebie, obserwują nawzajem swoje kolejne zakochania i rozstania, aż w pewnym momencie coś pomiędzy nimi zaiskrzy albo postanawiają podjąć jeszcze jedną próbę i tym razem się udaje.

U nas wyglądało to podobnie. Poznaliśmy się na studiach. Ja byłem na trzecim roku w Szkole Głównej Handlowej, ona zaczynała pierwszy, a równocześnie była na drugim studiów dziennikarskich na Uniwersytecie Warszawskim. Tamtejsi studenci często rozpoczynali drugi kierunek, bo ogólnie rzecz ujmując, studia dziennikarskie należały do mało wymagających, a przy tym co bystrzejsi z nich wcześniej się orientowali, że dziennikarstwo dziennikarstwem, ale fajnie mieć jakieś konkretne wykształcenie. Najczęściej szli na prawo. Janina jednak pod wpływem rodziców wybrała SGH. Tam zaś szybko rozbiła się o matematykę i statystykę. Generalnie – chociaż dziwnie to zabrzmiał, biorąc pod uwagę, o jakiej uczelni mówimy – nie radziła sobie z liczbami. I to właśnie nas połączyło.

Do naszego pierwszego spotkania doszło w najmniej romantycznych okolicznościach z możliwych: podczas przerwy, kiedy studenci gonili z jednego piętra na drugie albo pośpiesznie przełykali pączki kupione w uniwersyteckim kiosku. Stałem z colą przy księgarni ekonomicznej w Auli Spadochronowej głównego budynku SGH. Ona niosła kubek z kawą. I tyle pamiętam, jeśli chodzi o wygląd Janiny. Wiem, że to zawstydzające – cztery lata później została moją żoną, a ja nie potrafię sobie przypomnieć ani jej stroju, ani fryzury, nawet tego, czy była umalowana czy nie. Nie trafił mnie grom z jasnego nieba. Nie poczułem

przyływu dzikiego pożądania. Po prostu zauważyłem ją, gdy przechodziła, i pomyślałem, że jest ładna. Tylko tyle. A potem wróciłem do oglądania wystawy i zastanawiania się, czy stać mnie na kupno nowego podręcznika, czy może lepiej tradycyjnie polegać na kserówkach. Coś na kształt popłochu poczułem, dopiero kiedy zorientowałem się, że ta ładna dziewczyna idzie w moim kierunku i wyciąga rękę w moją stronę.

– Janina – przedstawiła się. – Ty jesteś Konrad, prawda? Z tobą się umówiłam.

Potrząsnąłem głową.

– Eee... Nie? – odpowiedziałem niepewnie.

– Kurwa! – Rzuciła zdecydowanie zbyt głośno i kilka osób odwróciło się w naszą stronę. – Kurwa! – powtórzyła i zerknęła na zegarek. – Kurwa!

– Coś się stało?

Przewróciła oczami.

– Umówiłam się tu z kolesiem, który miał mi dawać korki z matmy i statystyki.

– Pierwszy rok?

– No.

– Pierwszy rok jest trudny. Ale spoko, potem jest łatwiej.

Spojrzała na mnie ciężko, jakbym opowiadał wyjątkowe idiotyzmy.

– Kurwa – powtórzyła.

– Spóźnia się? – domyśliłem się.

– Nie. To ja się spóźniłam, w dodatku zaraz muszę być na zajęciach na Nowym Świecie. Kurwa...

– Nie możesz do niego zadzwonić? – zapytałem.

– To znajomy znajomego. Nie mam jego numeru. Musiałabym zadzwonić do tego znajomego, a potem... – Machnęła ręką i westchnęła ciężko. – Specjalnie tu przyjechałam dzisiaj, żeby się z nim spotkać.

Janina nie radziła sobie z liczbami, ja z pieniędzmi, a raczej po prostu ich nie miałem. Pochodzę z Bielska-Białej. Moja rodzina nie jest biedna,

jednak studia w Warszawie okazały się znacznie droższą imprezą, niż się spodziewaliśmy, a w domu zostali jeszcze młodszy brat i siostra. Od kiedy trafiłem do stolicy, dorabiałem w każdy możliwy sposób, ale w przeciwieństwie do moich kolegów i koleżanek, którzy najczęściej mieli wujka, ciotkę lub kolegę ojca matki tu czy tam, nie zaczępiłem się w żadnej sensownej firmie, fundacji ani think tanku. Przygłębiało mnie obserwowanie ich rodzących się karier, informacje o projektach, szansach na zagraniczne staże. Jak wtedy uważałem, byłem skazany na wieczne roznoszenie ulotek.

– Ja ci mogę udzielić korepetycji – powiedziałem, siłąc się na to, żeby zabrzmieć poważnie.

Uniosła wysoko obie brwi, wyraźnie zaskoczona, a potem na jej ustach pojawił się lekki uśmiech.

– Na którym jesteś roku? – zapytała.

– Na trzecim.

– Co miałeś z analizy matematycznej?

– Piątkę – skłamałem gładko.

Tak naprawdę tylko zaliczyłem przedmiot, ale moim zdaniem wyłącznie dlatego, że trafiłem na wyjątkowo trudny zestaw zadań. Zasługiwałem na wyższą ocenę.

– Serio? – Patrzyła na mnie z niedowierzaniem.

– Serio.

– Nie wydaje mi się.

– No dobra. Czwórkę, ale mocną. I wezmę mniej od tego znajomego znajomego.

Prychnęła śmiechem.

– Nie wiesz, ile chciał.

– I tak wezmę mniej. Reszta zostanie ci na piwo.

Zagryzła wargę. Zerknęła na zegarek. Potem jeszcze raz na mnie.

– No dobra. Ale jakby moi starzy pytali, to jesteś na czwartym roku i dostałeś piątkę. I z analizy, i ze statystyki.

– Jasne.

Ustaliliśmy szybko najważniejsze szczegóły, wymieniliśmy się numerami telefonów i Janina pobiegła na zajęcia na uniwersytecie. W spokoju dopiłem swoją colę, licząc w pamięci, ile uda mi się zarobić na tym szczęśliwym spotkaniu.

Kilka minut później pojawił się koleś w sztruksowej marynarce, wyższy ode mnie o głowę i znacznie przystojniejszy. Wyglądał, jakby przed chwilą biegł. Otarł pot z czoła i zaczął się gorączkowo rozglądać. Spojrzał na zegarek, potem na komórkę, wreszcie zaklął cicho. Po chwili podszedł do mnie.

– Ej, stary, sorry, że przeszkadzam. Nie widziałeś tutaj takiej dziewczyny, szczupłej blondynki? Umówiłem się z nią.

Nie zastanawiałem się długo nad odpowiedzią.

– Nie, stary, nikogo takiego tutaj nie było.

– Na pewno? – zapytał z lekką podejrzliwością w głosie.

Wzruszyłem ramionami, dając mu do zrozumienia, że ta sprawa w ogóle mnie nie dotyczy, i wróciłem do oglądania podręczników. Tak naprawdę jednak nieustannie spoglądałem na jego odbicie w sklepowej szybie i odetchnąłem dopiero wtedy, kiedy sobie poszedł. Chyba trochę się bałem, że facet złapie mnie na kłamstwie, a ja stracę szansę na zarobienie paru złotych.

Prosiła, żeby mówić do niej „Janina”.

– Nie lubię tego zdrobnienia – powiedziała, gdy pewnego razu zwróciłem się do niej per „Janka”.

– Dlaczego?

– Był taki serial dla dzieciaków, *Janka*. Paskudny. O jakiejś wiejskiej dziuni, która jeździła na koniu. Nie lubię, kiedy tak się do mnie mówi.

– To jak mam cię nazywać? Nina?

Skrzywiła się.

– Kojarzy mi się z rosyjską prostytutką.

– To jak?

– Janina. Po prostu. – Tym razem na mojej twarzy musiał pojawić się jakiś mimowolny grymas, bo uśmiechnęła się kwaśno i powiedziała: – Wiem, to imię starej baby.

– Wcale nie.

– Wcale tak. Dostałam je po babci, a babcia jest stara. Nie lubię go. Ale już je mam, więc nic z tym nie zrobię.

– Nie jest takie złe. Są gorsze.

– Są – przyznała. – I co z tego? – Popatrzyła na mnie wyczekująco, jakby na serio spodziewała się odpowiedzi na to pytanie.

– Racja – powiedziałem.

– A ty lubisz swoje imię?

– Imię jak imię – odparłem ostrożnie.

– Czyli lubisz.

– Nie myślę o nim.

– Szczęściarz.

– Wrócimy do analizy?

– Wróćmy – powiedziała zrezygnowana.

Przygotowywaliśmy się do egzaminu dosyć intensywnie. Spotykaliśmy się albo u niej w domu, gdzie dość szybko poznałem jej rodziców, których faktycznie musiałem okłamać, że jestem na czwartym roku, ale którzy na szczęście nie pytali mnie o oceny, albo na uczelni. Chociaż tej ostatniej opcji nie lubiłem. Zawsze wtedy się denerwowałem, że zobaczy nas ten Konrad i zrobi się niepotrzebna awantura. Koniec końców, miałem wrażenie, że przygotowałem Janinę całkiem solidnie. Spokojnie powinna była zaliczyć oba przedmioty, a gdyby trafiła na dobre pytania, mogła zawalczyć nawet o czwórkę. Rozliczyliśmy się, pożegnaliśmy i życzyłem jej powodzenia.

Spotkałem ją po miesiącu na korytarzu. Spytałem, jak poszło. Odparła z uśmiechem, że nie zdała ani jednego, ani drugiego, i popędziła dalej. Pół roku później rzuciła te studia i tutaj nasze drogi powinny były rozejść się na zawsze.

Janina poszła na SGH tylko po to, żeby uspokoić rodziców, bo dla niej liczyły się wyłącznie dwie rzeczy: dziennikarstwo i pisanie. Pisała od zawsze, od dziecka. Początkowo bajki, potem opowiadania fantastyczne, fanfiki. Później dłuższe, poważniejsze formy, a w międzyczasie oczywiście wiersze i piosenki. Marzyła o tym, żeby zostać zawodową pisarką. SGH tylko w tym przeszkadzało.

Ale o tym miałem dowiedzieć się z czasem.

Następnym razem spotkaliśmy się chyba trzy miesiące później, na imprezie w klubie Park na Polach Mokotowskich. Moi znajomi szaleli na parkiecie, ja siedziałem przy stoliku, popijałem piwo, cały spocony i zmęczony, kiedy nagle dosiadła się do mnie jakaś parka. On objął dziewczynę nonszalancko ramieniem, ona położyła mu dłoń na udzie i od razu było wiadomo, że są razem. Zanim zdążyłem powiedzieć, że te miejsca są zajęte, dziewczyna rzuciła przeciągłe, lekko szydercze:

– No czeeeść...

Dopiero wtedy skojarzyłem, że przede mną siedzi Janina. A obok niej, tym razem bez sztruksowej marynarki, Konrad. Wciąż wyższy i wciąż przystojniejszy ode mnie. Tym razem nawet bardziej wyluzowany. Jego oczy błyszczały, a na czole lśniły krople potu.

– To Janka cię wypatrzyła – powiedział. – Pomyśleliśmy, że podejdziemy się przywitać.

– Fajnie – mruknąłem, niepewny, czego oni oboje ode mnie chcą. Konrad przypatrywał mi się spod na wpół przymkniętych powiek, Janina uśmiechała się szeroko, na pewno już wstawiona, a może nawet trochę ujarana.

– Janka opowiedziała, jak sprzątnąłeś mi sprzed nosa korepetycje.

Wzruszyłem ramionami i upiłem łyk piwa. Nie wiedziałem, co powiedzieć. Zerkąłem w stronę parkietu, licząc, że wróci ktoś z moich znajomych. Nie chciałem siedzieć sam z tą dwójką. Konrad chyba wyczuł moje zdenerwowanie, bo nagle roześmiał się i klepnął mnie dwa razy w ramię.

– Spoko, spoko! Nie gniewam się! Po prostu chcieliśmy podejść, przywitać się i pokazać ci, że co się odwlecze, to nie uciecze. – Te ostatnie słowa powiedział, robiąc głupią minę. Próbował udawać starszego pana. Moim zdaniem nieudolnie, ale Janina zachichotała.

– Przeznaczenia nie oszukasz – dodała.

– Czyli się znaleźliście – rzuciłem głupio.

– Mówiłam ci – powiedziała, głaszcząc czule Konrada po twarzy – to znajomy znajomego. Nie mieliśmy daleko.

– Świat jest mały – mruknął chłopak.

A potem zaczęli się przy mnie całować. Wiedziałem, że nie robią tego dlatego, żeby mi coś udowodnić. Nie było w tym złości. Po prostu zachowywali się jak dwoje młodych ludzi, którzy dopiero od niedawna są razem i nie mogą od siebie oderwać rąk i ust. Przeprosiłem ich na moment. Poszedłem do toalety, a kiedy wróciłem, już ich nie było. Na szczęście, chociaż i tak miałem zepsuty humor do końca imprezy.

Nie wiem dlaczego, ale to wspomnienie zawsze wywołuje we mnie złość. Uśmiechnięta twarz Konrada, jego ręka błędząca w okolicach jej piersi, jej zakochany wzrok, pocałunek, to wszystko doprowadza mnie do szału. A nie powinno. Nie chodziliśmy przecież wtedy ze sobą. Co więcej, nie zdążyłem się nawet w niej jeszcze zakochać. Nie miałem żadnego powodu, żeby być zazdrosny. Nie mogę mieć do niej o to pretensji.

A jednak mam.

Po raz trzeci spotkaliśmy się już po wakacjach, na początku roku akademickiego. To Janina do mnie zadzwoniła. Zapytała, czy chciałbym pójść na kawę albo piwo. Zgodziłem się od razu. Po pierwsze dlatego, że zaskoczył mnie jej telefon i przyjąłem propozycję odruchowo. Po drugie,

liczyłem na to, że znowu potrzebuje korepetycji, a ja będę miał okazję zarobić parę groszy. Ale ona już wtedy rzuciła SGH, o czym nie wiedziałem.

Spotkaliśmy się na skrzyżowaniu Nowego Świata i Alei Jerozolimskich, przy Empiku, na którego elewacji od dziesiątek lat dumnie widnieje napis, że cały naród buduje swoją stolicę. Nie licząc Rotundy, to jeden z tradycyjnych warszawskich punktów spotkań. O każdej porze dnia i nocy, jesienią, zimą, wiosną i latem można tam zobaczyć tłumek ludzi, kobiet i mężczyzn w różnym wieku. Drepczą w miejscu, palą papierosy, piją kawę i rozglądają się dookoła, wypatrując osób, z którymi się umówili. Jedni bardziej nerwowo, drudzy mniej. Jeszcze inni siedzą na schodkach, czytają książki lub toną w ekranach smartfonów.

Ja czekałem na nią prawie dziesięć minut. Pojawiła się dokładnie w momencie, kiedy postanowiłem się zbierać, przekonany, że mnie wystawiła.

– Cześć – powiedziała nieśmiało, patrząc w bok, a nie na mnie. Mogło się wydawać, że właśnie zauważyła coś ciekawego na sklepowej wystawie.

– Cześć.

Objęła mnie niezgrabnie. Pocałowała w policzek, jakbyśmy byli dobrymi znajomymi. Pamiętam, że ten gest wydał mi się dziwny. Ona też się zaczerwieniła, chyba zdała sobie sprawę, że na tym etapie posunęła się za daleko.

Poszliśmy do kawiarni Amatorska. To jedno z tych miejsc, w których czas się zatrzymał i które w pewnym momencie zrobiło się kultowe. Dlatego obok siebie siedzieli studenci, którzy raczyli się tanim jak na Warszawę piwem, i starsi panowie z kieliszkiem wódki i papierosem w dłoni, którzy wyglądali tak, jakby nie wstawali od stolika od co najmniej dwudziestu lat. My natomiast zamówiliśmy po kawie. Nie do końca wiedziałem, jaki jest charakter naszego spotkania, kto kogo zaprasza, czy to jakiś rodzaj randki. A przede wszystkim czy będę musiał zapłacić rachunek. Na wszelki wypadek, bo jak wspominałem, miałem mało kasy, trzymałem kciuki, żeby nie zamówiła żadnego ciastka.

Nie zamówiła.

– Rozstałam się z Konradem – oznajmiła, kiedy usiedliśmy przy stoliku.

Spojrzałem na nią zaskoczony. Od czasu naszego przypadkowego spotkania w Parku nie poświęciłem jej więcej niż kilku myśli. Gdyby na zawsze zniknęła wtedy z mojego życia, nie czułbym ani odrobiny żalu, a ona sama wkrótce stałaby się niewyraźnym, mętnym wspomnieniem. Wiedza o tym, czy jest, czy nie jest z Konradem, nie była mi do niczego potrzebna.

– Okej – mruknąłem.

– Jest strasznym dupkiem. Wyjątkowym. Megaegocentrykiem. Potrafi mówić tylko o sobie. I myśli tylko o sobie. W ogóle wszystkich innych ma w dupie. Także mnie.

– Rozumiem.

– Zamierzaliśmy jechać razem na Woodstock, a potem nad morze, pod namiot na kilka dni. Specjalnie odwołałam po to wyjazd z rodzicami. Do Włoch. Ojciec się wściekł, bo już zapłacił, stracił pieniądze, no, robili mu problemy w biurze podróży i w ogóle wynikła z tego straszna chryja. Ale wywalczyłam swoje. I ten dupek dwa dni przed wyjazdem mówi, że on z kolegami jedzie na Ukrainę. Taką męską przygodę będą mieli. I dziwi się, że ja się złoścę, bo przecież mogę do tych Włoch pojechać, rodzice się ucieszą. Nie mogłam, przecież ojciec zwrócił moją wycieczkę. No i rodzice pojechali do Włoch, on pojechał na Ukrainę, a ja zostałam w środku wakacji w Warszawie. A potem zrobiło się jeszcze gorzej...

Siedziałem tam, nie rozumiejąc, czemu o tym wszystkim mi opowiada. Przez chwilę obawiałem się, że Janinie odbiło i pomyliła mnie z kimś innym. Jakimś swoim przyjacielem lub koleżanką. Albo że wyobraża sobie nie wiadomo co.

– Wierzysz w przeznaczenie? – zapytała nagle.

– Niespecjalnie.

– Ja wierzę.

– Okej.

Popatrzyła na mnie. Uśmiechnęła się smutno. Potem przysunęła się do mnie nieznacznie.

– Słuchaj – odezwała się, a jej głos zrobił się spokojniejszy i bardziej cichy. – Wiem, że pewnie teraz zabrzmie jak straszna idiotka, a ty zaraz wyjdiesz i usuniesz mój numer z kontaktów, ale pomyślałam sobie, że to może jednak nie przypadek.

– Co takiego?

– No to, że właśnie ciebie spotkałam, gdy szukałam Konrada.

Pokiwałem głową, wciąż niepewny, do czego to wszystko prowadzi. To znaczy, już domyślałem się, dokąd zmierza ta rozmowa, jednak bałem się odezwać, żeby nie wyjść na głupka. W głowie pojawiło mi się podejrzenie, że cała ta sytuacja to mało śmieszny żart, który ma się udać moim kosztem. Zaraz do knajpy wejdzie Konrad, znowu zaczną się przy mnie całować, a potem kpić, czy ja sobie naprawdę myślałem, że taka fajna dziewczyna jak Janina może być zainteresowana kimś takim jak ja.

– Może my mieliśmy się spotkać. Ja i ty. A ja... Wiem, że prawie się nie znamy. Ale lubię cię. Po prostu. Jesteś fajnym, sympatycznym facetem i pomyślałam sobie, że w sumie, jeśli nie masz nic przeciwko, to chętnie poznałabym cię lepiej.

Skończyła mówić i odsunęła się. Opadła z sił i tylko wpatrywała się we mnie wyczekująco. A ja w nią. Bo sytuacja zrobiła się nieco groteskowa. Ja i ona. Jej wiara w przeznaczenie. Konrad. Rozstanie. Telefon. Teraz ta przemowa. Widząc jednak jej przejęcie, nawet strach przed odrzuceniem, zrozumiałem, że to nie żart. Po raz pierwszy zacząłem jej się przyglądać. Już wcześniej zauważyłem, że jest ładna i trochę niższa ode mnie. Teraz dostrzegłem jej zadarty nos z bladymi piegami na czubku, orzechowe oczy i delikatny makijaż. Miała nieduże piersi, a ja zawsze wołałem dziewczyny o pełniejszych kształtach, ale to drobiazg. Poza tym była miła. W sumie czemu nie?

– Czyli to jest randka? – zapytałem.

Speszyła się tym pytaniem.

– Tak jakby.

– To wypijmy kawę, zapłacę i zaproszę cię do kina.

Ulżyło jej. Zauważyłem to od razu. Znów się uśmiechnęła.

– Dobrze. Tylko zanim pójdziemy... Przepraszam, po prostu strasznie się denerwowałam i nic nie zjadłam w domu, a teraz jestem strasznie głodna. Wezmę sobie jeszcze jakieś ciastko na szybko, dobrze?

Kiwnąłem głową, chociaż zaboląło mnie w portfelu, a głowa natychmiast podpowiedziała, że to wyjście będzie mnie kosztować co najmniej dwa obiady.

Zamówiła ciastko. Zjadła. Poszliśmy do kina. Trafiliśmy na *Blżej* Mike'a Nicholasa.

Obojgu nam się podobało.

Tak łatwo jest udawać, że nic się nie wydarzyło.

Wróciłem z Iwonką do domu i posłałem ją do pokoju. Basia przysłała pół godziny później. Moja starsza córka, nasza starsza córka, miała już jedenaście lat. Od roku sama chodziła do szkoły i sama wracała. Uczciliśmy to z Janiną butelką niezłego wina za ponad pięćdziesiąt złotych. Taki wydatek raczej nie doprowadziłby do bankructwa naszej rodziny, ale trzymając butelkę w dłoni, trzy razy zastanowiłem się, czy na pewno nas na nią stać.

Basia była jak większość dziewczynek w jej wieku. Trochę wyrośnięta, jednak wciąż dziecinna. Nie przepadała za szkołą, lubiła taniec i śpiewanie. Gdyby to od niej zależało, całe dnie stukałaby palcami w ekran smartfona, grając w gry, których nie znałem i nie rozumiałem. Wprowadziliśmy z Janiną różne zakazy i ograniczenia w korzystaniu z urządzenia, ale szczerze mówiąc, niespecjalnie dbaliśmy o ich restrykcyjne przestrzeganie. Czasami cisza w domu i odrobina spokoju okazywały się ważniejsze niż ostrzeżenia pediatrów o fatalnym wpływie telefonów na psychikę dziecka. Mieliśmy z tego powodu wyrzuty sumienia, odbyliśmy kilka rozmów przy wieczornej herbacie, obiecywaliśmy sobie nawzajem poprawę i bardziej konsekwentne działania, jednak koniec końców uspokajała nas chyba świadomość, że nie jesteśmy gorsi od innych rodziców. Nie ma więc co się biczować.

Basia rzuciła plecak do swojego pokoju. Przeszła do salonu, spojrzała na mnie i na bawiącą się w kącie Iwonę. Potem poszła do naszej sypialni i wreszcie do kuchni. Wróciła stamtąd z kabanosem w ręku.

– Mamy nie ma? – zapytała.

– Nie ma – odpowiedziałem. – Musiała zostać jeszcze jeden dzień na delegacji.

Zmarszczyła brwi. W jej głowie formułowwały się kolejne pytania, a nie mogłem pozwolić na ich zadanie.

- Masz jakieś lekcje do odrobienia?
- Mam – przyznała niechętnie.
- To idź odrobić.
- Chciałam trochę odpocząć.
- To odpocznij i idź odrobić zadania.

A potem już jakoś poszło. Przygotowałem im owocowy podwieczorek. Podałem go. Poczekaliśmy, aż zjedzą. Posprzątałem w kuchni. Sprawdziłem zadania domowe (nawet nie mieliśmy aż tak dużo do poprawiania). Przez resztę dnia udawałem, że nie widzę, jak Basia bawi się smartfonem, a Iwona ogląda bajki na Netflixie. Wieczorem zrobiłem im kolację, zagoniłem do mycia i położyłem do łóżek.

Przez cały ten czas czułem się tak, jakbym poruszał się w jakiejś bańce. Powietrze było gęste, dźwięki i światło przytłumione. Miałem problemy z oddychaniem. Co chwila musiałem przysiadać, odpoczywać. Z trudem formułowaliśmy myśli i słowa. Wiedziałem, że lada moment wpadnę w czarną dziurę. Że jeden krok w nieodpowiednim kierunku i rozpacz całkowicie mną zawładnie. Paradoksalnie uratowało mnie kłamstwo, które opowiedziałem dzieciom. Chwyciłem się go niczym liny ratunkowej. Dla nich musiałem zachować pozory tego, że wszystko jest w porządku. Nieustannie sobie powtarzałem, że jestem im winien jeszcze jeden dzień dzieciństwa. To był mój dar dla nich. Mój cel. Wyraz miłości.

Jednak w nocy, kiedy byłem już sam, kiedy kanapki zostały zjedzone, zęby umyte, a bajki przeczytane, nie zostało już nic, co mogłoby mnie powstrzymać. Żałowałem, że nie wzięliśmy psa. Dzieci chciały, Janina chciała, ja się nie zgadzałem. Mówiłem, że nie mamy czasu, że nie ma z nim co zrobić w wakacje, a poza tym skończy się na tym, że tylko ja będę z nim wychodził na spacer. Teraz oddałbym wszystko za kolejny obowiązek, za konieczność wyjścia z kundlem na dwór, za szukanie gówna na trawniku, z foliową torebką wciągniętą na dłoń.

Usłyszałem delikatne pukanie do drzwi. Potem głośniejsze, bardziej zdecydowane. Nie spodziewałem się gości, ale z ulgą poszedłem otworzyć.

To była Renata, przyjaciółka najpierw Janiny, potem naszej rodziny. Studiowały razem, znały się jeszcze z liceum. Obie miały w pewnym momencie ambicje literackie, choć Renata porzuciła je znacznie szybciej niż moja żona. Przez chwilę mieszkaliśmy nawet razem we trójkę. O dziwo, pomimo tego, że Renata radziła sobie z liczbami jeszcze gorzej niż Janina, została dziennikarką ekonomiczną. Nie na długo. Po jakimś wywiadzie prezes jednego z pośredników kredytowych zaproponował jej pracę rzecznika prasowego. Zgodziła się. Pracowała tak dwa lata. Potem trafiła do większej instytucji finansowej, potem do jeszcze większej i bardziej prestiżowej, a w końcu zdecydowała się na coś mniejszego i spokojniejszego, gdzie, jak to mówiła, mogła zadbać o swój *work-life balance*.

Renata nieustannie zmagiała się z lekką nadwagą, miała rude włosy i kota oraz byłego męża, który odszedł od niej, kiedy okazało się, że żona zarabia więcej od niego i niekoniecznie chce mieć dzieci. On swoją drogą też ich nie chciał, ale wymyślił sobie, że jeśli Renata zajdzie w ciążę, to zawładnie nią instynkt macierzyński i najpierw weźmie urlop, potem rzuci pracę albo przynajmniej – w absolutnie najgorszym scenariuszu – zaniedba na tyle, że skończy się ten jej strumień podwyżek, więc on znowu zacznie więcej zarabiać i wszystko wróci na swoje miejsce.

– Nigdy nie sądziłam, że jakikolwiek facet może być aż tak niepewny swojej wartości! – wyznała mi kiedyś, a ja przyznałem jej grzecznie rację. Chociaż mówiąc szczerze, sam pochodzę z dość konserwatywnej rodziny i nie wiem, jakbym zareagował, gdyby Janina nagle zaczęła robić nie wiadomo jaką karierę. Żeby była jasność, nie uważam, że miejsce kobiety jest w domu. Nigdy nawet przez myśl mi nie przeszło, by protestować przeciwko jej pracy zarobkowej. Do tego potrafię posprzątać w domu, ugotować, zająć się dziećmi. Niemniej według mnie facet powinien być opoką. Kimś, na kim można polegać, kto zapewnia finansowe i fizyczne

bezpieczeństwo swojej rodzinie. Innymi słowy, upraszczając trochę to wszystko i wulgaryzując, kobieta może pracować, facet musi.

Trochę żałowaliśmy, że się rozwiodła. Spędzaliśmy z nią i jej mężem sporo czasu. Jeździliśmy nawet razem na wakacje, chociaż oni nie mieli dzieci. Renata uwielbiała nasze córki. Chętnie się nimi opiekowała, dzięki czemu mogliśmy czasami wyjść na kolację czy do kina. Stała się ich ciocią, bardziej obecną w ich życiu niż te prawdziwe. Baliśmy się, że po rozstaniu z mężem to się zmieni, jednak wspieraliśmy ją w jej decyzji. Janina otoczyła Renatę opieką w tym najcięższym dla niej okresie i nasze relacje pozostały właściwie niezmienione. Dzieciaki jakoś szybko przyjęły do wiadomości, że teraz ciocia mieszka sama, a wujek gdzieś zniknął.

– Mogę wejść? – zapytała Renata, zaglądając do mieszkania.

– Jasne. – Otworzyłem szerzej drzwi. – Chcesz się czegoś napić?

Zaprzeciżyła. Zdjęła kozaki.

– Nie musisz tego robić.

– Mają strasznie wąski obcas – powiedziała. – Zniszczę wam podłogę.

Zrobiła kilka kroków w stronę dużego pokoju, a ja gestem zaprosiłem ją, żeby poszła dalej. Rozglądała się dookoła. Wiedziałem, że szuka jakiegokolwiek śladu obecności Janiny. Wreszcie zatrzymała się pośrodku salonu, w połowie drogi pomiędzy kanapą a telewizorem, i pobladła, przestraszona.

– Przyszłaś po samochód? – domyśliłem się. – Przepraszam, że ci go jeszcze nie oddałem. Powinienem, ale...

– Nie – odpowiedziała. – Nie przyszłam po samochód.

Zamarłem na kilka sekund. A potem niezgrabnym gestem wskazałem kanapę.

– Usiądziesz?

– Możesz mi powiedzieć, co się stało?! – wybuchnęła.

Doskoczyłem do niej. Zbyt gwałtownie. Przestraszyła się jeszcze bardziej. Zrobiła krok w tył. Przyłożyłem palec do ust.

– Dzieci już śpią.

Przez chwilę staliśmy w milczeniu naprzeciwko siebie, wsłuchani w ciszę panującą w mieszkaniu. Patrzyła na mnie w napięciu, czekając na znak, aż znowu będziemy mogli rozmawiać. Nie chciałem go dawać. Wiedziałem, że kiedy wreszcie zapyta o to, o co chce zapytać, będę musiał jej odpowiedzieć. Ona mnie wysłucha, pocieszy, ale w końcu wyjdzie. A ja zostanę sam. Nie chciałem zostać sam, nie dzisiaj. Jednak nie miałem nikogo, kogo mógłbym prosić, żeby ze mną posiedział. Przeciągałem więc tę chwilę tak długo, jak tylko się dało.

– Czy już możesz mi powiedzieć? – zapytała w końcu.

– Usiądź.

Zawahała się, ale zrobiła to, o co poprosiłem. Siadając, obciągnęła zieloną sukienkę, która sięgała jej do kolan.

– To coś poważnego? Jest w szpitalu?

– Nie żyje – odpowiedziałem.

Jej oczy rozszerzyły się gwałtownie.

– Mój Boże – szepnęła.

Zachwiała się. Przez moment wyglądało to tak, jakby miała zemdleć. Pomyślałem, że nie musiałem być aż tak bezpośredni, mogłem jakoś złagodzić cios. Tylko że nie potrafiłem.

Renata oddychała głęboko. Odniosłem wrażenie, że odlicza w myślach do dziesięciu. Kiedy skończyła, nagle się uspokoiła. Odwróciła głowę w bok, wbiła wzrok w szafkę z książkami. Stało tam nasze zdjęcie z wakacji. Ja i Janina. Nasze ostatnie wakacje bez dzieci. Remontowaliśmy wtedy mieszkanie, żeby zdążyć przed narodzinami Basi. Mieliśmy mało pieniędzy, wyskoczyliśmy na kilka dni na Mazury. Znaleźliśmy stary, rozpadający się hotelik wybudowany w czasach PRL-u. Pokoje były tandetne, meble ze sklejki, żarcie paskudne, łazienki na korytarzach, a Janina wymiotowała po każdym posiłku. Ale byliśmy tam szczęśliwi. Ekscytowało nas to, że wkrótce rozpoczniemy nowy, wspaniały rozdział naszego życia. Spodziewaliśmy się dziecka, ja zaczynałem nową, lepszą pracę i oczekiwałem, że w końcu będę zarabiać tyle, by nie liczyć każdego

grosza, a Janina spełniła swoje marzenia i wydawała książkę. To wszystko widać na tym zdjęciu, na naszych uśmiechniętych twarzach.

Renata wstała. Podeszła do regału. Zdjęła tę fotografię i pogłaskała palcem twarz Janiny. Potem powoli, ostrożnie, jakby się bała, że je zrzuci i zniszczy, odłożyła zdjęcie na miejsce. Kiedy odwróciła się do mnie, nie wydawała się już zdenerwowana, tylko spokojna i opanowana. Przynajmniej na tyle, na ile to możliwe w tych okolicznościach.

– Zrobię ci herbaty – powiedziała.

– Nie trzeba.

– Trzeba – mruknęła. – Nawet nie wiesz, jak strasznie wyglądasz.

Nie chciałem się kłócić, poza tym czułem, że ma rację. Zniknął strach, że zaraz się załamie. Pojawiło się za to przeraźliwe ośpienie. Jeszcze głębsze niż to, z którym się zmagalem przez cały dzień. Opadłem na fotel, głową uderzyłem o oparcie. Trwałem w tej pozycji, wpatrzony w sufit.

Renata wróciła po kilku minutach. Przyniosła herbatę i kanapki. Usiadła naprzeciwko i tak długo się we mnie wpatrywała, że wreszcie uległem, sięgnąłem po kubek i upiłem kilka łyków. Nie zamierzałem jednak jeść, bo chleb zamieniłby się w moim żołądku w kamień i zaległ w moim ciele na wieki.

– Dzieci już wiedzą? – zapytała.

Pokręciłem przecząco głową.

– Jej rodzice?

Wykonałem ten sam gest.

– Twoi rodzice?

Identyczna odpowiedź.

– Ktokolwiek oprócz ciebie i mnie?

– Nie.

Potrzebowała chwili, żeby przetrawić moją odpowiedź. Po raz kolejny obciągnęła sukienkę. Była zdenerwowana.

– Nie możesz tego przed nimi ukrywać – powiedziała wreszcie.

– Wiem.

– Chcesz, żebym ja do nich zadzwoniła?

– Do kogo?

– Do jej rodziców. Do twoich rodziców. Do kogo chcesz.

– Nie.

– Ale powiesz im o tym?

– Oczywiście.

– Kiedy?

– Jutro?

– Naprawdę?

– Mam nadzieję – odpowiedziałem ku własnemu zaskoczeniu. Do tej pory byłem pewien, że następnego dnia najpierw przeprowadzę z dziećmi poważną rozmowę (jeszcze nie wiedziałem, jak to zrobić, szczerze mówiąc, niewiele o tym myślałem – ilekroć temat pojawiał się w mojej głowie, po prostu go stamtąd przeganiałem), potem powiadomię resztę rodziny. Teraz po raz pierwszy pomyślałem, że jutro być może również nie będę do tego zdolny.

– Musisz to zrobić.

– Jutro.

– Najlepiej jeszcze dzisiaj.

– Nie obudzę dzieci, by powiedzieć im, że ich matka nie żyje!

– Nie mówię o dzieciach. Mówię o jej rodzicach. Maciek, ja znam ich dłużej od ciebie. I chyba lepiej. Oni ci nie wybaczą, jeśli powiadomisz ich tak późno. Rozumiesz? Każda godzina zwłoki gra na twoją niekorzyść.

Wzruszyłem ramionami.

– Mogę do nich zadzwonić w twoim imieniu – zaproponowała. – Powiem, że źle się czujesz. Zrozumieją. Nie wybaczą ci jednak, jeśli dowiedzą się tak późno.

– Nie chcę, żebyś do nikogo dzwoniła. Dam sobie z tym radę sam.

– Powinieneś...

– Daj mi, kurwa, spokój! – wrzasnąłem, podrywając się z fotela. Nie zrobiłem tego specjalnie. Talerz z kanapkami spadł ze stołu na podłogę i stłukł się z nieprzyjemnym brzdękiem.

Na Renacie mój wybuch nie zrobił żadnego wrażenia. Wstała spokojnie z kanapy. Poszła do przedpokoju i po chwili wróciła z telefonem komórkowym w dłoni. Odblokowała go. Wyszukała numer i podsunęła mi aparat niemal pod nos. Spojrzałem na wyświetlacz – Janina Mama. Musiałem tylko dotknąć zieloną słuchawkę.

– Próbuję ci tylko pomóc – powiedziała cicho.

Wziąłem od niej aparat. Już miałem nacisnąć, kiedy się zawahałem. Jedna rzecz przez cały dzień nie dawała mi spokoju. I to być może przed nią najbardziej uciekałem. W końcu musiałem ją z siebie wyrzucić. Podniosłem wzrok na Renatę.

– Ona nie żyje.

– Tak.

– Nie powinno jej tam być.

– Wiem – powiedziała. – To, co się wydarzyło, jest straszne. Nie powinno jej być w tym samochodzie.

Potrząsałem głową.

– Nie rozumiesz.

– Maciek, to straszna tragedia i...

– Nie rozumiesz – powtórzyłem, walcząc sam ze sobą, żeby znowu nie wrzasnąć. Renata zamilkła. Spojrzała na mnie badawczo.

– Czego nie rozumiem? – zapytała.

– Powiedziała mi, że wyjeżdża na plan serialu do Krakowa, a zginęła pod Mrągowem – odparłem. – Nie powinno jej tam być.

W oczach Renaty pojawiło się pytanie, ale ja nie znałem na nie odpowiedzi.

Nacisnąłem zieloną słuchawkę, przysunąłem telefon do ucha i czekałem, aż w głośniku usłyszę głos teściowej.

Początkowo nasze życie przypominało spełniony sen o rodzącej się w bólach nowej klasie średniej. Ona, ja, dobra praca, sukces, samochód, dzieci i mieszkanie na kredyt.

Zanim jednak o tym opowiem, wróćę do momentu, kiedy zaczęliśmy być razem. Bo historia naszego poznania może wydawać się ponura, pozbawiona jakiegokolwiek wdzięku, przypomina raczej pełen rozczarowań i przypadków dramat niż komedię romantyczną. I taka jest, co wcale nie znaczy, że potem nie wyglądało to inaczej.

Bo poszliśmy na randkę. Później na drugą, trzecią, czwartą, zostaliśmy parą. Okazało się, że wiele nas łączy. Ona kibicowała Legii, a ja Podbeskidziu. Nigdy wcześniej nie spotkałem dziewczyny, która faktycznie zna się na piłce. Słuchaliśmy podobnej muzyki i lubiliśmy podobne filmy. Dobrze nam się rozmawiało. Przyjemnie spędzaliśmy ze sobą czas. Po miesiącu poszliśmy do łóżka. Oboje pijani i było niezłe, chociaż bez fajerwerków. A kiedy obudziliśmy się rano, wtuleni w siebie, nadzy, zrobiliśmy to jeszcze raz i było znacznie lepiej.

Myślę, że tak najpełniej można scharakteryzować nasz związek – bez fajerwerków, ale z każdym dniem lepiej.

Kilka miesięcy później poszliśmy do Stodoły na koncert Lao Che. Staliśmy w tłumie, niedaleko sceny, więc z każdej strony napierał na nas tłum. Co chwila ktoś mnie popychał, czułem wbijające mi się w plecy łokcie i wszędzie śmierdziało potem i piwem. Nie przeszkadzało mi to jednak. Byłem szczęśliwy. Obok mnie Janina na całe gardło śpiewała wraz ze Śpiętym *Koniec*: „Idzie żołnierz borem, lasem / Przymierając z głodu czasem. / Suknia na nim nie blakuje, / Wiatr przez dziury przelatuje”. Patrzyłem na nią, na jej zarumienione policzki, błyszczące ekscytacją oczy i pomyślałem wtedy po raz pierwszy, że chcę być z nią do końca życia.

Nachyliłem się, odgarnąłem jej włosy i wykrzyczałem do ucha, że ją kocham. Przestała śpiewać. Odwróciła się do mnie z uśmiechem, a potem wpiła się ustami w moje. Całowaliśmy się tak do końca piosenki. Kiedy skończyliśmy, niemal równo ze Spiętym, tłum na koncercie wiwatował i bił brawo. Janina mi odpowiedziała. Nie słyszałem jej z powodu ryku wydobywającego się z gardeł stojących obok nas ludzi, ale jej wargi ułożyły się w słowa „Ja ciebie też”.

Znowu mało romantyczna historia, choć w przeciwieństwie do wielu tych romantycznych – po prostu prawdziwa. Tak jak nasza miłość. Byliśmy razem przez prawie cały okres jej studiów. Na ostatnim roku Janina wyprowadziła się od rodziców i zamieszkała ze mną. Samodzielne wynajęcie całego mieszkania okazało się zbyt drogie, więc jeden pokój podnajęliśmy w Renacie. Kiedy wróciliśmy z Janiną z tej naprawdę romantycznej kolacji z szampanem i wszystkim innym, na której się oświadczyłem, świętowaliśmy to w trójkę kilkoma butelkami czerwonego wina. Również w trójkę cierpieliśmy następnego dnia z powodu koszmarne kaca. Renata wkrótce potem się wyprowadziła, żeby, jak to mówiła, zrobić nam miejsce. Dążę do tego, że oświadczyłem się rok po skończeniu przez Janinę studiów, a pobraliśmy się w kolejnym roku. I nie było żadnego innego powodu niż miłość. Nie wpadliśmy ani nic takiego. Po prostu chcieliśmy być razem i wydawało nam się to naturalne i logiczne. Wszystko to w czasie, kiedy większość naszych znajomych ciągle jeszcze się bawiła, zmieniała partnerów co kilka miesięcy i żadnego z nich nie traktowała poważnie albo dopiero zaczynała rozglądać się na serio za kims na stałe.

Jeszcze jedna uwaga na temat tej całej romantyczności. Kolacja z oświadczyniami wyglądała dokładnie jak na filmach. Postępowałem niemalże według przepisu z podręcznika dla narzeczonych, co było – widzę to po latach – takie oczywiste i szampowe. Wiem, co zrobiłem, tyle że niewiele tak naprawdę pamiętam. A co do tych zachowanych wspomnień, to nie jestem pewien, czy naprawdę są moje, czy to po prostu sceny z tanich

amerykańskich romansideł. Ale koncert Lao Che, moje słowa, tamten pocałunek, ruch jej warg – to wszystko zostanie ze mną na zawsze.

Układało nam się znakomicie. Dostałem pracę w funduszu inwestycyjnym, do dzisiaj zresztą jestem tam zatrudniony. To średniej wielkości instytucja, która obsługuje głównie zamożniejszych klientów. Ma renomę i przyzwoite wyniki. Z roku na rok dostawałem poważniejsze zadania, a za tym szły podwyżki i kwartalne, i półroczne, a także roczne premie. Awansowałem z młodszego analityka na analityka i zostałem członkiem zespołu zajmującego się wyceną spółek z sektora FMCG.

Janina jeszcze na studiach załapała się do pracy w jednym z dużych tytułów prasowych. Świetnie jej tam szło. Początkowo zajmowała się researchem, szybko jednak zaczęła publikować własne artykuły na tematy społeczne: alkoholizm wśród młodzieży, sytuacja osób starszych w Polsce, prawdziwa twarz polskiej pediatrii i tym podobne. Zahaczyła się także w dziale kulturalnym, od czasu do czasu pisała tam recenzje książek czy spektakli lub przybliżała sylwetkę kogoś znanego i nagle zaczęły nas zalewać zaproszenia na seanse, koncerty, spektakle. Było tego tyle, że wkrótce wieczór w domu, pod kocem, przed telewizorem z jakimś głupim reality show stał się największą naszą atrakcją.

Ja zarabiałem całkiem przyzwoicie, ona też. Wzięliśmy kredyt, kupiliśmy mieszkanie. Później Janina zaszła w ciążę, z czego ogromnie się cieszyliśmy. Wiadomość o dziecku zbiegła się z informacją o tym, że jeden z wydawców postanowił wydać książkę Janiny. Miała tytuł *Lampeczki* i pokazywała życie warszawskich dwudziesto- i trzydziestolatek. Trochę tam było romansu, sporo seksu i groteski, ale przede wszystkim gorzkiej refleksji na temat naszego pokolenia zagubionego w codzienności.

Słowem, świat stał przed nami otworem.

A potem wszystko zaczęło się psuć.

Zacznę od swojej pracy. Mniej więcej rok po narodzinach Basi mój przełożony postanowił zmienić pracę. Nic dziwnego, w tej branży ludzie często przechodzili z firmy do firmy, skacząc po stanowiskach.

Zaniepokoiłem się jednak, bo to właśnie Michał ściągnął mnie do firmy i przez cały czas nadzorował moją pracę. Wiem, że mnie cenił i lubił.

Kilka tygodni przed swoim odejściem zaprosił mnie po pracy do pobliskiej knajpy. Zamówiliśmy coś lekkiego do jedzenia, do tego kraftowe piwo. Wzięliśmy po kolejnym kuflu. Potem Michał przysunął się do mnie i poluzował pasek. Westchnął, czknął i z zadowoleniem wyszczerzył zęby.

– Wiesz, że odchodzę? – zapytał.

– Jasne – powiedziałem. – Wszyscy wiedzą.

– No tak. – Upił łyk piwa. – W związku z tym zostanie wolne stanowisko szefa zespołu. Myślę, że powinieneś się o nie starać.

– Naprawdę?

Pokiwał głową.

– Nadawałbyś się – rzucił spokojnie. – Jeśli chcesz, daj znać. Zarekomenduję cię wyżej. Wiesz, to jeszcze nie znaczy, że dostaniesz tę fuchę, ale zyskasz naprawdę duże szanse.

Podrapałem się po policzku. Michał był ledwie kilka lat ode mnie starszy, jednak jego opinia naprawdę sporo dla mnie znaczyła. Facet był ogarnięty, inteligentny, wiedział, czego chce, i miał świetne wyniki. Jeśli widział mnie na swoim stanowisku, oznaczało to, że ja również jestem dobry.

– Kogoś jeszcze bierzecie pod uwagę? – zapytałem.

Skrzywił się nieznacznie.

– Tomka – odpowiedział niechętnie. – Facet, wiesz... Ma to wszystko, co ma mieć, właściwie trudno się do czegoś przyczepić, ale...

– Tak?

Nachylił się do mnie.

– To zostanie między nami, okej?

– Jasne.

– Ja go nie lubię. Zarząd go nie lubi. Nie mamy mu nic do zarzucenia. Po prostu... Nie podoba nam się ten jego gadzi ryj, rozumiesz?

– Chyba tak.

– W sumie... – Michał uśmiechnął się przebiegle i poklepał mnie po plecach. – Będzie tak: powiedz tylko, że chcesz, a dostaniesz tę fuchę. Już ja o to zadbam. To będzie ostatnia rzecz, jaką zrobię w tej firmie.

Nie poprosiłem go o tę rekomendację. Po długich rozmowach z Janiną uznaliśmy, że lepiej dać sobie trochę oddechu. Basia wciąż potrzebowała naszej uwagi. Teściowie pomagali nam, jak mogli, ale oboje jeszcze pracowali. Janina walczyła z kolejną książką, do tego brała różne fuchy. Nie tyle po to, żeby dorobić, bo jakoś utrzymywaliśmy się na powierzchni, ile by nie wypaść z obiegu. Gdybym wziął tę robotę, z tego wszystkiego musiałaby zrezygnować. Jako szef zespołu analityków miałbym znacznie więcej obowiązków. Siedziałbym w pracy do późnych godzin wieczornych, prawie nie byłoby mnie w domu. Opieka nad dzieckiem spadłaby w całości na Janinę. A poza tym wszystkim ja naprawdę byłem szczęśliwy, że jestem ojcem. I chciałem spędzać czas z córką. Bałem się, że jeśli będę mało obecny w pierwszym okresie jej życia, powstanie między nami dystans, którego potem nie będę już w stanie przebyć.

– Jeśli cenią cię tam tak bardzo, jak mówi Michał, to chwilę na ciebie poczekają – stwierdziła Janina podczas jednej z naszych wieczornych rozmów, a ja uznałem, że to jest bardzo sensowny argument. W końcu wkrótce zwolni się inne stanowisko albo trafi się inna okazja na awans.

Poszedłem oznajmić swoją decyzję Michałowi. W żaden sposób tego nie skomentował. Spojrzał tylko na mnie współczująco. Wtedy nie zrozumiałem, o co mu chodzi. Teraz już wiem. Po pierwsze, na rynku zaczynał się kryzys. Skończyły się dobre czasy, gdy pieniądze płynęły do nas strumieniami, a od klientów nie mogliśmy się odgonić. Nie miałem już co liczyć na coroczne podwyżki i regularne premie. A po drugie, co dużo ważniejsze, to nie zarząd mnie cenił, tylko Michał. Cała reszta uważała, że jestem właściwym człowiekiem na właściwym miejscu. Jedyne on widział we mnie potencjał.

Szefem zespołu został wtedy Tomek. Wytrzymał z nami całe dwa lata, po czym odszedł do innej, lepszej roboty. Po nim stanowisko zajął Łukasz, następnie Olga, a ta z kolei ustąpiła miejsca Jankowi. Ja zaś na zawsze

utknąłem na stanowisku analityka. Aha... Po Tomku wszyscy moi szefowie byli młodszy ode mnie.

– To chyba jest twój problem – wyjaśnił mi Tomek, kiedy niedawno spotkaliśmy się przy okazji jakiejś branżowej imprezy i wieczorem siedzieliśmy przy hotelowym barze. – W tej branży polega się na rekomendacjach od osób, z którymi wcześniej pracowałeś. Ktoś cię poleca, ty polecasz kogoś i tak to się kręci.

– Pracowałem z wieloma osobami i wszystkie mają o mnie dobre zdanie.

– To się zgadza – przyznał. – Tylko widzisz... Zostałeś po prostu za bardzo w tyle.

– Nie rozumiem.

– Ci, co mogliby cię pociągnąć za sobą, są już tak daleko i tak wysoko w hierarchii swoich spółek, że jedyne stanowiska, jakie mogą ci zaoferować, są poza zasięgiem twoich kompetencji. Wiesz, dwa, czasami trzy szczeble powyżej twojego dotychczasowego stanowiska. Z kolei ci, którzy mogliby zaoferować ci robotę odpowiednią do twojego CV... Cóż... są młodszy od ciebie. Zaczynali już po tobie jako młodszy analitycy, być może nawet przynosili ci kawę i prosili o radę. Widziałeś ich początki, a więc widziałeś wszystkie ich błędy i pomyłki. Żaden szef nie chce obok siebie kogoś, kto ma na niego takie haki.

Miał rację. A ja uświadomiłem sobie, że nie prosząc Michała o rekomendację, zamknąłem sobie drogę do dalszej kariery. I prawdopodobnie na zawsze utknąłem na stanowisku analityka badającego wartość spółek produkujących soki czy zalegające na półkach dyskontów kiszonki.

Z Janiną nie było lepiej. *Lampeczki* ukazały się jesienią, kilka miesięcy po narodzinach Basi. W dniu premiery poszliśmy w trójkę do Empiku w centrum Warszawy, gdzie długo we dwoje wpatrywaliśmy się w książkę ustawioną na półce. Janina uśmiechała się lekko, dumna i szczęśliwa, ja trzymałem ją za rękę, a Basia spała, cichutko pochrapując, w nosidełku przytulonym do mojej piersi.

Wieczorem oddaliśmy ją teściom i poszliśmy z kilkoma znajomymi na kolację, żeby uczcić to wydarzenie. Wydaliśmy wtedy ponad połowę zaliczki Janiny, i wcale przy tym nie szaleliśmy. Jedliśmy dobre rzeczy, dużo piliśmy i wznosiliśmy toasty za literacką karierę mojej żony.

Lampeczki nie porwały ani czytelników, ani krytyków. Ci drudzy właściwie zignorowali powieść. Ukazały się jedna, dwie recenzje pochlebne, napisane przez znajomych Janiny, i to wszystko. Co do czytelników – kiedy przyszło pierwsze rozliczenie sprzedaży, Janina długo wpatrywała się z niedowierzaniem w kartkę papieru. Jej powieść kupiło niecałe trzysta osób. Pocięczałem ją wtedy, że to dopiero początek. Że musi się rozkręcić, że przy drugiej książce będzie lepiej.

Ale nie było.

Kolejna powieść miała tytuł *Bejbi*. Trochę powieść, trochę dziennik, trochę socjologiczna i psychologiczna refleksja o współczesnym macierzyństwie: jak wygląda, jak zmienia kobietę, jaką cenę trzeba za to zapłacić. Przyznam szczerze, że o ile *Lampeczki* mi się podobały, to *Bejbi* czytałem z rosnącym uczuciem irytacji. Miałem wrażenie, że ta książka to akt oskarżenia rzucony w moim kierunku. Że za mało jestem obecny w domu, za mało zajmuję się dzieckiem, za mało rozmawiam z Janiną, nie przejmuję się tym, jak się czuje, i tak dalej. W pewnym momencie chciałem ją zapytać, czy naprawdę tak o mnie myśli, ale w ostatniej chwili zabrakło mi odwagi. A może po prostu nie miałem siły na kolejną kłótnię. Zamiast tego pochwalilem książkę i powiedziałem, że tym razem to na pewno będzie hit.

Książki jednak nikt nie chciał wydać. Ani jej dotychczasowy wydawca, ani żaden inny. Uznali, że jest zbyt chaotyczna, trudna do zrozumienia i niepotrzebnie agresywna (co w pewien sposób potwierdzało mój niewypowiedziany zarzut). Zamiast tego wydawca Janiny zaproponował jej, żeby napisała kryminał. Twierdził, że to się teraz sprzedaje, a ona całkiem nieźle pisze i może z tej mąki będzie chleb. Moja żona przez kilka dni się wściekała, potem jednak zabrała się do pisania. Miała być to opowieść o seryjnym zabójcy polującym w Warszawie na bogatych

i zepsutych biznesmenów. W finale okazuje się, że zabójcą jest kobieta, którą kilka lat wcześniej traktowali jako seksualną zabawkę i wielokrotnie wykorzystali w brutalny sposób. Z tego, co wiem, Janina nigdy tej powieści nie ukończyła.

Kiedy po urlopie macierzyńskim wróciła do redakcji, usłyszała, że nie ma już tam dla niej miejsca. Wpływy od reklamodawców zmalowały, zaczęły się ciężkie czasy. Powiedzieli jej, że jest młoda, zdolna, na pewno sobie poradzi. Była bez pracy przez blisko pół roku. Dorabiała fuchami, pisała książkę, opiekowała się dzieckiem i zajmowała domem. Wreszcie znalazła zatrudnienie w jednym z portali internetowych. Zaczęła robić tam quizy, te wszystkie konkursy: *Skończyłeś podstawówkę? Sprawdź, czy pamiętasz te lektury, Ekstremalnie trudny quiz o II wojnie światowej. Średnia odpowiedzi 4/5, Rozpoznasz ten kotlet? Niby proste, a wykładacie się na schabowym.* Praca poniżej jej kompetencji i oczekiwań.

Wkrótce udało jej się awansować, jeśli można tak to nazwać, i zajęła się także przygotowywaniem materiałów na serwis plotkarski. Opisywała, kto z kim się prowadzi, jak się ubrał na premierę i czy jakaś aktorka specjalnie czy przypadkiem zapomniała włożyć stanik. Niekiedy zapraszano ją jeszcze w jakieś eleganckie miejsce, na plan filmu, serialu albo na spotkanie z obsadą, dzięki czemu od czasu do czasu udało się jej wepchnąć na portal poważniejszy materiał, jak wywiad ze znanym aktorem, pisarzem czy reżyserem. Dalej nie była to praca jej marzeń, ale Janina wreszcie odbiła się od dna.

W międzyczasie zdarzyły się jeszcze dwie rzeczy. Jedna dobra, druga zła. Pojawiła się Iwonka, dziecko chciane, choć nieplanowane. Zawiodła pigułka. Podejrzewam, że Janina zapomniała o jednej czy dwóch, takie rzeczy przecież się zdarzają. Ona zaprzeczała. W każdym razie pewnego dnia wróciła od ginekologa z informacją, że jest w ciąży. Kiedy już minął pierwszy szok, ucieszyliśmy się. Dziewięć miesięcy później trzymałem w ramionach moją małą córeczkę, a Janina leżała wyczerpana, ale szczęśliwa na szpitalnym łóżku. A jeśli chodzi o złą wiadomość, to piętnastego stycznia dwa tysiące piętnastego roku, w czarny czwartek, frank

szwajcarski skoczył z poziomu około trzech i pół złotego do ponad pięciu, żeby zakończyć dzień na czterech i trzy. My zaś mieliśmy kredyt hipoteczny w tej walucie.

Rata za kredyt mieszkaniowy rosła od lat. I tak, pracuję w finansach. Znam też tę zasadę powtarzaną przez wszystkich internetowych mądrali: bierz kredyt w tej walucie, w której zarabiasz. Tylko że w momencie, kiedy zdecydowaliśmy się na zakup mieszkania, kredyt w złotówkach był droższy i mało atrakcyjny, a bank dałby nam dużo mniej pieniędzy. Moglibyśmy kupić lokal mniejszy i w dużo gorszej lokalizacji. Wszyscy powtarzali, że nic złego nie może się wydarzyć. Skończyło się tak, jak się skończyło – na codziennym monitorowaniu kursu, nieustannym sprawdzaniu stanu konta i liczeniu każdej złotówki. Żal mogę mieć tylko do siebie.

I tak sobie żyliśmy. Poobijani, ale ciągle na powierzchni.

Czy byliśmy szczęśliwi?

Nie chcę odpowiadać na to pytanie.

Dziewczynki były zdziwione, kiedy rano zobaczyły krzątającą się w kuchni babcię i siedzącego przy stole, popijającego z ponurą miną kawę dziadka. Ale to trwało tylko moment. Babcia rzuciła się do nich, żeby obie wyściskać. Mocniej i dłużej niż zwykle. Widziałem, że teściowa chowa twarz, zaciska wszystkie mięśnie w groteskowym grymasie jak z kiepskiej komedii, żeby tylko się nie rozpłakać. Teść lepiej nad sobą panował. Przybił piątkę z Basią, potarł włosy Iwonie. Zadał im kilka pytań o szkołę i przedszkole, a potem wrócił do picia kawy, jakby nic nadzwyczajnego się nie wydarzyło.

Posłuchałem Renaty. Zadzwoiłem do teściów. Powiedziałem im, co się stało. Wysłuchałem wybuchu płaczu w słuchawce, od którego skręciło mi wnętrzności, oraz krzyków teścia domagającego się, żebym wszystko dokładnie mu opowiedział, z najmniejszymi szczegółami, minuta po minucie. Potem zaczął wrzeszczeć, że on tego nie przyjmuje do wiadomości, że jestem kłamcą i mam mu w tej chwili podać Janinę do telefonu. Mówili na przemian przez blisko czterdzieści minut, nieustannie w hysterii, na przemian krzycząc i płacząc, aż wreszcie się rozłączyli, żeby zadzwonić godzinę później. Oboje zachowywali się spokojniej, chociaż teściowa ciągle szlochała, a z niego co pewien czas wydobywał się cichy, przeciągły jęk, jakby wiatr uderzał w naprężoną do granic możliwości strunę. Powiedzieli, że przyjadą do mnie z samego rana. Chciałem zaprotestować, nie miałem już jednak sił. Poprosiłem ich tylko, żeby nic nie mówili dziewczynkom. Ciągle zamierzałem to zrobić sam. Po szkole i przedszkolu. Zdziwili się, ale obiecali milczeć.

I teraz odgrywaliśmy tę dziwną pantomimę przed dwójką dzieci, udając, że wszystko jest w porządku, choć ewidentnie nie było. Iwonę jeszcze jakoś dało się oszukać. Czterolatki wciąż ufają stuprocentowo każdemu

wypowiedzianemu przez osobę dorosłą słowu. W jej małej głowie być może już zagościła myśl, że dorośli również kłamią i oszukują, ale nigdy nie sądziła, że to dotyczy mnie lub dziadków. Nawet jeśli coś ją niepokoiło, to jej troski rozwiały się w momencie, kiedy razem z babcią zaczęły przygotowywać jajecznicę na śniadanie. Basia natomiast coś podejrzewała. Zerkała to na mnie, to na dziadka. Teść w ustach miętolił pytania, których jednak nie miał odwagi zadać. Ignorowałem go na tyle, na ile się dało. Postąpiłem tchórzliwie, ale wiedziałem, że cokolwiek powiem, rozpocznę rozpaczliwe przesłuchanie zmierzające ku informacji o śmierci Janiny. Nie byłem jeszcze na to gotów.

Zjedliśmy śniadanie i wypchnąłem Basię do szkoły, po czym odprowadziłem Iwonę do przedszkola. Teściowa mi towarzyszyła, chociaż powtarzałem jej kilka razy, że to niepotrzebne. Nie dała się jednak przekonać. Zapewne poprosił ją o to teść, obawiając się, że skorzystam z okazji i po odprowadzeniu córki ucieknę gdzieś w miasto, by tylko z nimi nie rozmawiać. I słusznie, właśnie to zamierzałem zrobić.

Mój teść miał ponad sześćdziesiąt lat. Ten wysoki, wysportowany mężczyzna przez lata pracował jako ratownik na kąpieliskach i wciąż wyglądał tak, jakby potrafił przepłynąć bez przystanku co najmniej dwa kilometry. Ogólną prezencję psuła mu tylko twarz. Nie pasowała do muskularnej sylwetki. Głowę miał łysą, okrągłą, policzki obwisłe i niezdrowo zaczerwienione jak u alkoholika, chociaż prawie nie pił. Z zawodu był geodetą. Dorobił się na dwóch kontraktach w Iraku, gdzie wytyczał drogi na pustyni i mierzył działki pod pola naftowe. Do dzisiaj uważał, że Amerykanie popełnili błąd, obalając Saddama Husajna. Powtarzał, że facet może i rządził bez litości, ale przynajmniej za jego czasów panował tam spokój i porządek na ulicach, a teraz tylko czytają Koran i wysadzają się nawzajem w powietrze.

Teściowa natomiast wyglądała chorowicie, wiedziałem jednak, że to złudzenie. W rzeczywistości ta drobna kobieta była zapewne twardsza od niego. Przez pół życia pracowała jako lekarz pediatra w Centrum Zdrowia Dziecka. Widziała niewiarygodne tragedie i równie niewiarygodne

uzdrowienia. Ani o jednych, ani o drugich nie opowiadała. Dusiła je w sobie. Czasami tylko, kiedy patrzyła na nasze dzieci, dostrzegałem w jej oczach taką dziwną obawę, jakby sobie coś przypomniała, jakby ciąg skojarzeń prowadził ją w stronę jakiejś przerażającej historii. Moje serce przestawało wtedy na chwilę bić i oddychałem z ulgą, kiedy teściowa uśmiechała się wreszcie i machała lekceważąco ręką. Kilka lat temu wybrała spokojniejszą pracę i choć mogła już iść na emeryturę, ciągle przyjmowała w miejscowej przychodni.

– Powiesz nam teraz, co dokładnie się wydarzyło? – zapytał mnie teść, gdy tylko wróciliśmy do domu.

Ściągnąłem buty. Odwiesiłem kurtkę. Poszedłem do pokoju. Usiadłem na fotelu.

– Zrobię ci herbatę – powiedziała teściowa.

– Żadnej herbaty mu nie rób – zaprotestowałem. – Niech powie wreszcie, co się stało.

– Widzisz, w jakim jest stanie.

– Niech powie, do cholery, co się stało! – wrzasnął na całe gardło, a jego dłonie zacisnęły się w pięści.

Teściowa stanęła pomiędzy mną a nim, jakby naprawdę się obawiała, że jej mąż za chwilę się na mnie rzuci.

– Jechała samochodem – odezwałem się. – To była wąska droga, kręta. W pewnym momencie straciła panowanie nad kierownicą. Wjechała w jadącą z naprzeciwka ciężarówkę. Zginęła na miejscu.

Oboje pobledli. Ona poklepała go po ramieniu w geście, którego nawet on nie zrozumiał. Potem podeszła do ściany, oparła się o nią i oddychała ciężko.

– Jak to straciła panowanie nad kierownicą? – zapytał podniesionym głosem teść.

– Nie wiem. Tak mówią.

– Kto mówi?!

– Policjanci.

– Że straciła panowanie nad kierownicą?

– Tak.

– A ten drugi?!

– Jaki drugi?

– Kierowca ciężarówki! Nie mógł czegoś zrobić? Zahamować? Skręcić?! Czegokolwiek?

– To podobno wydarzyło się nagle. Nie zdążył zareagować. A nawet jeśli, to z obu stron rosły drzewa. Nie miał gdzie uciekać.

Zrobił krok w moją stronę. Wycelował we mnie drżącym palcem.

– Mówiłem wam, żebyście kupili nowy samochód – wyrzucił z siebie przez zaciśnięte zęby.

– Henryk – odezwała się ciągle stojąca pod ścianą teściowa.

– I kupiliśmy nowy – powiedziałem, bo uznałem, że powinienem jednak się bronić, chociaż niespecjalnie mi się chciało. Było mi wszystko jedno, po prostu robiłem to, co musiałem robić. Kierowało mną poczucie obowiązku albo przyzwyczajenie. Ale żadnej z czynności nie towarzyszyły emocje.

– Nowy! Nowy! Gównno, nie nowy! – Teść wyrzucił ramiona w powietrze.

– Miał pięć lat.

– W papierach miał, że pięć lat! Z Niemiec go, kurwa, sprowadziliście! Że niby taki zadbany i od pewnego sprzedawcy. Pewnie to jakiś rzech popowodziowy.

– Nie był popowodziowy.

– Nikt by za takie pieniądze dobrego samochodu nie sprzedawał! – ryknął.

Widziałem, że rośnie w nim wściekłość. Że szuka kogoś, czegoś, na co mógłby rzucić całą winę za to, co się stało. I nagle pożałowałem, że broniłem kierowcy tej ciężarówki. Bo jeśli on jest niewinny, a Janina w tej historii może być tylko ofiarą, to pozostawałem wyłącznie ja. Potem jednak

pomyślałem, że przecież tak naprawdę mi nie zależy, więc mogę wyświadczyć mu tę uprzejmość i wziąć winę na siebie.

– Masz rację – odparłem. – Powinniśmy byli kupić nowy samochód. Taki, w którym wszystko gra i buczy. Taki, który ma asystentów parkowania. Taki, który krzyczy, kiedy przekracza się linię. Taki, który ma te wszystkie systemy wspomagania i w ogóle nie trzeba go prowadzić. Taki samochód powinniśmy byli kupić.

Czekałem, aż się na mnie rzuci, zacznie bić albo przynajmniej zwyzywa z góry na dół. On jednak tylko przypatrywał mi się szeroko otwartymi oczami, a w jego spojrzeniu dojrzałem może nie tyle współczucie, ile litość. Sięgnął do kieszeni, wyjął z niej paczkę chusteczek i zamachnął się. Wylądowała mi na piersi z cichym szelestem plastikowego opakowania.

– Ogarnij się – powiedział po chwili. – Musimy ustalić dzisiaj kilka rzeczy i nie mamy za dużo czasu.

I dopiero w tamtej chwili dotarło do mnie, że płaczę. Czułem, że moje policzki są gorące, z oczu lecą mi łzy jedna za drugą, a z nosa lepki gil, jak u małego dziecka.

Przeprosiłem teściów i poszedłem do łazienki. Tam usiadłem na brzegu wanny i płakałem jeszcze przez kilka, może kilkanaście minut.

Kiedy obmyłem twarz zimną wodą, wróciłem do pokoju. Siedliśmy przy stole. Teściowa podała mi herbatę. Teść uspokoił się i traktował mnie niemal przyjaźnie. Rozmawialiśmy głównie o formalnościach. O tym, gdzie urządzić pogrzeb, kiedy i w jaki sposób sprowadzić ciało z Mrągowa do Warszawy, czy Janina miała jakieś życzenia odnośnie do swojej ostatniej drogi (nie miała, żadne z nas jeszcze nie myślało o takich rzeczach), i tym podobnych. Teściowa, z powodu swojej pracy w szpitalu bardziej obyta ze śmiercią, robiła notatki. Patrzyłem na nią z wdzięcznością i ulgą, bo wiedziałem, że od tego momentu nie muszę robić nic. Ona wszystkim się zajmie. I dopóki jej córka nie spocznie w ziemi, nie pozwoli sobie na chwilę słabości czy rozpaczy. A potem... potem się rozsypie. Byłem tego dziwnie pewien. Pomyślałem jednak, przyznając samolubnie, że to nie jest już mój problem.

Wtedy zadzwonił telefon i miła pani z przedszkola poprosiła, żebym przyszedł do nich najszybciej, jak to możliwe, bo moja cudowna córeczka właśnie rozwalila głowę koledze plastikowym samochodzikiem.

Myślę, że to jest dobry moment na to, by wreszcie opowiedzieć, w jaki sposób zabiłem własną żonę.

To było wtorkowe popołudnie. Poprzedniego dnia Janina pojechała do Krakowa, a właściwie, jak mi tłumaczyła, do pewnej podkrakowskiej miejscowości. Telewizja produkowała tam serial, jedną z tych wojennych odysei w wersji pop, których teraz tyle. Trochę o AK, trochę o Żydach, a trochę o dzielnych polskich kobietach. Żeby było miło i patriotycznie. Wraz z grupą dziennikarzy z różnych mediów Janina miała tam przygotowywać materiał z planu, przeprowadzić kilka wywiadów z aktorami i reżyserem, zebrać ploteczki i wykorzystać je do tekstów o życiu znanych i bogatych.

Tych wyjazdów w ostatnim czasie miała coraz więcej. Nie przekładały się na większe zarobki, ale sprawiały jej satysfakcję. Przypominały o czasach, kiedy jeszcze wierzyła w to, że wróci do – jak to lubiła nazywać – prawdziwego dziennikarstwa. Zazwyczaj jej wyjazdy mi pasowały. Miałem wtedy co prawda więcej obowiązków związanych z opieką nad dziećmi, za to wieczorami mogłem spokojnie usiąść przed telewizorem z piwem w dłoni i w ciszy i spokoju oglądać serial na Netflixie. Czasami, przyznaję to teraz ze wstydem, nie mogłem się doczekać, kiedy Janina wyjedzie na kolejną delegację.

Tym razem jednak było inaczej. Mój szef, kolejny już w ciągu tych lat, zdiagnozował u siebie wypalenie zawodowe, więc postanowił zrobić sobie roczny urlop i poświęcić go w całości na podróżę po Dalekim Wschodzie. Cholerny dzieciak miał zaledwie trzydzieści dwa lata, a ja chciałem zająć jego miejsce. Czułem, że to moja ostatnia szansa, że jeżeli teraz nie ruszę ze swoją karierą, już na zawsze utknę na tym samym stanowisku, otaczany przez coraz młodszych kolegów. Jednak żeby to osiągnąć, musiałem

zabłysnąć. Przyłożył się do roboty, którą przez kilkanaście ostatnich miesięcy wykonywałem dość mechanicznie i bez serca. Wyjazd Janiny w tym momencie burzył wszystkie moje plany. Powiedziałem jej o tym. Ku mojemu zaskoczeniu odwróciła się wtedy do mnie, odłożyła na bok pranie zdjęte z suszarki i tylko wzruszyła ramionami.

– Taką mam pracę – powiedziała.

– Wiem, Janina, ale teraz rozmawiamy o mojej robocie! O tym, że staram się o awans. I to nie dla własnej satysfakcji, nie po to, żeby zrobić dobrze swojemu ego, ale po to, by zarabiać więcej pieniędzy. Pieniądzy, których potrzebujemy chociażby na spłatę kredytu.

– Ja też zarabiam pieniądze.

– Niewiele. I nie masz żadnych perspektyw na zmianę tej sytuacji.

– Dzięki, że mi o tym przypomniałeś.

– Przecież sama to powtarzasz, do cholery!

Chwyciła niebieską koszulkę, starą i znoszoną, w której zazwyczaj chodziła po domu. Złożyła ją starannie w kostkę, a potem spojrzała na mnie ciężko.

– Muszę tam jechać – oznajmiła.

W pewnym sensie tamtymi słowami zamknęła dyskusję, bo później mówiłem już głównie ja. Coraz więcej, coraz bardziej gniewnym tonem nakręcałem się, wyrzucając z siebie kolejne zdania. Jeśli istnieje coś takiego jak jednoosobowa kłótnia, to nasza rozmowa świetnie do tego określenia pasowała.

Następnego ranka wyjechała, a ja dalej byłem wściekły. Poczułem się totalnie zlekceważony. Jakby Janina stwierdziła, że nie mam żadnych szans na tę robotę i w związku z tym nie będzie mi pomagać. Zabolało, bo potwierdziły się moje najgorsze obawy. Ukrywałem je sam przed sobą, ale i tak od czasu do czasu budziły mnie w środku nocy i nie pozwalały zasnąć. Dlatego kiedy zadzwoniła do mnie w dzień powrotu, ten gniew powrócił. Chciałem ją ukarać, dopiec jej, pokazać, że jeśli ona nie liczy się ze mną, to ja nie liczę się z nią.

Nie śpieszyłem się z odebraniem telefonu. Położyłem go przed sobą. Patrzyłem na jej imię wyświetlające się na ekranie i przeczekałem kilka sygnałów. Wreszcie podniosłem aparat i nacisnąłem zieloną słuchawkę.

– Tak?

– Dopiero wyjechałam.

Trasa Kraków–Warszawa to około trzystu kilometrów. Jechała z jakiejś małopolskiej wsi, co oznaczało pięćdziesiąt kilometrów więcej, czyli co najmniej cztery godziny w samochodzie. I to pod warunkiem, że nie trafi na żadne korki. Spojrzałem na zegarek. Kwadrans po piątej.

– Obiecałaś mi, że będziesz w domu koło siódmej i zajmiesz się dziećmi.

– Tak.

– Nie będziesz.

– Wszystko się przedłużyło.

– Nic mnie to nie obchodzi – powiedziałem ze złością, ale tak naprawdę w tamtej chwili odczuwałem tylko mściwą satysfakcję. Niskie i żalosne uczucie, teraz to wiem, jednak wtedy... Wtedy było mi po prostu cudownie.

– Obiecałaś mi, że wrócisz do siódmej, zajmiesz się dziećmi, a ja będę mógł w spokoju popracować. Wiesz, że muszę mieć czas na to, żeby skupić się na pracy! Wiesz, jak mi zależy na tym awansie!

– Wiem, tylko że...

– Co tylko że?! Musiałaś kolejny wywiad przeprowadzić? Z jakimś kolejnym marnym aktorem z kolejnej marnej polskiej produkcji? Janina... Pozwól, że coś ci wytłumaczę. Nikt tych twoich wywiadów nie czyta. Nawet, kurwa, ja.

Przez długi czas słyszałem po drugiej stronie tylko ciszę. Przestraszyłem się. Przestraszyłem się tego, że przesadziłem. Nagle dotarło do mnie, że ona wkrótce wróci do domu i ta rozmowa będzie miała ciąg dalszy, a ja będę zmuszony zmierzyć się z tym, co właśnie powiedziałem. Już chciałem się wycofać, już „przepraszam” zaczęło wykwitać na moim języku, gdy usłyszałem jej głos – smutny, żalosny i przegrany. Wtedy poczułem, że wygrałem.

– To co mam zrobić?

Chciałbym teraz umieć się jakoś wytłumaczyć. Powołać się na niepoczytalność, na jakiś amok, który mnie opanował, ale to byłoby kłamstwo. Po prostu chciałem jej sprawić przykrość. Sprawić, żeby poczuła się winna. Tylko tyle. Małe małżeńskie świństwo.

– Przyciśnij – odparłem. – Po prostu przyciśnij.

Nie jestem pewien, czy coś mi wtedy odpowiedziała. Kiedy się rozłączyłem, miałem bardzo dobry humor. Pomogłem Basi zrobić lekcje, pobawiłem się chwilę z Iwoną. Przygotowałem im kolację i puściłem bajki na dobranoc. Iwone na telewizorze, Basi na komputerze. Dzieliła ich zbyt duża różnica wieku, żeby oglądały to samo. Minęła siódma, kiedy telefon zadzwonił po raz kolejny. Tym razem wyświetlił się nieznany numer. Odebrałem. Policjant. Z Mrągowa. Przedstawił się – Klaudiusz Nowak. Powiedział, że moja żona miała wypadek samochodowy i czy mógłbym do nich jak najszybciej przyjechać.

– Myli się pan – sprostowałem od razu.

– Co takiego?

– Moja żona nie mogła mieć wypadku.

– Bardzo mi przykro, ale...

– Nie mogła mieć wypadku! – krzyknąłem, żeby mu przerwać. – Pan dzwoni z Mrągowa? To na Mazurach?

– Tak.

– Moja żona nie mogła mieć wypadku na Mazurach. Właśnie wraca z Krakowa. Teraz powinna być – zerknąłem na zegarek – nie wiem, w okolicach Kielc, może Skarżyska.

– Jest pan pewien?

– Absolutnie.

Chrząknął do telefonu. Chyba zakrył dłonią słuchawkę, poprosił kogoś o radę, jednak nie zrozumiałem ani pytania, ani odpowiedzi. Potem do mnie wrócił.

– Czy żona jeździ srebrnym volkswagenem passatem wersja kombi?

– Tak. To nasz samochód.

– Czy pański samochód ma numer rejestracyjny...

Wymienił właściwy ciąg liter i cyfr. Potwierdziłem.

– Czy pańska żona ma na imię i nazwisko Janina Tomska, PESEL...

Przerwałem mu, zanim dokończył.

– Tak, to ona.

Powtórnie chrząknął.

– W takim razie bardzo mi przykro, ale to ona miała wypadek na naszym terenie.

Przez moment nie wiedziałem, co powiedzieć. Miałem wrażenie, że serce przestało mi bić. Przez cały czas rozmawiałem na stojąco i nagle moje nogi zaczęły drżeć. Opadłem na najbliższe krzesło. Odetchnąłem głęboko kilka razy.

– Czy coś jej się stało? – zapytałem.

– Powinien pan do nas jak najszybciej przyjechać – odparł, a ja już wiedziałem, że Janina nie żyje.

Przez pierwsze dziesięć, piętnaście minut po prostu siedziałem bez ruchu. Iwona weszła do pokoju, zapytała: „Tatusiu, co się dzieje?”, ale nie potrafiłem odpowiedzieć. Przyproceedziła Basię. Ona zadała to samo pytanie, a ja ciągle milczałem. Iwona się rozplakała. Tak po prostu. Chyba sama nie wiedziała dlaczego, bo patrzyła na mnie zupełnie zaskoczona. Jakby ten płacz przyszedł do niej z zewnątrz, jakby został jej narzucony przez kogoś obcego. Pociągnęła mnie za rękę. Najwyraźniej chciała, żebym ją jakoś uspokoił. I to mnie otrzeźwiło. Przyciągnąłem córeczkę do siebie, przytuliłem.

– Co się dzieje, tato? – zapytała Basia.

– Nic. Ale musicie jechać do cioci Renaty – oznajmiłem.

– Dlaczego?

– Mama musiała zostać dzień dłużej na delegacji, a mnie właśnie wezwano pilnie do pracy – skłamałem gładko i aż sam się zdziwiłem, że

mój głos brzmi tak pewnie i naturalnie. – Pakujcie się.

– A będziemy mogli pobawić się z kotkiem?

– Tak. Będziecie mogli. Wybierz zabawki, które chcesz ze sobą wziąć.

Zadzwoiłem do Renaty. Zapytałem, czy jest w domu. Powiedziałem, że do niej przyjadę. Spakowałem dzieci. Zamówiłem taksówkę. Po około czterdziestu minutach byliśmy na miejscu. Otworzyła nam drzwi umalowana, w czarnej obcisłej sukience, pewnie zbierała się do wyjścia na elegancką kolację.

– Zajmij się nimi, proszę – powiedziałem tylko. – Zaprowadź do szkoły, przedszkola. Wiesz gdzie. Jakby co, mam telefon.

Wrzuciłem torbę z rzeczami dziewczynek do mieszkania. Ucałowałem Iwonę, przybiłem piątkę Basi. Właściwie wepchnąłem je obie do środka, zrobiłem krok w tył, gotowy zbiec na dół, gdy Renata chwyciła mnie za rękaw kurtki i przytrzymała.

– Powiesz mi, co się stało?

Popatrzyłem na córki. Zachęciłem je gestem, żeby weszły głębiej do mieszkania.

– Idźcie do pokoju – rzuciłem. – Włączcie sobie telewizor! Pewnie ciocia ma jakieś ciastka w szafce! Wiecie gdzie, nie?!

Telewizor i ciastka. Dzieciom czasami więcej nie potrzeba. Iwona popędziła do dużego pokoju. Basia też, choć mniej chętnie. Zanim straciłem ją z oczu, wychwyciłem jej niepewne spojrzenie.

– Janina miała wypadek samochodowy – powiedziałem szeptem, nachylając się do Renaty. – Muszę do niej jechać. Zajmiesz się nimi, dobrze?

Pobladła. W jej oczach momentalnie zaślniły łzy.

– Tak. Oczywiście.

– Świetnie.

Puściła mnie. Zbiegłem na dół, jednak zatrzymałem się na półpiętrze, kiedy przypomniałem sobie, że mamy jeden samochód i zabrała go właśnie Janina. Wróciłem do Renaty wciąż stojącej w półotwartych drzwiach.

– Pożyczysz mi wóz? – zapytałem. – Jutro oddam.

Kiwnęła głową. Zniknęła na moment w środku i wróciła z kluczykami. Wcisnęła mi je do ręki, zawahała się, a potem mocno mnie przytuliła.

Do Mrągowa dojechałem w trzy godziny. Radio grało na cały regulator, dźwięki muzyki odbijały się od dachu i szyb, jednak i tak w głowie słyszałem tylko echo własnych słów: „Przyciśnij. Po prostu przyciśnij”.

Myślałem, że wraca z Krakowa, że wskoczy szybko na trasę ekspresową, dwa pasy w każdą stronę, a nie będzie krążyć po wąskich i niebezpiecznych mazurskich drózkach. Tak właśnie mogłem się teraz tłumaczyć, ale to byłoby kłamstwo. Chciałem jej po prostu sprawić przykrość. Dać wyraźnie do zrozumienia, że mnie zawiodła, że jeśli i tym razem nie dostanę mojej wymarzonej pracy, będzie to wyłącznie jej wina.

„Przyciśnij. Po prostu przyciśnij”.

To były ostatnie słowa, które ode mnie usłyszała. Ostatnie słowa, jakie do niej powiedziałem.

I w ten sposób zabiłem własną żonę.

Siedzieliśmy wszyscy w gabinecie dyrektorki przedszkola. Ja, mój teść, teściowa, a także rodzice Pawełka, bo to właśnie jemu moja córka rozbiła głowę – barczysty budowlaniec, niezadowolony, że wyrwano go z pracy, i jego przejęta żona. Były tylko dwa krzesła, więc siedziały mama Pawełka i teściowa. My w trójkę staliśmy z tyłu. Wszyscy przyjęliśmy tę samą pasywno-agresywną pozę: ręce założone na piersi, lekko opuszczone głowy, spojrzenia rzucone spod ściągniętych brwi. Zdawałem sobie jednak sprawę, że głównym obiektem tej niewyrażonej werbalnie agresji jestem ja. Ze strony ojca Pawełka dlatego, że moja córka rozbiła jego synowi głowę (fakt, że zrobiła to dziewczynka, stanowił prawdopodobnie źródło dodatkowej frustracji). Ze strony teścia – bo ciągle obwiniał mnie, słusznie zresztą, za śmierć córki.

Drzwi gabinetu otworzyły się i do środka weszła dyrektorka w towarzystwie wychowawczynie mojej córki. Ta pierwsza, wysoka blondynka w szpilkach i z włosami upiętymi w kok, zwykle prezentowała szeroki uśmiech, taki naprawdę szczery i radosny. Dzieci ją lubiły. Rodzice, a przynajmniej ja, również. Teraz jednak marszczyła brwi, jej pomalowane czerwoną szminką usta zmieniły się w cienką linię, rysy twarzy zrobiły się ostre. Co więcej, nosiła teraz okulary, bez których dotąd sobie radziła. Wyglądało to dziwnie, nienaturalnie, jakby od tych wszystkich uśmiechów i pozytywnego nastawienia do świata zapomniała, jak być poważną. Wychowawczynie natomiast, niska dziewczyna koło trzydziestki, zazwyczaj chodziła w szarych swetrach i spódnicach i sprawiała wrażenie dużo młodszej, więc część rodziców brała ją za studentkę, która odbywa tutaj praktyki.

Dyrektorka zajęła miejsce za biurkiem i spojrzała na nas ciężko. Poprawiła okulary.

– Tak... – zaczęła. – Dziękuję, że państwo tak szybko się pojawili.

– Gdzie jest Pawełek? – zapytała szybko jego matka.

– W grupie, z inną nauczycielką. Wszystko jest w porządku. Sytuacja jest pod kontrolą.

Ojciec Pawełka mruknął coś pod nosem, czego nie zrozumiałem. Dyrektorka spojrzała na niego pytająco. Mężczyzna przewrócił oczami.

– Powiedziałem, że będzie w porządku, jeśli ta mała będzie się trzymać od niego z daleka.

Teściowa odwróciła się do niego i obrzuciła go niechętnym spojrzeniem. To samo zrobił teść. Tylko ja tkwiłem nieporuszony.

– No co – burknął budowlaniec. – Ta mała to jakaś cholerna dzikuska. Trzeba ją trzymać z dala od wszystkich dzieci!

– Pan tak nie mówi o mojej wnuczce! Nie wolno panu! – krzyknęła teściowa.

– Bo co?! Rozbiła mojemu synowi głowę! Widziała go pani?! Widziała?! Bo jak nie, to możemy zaraz pójść do sali i go pani pokażę! Będzie miał bliznę na czole do końca życia.

– E tam, bliznę będzie miał! Zaraz się na takim dzieciaku zagoi.

– A co pani może o tym wiedzieć!

– Przez dwadzieścia lat byłem lekarką w Centrum Zdrowia Dziecka, to się trochę znam!

Ta odpowiedź na chwilę zbiła go z tropu. Popatrzył na żonę, szukając u niej wsparcia, jednak ona siedziała do niego plecami, jakby w ogóle nie zamierzała brać udziału w tej dyskusji.

– Szanowni państwo – wtrąciła się dyrektorka. – Nie zaprosiłam państwa po to, by się kłócić, ale po to, by omówić sytuację i spróbować znaleźć rozwiązanie, żeby takie rzeczy się nie powtarzały.

– A może nam pani powiedzieć, co się stało? – zapytała matka Pawła.

Zaskoczył mnie jej spokojny ton głosu. Spodziewałem się, że to ona ze wszystkich, jak to matka, będzie najbardziej zdenerwowana, jednak tę rolę

najwyraźniej przejął jej mąż.

– No właśnie – powiedziała dyrektorka. – Pani Klaudio, czy może nam pani powiedzieć, co się stało?

Wychowawczyni zrobiła krok do przodu. Spojrzała na nas trwożliwie, jakby spodziewała się, że zaraz zaczniemy obarczać ją winą za wszystko, co się wydarzyło.

– No, to było po śniadaniu. Szykowaliśmy się do wyjścia na dwór. Wtedy zawsze jest dużo hałasu, niektórym dzieciom trzeba pomóc się ubrać, przygotować. Trudno wszystkiego dopilnować. – Przerwała, by zaczerpnąć powietrza. – Ustawiłam dzieci w pary. Pawełka z Iwonką, bo oni się do tej pory przecież bardzo lubili. Nagle usłyszałam straszny krzyk i zobaczyłam, że Iwonka ściągnęła z półki z zabawkami plastikowy samochodzik i bije nim Pawełka po głowie. Zaraz pobiegłam, żeby to przerwać, ale ona już go biła i...

Na jej policzkach zaczęły pojawiać się rumieńce wstydu. Spuściła wzrok i wbiła go w podłogę.

– Oczywiście od razu zajęliśmy się Pawełkiem – włączyła się dyrektorka – i natychmiast zadzwoniliśmy po państwa.

– Moja wnuczka nigdy tak się nie zachowywała. To do niej absolutnie niepodobne!

– Tia... Pewnie ją za warkoczyki pociągnął – mruknął budowlaniec.

– Właściwie to... – zaczęła wychowawczyni i zaraz przerwała, żeby pytająco spojrzeć na dyrektorkę. Ta skinęła głową, zachęcając ją do kontynuowania wypowiedzi. – Właściwie to Paweł powiedział, że mama Iwonki nie żyje. Iwonka powiedziała, że to nieprawda. Pawełek to powtórzył i... zaczęli się kłócić, jak to dzieci. Pawełek mówił w kółko to samo, Iwonka płakała, a potem sięgnęła po ten samochodzik i... zdarzyło się to, co się zdarzyło.

W pokoju zapadła absolutna cisza, kiedy powoli do wszystkich zebranych dotarł oczywisty fakt – mojej żony nie było w gabinecie. W oczach dyrektorki dostrzegłem pierwsze objawy paniki, gdy zrozumiała,

jak bardzo pomyliła się w ocenie sytuacji. Do tej pory musiała myśleć, że cała sprawa to zwykła dziecinna sprzeczka, przekomarzanie się, okrutny wygłup.

– Prosiłem, żeby pani nikomu o tym nie mówiła! – krzyknąłem do matki Pawła. – Nikomu! Szczególnie Iwonce!

– Powiedziałam tylko mężowi! – Wskazała go palcem. – Nikomu innemu. Pawełek musiał sam usłyszeć! Tam pod płotem, może w domu! – Broniła się rozpaczliwie.

– To on?! – zdziwił się mężczyzna, patrząc na mnie tak, jakby widział mnie po raz pierwszy w życiu. – To jego córka?!

– Tak! Przecież ci mówiłam, że Iwonka straciła matkę.

– Iwonka, Martynka! – Wzniósł ręce w górę. – Ty myślisz, że ja te dzieci pamiętam! Albo że je rozpoznaję! Mogłaś mi powiedzieć, że to ta.

– Mówiłam, żebyś uważał, co mówisz!

– Myślałem, że chodzi ci o to, żebym, kurwa, nie przeklinał!

– Cisza! Cisza! – wrzasnęła dyrektorka i kilka razy uderzyła dłonią w biurko. Podniosła się z krzesła i potoczyła wzrokiem po całej naszej szóstce. Poczekała, aż się uspokoiimy. Potem popatrzyła prosto na mnie. – Czy to prawda? Czy mama Iwonki nie żyje?

– Miała wypadek samochodowy – powiedziałem.

– Czy Iwonka o tym wie?

– Kiedy przychodziła do przedszkola, to nie wiedziała. A teraz...

Odwróciłem twarz w kierunku ściany, bo poczułem, że znowu zbiera mi się na płacz. Dyrektorka wyszła zza biurka. Chwyciła mnie delikatnie za rękę. Ścisnęła.

– Powinniśmy do niej pójść – odezwała się łagodnym głosem. – Powinniśmy z nią porozmawiać. Powinien pan jej powiedzieć, co się stało.

I tak właśnie zrobiliśmy.

Odebrałem Basię i Iwonkę. Wróciliśmy do domu. Usiedliśmy w dużym pokoju z dwoma kubkami ciepłej herbaty i tabliczką czekolady na stole.

A potem zacząłem.

Nie ma nic gorszego niż ten moment, kiedy mówisz własnym dzieciom, że ich matka nie żyje. Patrzyłem na twarze swoich córek, widziałem na nich najpierw niedowierzanie, potem ból, gniew, a wreszcie czystą rozpacz. Czułem się tak, jakby te wszystkie uczucia ze stokrotną mocą spadały na mnie i rozrywały moje ciało na strzępy. I przyjmowałem je chętnie, bo miałem nadzieję, że jeśli wchłonę ich wystarczająco dużo, oszczędzę tego bólu własnym dzieciom. Pewnie zabrzmiało to paradoksalnie, ale wolałbym umrzeć niż skazywać je na to, żeby przechodziły to jeszcze raz.

Wieczorem teść wrócił do domu. Teściowa została. Uznała, że przyda mi się pomoc, i szczerze mówiąc, miała rację. Pomogła mi przygotować kolację, ogarnąć dzieci i położyć je do łóżek. Patrząc na to, byłem zdumiony, jak szybko po wybuchu smutku i rozpaczliwych rzeczy wracają do normalności.

Teściowa wzięła kilka koców i położyła się w salonie. Dziewczynki spały u siebie w pokoju, ja w sypialni, w pościeli wciąż pachnącej Janiną. Zapadałem w krótkie, płytkie drzemki, żeby obudzić się i potem leżeć długo w ciemności z szeroko otwartymi oczami. Przerazała mnie najbliższa przyszłość. Nie sprowadzenie ciała, nie sam pogrzeb, nie stypa, ale to, co nastąpi potem. To, że będę musiał wyjąć z szafy wszystkie jej ubrania, poukładać w schludne kupki i zawieźć do jakiejś organizacji charytatywnej. Zebrać jej rzeczy, papiery, notatki. Zastanowić się, co zostawić na pamiątkę, nawet nie dla mnie, tylko dla dziewczynek, bo nie chciałem całkowicie usuwać jej z naszego życia. Całe mieszkanie urządziła Janina – wybierała meble, kolor ścian, podłogę. Już dzień po jej śmierci wiedziałem, że na cokolwiek spojrzę, wszystko będzie ją przypominać. I ten proces selekcji, oddzielania rzeczy, które powinny zniknąć, bo już nikt nigdy nie będzie ich używał, od rzeczy, które powinienem zostawić, bo Janina zasługiwała na to, żebyśmy ją pamiętali, przerazał mnie najbardziej.

Chyba zasnąłem, tym razem na trochę dłużej. Obudziłem się dość nieprzytomny. Z trudem zwlokłem się z łóżka i dopiero w połowie drogi do pokoju córek dotarło do mnie, że Iwonka płacze i raz za razem powtarza

między oddechami: „Mamo, mamo, mamusiu”. Pobiegłem do niej, zacząłem uspokajać. Przytuliłem, głaskałem po włosach, plecach, mówiłem: „Już cichutko, już śpij, kochanie, śpij”, i nawet zacząłem nucić kołysankę, jednak nic nie pomagało. Płacz narastał, a ja nie potrafiłem jej uspokoić.

– Odsuń się – powiedziała teściowa.

Dziewczynki spały na łóżku piętrowym. Iwonka na dole, więc wstając, uderzyłem się jeszcze w głowę. Teściowa położyła się obok mojej córki, pocałowała ją w czubek głowy i mała odwróciła się, wtulając się w jej piersi. Po chwili rozpaczliwy, głośny płacz zmienił się w cichutki szloch.

Poczułem się absolutnie bezsilny. A potem pomyślałem, że nie dam sobie rady, kiedy zostanę z dziewczynkami sam.

Poszedłem do kuchni po szklankę wody. Usiadłem przy stole, oparłem łokieć o blat i zwiesiłem głowę. Wkrótce nawet szloch ucichł, a w mieszkaniu zapadła cisza.

– Śpi – rzuciła teściowa.

– Dziękuję.

Ona również podeszła do zlewu i nalała sobie wody, po czym opadła na krzesło po drugiej stronie stołu.

– Uważała, że jesteś dobrym człowiekiem – odezwała się po chwili.

Z trudem podniosłem głowę. Otarłem łzę z policzka. Nie wiedziałem, skąd się tam wzięła. Pomyślałem, że to żenujące, że tak dużo płaczę.

– Słucham?

– Uważała, że jesteś dobrym człowiekiem – powtórzyła. – Dlatego się z tobą związała.

– Aha...

– Nie rozumiesz?

– Chyba nie.

– Nie miała szczęścia do chłopaków. Pierwszy ją zostawił, bardzo szybko, a ona mocno to przeżyła. Taka szczenięca miłość. On pewnie

jeszcze do niej nie dojrzał. W tym wieku koledzy są ważniejsi od dziewczyn. Ją to jednak bolało. Z kolejnym chodziła chyba rok, góra dwa. Potem dowiedziałam się, że handlował narkotykami. Nic poważnego, trawka, może amfetamina. Wylądował w sądzie i dostał wyrok w zawiasach. Później miał jeszcze jakieś kłopoty i wreszcie wyjechał z miasta. Odetchnęłam z ulgą, bo głupi był jak but. Po nim było jeszcze paru, ale najgorszy okazał się ten ostatni, przed tobą... Konrad.

– Pamiętam. Nie zabrał jej na festiwal czy coś takiego.

– To ci powiedziała?

– Tak. Dlatego z nim zerwała.

Zaśmiała się cicho.

– Nie o to chodziło – odparła.

– To o co?

Potrzebowała chwili, żeby zebrać się w sobie. Wyjawianie sekretów córki, nawet po jej śmierci, było dla niej trudne. Zdradzała zaufanie kogoś, kto nie mógł się już obronić i, co może ważniejsze, nie mógł już jej za to ukarać.

– Coś jej zrobił – zaczęła. – Nie pytaj mnie co, bo nie wiem dokładnie. Coś jednak zrobił. Matki wiedzą takie rzeczy. Coś złego.

Ścisnęło mnie w żołądku. Jak przez mgłę przypomniałem sobie twarz Konrada z tamtego wieczoru z Parku, kiedy z takim zadowoleniem, z taką satysfakcją obejmował Janinę. Czy dostrzegłem wtedy coś, co powinno mnie zaniepokoić? Drapieżny błysk w jego oku? Siniaki na jej ramionach? Nie, uznałem. W moich wspomnieniach oboje wyglądali na szczęśliwych. Przynajmniej wtedy.

– Wybrała cię, bo wiedziała, że jesteś dobrym człowiekiem. Że jej nie skrzywdzisz.

– Dlaczego mi o tym mówisz?

– Żebyś wiedział.

Dopią swoją wodę. Wstała, podeszła do mnie, położyła mi swoją dłoń na ramieniu i lekko ścisnęła.

– Myślę, że ona chciałaby, byś o tym wiedział.

– Tak.

– Maciek, byliście małżeństwem przez dwanaście lat. Macie dwoje dzieci. Wiem, jak to jest, kiedy jest się razem tak długo. Ludzie się kłócą, obwiniają się o różne rzeczy. Mówią coś, czego potem żałują. A w waszym przypadku...

Zachwiała się. Oparła o blat. Poderwałem się w górę, by jej pomóc, ale dała mi ręką znać, że wszystko w porządku. Odetchnęła głęboko.

– Nie mieliście szansy tego wszystkiego wyprostować. Dlatego chciałam ci to powiedzieć. Cokolwiek pomiędzy wami zostało nierozwiązane, za cokolwiek nie zdążyłeś jej przeprosić, ona uważała, że jesteś dobrym człowiekiem. Kochała cię.

Pocałowała mnie w czubek głowy, tak jak wcześniej zrobiła to z Iwonką.

– Jesteś dobrym człowiekiem – powtórzyła. – Poradzisz sobie z tym wszystkim.

Potem wróciła spać, a ja zostałem w kuchni sam. I znowu płakałem, jednak inaczej niż do tej pory. To było bardziej zwierzęce. Osiągnąłem dno rozpacz i zagryzałem zaciśnięte pięści aż do krwi, żeby nie wyć jak dziki. Wiedziałem, co oznaczał ten pocałunek. Nie chodziło tylko o gest pocieszenia. W ten sposób moja teściowa w imieniu swoim i w imieniu Janiny udzielała mi rozgrzeszenia.

Problem polegał na tym, że nie miała do tego prawa.

Dwa dni później pojechaliśmy z moim teściem do Mrągowa. On nalegał, żeby mi towarzyszyć. Ja nie oponowałem. Teściowa została z dziećmi.

Mieliśmy do załatwienia formalności – odebranie wyników sekcji zwłok, wizyta w urzędzie miasta po akt zgonu. Dopiero z tymi papierami mogliśmy pojechać do szpitala, żeby odebrać ciało. A właściwie to nie my, tylko zakład pogrzebowy, z którym zawarliśmy umowę na transport zwłok Janiny do Warszawy. Tak naprawdę nie do końca orientowałem się w tym, co się dzieje dookoła mnie. Zostawiłem to wszystko teściowi i ograniczyłem się do podpisywania podsuwanych przez niego dokumentów.

Problem pojawił się w szpitalu i miał twarz policjanta z drogówki. Tego samego, który do mnie zadzwonił i z którym rozmawiałem podczas mojego pierwszego pobytu w Mrągowie. Podszedł do nas, kiedy czekaliśmy na korytarzu. Przywitał się ze mną i teściem, trzymając w drugiej dłoni teczkę. Był dość młody i dość miły, poza tym chyba zakłopotany całą sytuacją.

- Możemy porozmawiać? – zapytał, przesuwając dłonią po łysej głowie.
- Oczywiście – powiedziałem niepewnie.

Nie wiedziałem po co. Sądziłem, że wszystkie pytania zadano mi poprzednim razem. Nie przychodziło mi do głowy nic, co mógłbym dodać albo uściślić.

– Wyszły na jaw pewne nowe okoliczności – stwierdził policjant. – Chciałbym panu zadać kilka pytań.

- Jasne.
- Mogę pana zaprosić na komendę?

Potrząsnąłem głową.

– Teraz nie mogę. Za niedługo ma się pojawić wóz z zakładu pogrzebowego. Zabieramy Janinę i chciałbym przy tym być.

– To nie zajmie dużo czasu.

– Ale oni zaraz tu będą!

– Mogę tu zostać – odezwał się teść. – Przypilnuję wszystkiego.

– Chcę być przy tym, jak ją zabierają!

Mój podniesiony głos poniósł się po szpitalnym korytarzu. Policjant lekko się zaczerwienił i wydawał się jeszcze bardziej zakłopotany niż do tej pory. Teść przewrócił oczami i mruknął coś pod nosem.

– Nikt jej stąd nie zabierze – odezwał się policjant. – Nie macie zgody na pochówek z prokuratury.

Spojrzałem pytająco na teścia. On lekko poczerwieniał.

– Jak to nikt jej nie zabierze?! Dostaliśmy akt zgonu! Zabieram córkę do Warszawy. Do domu.

Policjant potrząsnął głową.

– To niemożliwe. Nikt panom nie wyda ciała bez zgody prokuratury. Powinniście dostać ją na początku całej procedury, ale... – Wzruszył ramionami, dając nam do zrozumienia, że skoro w całej Polsce panuje biurokratyczny bałagan, to czemu w Mrągowie miałoby być inaczej. – W każdym razie nikt wam nie wyda ciała bez tej zgody.

– To skąd ją mamy wziąć? – zapytał teść.

Policjant uderzył dwa razy dłonią w teczkę.

– Mam ją ze sobą. Jednak zanim ją przekażę, chcę porozmawiać z panem Maciejem.

Teść ledwo nad sobą panował. Nie przeszkadzało mu, dopóki policjant dręczył mnie, ale teraz zaczął zagrażać Janinie, jej spokojnej drodze do Warszawy. A to już było coś zupełnie innego. Podejrzewam, że kusiło go, by walnąć tego policjanta prosto w nos i siłą wyrwać mu teczkę z dłoni.

– Idź z nim – rzucił do mnie.

– Nie. Nie pojedę na komisariat. Nie chcę. To jest, kurwa, bzdura. Wszystko powiedziałem za pierwszym razem. Chcesz mnie pan pytać, to pytaj, ale nigdzie się stąd nie ruszam!

– Nie będziemy przecież rozmawiać na korytarzu! – zdenerwował się funkcjonariusz.

Ale ja naprawdę nie zamierzałem ruszać się ze szpitalnego korytarza. Byłem po prostu zmęczony. Chciałem tylko odebrać ciało swojej żony i wrócić do domu. Policjant patrzył na mnie zrezygnowany, nie wiedząc, co teraz zrobić. Uratował go jeden z lekarzy, siwowłosa mężczyzna, który wystawił głowę z gabinetu.

– Możecie porozmawiać w pokoju socjalnym – oznajmił.

Nie wzbudziło to zachwyty funkcjonariusza, wahał się przez moment, najwyraźniej jednak uznał, że na nic lepszego nie może liczyć.

– Możemy? – zapytał.

Zgodziłem się.

Pokój socjalny okazał się niewielkim pomieszczeniem z kanapą, fotelem, stolikiem, szafą i komputerem stojącym na biurku. Znajdował się tam również oczywiście elektryczny czajnik i zestaw szklanek, a także, o dziwo, całkiem nowoczesny i chyba dość drogi ekspres do kawy. Jeden z tych reklamowanych w telewizji, z milionem opcji, warty kilka tysięcy złotych. Zastanawiałem się, skąd się tu wziął.

Usiedliśmy przy stoliku uzbrojonym w ceratę. Teść został na korytarzu. Obiecał, że przyjdzie po mnie, gdy pojawią się osoby z zakładu pogrzebowego.

Policjant sięgnął do teczki i wyjął z niej notatki. Położył telefon na ceracie. Zaczął dotykać ekranu, przerzucając kolejne ikonki i szukając jakiejś aplikacji. Nagle zamarł w pół ruchu.

– Pan wybaczy, będę nagrywał, dobrze?

Wzruszyłem ramionami. Było mi wszystko jedno. Chciałem tylko jak najszybciej zakończyć tę rozmowę. Funkcjonariusz nacisnął przycisk, a potem spojrzał na mnie ciężko, jakby miał o coś żal.

– Pan wie, że to nie tak powinno się odbywać? – powiedział. – Powinienem pana zabrać na komisariat i tam przesłuchać.

– Jestem o coś podejrzany? – zapytał skołowany.

– Nie – odparł szybko. Bardzo szybko. – Po prostu chcę, by pan wiedział, że idę tutaj panu na rękę, dobrze?

– Dziękuję – odburknąłem.

Funkcjonariusz sięgnął po długopis. Postukał nim w kartkę. Zagryzł dolną wargę, zastanawiając się, od czego zacząć.

– Czy pańska żona miała jakieś problemy w życiu zawodowym? – zapytał.

Pokręciłem przecząco głową. On wskazał na komórkę z włączonym nagrywaniem. Westchnąłem zirytowany.

– Nie. Nie miała – powiedziałem przesadnie głośno.

Zaraz potem jednak pomyślałem, że co ja właściwie wiem o jej pracy. Mówiła, że jedzie do Małopolski, zginęła pod Mrągowem. Co jeszcze przede mną zataiła? Nie miałem jednak czasu o tym rozmyślać, bo policjant kontynuował... Nawet nie wiem, jak to nazwać... Przesłuchanie?

– Jakies kłopoty w życiu osobistym?

– To znaczy w małżeństwie? – dopytałem.

Zmieszał się.

– Trochę tak – powiedział niepewnie.

– Jak to w małżeństwie – odparłem po chwili. – Bywały lepsze chwile, bywały gorsze.

– A ostatnio?

Poczułem lekkie, nieprzyjemne swędzenie w okolicach karku. A potem ból. Ostry, krótki.

– Było trochę napięcia – przyznałem. – Staram się o awans. Mogłem być nieco nieobecny. Zaniedbać obowiązki domowe.

Pokiwał głową, choć bez przekonania.

– A jej zdrowie? Nie skarżyła się na żadne dolegliwości?

– Nie.

– Jest pan pewien?

– Jestem pewien, że moja żona poza zdarzającymi się co pewien czas przeziębieniami była całkowicie zdrowa.

Policjant zaczął mnie drażnić. Nie wiedziałem, do czego zmierza. Podejrzywałem, że on także. Obaj tylko traciliśmy tutaj czas. Zerknąłem w stronę drzwi, zastanawiając się, czy ludzie z zakładu pogrzebowego już się pojawili. Były uchylone. Chciałem wstać i je zamknąć, ale wtedy policjant zadał kolejne pytanie.

– A jej zdrowie psychiczne?

Wyprostowałem się gwałtownie na krześle. Zapomniałem o uchylonych drzwiach.

– Słucham?

– Może zdrowie psychiczne to złe określenie. Chodzi mi o to, czy nie skarżyła się na problemy natury psychologicznej. – Nie miałem pojęcia, w czym akurat to określenie jest lepsze od „zdrowia psychicznego”, jednak nic nie powiedziałem. – Nie była pod opieką psychologa? Nie przechodziła leczenia? Nie brała żadnych lekarstw?

– Nie.

– Jest pan pewien? Czasami takie osoby z problemami świetnie się kamuflują. Nawet przed najbliższymi. Niczego pan nie zauważył? Nawracającego obniżenia nastroju? Przygnębienia?

– Do czego pan, do cholery, dąży? – zapytałem, nachylając się w stronę funkcjonariusza.

Odłożył długopis. Zerknął na komórkę. Chyba zastanawiał się, czy powinien ją wyłączyć, ale wreszcie uznał, że nie.

– Zbadaliśmy okoliczności tamtego wypadku drogowego i... – Zawiesił głos. Szukał odpowiednich słów. – Po przeprowadzeniu pewnych badań, powtórным przesłuchaniu świadków uznaliśmy, że do wypadku doszło w innych okolicznościach niż te, które panu przedstawiliśmy.

– Nie rozumiem.

Podrapał się po tyle głowy.

– Widzi pan, według naszej pierwszej wersji, wersji, która wtedy wydawała nam się najbardziej prawdopodobna, pańska żona straciła panowanie nad kierownicą i uderzyła z pełną prędkością w jadącą z naprzeciwka ciężarówkę.

– Tak. Wiem.

– No więc po sprawdzeniu toru jazdy, badaniu wraku, przesłuchaniu świadków zdarzenia...

Wymieniając te wszystkie rzeczy, z niewiadomego powodu zaczął rysować coś w notatniku. W pierwszej chwili myślałem, że chce mi przedstawić szkic jakiegoś eksperymentu, ale to były tylko zwykłe bazgroły.

– Może mi pan wreszcie powiedzieć, o co chodzi?

Przerwał rysowanie.

– Chodzi o to – powiedział powoli – że pańska żona wcale nie straciła panowania nad pojazdem. Pańska żona w pełni świadomie wjechała w tę ciężarówkę. Innymi słowy, popełniła samobójstwo.

Poczułem się tak, jakby ktoś mocno uderzył mnie w brzuch. Nie mogłem się ruszyć. Ledwo oddychałem.

– Podać panu szklankę wody?

– Nie – wykrztusiłem.

– Wiem, że to dla pana szok.

– Gównu pan wie.

Otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale zaraz je zamknął. Przymknąłem powieki. Odliczyłem powoli w myślach do dziesięciu.

– Mogę już dostać tę zgodę? – zapytałem.

Zmarszczył brwi, zastanawiając się nad odpowiedzią. Potem sięgnął do teczki i wyjął złożoną kartkę papieru. Wziąłem ją od niego.

– Skończyliśmy?

– Tak – odpowiedział, wstając, a ja ruszyłem w stronę drzwi. – Chciałem tylko jeszcze powiedzieć, że przykro mi z powodu pańskiej żony – dodał. – Oraz dziecka, oczywiście.

Zamarłem w pół kroku. Odwróciłem się.

– Dziecka?

Funkcjonariusz popatrzył na mnie zaskoczony. W tym momencie do pokoju weszła pielęgniarka w białym fartuchu. Dopiero po chwili zauważyła mnie, a potem policjanta. Szybko oceniła sytuację i stwierdziła, że po cokolwiek tutaj przyszła, może poczekać. Bąknęła pod nosem „przepraszam” i wycofała się na korytarz.

– Nie wiedział pan? – zapytał policjant.

– O czym?

– Pańska żona była w ciąży... W trzecim miesiącu, jak wynika z sekcji zwłok.

Zacisnąłem pięść na trzymanej w dłoni kartce papieru. Policjant czekał w milczeniu, jakby naprawdę spodziewał się, że coś jeszcze dodam. Ale ja nie miałem już niczego do powiedzenia. Machnąłem dokumentem i wyszedłem.

Po kilkunastu minutach pojawili się profesjonalnie smutni mężczyźni z zakładu pogrzebowego. Odebraliśmy ciało Janiny i ruszyliśmy w podróż powrotną.

Do wysokości Łomży trzymaliśmy się karawanu. Za miastem zaczęło jednak padać, prawdziwe oberwanie chmury. Wycieraczki ledwo nadążały z usuwaniem wody z szyb. Teść przez chwilę próbował walczyć z pogodą, jednak wreszcie się poddał i zjechał na najbliższą stację benzynową.

– Przekiekamy tutaj – powiedział.

Weszliśmy do budynku. W środku znajdowało się tylko dwoje sprzedawców i jakiś łyсы, grubawy facet w skórzanej kurtce, który pożerał dwa hot dogi naraz i równocześnie przeglądał gazety ze stojaka przy wejściu. Za tło dźwiękowe służył jeden z kanałów informacyjnych.

Zamówiliśmy po dużej kawie i usiedliśmy na stołkach barowych przy oknie. Patrzyliśmy na strugi deszczu, drzewa pochylające się pod uderzeniami wiatru i przejeżdżające samochody. Nagle cała stacja jakby zadrżała, kiedy tuż koło nas eksplodował potężny grzmot. Przez chwilę myślałem, że piorun uderzył w budynek stacji, a zbiorniki paliwa zaraz strzelały w górę lasem płomieni. Ale nie, światła we wnętrzu zamigotały tylko krótko i grzmot na powrót ustąpił miejsca gadaniu mądrych głów z zawieszonych pod sufitem telewizorów.

Teść sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki, wyjął niewielką fiolkę, wysypał na dłoń dwie małe tabletki, połknął je i popił kawą. Potem zwiesił głowę. Wbił sobie palce we włosy i jego ciałem wstrząsnął dreszcz.

– Kurwa... – wycharczał przez zaciśnięte zęby. – Kurwa... Moje dziecko... Moja córeczka...

Udałem, że tego nie usłyszałem ani nie zauważyłem. Tak było łatwiej dla nas obu. Poza tym myślałem o Janinie. O tym, skąd się wzięła pod Mrągowem, dlaczego wjechała w tę ciężarówkę, co sprawiło, że postanowiła popełnić samobójstwo. I przede wszystkim – czyje dziecko nosiła w brzuchu, bo my nie uprawialiśmy seksu od mniej więcej pół roku.

POGRZEB

Nigdy nie sądziłem, że w naszym mieszkaniu może się pomieścić aż tylu ludzi. Ja, dziewczynki, teść, teściowa, moja mama, tata, rodzeństwo, ich małżonkowie, dzieci. Festiwal czarnych sukienek, perłowych naszyjników, świeżo wypastowanych butów i wyjętych z szaf garniturów, zawsze zbyt dużych lub za małych.

Rodzice przyjechali dopiero poprzedniego dnia razem z moim bratem i siostrą, i ich rodzinami. Przypominali wielki cygański tabor. Byli ze sobą zresztą bardzo blisko. Bielsko-Biała nie jest w końcu aż tak wielkim miastem. Wszyscy mieszkali teraz w promieniu najwyżej dwóch kilometrów od siebie. Chodzili wspólnie do kościoła, a potem na niedzielne obiady, ojciec nie przegapił ani jednego meczu piłkarskiego synów mojego brata i siostry, mama zajmowała się chętnie wnukami. Nas odwiedzali bardzo rzadko. Rodzice tłumaczyli się, że mają przecież swoje życie, poza tym mieszkamy daleko, a oni nie lubią Warszawy. My też nieczęsto jeździliśmy do Bielska. Czasami czułem się tak, jakbym się od nich zupełnie odciął. Brakowało mi tej bliskości. Poczucia zakorzenienia w społeczności, w grupie najbliższych osób. Przede wszystkim jednak czułem, że coś ważnego tracą moje córki.

Teraz jednak przyjechali całą gromadą i byłem im za to wdzięczny, chociaż podejrzewam, że nie potrafiłem tego okazać. Przywitałem się tylko z nimi, zamieniłem kilka słów, odpowiedziałem na parę pytań, a potem przestałem się nimi zajmować. Moja mama nie potrafiła sobie znaleźć miejsca. Krążyła z kąta w kąt, po drodze próbując wcisnąć każdemu coś do jedzenia lub do picia: kanapkę z szynką, ciepłą herbatę lub kawę. Kuchnia stała się jej centrum dowodzenia. Ojciec z bratem zajęli miejsce gdzieś w kącie salonu, rozmawiali ściszym głosem. Jestem pewien, że o sporcie. I dobrze, w dniu pogrzebu wystarczająco dużo mówi się o śmierci. Z tych

kilku słów, które do mnie dotarły, wynikało, że wymieniali się uwagami na temat kondycji piłkarzy Podbeskidzia Bielsko-Biała. Wydało mi się to dziwnie pocieszające.

Wszystkie dzieci zamknęły się w pokoju dziewczynek. Co pewien czas zachodziła do nich moja siostra. Zaglądała do środka, potem się wycofywała, żeby szeptem oznajmiać każdemu, kto się nawinął, „bawią się”, „czytają”, „oglądają bajkę”. Jakby przekazywała jakąś najważniejszą i najgłębszą prawdę o wszechświecie.

Nie za bardzo orientowałem się, co robią inni. Teść krążył, pojawiał się i znikał z mojego pola widzenia. Od czasu, kiedy wróciliśmy z Mazur, nie zamieniłem z nim ani słowa. Za to teściowa wzięła na siebie kierowanie całym tym wydarzeniem. Przejęła stery już w chwili, gdy Janina wróciła do Warszawy. Rozmawiała z domem pogrzebowym, pomogła mi przygotować ubrania do trumny. Najwięcej czasu spędziliśmy, wybierając obuwie. Janina z jakiegoś powodu miała same sportowe lub na obcasie. Tych pierwszych nie mogliśmy jej założyć, a te drugie wydały nam się niestosowne. Uznaliśmy, że dziwnie by w nich wyglądała. W mojej głowie pojawiła się nawet myśl, że będzie jej niewygodnie. W końcu pojechaliśmy do centrum handlowego i kupiliśmy nową parę eleganckich butów na płaskim obcasie.

Wszystko to oczywiście było bez sensu. Nie opowiadałem jeszcze, jak Janina wyglądała po wypadku. I nie chcę tego robić. Wjechała samochodem osobowym z prędkością ponad stu kilometrów w szesnastotonową ciężarówkę. Policjant powiedział, że wygląda lepiej, niż można by się spodziewać, ale i tak jej ciało zostało zmasakrowane. Nie pokazali mi go w całości. Zresztą wcale nie chciałem. Wystarczyło mi to, co zobaczyłem – oderwane ramię, zmiażdżoną, zmienioną w krwawą miazgę połowę twarzy, włosy pokryte krwią.

– Śmierć na miejscu – powiedział wtedy policjant i myślę, że próbował mnie w ten sposób pocieszyć.

W każdym razie ceremoniał przygotowywania Janiny na ostatnią drogę nie miał żadnego znaczenia. A jednak musiał się odbyć. Jej ciało zostało porwane, zniszczone i zmiażdżone. Nie przypominało już kobiety, z którą

wziąłem ślub i miałem dzieci. Zostało zredukowane do czysto biologicznej substancji. Ale nie chciałem, żeby moja żona leżała w grobie naga. Skoro już przy tym jesteśmy, to teściowa wzięła na siebie również załatwianie miejsca na cmentarzu i rozmowę z księdzem. Nikomu nie zdradziłem, że według policji Janina popełniła samobójstwo, więc nie było żadnego problemu z załatwieniem pochówku.

– Za niedługo musimy wychodzić – powiedziała teściowa, pojawiając się w sypialni. Pomimo tłoku panującego w mieszkaniu akurat ten pokój pozostawiono mnie. A może raczej pozostawiono go Janinie. Jej obecność lub jej brak, patrząc na to z różnych punktów widzenia, w tym pomieszczeniu była najbardziej odczuwalna.

– Dziękuję. Dziewczynki?

– Zajmę się nimi z twoją siostrą. Nie przejmuj się.

– Na dworze jest chyba zimno. Powinny włożyć kurteczki.

– Włóżą. Ty się przygotuj.

– Tak.

– Naprawdę zaraz musimy wychodzić.

– Dobrze.

Zniknęła za drzwiami. Ja z trudem podniosłem się z łóżka. Od czasu powrotu z Mrągowa czułem się bardzo słabo. Każdy ruch sprawiał mi ból, chociaż fizycznie nic mi nie dolegało. Miałem po prostu wrażenie, że moje ciało buntuje się przeciwko mnie samemu.

Zmieniłem spodnie, włożyłem koszulę i marynarkę. Trochę siłowałem się z paskiem – nie potrafiłem trafić w szlufki z tyłu, choć dotąd przychodziło mi to bez trudu. Wreszcie poddałem się. Zdjąłem spodnie, włożyłem pasek i wciągnąłem je z powrotem na nogi. Wtedy zdałem sobie sprawę, że nie dam rady z krawatem.

Wychyliłem się z sypialni. Bezradnie wyciągnąłem ramię, z dłoni smętnie zwisał mi krawat. Potrząsnąłem nim. Nikt tego nie zauważył.

– Mamo! – zawołałem.

Moja mama mnie usłyszała. Zauważyła, co trzymam w dłoni, i już chciała się odwrócić do ojca, powiedzieć mu, żeby mi pomógł, ale to nie ją wołałem, tylko teściową. I to ona zareagowała pierwsza. Wzięła ode mnie krawat i wepchnęła mnie z powrotem do sypialni. Zdążyłem jeszcze zauważyć zranione spojrzenie matki.

Teściowa zawiązała sprawnie węzeł, a potem pomogła mi włożyć krawat przez głowę. Zaciągnęła go i poprawiła wiązanie oraz kołnierzyk. Strzepnęła jeszcze pyłek z mojego ramienia i spojrzała mi prosto w oczy, smutna i poważna.

– Już wystarczy, Maciek – powiedziała.

– Co takiego?

– Mam ponad sześćdziesiąt lat i dzisiaj chowam własną córkę. Po stypie wrócę do domu i sobie odpuszczam. Będę płakać przez następny miesiąc. A kiedy skończę, nie wiem, czy będę tą samą osobą.

– Nie mów tak.

– Czemu, skoro tak właśnie będzie? Człowiek, każdy człowiek, ma swoją wytrzymałość. Ja swoją osiągnęłam. Zasługuję na to, żeby się załamać. Za to ty, Maciek, masz dwie córki. Pozwoliłam ci płakać, pozwoliłam ci to przeżywać, ale już dość. To jest ostatnia chwila. Kiedy stąd wyjdiesz, zachowasz się tak, by twoje córki zobaczyły, że może straciły matkę, jednak został im jeszcze ojciec. Rozumiesz?

Kiwnąłem głową. Wiedziałem, że ma rację.

– Daj mi jeszcze pięć minut – poprosiłem.

– Nie – odpowiedziała stanowczo.

– Nie?

– Nie.

Była ode mnie niższa o głowę, starsza o trzydzieści lat, lżejsza o trzydzieści kilogramów. Mogłem po prostu roześmiać jej się w twarz, wrócić do łóżka i owinać się w kołdrę. Nie dałaby rady mnie powstrzymać. Ale nie umiałem się sprzeciwić. Nie tylko dlatego, że brakowało mi sił

i czułem się obolały. Bez względu na moją formę wynik tej konfrontacji pozostałby ten sam. Była po prostu ode mnie silniejsza.

Przeczesałem włosy palcami, uśmiechnąłem się lekko, wziąłem z półki obrączkę ślubną i założyłem ją na palec.

– Chodźmy więc – powiedziałem.

To był piękny dzień. Być może pierwszy tak upalny tej wiosny. Mężczyźni zdjęli kurtki, marynarki i występowali w samych koszulach. Mnie nie wypadło. Stałem więc nad grobem swojej żony, przyjmowałem kondolencje i pociłem się, jakbym brał udział w zawodach sportowych. Koszula lepiała mi się do pleców, pachy miałem zupełnie mokre, a czoło co kilka minut wycierałem pomietą chusteczką. Złościłem się z tego powodu na siebie. Pogrzeb powinien być godną ceremonią, a ja wyglądałem jak zmokły szczur.

Nabożeństwo okazało się za to krótkie i ładne. Wydaje mi się, że zadbała o to moja teściowa. Ksiądz, który je odprawiał, miał może trzydzieści lat. Podczas kazania skupiał się na obietnicy życia wiecznego i na tym, że „zabrałeś, Panie, swoją sługę Janinę”, jednak zobaczymy się w „przyszłym świecie” i amen. Przez cały czas zerkał na moje córki. Zorientowałem się, że to całe kazanie jest skierowane właśnie do nich. Chciał im pomóc, jakoś wyjaśnić to, co się stało, uspokoić, dać nadzieję, że jeszcze kiedyś spotkają się z mamą. Nie wiem, czy mu się udało, ale wydaje mi się, że moje córeczki po wyjściu z kaplicy uśmiechały się trochę częściej i chyba bardziej szczerze. Ich miny zrobiły się na powrót poważne, kiedy składaliśmy prostą trumnę z sosnowych desek do grobu. Iwonka wyglądała tak, jakby zaraz miała wybuchnąć płaczem, więc moja mama zabrała ją na bok i zaczęła jej coś opowiadać. Nie wiem co, jednak chwilę później doszedł do mnie śmiech córki. Może niestosowny w tych okolicznościach, ale zrobiło mi się dzięki temu trochę lepiej.

Zaskoczyło mnie to, ilu ludzi pojawiło się na cmentarzu. Z wieloma osobami nie widzieliśmy się od lat. Przyszła liczna grupa znajomych z czasów studiów, choć już dawno urwał nam się kontakt, i znacznie mniejsza tych, z którymi widywaliśmy się jeszcze w miarę regularnie. Nic

dziwnego, tak bardzo skupialiśmy się na codziennej pracy, zarabianiu pieniędzy na spłatę cholernego kredytu, że nie zostawało wiele czasu na życie towarzyskie. I teraz, obserwując tych wszystkich ludzi, poczułem, że gdzieś po drodze strasznie się zagubiliśmy i straciliśmy coś niesamowicie ważnego i cennego. Coś, czego nie uda nam się już odzyskać.

Pojawiło się również kilka osób ode mnie z biura, nawet koledzy i koleżanki z redakcji Janiny jakimś cudem wyrwali się z pracy. Wydaje mi się, że widziałem także grupkę dzieci ze szkoły Basi oraz znajomych teściów. Najwyraźniej w tej trudnej chwili przyszedli dodać rodzicom Janiny otuchy. Patrzyłem na nich wszystkich i dręczyło mnie to, że nikt z nich nie zna prawdy na temat tego, co się wydarzyło. Wszyscy myśleli, że doszło do tragicznego wypadku. Czuję, że ich oszukuję.

I nagle wśród tego tłumu dojrzałem twarz, która tam zupełnie nie pasowała, choć z jakiegoś powodu wydała mi się znajoma. Mężczyzna miał nieco ponad czterdzieści lat, jego kędzierzawe włosy zdążyły już lekko posiwieć. Był trochę niższy ode mnie, o kilka centymetrów, ale jednak. Nie widziałem jego oczu, zasłaniały je przeciwsłoneczne okulary. Szary wełniany płaszcz wyglądał na dość drogi. Początkowo nie potrafiłem określić, dlaczego tak wyróżniał się z tłumu. Zrozumiałem dopiero po chwili. Nie tylko mnie wydał się on znajomy. Inni ludzie też na niego zerkali z pewną ciekawością. Zapewne gdyby nie okoliczności, w jakich się tu znaleźli, co najmniej kilka osób podeszłoby do niego z prośbą o autograf lub pamiątkowe selfie. Chyba zorientował się, że zbytnio zwraca na siebie uwagę, bo nagle się wycofał na sam koniec i schował za pobliskim drzewem. Śledziłem go wzrokiem, próbując sobie przypomnieć, kim jest ten człowiek, kiedy stanął przede mną kolejny żałobnik. Jego też nie znałem. Miał koło pięćdziesiątki i sporą tuszę, którą próbował ukryć pod szarym swetrem. Chwycił mnie za rękę, dosłownie przyciągnął ją do siebie i mocno ścisnął. Wbijał we mnie wzrok, przejęty i chyba lekko przestraszony.

– Mówili mi, że bym tu nie przyjeżdżał – powiedział nagle chrapliwym głosem.

– Co takiego?

– Ludzie, rodzina, wszyscy... Mówili mi, żebym tu nie przyjeżdżał. Ale ja musiałem. No, kurwa, musiałem. Co zrobić, ale musiałem. W mordę mi pan możesz dać, ale ja musiałem.

Zbliżył się jeszcze trochę, jakby chciał się o mnie oprzeć, a ja poczułem z jego ust wyraźny zapach alkoholu i papierosów.

– Jest pan pewien, że trafił na właściwy pogrzeb? – zapytałem.

Mężczyzna odsunął się ode mnie. Jego wzrok powędrował na grób Janiny i na małą metalową tabliczkę z jej imieniem, nazwiskiem, datą narodzin i śmierci.

– Tak. Jestem pewien – powiedział powoli i sięgnął do kieszeni. Wyjął z niej złożoną na pół karteczkę i wcisnął mi ją w dłoń. – To mój numer telefonu. Będzie pan chciał, to pan do mnie zadzwoni. Bardzo mi przykro z powodu pańskiej żony.

Klepnął mnie na pożegnanie w ramię.

– Kim pan jest? – zapytałem, kiedy już miał odchodzić.

Facet odwrócił się. Jego twarz lekko zbladła. Pokazał drżącym palcem na grób.

– Kierowcą – odparł. – To ja ją zabiłem.

Zanim zdążyłem zareagować, znalazła się przy mnie następna osoba, koleżanka Janiny z pracy. Odebrałem kolejną porcję kondolencji i miłych słów na temat mojej zmarłej żony. Gdy wreszcie ten kondukt żałobników się skończył, każdy z nas rzucił po grudce ziemi i ludzie zaczęli się rozchodzić, w pobliżu nie było już ani kierowcy, ani tajemniczego mężczyzny z kędzierzawymi włosami.

Poprosiłem moich rodziców, żeby zabrali dziewczynki do restauracji, gdzie mieliśmy stypę. Powiedziałem, że potrzebuję jeszcze chwili, by załatwić sprawy z księdzem i w spokoju pożegnać się z Janiną. Przyjęli to ze zrozumieniem. Mama tylko poprosiła, żebym nie zwlekał zbyt długo. Uważała, że córki chcą być teraz z ojcem. Ja miałem inne zdanie.

Wydawało mi się, że i Iwonce, i Basi największą przyjemność sprawi teraz przebywanie ze swoimi kuzynami.

Zostałem przy grobie sam, więc ściągnąłem marynarkę i zawiesiłem ją sobie na ramieniu. Po kilku minutach dwaj grabarze stojący do tej pory z boku zapytali, czy mogą już zasypywać. Poczekąłem, aż trumna z Janiną zniknie pod ziemią, a potem nieśpiesznie poszedłem w stronę parkingu. Rozglądałem się dookoła, szukając wzrokiem albo kierowcy, albo tajemniczego mężczyzny, jednak żadnego z nich nie dostrzegłem.

Wyszedłem przed bramę cmentarza i wtedy do mnie dotarło, że nie mam samochodu. Poklepałem się po kieszeniach i zorientowałem się, że portfela także nie wziąłem. Zastanawiałem się właśnie, do kogo powinienem teraz zadzwonić, żeby poprosić o pomoc, i wtedy dojrzałem Renatę. Stała nieopodal, tuż obok straganu ze zniczami oraz kwiatami, i paliła papierosa. Dopiero teraz uzmysłowiłem sobie, że nie składała mi kondolencji. Była na pogrzebie, pamiętałem wyraźnie, że kilkakrotnie mignęła mi jej twarz, ale trzymała się z tyłu. Dziwne zachowanie jak na kobietę, którą obie moje córki nazywały ciocią.

Podszedłem do niej. Kiedy mnie zauważyła, po raz ostatni zaciągnęła się papierosem i rzuciła na wół wypaloną fajkę na ziemię. Przydeptała niedopałek obcasem.

– Cześć – powiedziałem.

– Cześć – odparła, poprawiając włosy.

– Mogę się z tobą zabrać na stypę?

Potrząsnęła głową.

– Nie jadę na stypę.

– Słucham?

Wzruszyła ramionami.

– Renata... To chyba nie dlatego, że nie zaprosiliśmy cię osobiście? Jeśli tak, to przepraszam. Tyle się działo. W sumie nie wiem nawet, jak to się powinno robić...

– Nie o to chodzi – odpowiedziała.

– To o co?

Po raz kolejny wzruszyła ramionami.

– Chyba nie powinnam po prostu tam iść – stwierdziła. – Nie czułabym się dobrze. Zostałam tutaj, bo czekałam na ciebie. Chciałam ci powiedzieć, że... że po prostu jest mi cholernie przykro.

– Wiem.

– Była moją przyjaciółką. Najlepszą, kurwa...

Janina tłumaczyła mi kiedyś, że przyjaciółki, które razem wchodzi w dorosłość, łączy szczególna więź. Są przy sobie w trudnych momentach, razem uczą się życia, wspierają się, gdy popełniają błędy, pocieszają po pierwszych rozstaniach. Taki poziom zaufania i taką bliskość trudno zbudować z kimś, kogo poznaje się na późniejszym etapie życia. Renata towarzyszyła Janinie, kiedy ta robiła największe głupoty i kiedy była najbardziej bezbronna. I nigdy jej nie zawiodła. Wiem, że w drugą stronę to też tak działało. Janina chciała z tej relacji uczynić kręgosłup swojej kolejnej powieści, ale najpierw nikt nie chciał wydać *Bejbi*, potem zabrała się do tego kryminału i w rezultacie nigdy jej nie napisała.

Renata pociągnęła nosem, po czym odwróciła się do mnie plecami, żebym nie widział, jak wierzchem dłoni ociera łzy z oczu. Odetchnęła głęboko i spróbowała się uśmiechnąć, jednak nie wyszło jej to za dobrze.

– W każdym razie... Chciałam się tylko pożegnać.

Wyciągnęła dłoń w moją stronę. Nie podałem jej swojej.

– Renata... – zacząłem.

– Tak?

– Powinnaś iść na stypę. Powinnaś być z nami.

– Po co?

– Dla Iwony i Basi.

Skrzywiła się boleśnie.

– To nie fair – stwierdziła. – Poniżej pasa.

– Ale taka jest prawda.

Milczała, zastanawiając się nad moimi słowami, a potem pokręciła głową.

– Nie idę. Przepraszam cię, ale nie idę. Kochałam ją, wiesz? Już sam pogrzeb to było dla mnie za dużo.

Jeszcze raz wyciągnęła rękę w moją stronę, a ja jeszcze raz jej nie przyjąłem. Spojrzała na mnie z politowaniem, tak jak się patrzy na małe dziecko, które za bardzo rozrabia. Nic nie powiedziała, uściśnęła mnie tylko mocno i odwróciła się na pięcie.

– Renata! – krzyknąłem za nią.

Przystanęła. Wahała się przez moment, jednak wreszcie się odwróciła.

– Co?

– Nie mam samochodu, zapomniałem portfela. Możesz mnie podrzucić?

Podniosła wysoko brwi w wyrazie zaskoczenia i parsknęła śmiechem.

– Naprawdę?

Potwierdziłem kiwnięciem głowy. Zastanawiała się przez chwilę, ale w gruncie rzeczy nie dałem jej innego wyjścia. Nie zostawia się świeżego wdowca pod bramą cmentarza.

Renata podwiozła mnie pod restaurację niedaleko cmentarza Bródnowskiego. W okolicy powstało sporo knajp, które wyspecjalizowały się w urządzaniu styp. Interes w końcu równie pewny co organizacja wesel, a goście jednak trochę spokojniejsi.

– Wejdiesz? – zapytałem.

Przymknęła powieki. W ciszy słyszałem tylko odgłos pracującego silnika i samochodową wentylację. Sięgnęła do stacyjki i wyjęła kluczyki.

– Chodźmy – powiedziała.

Weszliśmy do środka. Restauracja należała do tych tańszych, ale jej wielką zaletę stanowiło to, że znajdowała się stosunkowo blisko cmentarza. We wnętrzu wciąż panował duch lat dziewięćdziesiątych – pomalowane na czerwono ściany, tandetne ozdoby, krzesła ze stali nierdzewnej. Brakowało tylko sztucznych kwiatów. Goście siedzieli przy dwóch wielkich stołach. Obsługa właśnie podawała im zupę.

Renata przywitała się ze wszystkimi. Szczególnie serdecznie z rodzicami Janiny, bo przecież znali się bardzo dobrze. Janina powiedziała mi kiedyś, że mama traktuje Renatę jak córkę. Odniosłem wtedy wrażenie, że w jej głosie zabrzmiała nuta zazdrości. Janina była jedynaczką i chyba z tego powodu miała dość zaborcze podejście do swoich rodziców. Nie chciała dzielić się nimi nawet z najlepszą przyjaciółką.

Usiadłem przy swoich córkach. Przypilnowałem, żeby obie dostały rosół. Basia zaczęła jeść. Powoli i niechętnie, a jednak jadła. Iwonka tylko zamieszała łyżką dwa razy w talerzu, nabrała makaronu, po czym zrzuciła go z wysokości kilku centymetrów z powrotem do zupy. Nachyliłem się w jej kierunku.

– Nie bawimy się jedzeniem – powiedziałem.

– Nie jestem głodna.

– Jeśli nie zjesz zupki, to... – Zawahałem się, a potem zamilkłem, bo nie miałem pojęcia, jak mógłbym dokończyć to zdanie. Czym miałem jej zagrozić? Tym, że ją wyślę wcześniej spać? Nie pozwolę jeść słodczy? Nie zobaczy bajki na dobranoc? Cokolwiek powiem, nie będzie to gorsze od pogrzebu własnej matki, w którym przed chwilą uczestniczyła. Moja córeczka niedawno skończyła cztery lata i najstraszniejszą chwilę w życiu miała już za sobą.

– Jak nie jest głodna, to niech nie je – rzuciła teściowa.

– Dobrze – zgodziłem się.

Iwona wypuściła łyżkę z dłoni, a ta spadła prosto do talerza, wzbudzając małą tłustą fontannę.

– Skoro ona nie je, to ja też nie chcę – rzuciła Baśka wściekle.

Oczy jej błyszczały, drżała. Pomyślałem wtedy, że tak łatwo zapomnieć o tym, że starsze dziecko też jest dzieckiem. Do tej pory dawała sobie radę zaskakująco dobrze, być może najlepiej z naszej trójki. Dzięki temu mogłem całą uwagę poświęcić Iwonce. Ale Basia miała jedenaście lat i teraz widziałem, że nie potrafi sobie poradzić z tymi wszystkimi emocjami. Buzował w niej gniew, szalony, narodzony z rozpacz, i szukała sposobu, żeby dać mu ujście.

– Nie jedz w takim razie – powiedziałem najłagodniejszym i najspokojniejszym tonem, na jaki umiałem się zdobyć.

– Ale będę chciała ciasto! – oznajmiła Basia.

– Ja też! – zawtórowała jej siostra.

Kiwnąłem głową.

– Oczywiście. Obie dostaniecie ciasto – zgodziłem się. – Tyle ciasta, ile tylko chcecie.

Najpierw przypatrywały mi się z pewnym niedowierzaniem, jakby spodziewały się jakiegoś podstępu, tego, że zmuszę je do zjedzenia całego drugiego dania łącznie z ziemniakami. Kiedy jednak nic takiego nie

nastąpiło, spojrzały na siebie zadowolone i niemal równocześnie, jak na komendę, odsunęły od siebie talerze z rosółem.

– Tylko musicie poczekać na to ciasto.

Skrzywiły się i naburmuszyły. Iwona spuściła głowę i skrzyżowała ramiona na piersiach. Basia rozejrzała się dookoła. Dostrzegła kącik z zabawkami w rogu sali.

– To my idziemy się bawić – powiedziała i pociągnęła siostrę za rękaw. Po chwili obie buszowały tam wśród klocków, lalek i kartek z rysunkami do kolorowania. Po kilku minutach dołączyli do nich kuzyni.

– Będziesz musiał je zdyscyplinować – odezwała się teściowa, przysiadając się bliżej mnie.

– Wiem.

– Widziałam to u rodziców po stracie partnera. Tak bardzo chcieli zastąpić im tego, który odszedł, że dzieci wchodziły im zupełnie na głowę. Robiły, co chciały i jak chciały. A gdy raz doprowadzisz do takiej sytuacji, bardzo trudno ją naprawić.

Poczułem, jak boleśnie napinają mi się mięśnie na karku.

– Rozumiem to i masz rację – powiedziałem. – Ale może, do cholery, nie dzisiaj? Może dzisiaj damy im trochę luzu?

Położyła swoją dłoń na mojej.

– To są twoje córki – odparła łagodnie i uśmiechnęła się lekko. – Wychowasz je tak, jak chcesz. Jeśli jednak chcesz znać moją radę, to dzisiaj jest najlepszy dzień, żeby zacząć.

Pogłaskała mnie delikatnie opuszkami palców, wstała i wróciła do męża. Teść przez cały dzień był ponury, zupełnie zatopiony we własnych myślach. Nie jestem pewien, czy przez tych kilka godzin do kogokolwiek się odezwał. Teściowa nie zamierzała go wyciągać z tej skorupy. Po prostu siedziała obok, od czasu do czasu dotykając go i przytulając się do jego ramienia.

Potem pojawiło się drugie danie (kotlet drobiowy, ziemniaki, surówka – nic wyszukanego, ale to była stypa, do cholery, a nie jakieś przyjęcie), kawa

i oczekiwane przez moje córki ciasto. Zjadły po trzy kawałki, chociaż było przesłodzone i mdłe, moim zdaniem smakowało paskudnie.

Przez cały ten czas słuchałem żałobników i miałem wrażenie, że jesteśmy w tej klasycznej sytuacji, kiedy nikt nie chce zauważyć słonia w pokoju. Ludzie rozmawiali o wszystkim: o polityce, pogodzie, sporcie, filmach, samochodach, mandatach, dzieciach, planach na wakacje, ale ani słowa o Janinie. Nawet nie chodzi o to, że omijali temat – on w ogóle się nie pojawił. Jakbyśmy wszyscy spotkali się tutaj z zupełnie innej okazji i tylko nasze ciemne stroje świadczyły o tym, że nie jest to okazja radosna. Dopiero przy pożegnaniu, kiedy ludzie wychodzili, mężczyźni ściskali moją dłoń, zbyt mocno lub zbyt słabo, zawsze skrępowani i niepewni, a kobiety mnie przytulały, powtarzając, że jeśli będę potrzebował pomocy, wystarczy zadzwonić, bo oni wiedzą, jak to jest, kiedy tak nagle zostaje się samemu (niby skąd, chciałem zapytać, ale milczałem grzecznie), dopiero wtedy wymawiali jej imię i mówili, że jest im strasznie przykro. Niektórzy, szczególnie starsi, dodawali, że była taka młoda i że to nie powinno się zdarzyć.

Po kilku godzinach została nas ledwie połowa. Kilka osób domówiło alkohol – piwo i wino. Teść raczył się wódką – nietypowo, bo jak wspominałem, prawie nie pił. Teściowej to się nie podobało. Próbowła przemówić mu do rozsądku, jednak zbył ją machnięciem ręki.

Rozejrzałem się dookoła. Mój brat zerkał na zegarek. Wiedziałem, że planuje jeszcze tego samego dnia wracać do Bielska i pewnie powoli zbierał się do drogi. Iwonka przysypiała w kąciku zabaw. Basia w tym samym kąciku bawiła się z Renatą. Układały z klocków wielobarwną budowlę, rozmawiając o czymś półszepem. Basia w pewnym momencie nawet zachichotała, ale zaraz zakryła usta dłonią i rozejrzała się trwożliwie, jakby bała się, że ktoś to zauważy i uzna za niestosowne.

Nagle poczułem się bardzo przytłoczony. Basia miała jedenaście lat. Zaraz będzie mieć dwanaście, trzynaście, zacznie zmieniać się w kobietę. Zresztą, cholera, już zaczęła. Przecież nosiła te swoje staniczki, pod którymi chowała małe piersi nie piersi. Zakocha się po raz pierwszy, jeśli

już tego nie zrobiła. Dostanie miesięczki. A ja na tym wszystkim kompletnie się nie znałem. Moje córki potrzebowały matki, nie mnie. Przeraziłem się, że nigdy nie będę dla nich wystarczająco dobry, nigdy nie dam im tego, czego potrzebują, nigdy nie zrozumie ich problemów, nigdy nie będę potrafił im pomóc. Gdy tylko wyjdziemy z tej restauracji, gdy tylko skończy się ten straszny dzień, zaczną rosnąć pomiędzy nami mur, z każdym dniem coraz wyższy, coraz grubszy, aż w końcu staniemy się dla siebie zupełnie obcymi ludźmi.

Zrobiło mi się duszno. Przeprosiłem swoją siostrę, bo właśnie ona wtedy obok mnie siedziała, i wyszedłem na parking. Zmierzchało się już. Marcowa pogoda była kapryśna. Po upale nie został już nawet ślad. Niebo pokrywała gruba warstwa ciemnych chmur. Oddychałem głęboko. Owiąło mnie zimne wiosenne powietrze. Wydawało mi się, że wyczułem w nim obietnicę deszczu.

– Kurwa, kurwa, kurwa... – powtarzałem pod nosem.

Klęknąłem. Strach i panika powoli ustępowały, ale dalej nie czułem się dobrze. Nie miałem pojęcia, w jaki sposób poradzić sobie z zadaniem, które mnie czeka. Co mam zrobić, żeby nie zawieść córek?

– Wszystko słyszałem.

Do moich uszu dotarł zachrypnięty, lekko bełkotliwy głos. Podniosłem się i odwróciłem. Przede mną, na lekko rozstawionych nogach stał mój teść. Chwiał się. Pomyślałem, że musiał wypić sporo wódki.

– W Mrągowie – uściślił. – Wszystko słyszałem. To nie był wypadek. Ona wjechała w tę ciężarówkę. Ona... – Głos na moment mu się załamał. Chrząknął, odkaslnął. – Ona się zabiła.

Rozejrzałem się dookoła, jednak nikogo oprócz nas nie dostrzegłem. Lokal znajdował się z dala od głównych tras, zwykły pawilon schowany pomiędzy pobliskimi blokami.

– Czekałem z tym do pogrzebu – powiedział mój teść.

– Nie rozumiem.

– Rozumiesz, rozumiesz – wybełkotał, zbliżając się do mnie. – Bo jak ona się zabiła, to się zabiła przez ciebie. Nie wiem, co zrobiłeś, ale coś zrobiłeś. Zabiłeś mi córkę, skurwielu.

I zanim zdążyłem zareagować, jego pięść wylądowała na mojej szczęce. Był wysportowany, nigdy jednak nie sądziłem, że facet w tym wieku może być tak szybki i tak silny. Głowa odskoczyła mi w tył. Całe ciało się przechyliło. Straciłem równowagę i wylądowałem na twardym betonie.

Przez moment nie wiedziałem, co się dzieje. Miałem mroczki przed oczami. Świat wirował. Kiedy wreszcie jako tako doszedłem do siebie, zobaczyłem nad sobą teścia, a potem dotarł do mnie kobiecy krzyk i płacz mojej córki.

– Co jest?! – wrzasnęła Renata.

Stała za nami. Trzymała w ramionach przestraszoną Iwonkę, która szlochała rozpaczliwie. Łzy ciekły po jej policzkach, a twarz zrobiła się cała czerwona.

– Co wy... Co ty... Co wy tu robicie? – wyrzucił wreszcie z siebie mój teść.

Renata chwyciła mocniej Iwonkę i przytuliła do siebie.

– Iwona się obudziła – powiedziała, siląc się na spokój. – Bała się, nie wiedziała, gdzie jest tatuś. A ja widziałam, że Maciek wychodzi na dwór, więc zabrałam ją tutaj.

Teść powoli uniósł dłoń do twarzy i podrapał się po policzku. Wydawał się zakłopotany. Pomimo całej swojej nienawiści, jaką musiał do mnie czuć, on też zdawał sobie sprawę z niestosowności całej sytuacji.

– Spokojnie – odezwałem się. – Spokojnie, kochanie. Wszystko jest w porządku. Tatuś po prostu się poślizgnął, a dziadek mi właśnie pomaga.

Wyciągnąłem rękę. Iwonka przestała na chwilę płakać i zaczęła uważnie nas obserwować. Teść zagryzł wargę. Nienawidził mnie. Widziałem to w jego spojrzeniu. Równocześnie jednak kochał wnuczkę i rozumiał, jak wielką krzywdę może jej teraz zrobić. I te dwa uczucia, miłość i nienawiść, rozrywały go na kawałki. Przez moment wydawało mi się, że po prostu

odwróci się na pięcie i odejdzie. Ale nagle się złamał. Chwycił moją dłoń i pomógł mi wstać.

– Wiem, że to twoja wina – wyszeptał tak, żebym tylko ja go usłyszał, a potem zwrócił się w stronę Iwonki z wielkim, nieszczerym uśmiechem na twarzy. – Widzisz, kochanie, ja tylko pomagałem tatusiowi, bo złapał zająca. Duży był ten zając, Maciek?

– Oj, ogromny! – zawołałem. – Ale gdzieś mi się wymknął.

Iwona zachichotała cicho. Renata cały czas uważnie nam się przyglądała. Jej wzrok wędrował od mojej twarzy do teścia i z powrotem, jednak nie miałem jak wytłumaczyć, co się stało. Wróciliśmy wszyscy do środka.

Poszedłem prosto do toalety i popatrzyłem na siebie w lustrze. Garnitur miałem brudny, jednak twarz, o dziwo, w porządku. Teść nie rozbił mi nawet wargi. Pomasowałem szczękę, bolała jak diabli. Wiedziałem, że przez resztę wieczoru będzie mi trudno mówić, a następnego dnia będzie jeszcze gorzej. Ale najważniejsze było to, że przy odrobinie szczęścia i dyskrecji ze strony Renaty, ani mnie, ani teścia nie czekały dzisiaj żadne krępujące pytania na temat incydentu na parkingu.

Wróciłem na salę, do gości, którzy ciągle siedzieli przy stołach. Zbliżając się do nich, pomyślałem, że ja również zasłużyłem na to, by napić się na pogrzebie własnej żony.

Następnego dnia męczył mnie kac. Na samej stypie nie wypilem wiele, ledwo dwa kieliszki wina, ale po powrocie do domu wyjąłem butelkę wódki z zamrażalnika. Zrobiłem sobie drinka, włączyłem telewizor, wypilem, zrobiłem kolejnego. Powtórzyłem cykl kilka razy, aż wreszcie zasnąłem na kanapie, sam nie wiem kiedy.

Obudziłem się w środku nocy, połamany, ciągle w koszuli i spodniach od garnituru. Na stoliku obok stała szklanka z niedopitą wódką wymieszaną z sokiem jabłkowym. Wylałem drinka do zlewu. Powlokłem się do sypialni, rozebrałem i położyłem, ale sen długo nie nadchodził. Wpatrywałem się w sufit, dotykałem tej strony łóżka, na której zazwyczaj spała Janina, i nie mogłem uwierzyć, że już nigdy nie zobaczę mojej żony.

Rodzice przyjechali koło jedenastej, żeby się pożegnać. Wracali do Bielska. Uściskali dziewczynki. Tata niezgrabnym gestem wrzucił im po dwadzieścia złotych do skarbonki, mówiąc coś o tym, że będą miały na lody. Mama wzięła mnie na chwilę na bok, do kuchni. Pogłaskała po nieogolonym policzku i spojrzała z troską.

– Mam taki pomysł – zaczęła ostrożnie.

– Tak?

– Może wezmę dziewczynki do Bielska, co ty na to?

Zmarszczyłem brwi.

– Teraz?

– Teraz, jutro, pojutrze. Wtedy, kiedy będziesz chciał.

Iwona właśnie chwyciła dziadka za rękę i prowadziła go do swojego pokoju. Chciała mu coś pokazać. Patrząc na nią, na jej uśmiechniętą buzię, pomyślałem, że pomimo moich obaw dość szybko się z tym upora. Nie zapomni – będzie ją to bolało, będzie uwierać, ale za dzień, dwa znowu

zacznie biegać z innymi dziećmiakami po placu zabaw, wspinać się na drzewa, wyrywać sobie nawzajem zabawki i szaleć na huśtawce. To o Basię, ponurą jedenastolatkę, która drugi dzień z rzędu chodziła w czarnej pogrzebowej sukience, powinienem się martwić.

– U nas jest lepsze powietrze – odezwała się mama. – Tato weźmie je na wycieczkę w góry, wejdą sobie na Dębowiec albo pojedą do Szczyrku. To chyba byłoby dla nich dobre, jakby zmieniły na chwilę otoczenie, oderwały się od tego wszystkiego.

Pokręciłem przecząco głową. Czułem pulsujący ból w skroniach i ucisk w żołądku, nie wiedziałem jeszcze, jak mógłbym pomóc starszej córce, ale jednego byłem pewien – wyjazd tylko pogorszyłby sprawę. Musieliśmy, my wszyscy, nasza trzyosobowa rodzina, jak najszybciej wrócić do normalności. A raczej spróbować zbudować ją na nowo.

Mama wydawała się urażona moją odmową, jednak jej nie skomentowała.

– Gdybyś potrzebował pomocy, zadzwoń.

– Tak zrobię – obiecałem. – Lepiej się zbierajcie, jeśli chcecie uniknąć najgorszych korków. Uważajcie na siebie.

Pojechali, a my resztę dnia spędziliśmy w domu. Wziąłem dwie tabletki przeciwbólowe, puściłem dziewczynkom bajki i pozwoliłem oglądać aż do wieczora. Na obiad zamówiłem pizzę. Na kolację drugą.

W nocy Iwonka obudziła się z płaczem. Wołała mamę, bolał ją brzuch i płakała. Przytuliłem ją mocno, położyłem termofor na brzuszku, a potem zabrałem do siebie do łóżka, żeby nie obudziła Basi, ale nie potrafiłem jej uspokoić. Żadne moje zaklęcia, kołysanki, ojcowskie pieszczoty – nic nie pomagało. Półprzytomna powtarzała tylko: „mama, mamusia”, aż w końcu po ponad godzinie zasnęła wyczerpana.

Obudziliśmy się w łóżku w trójkę. Nie wiem, kiedy Basia do nas przyszła. Zamierzałem włączyć im bajki i zostawić na chwilę same w domu, żeby skoczyć do sklepu po coś na śniadanie, jednak Iwona nie chciała o tym słyszeć. Ubraliśmy się więc wszyscy, kupiliśmy mleko i płatki. Potem przygotowałem dziewczynkom jedzenie i powiedziałem, że

dzisiaj idą już do szkoły i przedszkola. Ku mojemu zaskoczeniu, spodziewałem się bowiem protestów, zareagowały na tę informację zupełnie obojętnie.

Panie w przedszkolu przywitały Iwonę bardzo serdecznie. Wyściskały ją i wyciąły, a kiedy na ich prośbę poszła pobawić się z dziećmi, zapytały mnie, jak Iwonka się czuje, co mogą dla niej zrobić, na co powinny zwrócić uwagę. Szczerze mówiąc, nie wiedziałem. Poprosiłem, żeby traktowały ją tak jak zawsze. Jakby nic się nie stało. Pokiwały ze zrozumieniem głowami. Na koniec jedna z nich mnie uściskała i powiedziała, że jest jej bardzo przykro. Podziękowałem.

Potem odprowadziłem Basię do szkoły. Zazwyczaj chodziła i wracała sama, ale tym razem chciałem być przy niej. Niosłem jej plecak i przyglądałem się mojej starszej córce. Znowu ubrała się na czarno – bluza, koszulka i legginsy. Tylko buty miała białe. Zwykle nosiła kolczyki. Małe, drobne, złote z zielonym oczkiem. Była bardzo dumna z siebie, kiedy kilka lat temu pozwoliła przekłuć sobie uszy. Dzisiaj ich nie założyła. Zastanawiałem się, czy po prostu zapomniała, czy to kolejny sposób przeżywania żałoby.

– Spóźnimy się? – zapytała mnie więcej w połowie drogi.

– Tak – odpowiedziałem, nie spoglądając nawet na zegarek. – Przyjdiesz na drugą lekcję. Trochę za późno wstaliśmy. Napiszę ci usprawiedliwienie.

– Nie trzeba – odparła. – W szkole przecież wiedzą, co się stało.

– Wiedzą – przyznałem. – Ale śmierć mamy to nie powód, by opuszczać się w nauce.

Kiedy tylko to powiedziałem, zdałem sobie sprawę, jak idiotycznie zabrzmiały moje słowa. Miałem ochotę się uderzyć. Naprawdę nie potrafiłem rozmawiać z córką.

– Wiem, wiem – mruknęła.

Przez pewien czas szliśmy w milczeniu.

– Tato... – odezwała się.

– Tak?

– Potrzebuję więcej czarnych rzeczy. Bo mam tylko tę sukienkę z wczoraj i to, co dzisiaj.

Przystanąłem. Ona również. Spojrzała na mnie pytająco. Przykucnąłem tak, żeby nasze twarze znalazły się mniej więcej na tym samym poziomie.

– Wiesz, że nie musisz się ubierać na czarno?

– Ale to kolor żałoby.

– Tak. Tylko w żałobie powinni chodzić dorośli. Dzieci nie muszą.

– Ale ja chcę.

– Dobrze – powiedziałem po namyśle. – W takim razie dzisiaj postaram się kupić ci trochę czarnych ciuchów. Czego potrzebujesz?

Wzruszyła ramionami.

– Wszystkiego.

– Wszystkiego to raczej nie kupię, ale jakieś koszulki, bluzę, może kolejne legginsy?

– Okej.

Doszliśmy do szkoły. Wszedłem z Basią do środka, chociaż mówiła, że nie ma takiej potrzeby. Skłamałem, że chcę skorzystać z toalety, i udałem się do pokoju nauczycielskiego. Odszukałem wychowawczynię Basi. To była starsza nauczycielka, która zbliżała się do wieku emerytalnego, siwowłosa i dość surowa, choć Basia z jakiegoś powodu ją lubiła. Może dlatego, że miała jasne oczekiwania i zasady, i konsekwentnie ich przestrzegała. Przyznaję, że nam z Janiną nie bardzo to ostatnio wychodziło. Staraliśmy się wprowadzić jakieś reguły, plan dnia, jednak zbyt często zdarzało się, że dla chwili spokoju i ciszy łamaliśmy własne zasady. Pozwalaliśmy dłużej bawić się tabletem, obejrzeć następną bajkę albo znowu zjeść coś słodkiego. A potem nawzajem mieliśmy o to do siebie pretensję. Nie chcę przez to powiedzieć, że byliśmy złymi rodzicami. Na pewno jednak byliśmy rodzicami zmęczonymi.

Nauczycielka zauważyła mnie i złożyła kondolencje, co przyjąłem z pewnym znudzeniem i niechęcią, choć mam nadzieję, że udało mi się to

ukryć. Zbyt dużo w ostatnich dniach słyszałem tych samych formułek wypowiedzianych w dokładnie ten sam sposób. Poprosiłem, by uważała na Basię i okazała jej wyrozumiałość, a gdy zapewniła, że będzie, uciekłem ze szkoły, zanim kolejni nauczyciele zdążyli złożyć mi wyrazy współczucia.

Czekał mnie cały dzień i nie wiedziałem, co z nim zrobić. Gdybym wrócił do domu, albo zająłbym się porządkowaniem rzeczy po Janinie (na co nie miałem siły), albo znowu zasiadłbym przed telewizorem z tym, co zostało w butelce wódki (na co nie miałem ochoty). Zwolnienie z pracy kończyło mi się dopiero następnego dnia.

Usiadłem na ławce i obserwowałem przejeżdżające samochody. Chciałem czy nie, moje myśli wracały do Janiny. I do tych trzech pytań niedających mi spokoju. Dlaczego popełniła samobójstwo? Czyje dziecko nosiła w brzuchu? I co, do cholery jasnej, robiła w okolicy Mrągowa? A potem uświadomiłem sobie, że jest miejsce, w którym może znaleźć odpowiedź przynajmniej na jedno z tych pytań.

Redakcja Janiny tłoczyła się w jednym z nowych szklanych biurowców, które ostatnimi laty wyrosły jeden po drugim na warszawskiej Woli. Na dwóch piętrach mieściły się redakcje wszystkich portali prowadzonych przez tę samą spółkę, studio telewizyjne, w którym nagrywano poranny program do internetu, i cały pion biznesowo-reklamowy.

Przyjechałem tam w okolicach godziny jedenastej. Kończyło się właśnie zebranie, więc z sali konferencyjnej wychodził tłum kilkudziesięciu osób. Łatwo odróżniłem dziennikarzy od ludzi zajmujących się sprzedażą reklam czy księgowością. Ci pierwsi, kolorowo ubrani, mieli ciała ozdobione tatuażami, dredy, fantazyjne ozdoby, jeden facet był nawet w dresie i poplamionym białym T-shircie. Idąc, popijał zielone smoothie. Ci drudzy nosili garnitury, a kobiety biurowe spódnice i koszule. Wyglądało to jak spotkanie pracowników banku z kolektywem anarchistycznym.

Poczekalem, aż tłum się przewali, i podszedłem do recepcjonistki, młodej dziewczyny z czarnymi włosami i o przerażająco długich paznokciach.

- Maciej Tomski – przedstawiłem się. – Jestem mężem Janiny Tomskiej.
- Janiny Tomskiej? – upewniła się dziewczyna.
- Tak. To moja żona.
- Rozumiem. Zadzwoń po nią czy sama do pana wyjdzie?
- Nie wyjdzie. Żona nie żyje.

Dziewczyna zrobiła wielkie oczy. Chyba się mnie przestraszyła, a ja rozumiałem, że miała powody. Wyglądałem dość niechlujnie i przyszedłem rzekomo odwiedzić zmarłą żonę. Ułożyłem sobie w głowie to, co chciałem powiedzieć, i spróbowałem jeszcze raz.

– Nazywam się Maciej Tomski. Moja żona tutaj pracowała. Zginęła kilka dni temu w wypadku samochodowym. Chciałem porozmawiać z jej szefem.

Zamrugła kilka razy, przetrawiając informacje, które ode mnie otrzymała.

– A w jakim celu?

– Zostało kilka służbowych spraw do wyjaśnienia – powiedziałem, a widząc, że wciąż nie wygląda na przekonaną, postanowiłem zagrać kartą wdowca. – Wie pani, żona zmarła kilka dni temu. Jest taki bałagan, tyle spraw do załatwienia, ja staram się to wszystko ogarnąć, ale...

Przerwałem. W jej oczach zabłyśła iskra współczucia.

– Jak się nazywała pańska żona?

– Janina Tomska.

– A w jakim dziale pracowała?

– W redakcji.

– No tak, ale w której konkretnie?

Zdałem sobie sprawę, że nie mam pojęcia. Wiedziałem, czym Janina się zajmowała, jednak robiła różne rzeczy dla różnych działów. Kto ją zatem zatrudnił?

– Przepraszam bardzo, nie wiem. Mam teraz mętlik w głowie – odparłem, rozkładając bezradnie ręce.

Recepcjonistka uśmiechnęła się z wyrozumiałością.

– Sprawdzę w systemie – powiedziała. – Mogę prosić jeszcze raz o nazwisko?

– Janina Tomska.

Z pewną fascynacją obserwowałem, jak zaczęła stukać w klawiaturę w taki sposób, żeby nie uszkodzić długich paznokci. Wyginała palce, a potem uderzała w klawisz. Co zaskakujące, szło jej to całkiem sprawnie. Nacisnęła enter i odczytała wynik z ekranu.

– A to do Tomka. Śmieszne – zauważyła. – Tomska do Tomka.

Nagle przypomniała sobie, w jakiej sprawie tutaj przyszedłem, i zaczerwieniła się ze wstydu.

– Już po niego dzwonię – rzuciła półgębkiem, sięgając po telefon.

– Dziękuję.

Odszedłem kilka kroków na bok. Wsadziłem ręce do kieszeni i zwiesiłem głowę.

– Zaraz przyjdzie! – powiedziała jeszcze recepcjonistka, a ja podziękowałem jej po raz kolejny.

Zacząłem oglądać wyeksponowane na ścianie fotografie i dyplomy, ale szybko mnie to znudziło. Wisiały tam zdjęcia z różnych dziennikarskich gal i nagrody za teksty, klikalność, dynamiczny rozwój i jako kwiatek do kożucha – społeczną wrażliwość, bo wsparli jakąś tam akcję seria reklam na swoich serwisach. Typowa korporacyjna próba budowania wizerunku, który niewiele ma wspólnego z rzeczywistością.

– Maciek?

Odwróciłem się. W moją stronę zmierzał szef Janiny. Do tej pory widziałem go tylko na zdjęciach. Miał koło pięćdziesiątki, choć robił wszystko, żeby wyglądać młodziej. Podgolone po bokach włosy zaczesał na żelu do tyłu, wąsy fantazyjnie modelował, zawijając ich końcówki w górę, jak wiktoriański dżentelmen, a wypielęgnowanej brodzie z pewnością musiał poświęcać kilkanaście minut dziennie, wklepując w nią odżywki, środki pielęgnujące czy co tam jeszcze wymyślili modni w ostatnich latach barberzy. Nosił niebieską koszulę z podwiniętymi rękawami. Na przedramionach dostrzegłem kolorowe plamy tatuaży.

Wyciągnął dłoń, drugą położył mi na ramieniu. Miał mocny, nieprzyjemny uścisk.

– Cholernie mi przykro, stary – powiedział, potrząsając moją ręką. – Cholernie. Przepraszam, że nie zjawiłem się na pogrzebie, ale wiesz... codzienny redakcyjny młyn.

– Nie ma problemu.

– To chodź do mnie.

Wprowadził mnie do wnętrza redakcji. Przeszliśmy przez sporą przestrzeń open space'u, mijając siedzących przy biurkach dziennikarzy. Niektórzy pracowicie klepali w klawiatury, inni po prostu obserwowali ekrany komputerów. Dwóch facetów stało przy okrągłym stole i kłóciło się na temat tego, co teraz powinni wrzucić na stronę główną. Zawołali szefa Janiny, on jednak tylko pokazał im na palcach, że przyjdzie za piętnaście minut, i uśmiechnął się przepaszająco.

Zajmował jeden z kilku przeszklonych boksów. Niezbyt duży, ale odgrodzony od innych, a w środku panowała przyjemna cisza. Wskazał mi krzesło, a potem zaciągnął zasłony. Podszedł do swojego biurka, otworzył dolną szafkę i wyjął z niej butelkę jacka daniel'sa oraz dwie szklanki.

– Wiem, że w godzinach pracy nie wolno, ale w takich okolicznościach...
– powiedział, nalewając.

Podał mi whisky i wziął swoją szklankę.

– Za Janinę.

Kiwnąłem głową. Stuknęliśmy się szklankami i wypiliśmy.

– Była cholernie dobrą dziennikarką – odezwał się po chwili. – Myślę, że za dobrą na to miejsce.

– Tak?

– Tak. Ten zawód strasznie się skurwił przez ostatnie lata. Ja nie mówię już tylko o polityce, ale o całej reszcie. Na nic nie ma miejsca. Jak tekst się nie mieści w dwustu sześćdziesięciu znakach, to nie wchodzi na Twittera i można go wypierdolić. Gówno. A Janina... Ona rozumiała, że historia potrzebuje miejsca. Że trzeba czasu, by napisać dobrą rzecz. Ale kto to teraz docenia. Nikt, prawda?

– Chyba nikt – zgodziłem się.

– Nic dziwnego, że chciała wycofać się z tego syfu.

Nie mogłem uwierzyć w to, co usłyszałem. Janina wiele razy narzekała na swoją pracę, generalnie powtarzając zarzuty szefa i dokładając jeszcze kilka rzeczy od siebie, jednak nigdy nie wspominała o tym, że zamierza ją rzucić. Zresztą w naszej sytuacji finansowej byłoby to możliwe tylko

wtedy, gdyby wcześniej znalazła inną pracę. Nie zdążyłem dopytać, bo Tomek dopił resztę whisky potężnym haustem. Zrobiłem to samo, by dotrzymać mu kroku. Zerknął na butelkę i przez chwilę bałem się, że zaproponuje dolewkę, ale on zamknął szafkę i uśmiechnął się kwaśno.

– Chodź – rzucił. – Pokażę ci jej biurko.

– Biurko? – zdziwiłem się.

– Nie przyjechałeś po jej rzeczy?

Do tej pory nie przyszło mi to do głowy, jednak teraz wydało się logiczne, że według niego taki był cel mojej wizyty. Po co innego miałbym tutaj przyjeżdżać?

– Tak, oczywiście, że po to.

Przyjrzał mi się uważnie.

– A masz jakieś torby? Bo sporo tego jest.

– Nie... Nie pomyślałem.

– Dobra. Skombinujemy coś.

Wyszliśmy z gabinetu. Przystanął, rozejrzał się, wyciągając wysoko głowę, jakby próbował sobie przypomnieć, gdzie Janina właściwie siedziała. Potem zagłębiliśmy się w przestrzeń open space'u. Poprowadził mnie do biurka dwa rzędy dalej, niedaleko okna. Stanowisko po lewej było wolne, nikt tam nie siedział. Stanowisko po prawej zajmował chłopak, zapewne jeszcze przed trzydziestką, w wełnianym szarym swetrze sięgającym mu aż do połowy ud. Miał długie włosy związane w kitkę, a na uszach potężne słuchawki. Poruszał głową w takt muzyki.

– To tutaj – powiedział Tomek.

Poczułem lekki zawrót głowy, kiedy dostrzegłem znajome rzeczy. Służbowego laptopa. Dwa notesy, jeden mniejszy na numery telefonów, drugi większy na notatki. Kalendarz w niebieskiej okładce. A do tego znajomy bałagan, bo kiedy Janina pracowała, tworzyła wokół siebie chaos. Wszędzie rozrzucała kartki, gubiła i odnajdywała długopisy, rozsiewała dookoła papierki po czekoladzie, batonach, na wpół dopite butelki wody. Tak jak tutaj.

– Poszukamy czegoś, żebyś mógł to spakować.

– Dzięki.

Tomek podszedł do chłopaka w słuchawkach. Klepnął go delikatnie w ramię. Tamten wyprostował się, ściągnął słuchawki i popatrzył na nas tak, jakby dopiero teraz się zorientował, że tu jesteśmy.

– Co jest? – zapytał.

– To jest... – zaczął Tomek, wskazując na mnie, i się zawahał.

– Maciek – pomogłem mu.

– Właśnie, Maciek. Sorry, Maciek.

– Nic nie szkodzi.

– Mąż Janiny – doprecyzował Tomek. – Przyszedł po jej rzeczy.

– Okej – rzucił chłopak, przeciągając sylaby. Pewnie się zastanawiał, po co w ogóle zawracamy mu głowę.

– Poszedłbyś i znalazł facetowi jakieś pudła, żeby się spakował, dobra?

– No ale ja mam swoją robotę.

– Kurwa, Rafał! To jest mąż Janiny. Pomóż człowiekowi, kurwa, nie?

Chłopak przewrócił oczami, jednak wstał od komputera.

– Gdzie są pudła? – zapytał.

– A skąd ja mam wiedzieć? Wyglądam ci jak jakiś, kurwa, manager od kartonów i siatek?

– No nie.

– To się wykaż, kurwa, inicjatywą własną, dobra?

– Dobra, dobra – mruknął chłopak.

Odłożył słuchawki na biurko, zablokował komputer i człapiąc, wyruszył w poszukiwaniu pudeł.

– Sorry za to przeklinanie – odezwał się po chwili Tomek. – Ci młodzi to jakieś inne pokolenie. Y czy Z, nie wiem, gubię się w tych literkach. Ale z nimi nie da się normalnie. Trzeba od razu na ostro.

– Nie ma problemu.

– Wszystko, co tu jest, możesz zabrać. Zostaw tylko komputer, bo to firmowy. Przejrzemy go z informatykami na dniach. Jeśli będą tam jakieś osobiste rzeczy, niezwiązane z pracą zawodową, to ci wyślemy. Może tak być?

– Może.

– Poradzisz sobie?

– Chyba tak.

– Jeszcze raz, chłopie, bardzo mi przykro. To była świetna dziewczyna.

Podziękowałem mu. Podał mi jeszcze rękę na pożegnanie i poszedł w swoją stronę.

Usiadłem na krześle Janiny. Zaskrzypiało lekko i ugięło się pod moim ciężarem. Przed sobą, na wysokości oczu, miałem szarą ściankę działową, a na niej poprzyczepiane zdjęcia z naszych wakacji na Mazurach oraz dziewczynek – z przedszkola, szkoły, przedstawień, zajęć dodatkowych, urodzin. Westchnąłem i zacząłem je ostrożnie odpinać i składać w jedną kupkę.

Chłopak pojawił się po kilku minutach. Przyniósł dwa kartonowe pudła. Postawił je na biurku.

– Tyle wystarczy?

– Powinno. Dzięki.

Usiadł na swoim miejscu i sięgnął po słuchawki.

– Znałeś ją? – zapytałem, zanim zdążył je założyć.

– Kogo?

– Janinę. Moją żonę.

Skrzywił się lekko. Zapewne nie podobało mu się, że zabieram mu jego cenny czas.

– Mało – stwierdził. – Ja tu od niedawna robię. Ona była taka zamknięta w sobie.

Kolejna niespodzianka. Janiny nigdy nie zaliczyłbym do ekstrawertyków ani dusz towarzystwa, ale w życiu bym o niej nie powiedział, że była

w sobie zamknięta. Lubiła ludzi. Lubiła się z nimi spotykać i rozmawiać. To między innymi dlatego została dziennikarką.

Chłopak chwilę nad czymś myślał, a potem nachylił się w moją stronę. Zrobiłem to samo.

– Podobno chcieli ją zwolnić – powiedział szeptem.

– Co takiego? Za co?

– Dawała dupy – stwierdził, a zaraz potem się zreflektował. – W sensie że w robocie, nie? Olewała pewne sprawy.

Kiwnąłem głową, coraz bardziej zaskoczony. Najpierw Tomek mi opowiada, że Janina planowała odejść z roboty, a teraz słyszę od tego chłopaka, że chcieli ją wywalić. Dopiero po chwili dotarło do mnie, że Tomek mógł po prostu kłamać. Może się bał, że mam teraz do niego jakiś żal. W końcu nie wiedział, ile mi opowiedziała o tym, co się dzieje w redakcji. Problem polegał na tym, że niczego mi nie mówiła. W domu, tak jak zawsze, narzekała na robotę, ale ta rozmowa ciągnęła się od lat i niewiele z niej wynikało, bo przecież trzeba było zapłacić ratę kredytu.

A potem przypomniałem sobie jeszcze pytanie policjanta z Mrągowa – czy żona miała jakieś problemy w pracy? Czy naprawdę mogło o to chodzić? Czy naprawdę właśnie dlatego popełniła samobójstwo?

Chłopak tymczasem wrócił do pracy i słuchania muzyki. Spakowałem rzeczy Janiny, pobieżnie je przeglądając. Nie znalazłem jednak niczego, co mogłoby w jakikolwiek sposób pomóc mi zrozumieć to, co się stało. Wrzuciłem wszystko do pudeł, ustawiłem je jedno na drugim i ruszyłem w stronę wyjścia. Po drodze znalazłem jeszcze Tomka, który właśnie rozmawiał z grafikiem na temat zdjęcia ilustrującego tekst. Kiedy zorientował się, że na niego czekam, przerwał rozmowę i podszedł do mnie.

– Zbierasz się? – Zerknął na pudeła.

– Tak. Dzięki wielkie za pomoc. Chciałem cię jeszcze o coś zapytać.

– Pytaj – rzucił nonszalancko. Moim zdaniem zbyt nonszalancko. Jakby próbował coś ukryć. Wsadził ręce do kieszeni spodni i zakołysał się na piętach.

– Janina pojechała na plan serialu do Małopolski, jednak w jakiś sposób znalazła się na Mazurach. Myślałem, że może coś wiesz na ten temat.

Zmarszczył brwi i po jego minie zorientowałem się, że nie ma pojęcia, o czym mówię.

– Na plan? Serialu?

– Jakiegoś wojennego. Chyba dla TVP.

Potrząsnął przecząco głową.

– Ona się tym u nas nie zajmowała.

– No wiem, że głównie miała inne obowiązki, jednak od czasu do czasu pisała na ten wasz serwis plotkarski i gdzieś jeździła robić wywiady...

Zastanowił się przez moment.

– Słuchaj... Fakt, robiła te wywiady, bo jej strasznie zależało, poza tym fajnie je robiła. Ale to w Warszawie tylko. Nie wiem, może kiedyś wysłaliśmy ją do Gdańska, ale jak już, to bardzo dawno temu. Na plan serialu to raz, z tego, co pamiętam, pojechała, bo nikt inny akurat nie mógł. Normalnie mamy od tego ludzi, którzy siedzą w telewizji, i to oni jeżdżą. Poza tym na takich wyjazdach robi się głównie wideo, a Janina nie przepadała za kamerą.

Nic z tego, co mówił, nie pasowało do naszego życia. Janina wyjeżdżała na plan jakiegoś filmu lub serialu raz, czasami dwa razy w miesiącu. Co pewien czas znikala też na cały dzień, bo jechała zrobić wywiad do Poznania, Katowic czy Krakowa. Nie było jej wtedy od rana do późnej nocy.

– Powiedziała mi, że jedzie na plan serialu.

– A mnie, że chce popracować trochę z domu. Zgodziłem się, bo w sumie czemu nie. W ostatnim czasie często tak robiła.

Odetchnąłem kilka razy, bo zaczęło mi się robić słabo. Miałem za dużo informacji do przetworzenia i coraz mniej z tego wszystkiego rozumiałem. Tomek patrzył na mnie z rosnącym zakłopotaniem. Podrapał się po karku.

– Słuchaj – zaczął ostrożnie. – Może ona coś dla kogoś innego robiła na boku, żeby dorobić. Nic mi nie mówiła, bo u nas niby nie wolno.

Rzucił mi linę ratunkową. Proste wytłumaczenie, które niby wszystko elegancko wyjaśniało. Mogłem się jej chwycić. Mogłem w to uwierzyć. Mogłem to właśnie tak zostawić. Moja żona po prostu dorabiała na boku. Ale jeśli tak, to dlaczego okłamała mnie, że jedzie pod Kraków?

Wyszedłem z redakcji. Znalazłem się na ulicy i szedłem w stronę stacji metra, niosąc dwa ciężkie pudła. I z każdym krokiem coraz bardziej to do mnie docierało – nic nie wiedziałem o własnej żonie.

POSZUKIWANIA

– Czy Janina miała jakieś problemy w pracy? – zapytałem.

Dzieci położyłem już spać. Dałem im kolację, tym razem nawet coś innego niż pizzę. Wcześniej obejrzelismy z Basią ciuchy, które jej kupiłem. O dziwo, pasowały. Posprzątałem w kuchni, nastawiłem pranie, załadowałem zmywarkę, przygotowałem drugie śniadanie dla starszej córki. Ale po tym wszystkim i tak byłem przekonany, że zapomniałem o tysiącu rzeczy, które trzeba zrobić w domu. Czułem się wyczerpany, psychicznie i fizycznie. Miałem ochotę tylko się napić, a potem położyć spać. Zamiast przygotować sobie drinka, zadzwoniłem jednak do Renaty.

– Co takiego? – zapytała w odpowiedzi trochę zaspanym głosem. Dochodziła dwudziesta trzecia, więc faktycznie mogłem ją obudzić.

– Czy Janina miała jakieś problemy w pracy? – powtórzyłem.

– Dlaczego o to pytasz?

– Pojechałem do jej redakcji – powiedziałem. – Rozmawiałem z szefem i facetem z sąsiedniego biurka Janiny. Ten pierwszy twierdzi, że planowała się zwolnić, ten drugi, że chcieli ją wywalić. Nie wiem, co o tym myśleć. Mówiła ci coś na ten temat?

– Nie. Nie mówiła. Czemu pytasz?

– Bo... – Nie wiedziałem, co powiedzieć.

– Przepraszam... Nikomu o tym nie mówiliście, ale ja usłyszałam twojego teścia. Wtedy, na stypie. To prawda?

Długo stałem, przyciskając tylko telefon do ucha. Nie miałem pojęcia, co czułem. Raczej nie ulgę, chociaż pomyślałem, że to dobrze, że jest jeszcze ktoś, kto zna prawdę, ktoś, z kim mógłbym o tym porozmawiać. Było to

jednak coś nieprzyjemnego. Uczucie, jakby wyszedł na jaw mój najstraszniejszy sekret.

– Policja tak twierdzi – przyznałem.

– Jezu... – jęknęła.

– Myślisz, że to właśnie dlatego mogłaby... zrobić to, co zrobiła?

– Przez pracę?

– Tak.

W słuchawce na bardzo długo zapadła cisza.

– Nie wiem. Nie sędzę. Janina taka nie była. Poza tym to tylko praca, niezbyt idealna, ale żeby z jej powodu...

– Nie zwierzała ci się z czegoś?

– Maciek... Nie, nie zwierzała się. Ostatnio nie widywałyśmy się tak często jak dawniej. Nie pytaj dlaczego.

Nie zapytałem. Jej głos wydawał mi się ciężki, zmęczony. Zapadła cisza, a ja przez moment miałem wrażenie, że się rozłączyła.

– Mówiła, że musi coś sobie przemyśleć – odezwała się tak niespodziewanie, że aż drgnąłem. – Przepracować w sobie.

– Naprawdę?

– Tak.

– Mówiła, co dokładnie?

– Nie, nie chciała. Nie miałyśmy jak rozmawiać, bo siedziałyśmy w kawiarni. Wokół pełno ludzi. Nie wróciłyśmy już do tematu.

– Więc nie masz pojęcia, o co mogło chodzić?

Znowu milczenie w słuchawce. A potem zmęczone, pełne rezygnacji pytanie.

– Po co to robisz? Po co się zadręczasz?

– Bo chcę wiedzieć, dlaczego to zrobiła.

– Co ci to da?

Nie potrafiłem odpowiedzieć. Nie było żadnego innego powodu oprócz tego, że po prostu musiałem wiedzieć. Pytanie „dlaczego” nieustannie

wbijalo mi sie twarda, lodowata szpila prosto w mozg. Nie dawalo spokoju, nawet chwili odpoczynku, sekundy zapomnienia.

– Muszę wiedzieć.

– Nie musisz. Tylko tak ci się wydaje.

– Nie rozumiesz.

– To ty nie rozumiesz. Nie rozumiesz tego, że nie jesteś sam. Że masz jeszcze dziewczynki. Że to na nich powinieneś się skupić, a nie na rozpamiętywaniu przeszłości. Tego chciałyby Janina.

– Janina postanowiła wpierdolić się w ciężarówkę. Uznajmy, że w ten sposób odebrała sobie prawo głosu w tej sprawie, dobra?

Westchnęła.

– Jesteś zmęczony. Jesteś zły. Skończmy tę rozmowę.

– Dobrze.

Rozłączyliśmy się. Rzuciłem telefon na kanapę. Wypiłem resztę wódki z butelki i poszedłem spać.

Następnego dnia dałem dzieciom śniadanie i wyszliśmy z domu. Iwona spóźniła się do przedszkola, Basia do szkoły, a ja do pracy. W żadnym z tych miejsc nikt nam nie robił z tego powodu wyrzutów. Przez chwilę nawet się zastanawiałem, ile ta wyrozumiałość będzie trwała. Jak długo jeszcze ludzie będą między sobą szeptać, żeby nam odpuścić, bo przecież niedawno straciliśmy żonę/matkę. Miałem nadzieję, że niedługo. To wszystko zaczynało się robić irytujące. W pracy ściszano głosy, kiedy przechodziłem obok. Mało kto się do mnie odzywał, a jak już, to szybko kończył rozmowę i wracał do swoich spraw. Dwie kobiety, które ledwie znałem, bo pracowały w innym dziale, obrzuciły mnie spojrzeniami tak pełnymi troski, że miałem ochotę rozbić im głowy o najbliższą ścianę. Gotowało się we mnie. I wciąż nie potrafiłem pozbyć się tych pytań: Dlaczego Mrągowo? Dlaczego się zabiła? Dlaczego tam? Po co tam pojechała? Czyje dziecko nosiła w swoim brzuchu?

Ciężko mi się pracowało. Z trudem potrafiłem się skupić na wpisywaniu odpowiednich formuł do Excela, aby potem tłumaczyć to na język nadający

się do raportu dla klienta. Byle dźwięk, byle hałas mnie dekoncentrował, nieustannie atakowały pytania, ta stała cholerna litania: Mrągowo, samobójstwo, ciąża. Kiedy w końcu wracałem do pracy, nie potrafiłem przypomnieć sobie, co właściwie robiłem przed chwilą i co powinienem zrobić dalej.

Jakimś cudem udało mi się skończyć pierwszy raport. To akurat było proste. Notatka na temat firmy zajmującej się handlem bakaliarnymi. Napisałem trzy strony tekstu na temat samej spółki, jej perspektyw i sytuacji na rynku. Potem zabrałem się do bardziej skomplikowanej rzeczy – wyceny innej firmy, która zamierzała zawojować rynek zdrowej żywności połączeniem soku owocowego z gruzińskim jogurtem.

Po czterdziestu minutach szukania szperek informacji na temat tego segmentu i prognoz rozwoju dobiegł mnie głośny śmiech z kuchni. Ale nie taki zwykły, tylko zbiorowy dziki rechot, przerywany co pewien czas równie gromkimi okrzykami „O kurwa!” i „No, nie wierzę, nie wierzę”.

Po prostu wstałem od biurka. Nawet nie myślałem o tym, co robię. Przeszedłem do kuchni. Stało tam czterech kolesi. Trzech znałem. Też analitycy, chłopcy dwa, trzy lata po studiach, zajmowali się spółkami informatycznymi. Czwarty, mniej więcej w moim wieku, wysoki i ciemnowłosy w drogim garniturze, wydawał mi się nieznośnie arogancki i fałszywy, więc obstawiałem, że pracował w sprzedaży.

Na mój widok ich śmiech urwał się gwałtownie. Jeszcze jeden z analityków parsknął cicho pod nosem, bo nie mógł się powstrzymać, a potem wszyscy przybrali poważne miny, skrzępowani odwracali wzrok. Było im naprawdę głupio. Ja, świeżo po pogrzebie żony, a oni tutaj robią maraton kabaretów w wersji biurowej. Ale ich wstyd i żal, a nawet przeprosiny, które rzucił jeden z nich półgębkiem, nic mnie nie obchodziły.

Moja żona się puszczała. Moja żona się zabiła. Moja żona pojechała do pierdolonego Mrągowo.

– Czemu już się nie śmiejecie? – zapytałem.

Popatrzyli po sobie skonsternowani.

– Tak się, kurwa, śmialiście, że, kurwa, pracować się tutaj nie dało, a teraz, kurwa, nagle przestaliście?!

– Stary, sorry, nie wiedzieliśmy, że byliśmy aż tak głośno – powiedział facet ze sprzedaży.

– Nie, nie byliście głośno. Czterech facetów drze mordy na całego. Wcale, kurwa, nie byliście głośni!

– Dobra. Załapaliśmy...

– Śmiać się, kurwa! – wrzasnąłem, przerywając mu w pół słowa.

Teraz już naprawdę zbaranieli. Żaden nie wiedział, jak powinien zareagować, a ja dopiero się rozgrzewałem.

– Śmiać się! Kurwa! Tak się śmialiście, to teraz też się śmieście! Ha! Ha! Ha, kurwa, ha!

Podszedłem do stołu i zacząłem walić w blat łapami w takt mojego fałszywego śmiechu. Trwało to minutę, może dwie, aż spody dłoni zaczęły mnie piec, ramiona boleć, a w płucach brakowało oddechu. Nie dlatego jednak przestałem – po prostu zacząłem płakać. Poczulem łzy na policzku, a potem słone krople wpadły mi do otwartych ust.

Cofnąłem się. Facet ze sprzedaży zagryzał kciuk. Jeden z analityków właśnie wymykał się bokiem i znajdował się już w połowie drogi do drzwi. Dwóch pozostałych chowało się z kubkami z kawą. Nieco pobledli zerkali na mnie trwożliwie.

– Ha, ha – rzuciłem jeszcze, ale nie miałem siły na nic więcej.

Wróciłem pisać ten cholerny raport.

Mrągowo, cięża, samobójstwo.

Mrągowo, cięża, samobójstwo.

Mrągowo, cięża, samobójstwo,

Mrągowo, cięża, samobójstwo.

Mrągowo, cięża, samobójstwo.

Mrągowo, cięża, samobójstwo.

Mrągowo, cięża, samobójstwo.

Dwie godziny później ktoś mnie klepnął w ramię. Odwróciłem się. Za mną stał Arek, szef mojego zespołu. Oczywiście młodszy ode mnie, ale nawet nie dowiadywałem się, o ile dokładnie, żeby jeszcze bardziej się nie dołować. Stał mniej więcej dwa metry ode mnie, co oznaczało, że zaraz po klepnięciu w moje ramię odskoczył do tyłu.

– Szczepan chce cię zobaczyć.

– Szczepan?

– No.

Dał mi znak, żebym szedł za nim.

Szczepan był wiceprezesem funduszu odpowiedzialnym za pion analityczny. Biorąc pod uwagę jego funkcję, zaskakująco rzadko bywał w firmie. Pasjonował się szybkimi samochodami i korzystał z każdej okazji, żeby trenować do amatorskich rajdów albo siedzieć w warsztacie samochodowym i patrzeć, jak inni grzebią w silniku jego ukochanego audi RS3.

Na mój widok skończył rozmawiać przez telefon i pokazał mi fotel za biurkiem. Arek stanął z boku, opierając się ramieniem o okno, za którym rozciągała się panorama Śródmieścia. Sam gabinet urządzono w stylu minimalistycznym – na biurku stał tylko komputer, zdjęcie rodziny Szczepana i podstawka z wiecznym piórem, gdyby trzeba było coś podpisać. Na białych ścianach zawieszono jedynie licencję doradcy inwestycyjnego.

Siadłem na wskazanym miejscu. Szczepan schował telefon do kieszeni. Popatrzył przez chwilę na mnie, jakby coś oceniał.

– Jak się trzymasz? – zapytał wreszcie.

– Nieźle – odparłem.

– Przepraszam, że nie mogłem być na pogrzebie. Mam nadzieję, że wieniec od firmy dotarł.

– Dotarł.

Był ogromny. Większy niż ten ode mnie i dziewczynek czy rodziców Janiny. Schowaliśmy go gdzieś z tyłu, ale i tak rzucał się w oczy.

– Przejdę do rzeczy – powiedział Szczepan. – Pogadaliśmy z Arkiem i uznaliśmy, że to chyba jeszcze za wcześnie, byś wrócił do pracy.

– Co takiego?

– Proponujemy ci urlop. Tydzień, dwa. Ile potrzebujesz. Dodatkowy i w pełni płatny, żeby była jasność. Taki gest wdzięczności firmy za to, że jesteś z nami tyle lat, wsparcie w tych trudnych dla ciebie chwilach. Wróć do domu, pobądź z dziećmi, bo ty masz dwójkę, nie?

– Dwie dziewczynki, tak.

– Bądź z nimi. Może gdzieś wyjedźcie, odpocznijcie. Ułóż sobie wszystko w głowie. Wrócisz do nas, kiedy będziesz gotowy.

Na koniec tej przemowy uśmiechnął się do mnie życzliwie, przekonany, że robi mi wielką przysługę.

– Wolałbym nie – powiedziałem.

Szczepan i Arek spojrzeli po sobie. Arek westchnął ciężko. Oderwał się od szyby. Podszedł bliżej Szczepana, jakby chciał w ten sposób podkreślić, że stanowią wspólny front.

– Uważamy, że nie jesteś jeszcze gotowy na powrót do pracy – oznajmił.

– Jestem – stwierdziłem i wstałem z fotela. – Mogę już iść do biurka? Chciałbym skończyć jedną rzecz, zanim wyjdę.

– Dowiedzieliśmy się o incydencie w kuchni – rzucił Arek.

Przymknąłem powieki. W sumie mogłem się tego spodziewać. Zastanawiałem się tylko, kto doniósł o moim wybuchu. Nie było sensu ani zaprzeczać, że do czegoś takiego doszło, ani bagatelizować zdarzenia.

– Dobra – przyznałem. – Trochę mi odbiło. Po prostu mam dzisiaj gorszy dzień. Jest ciężko. Jutro będzie lepiej. To się nie powtórzy.

Arek wsadził ręce w kieszenie spodni i wrócił pod okno. Szczepan podrapał się po policzku.

– Przeczytałem notatkę, którą zrobiłeś – odezwał się. – Tę o tej firmie od bakalii.

Zaskoczyło mnie to. Rzadko czytał nasze raporty. Najczęściej prosił, by mu je szybko zreferować, podać konkluzję i najważniejsze cyfry.

– Tak?

– To nie ma sensu.

– Słucham?

– Maciek, potrzebowałem dwóch minut z komputerem, by się zorientować, że podana przez ciebie prognoza nie trzyma się kupy. Nic tam się nie zgadza. Niektóre założenia są zbyt optymistyczne, inne zbyt pesymistyczne. Wychodzi totalny bezsens! Do tego w jednym miejscu pomyliłeś tysiące z milionami.

– Zwykła literówka.

– Powtarzasz ją potem w szacunkach, więc w ogóle wychodzi na to, że zajmujemy się tutaj wyceną jakiegoś pierdolonego warzywniaka!

Przez długą chwilę nie wiedziałem, co mam powiedzieć. Aż wreszcie nagle zrozumiałem. Wycelowałem palcem najpierw w Arka, potem w Szczepana i znów w Arka.

– Już łapię – powiedziałem. – On odchodzi. Wie, że będę chciał zostać szefem zespołu. A ty wiesz, że nadaję się do tej roboty. Nikt tutaj nie ma takiego doświadczenia jak ja. Ale on chce wcisnąć na to stanowisko swojego kumpla. Co nie, Arek? Komu chcesz załatwić awans?

– Przestań, Maciek – rzucił Szczepan.

– Nie, kurwa! Nie przestanę! Chce mnie wypchnąć na urlop, opowiada o mnie jakieś głupoty po to, żeby uwalić awans, który mi się w końcu, kurwa, należy!

W gabinecie zapadła cisza. Dochodziły nas tylko dźwięki z korytarza. Jakaś grupa wychodziła do domu, do kogoś innego dzwonił telefon. Wiceprezes wstał powoli zza biurka. Podrapał się po podbródku.

– Maciek – zaczął powoli – jesteś z nami od lat. Uważam, że nie wykorzystałeś w pełni swojego potencjału, ale doceniam to, co wniosłeś do naszej firmy. Dlatego bardzo cię proszę, nie każ mi siebie zwalniać i idź na ten pierdolony urlop.

Wylądowałem więc w domu, a dom zmienił się w piekło. Jako tako trzymałem się wtedy, kiedy dziewczynki były w mieszkaniu. Starłem się nimi opiekować: dać jeść, pić, przytulić, uśpić, wyprać, posprzątać. Ale gdy tylko zasypiały albo wychodziły do szkoły i przedszkola, wszystkie tamy pękały.

Mrągowo, ciąża, samobójstwo.

Ta przekłeta trójca nie dawała mi wytchnienia. Każde z tych słów przypominało nóż piłujący moją czaszkę, mózg, mięśnie i kości. Bolało mnie całe ciało. Byłem wyczerpany zaraz po tym, jak wstałem. Za dużo piłem, za mało jadłem. Chyba śmierdziałem, choć w wannie potrafiłem spędzić tyle czasu, że gorąca woda stawała się zupełnie zimna. Traciłem powoli kontrolę nad swoim życiem i nie widziałem ani cienia nadziei na to, żeby je odzyskać.

Mrągowo, ciąża, samobójstwo.

Czwartego dnia przymusowego urlopu stwierdziłem, że w końcu wyrzucę rzeczy Janiny i w ten symboliczny, ale zawsze, sposób zrobię krok naprzód. Będzie to pierwszy krok w procesie leczenia ran. Dowód na to, że zaczynam godzić się z odejściem żony. Zacząłem wyjmować jej ubrania z szafy. Najpierw koszulki, później bluzy, a na samym spodzie znalazłem dwa komplety bielizny. Jeden czarny, drugi cielisty. Nic szczególnie wyuzdanego, żadnych majtek z dziurą w kroku. Dwa biustonosze ozdobione koronkami i dół do kompletu. Eleganckie i zmysłowe.

Nie widziałem żadnej z tych rzeczy. A skoro ukryła je wśród ciepłych bluz zamiast włożyć do szuflady z bielizną, to znaczy, że kupiła je, by zrobić wrażenie na kimś innym niż ja.

Krzyknąłem. A potem w dzikim szale zacząłem wyrzucać wszystkie ubrania z szafy. Jej i swoje. To nie miało znaczenia. Wrzeszczałem jak

opętany. Aż wreszcie, zaskakująco szybko, opadłem z sił. Zachwiałem się. Klęknąłem na podłodze wśród rozrzuconych ciuchów i zastanawiałem się, kiedy dokładnie zaczęliśmy wszystko psuć, że w końcu nasza historia skończyła się tak, jak się skończyła.

Mrągowo, ciąża, samobójstwo.

Przestaliśmy uprawiać seks mniej więcej pół roku temu. Powód? Żeby tylko jeden. Żyliśmy ze sobą ponad dwanaście lat. Zналиśmy nasze ciała, każdą ich linię, każdą wypukłość, miękkość i niedoskonałość. Przede wszystkim niedoskonałość. Trudno się ekscytować czymś, co poznało się tak dobrze. Jednak nie chodziło tylko o to. Byliśmy zmęczeni. Ona i ja. Dzieci, praca, kredyt, napięcie, kłótnie. I tak to się ciągnęło miesiącami, a my coraz mniej się staraliśmy i coraz bardziej traktowaliśmy seks jak kolejny obowiązek, który trzeba wypełnić i mieć z głowy. I jeszcze ta złość. Wściekałem się, bo kiedy miałem ochotę, ona nie mogła. Dlatego gdy ona chciała, mówiłem, że dzisiaj nie dam rady, tylko po to, żeby poczuła się tak jak ja wcześniej – opuszczona, zdradzona, niekochana. A potem ona robiła to samo i tak nakręcaliśmy tę spiralę przez dwa, trzy, cztery tygodnie. Napięcie rosło, aż w końcu stawało się tak wielkie, że szliśmy do łóżka. Bez radości, bez entuzjazmu, bez wielkiego podniecenia, po prostu chcieliśmy mieć to za sobą. Aż pewnego dnia, pół roku temu, przestaliśmy uprawiać seks. I nie jestem pewien, co nami kierowało. Złość? Czekanie, które z nas pierwsze się złamie i będzie mu bardziej zależeć? Brak pożądania? Wszystko po trochu. W zależności od dnia motywacja się zmieniała, jedna płynnie przechodziła w drugą. Ale najbardziej smutne w tej sytuacji było to, że chyba obojgu nam to pasowało.

W takim stanie znalazła mnie Basia po powrocie ze szkoły. Wciąż siedziałem na podłodze ze spuszczoną głową. Bolały mnie plecy. Z trudem oddychałem. Moja córka najpierw zapukała delikatnie do otwartych drzwi sypialni, a potem, nie czekając na odpowiedź, weszła do środka.

– Tato – zaczęła cicho.

– Tak? – odpowiedziałem po chwili.

– Już późno. Powinniśmy chyba pójść po Iwonkę.

Zerknąłem na zegarek i pokiwałem głową na znak, że się zgadzam. Basia podeszła do mnie, wyciągnęła rękę i pomogła mi wstać.

Poszliśmy więc do przedszkola. Basia odebrała Iwonkę. Ja tylko pokazałem się przedszkolankom. Jedna z nich zapytała, czy nie potrzebuję pomocy, ale odmówiłem grzecznie. Opierałem się o ścianę z przymkniętymi oczami, kiedy Basia ubierała siostrę, potem wróciliśmy do domu.

Przygotowałem im coś do jedzenia, włączyłem telewizor i poszedłem do sypialni. Chciałem posprzątać, jednak położyłem się na łóżku i zasnąłem na kilka godzin.

Kiedy się obudziłem, za oknem zrobiło się już ciemno. Wstałem z łóżka. W głowie mi się kręciło. W salonie telewizor był wyłączony, na podłodze wałało się kilka zabawek i klocki Duplo. Dziewczynki zbudowały z nich całą farmę z domkiem, zagrodą dla krów i sklepem.

W kuchni natknąłem się na ślady po kolacji. Dwa brudne talerze, szklanki po mleku, okruchy po krojeniu chleba i stojący wciąż na blacie pojemnik z wędliną i serem. Schowałem go z powrotem do lodówki.

Dziewczynki znalazłem w ich pokoju. Leżały na dolnym łóżku. Basia obejmowała siostrę i czytała jej bajkę przy świetle nocnej lampki. Na mój widok obie zamarły. W ich oczach dostrzegłem niepokój, może nawet strach. Jakby się bały, że zrobiły coś złego. Ale to nie wszystko. Dotarło to do mnie dopiero później. One po prostu w pierwszej chwili mnie nie poznały. Do ich pokoju wtargnął obcy mężczyzna, który może i przypominał ich ojca, jednak nim nie był.

– Cześć – mruknąłem.

– Cześć – powiedziała Basia. – Czytamy sobie trochę i zaraz kładziemy się spać.

Pokiwałem głową.

– Jesteście najedzone?

– Aha...

– Umyłyście się?

– Tak.

– Ząbki też?

– No.

Zagryzłem dolną wargę, a potem zmusiłem się do lekkiego uśmiechu.

– Świetnie się spisałyście.

Chciałem dać im buziaka na dobranoc, jednak zatrzymałem się w połowie drogi. Nie potrafiłem się zdobyć na to, by je ucałować, uściskać, życzyć pięknych snów, obiecać szczerze, że wszystko będzie dobrze. Po prostu nie potrafiłem. Miałem w sobie jakąś blokadę. I wiedziałem, że jeśli zrobię choć krok w ich kierunku, rozpadnę się na milion kawałków. Mimo to pewnie bym zaryzykował, gdyby nie jedno – one też tego nie chciały. Wyraźnie to wyczuwałem. Iwona i Basia, przytulone do siebie tak mocno, że niemalże stały się jednością, osiągnęły spokój i równowagę. A przede wszystkim, przynajmniej na moment – godzinę, dwie, może nawet noc – spłynęła na nie łaska zapomnienia. Ja bym im tylko o wszystkim przypomniał. Machnąłem więc jedynie niezgrabnie ręką na pożegnanie i zostawiłem je same.

Wyjąłem z kuchennej szuflady rolkę worków na śmieci i poszedłem do sypialni. Starłem się nie myśleć o tym, co robię, bo nie miało to już nic wspólnego z rytuałem żałoby. Rytuałem, który miał mnie pogodzić z losem i koniec końców przynieść mniejszą lub większą ulgę. Wiedziałem, że mogę pozbyć się z domu wszystkich jej ubrań, wszystkich związanych z nią pamiątek, każdego wybranego przez nią mebla, przemalować każdą ścianę na inny kolor, a ona i tak z nami zostanie. I nic się nie zmieni. Jej śmierć będzie mnie przygniatać. Jedne dni będą lepsze, inne gorsze. Ale wszystkie będą złe. Nasze córki będą skazane na siebie, bo choć ja zrobię im śniadanie, obiad, kolację, może czasem wypiorę ubrania i zapytam, co w szkole, to nie będę w stanie się nimi zaopiekować.

Sięgnąłem po swój garnitur z pogrzebu. Chciałem go schować do szafy, kiedy z kieszeni spodni wysunęła się karteczka i spadła niezgrabnym lotem na podłogę. Podniosłem ją. Drżącą ręką ktoś zapisał na niej dziewięć cyfr numeru telefonu.

Nic się nie zmieni, pomyślałem. Nic się nie zmieni, dopóki nie poznam odpowiedzi na te trzy pytania: co robiła w Mrągowie, czyje dziecko nosiła w brzuchu, dlaczego popełniła samobójstwo.

Wyjąłem z kieszeni telefon. Wybrałem numer.

– Słucham... – Usłyszałem lekko bełkotliwy głos mężczyzny z pogrzebu.

– Chciałem z panem porozmawiać. Kiedy możemy się spotkać?

– Ale... Kto mówi?

– Mąż kobiety, którą pan zabił.

Zapadła cisza. Dochodził do mnie tylko jego chrapliwy, nieprzyjemny oddech.

– To niech pan przyjedzie jutro – powiedział wreszcie, głosem tym razem dziwnie trzeźwym.

Podyktował mi adres. Potem rozłączył się, a ja skończyłem sprzątać.

Mieszkał pod Grójcem. Żeby tam dotrzeć, wynająłem samochód, kilkuletniego opla corsę. Pomimo starań pracowników wypożyczalni i zawieszono pod lusterkiem drzewka zapachowego wnętrza tak śmierdziało papierosami, że po dwudziestu kilometrach poddałem się i dalej jechałem z uchylonym oknem.

Po zjeździe z S8, trasy wyjazdowej z Warszawy, droga prowadziła wśród rozległych sadów, gdzie wszystkie drzewa rosły w idealnych rzędkach, w idealnej odległości od siebie. Wydawały się nawet tej samej wysokości, jakby je obcinano gigantyczną kosiarką.

Żeby dotrzeć do jego domu, musiałem skręcić z głównej drogi w marnie wyasfaltowaną dróżkę, tak wąską, że nie wiem, jakim cudem mogły się tam mijać dwa samochody. Auto podskakiwało na dziurach zasypanych gruzem i wyrzuszeniach. Pogoda była nieprzyjemna. Niebo pokrywały ciężkie chmury, z których jednak nie chciał spaść deszcz, a owocowe drzewa ugięły się raz po raz pod uderzeniami wiatru.

Byłem zmęczony i żałowałem, że nie zatrzymałem się po drodze na kawę. Do ponad trzeciej w nocy siedziałem przy komputerze, sprawdzając w internecie kilka rzeczy. Raz jeszcze czytałem policyjne raporty. Ta praca przyniosła mi pewnego rodzaju ukojenie. Byłem analitykiem i potraktowałem śmierć Janiny jak kolejne zadanie do wykonania. Po raz pierwszy od dawna potrafiłem się na czymś skupić dłużej niż kilka minut. W efekcie zrobiłem kilka stron notatek, ale zostawiłem je w domu. Przypomniałem sobie o nich mniej więcej na wysokości Grójca.

Wjechałem przez otwartą bramę na podwórko i wysiadłem z samochodu. Cała posesja sprawiała wrażenie wciętej w owocowe sady. Stał tam dom o pastelowej, jasnej fasadzie i blaszanym zielonym dachu. Tak duży, że spokojnie pomieściłby dwie albo trzy rodziny. Oprócz tego znajdowały się

tam także dwa budynki gospodarcze, murowane i solidne. W wielkim kojcu skakał pies, ogromny wilczur z błyszczącymi od złości oczami. Ujadał na mój widok wściekle, biegając wzdłuż siatki i szukając sposobu, żeby wydostać się z więzienia. Drugi pies, mały biały kundel z klapniętym jednym uchem i brązową łatą na pysku, szczeknął na mój widok kilka razy, ale kiedy tylko na niego spojrzałem, wycofał się błyskawicznie na bezpieczną odległość. Potem zobaczyłem ciężarówkę. Sam ciągnik, bez przyczepy. Wielka maszyna, która miała już co najmniej kilka lat. Literka I odpadła z napisu IVECO na przodzie pojazdu i została po niej jaśniejsza plama. Ja jednak patrzyłem tylko na wgniecenie po lewej stronie wozu. W tym miejscu, gdzie w ciągnik uderzyła moja żona. Blacha była pocięta, reflektory rozbite, zderzak nadawał się jedynie do wyrzucenia, kłapa od silnika odginała się nieznacznie. Ale nasz samochód, a przynajmniej jego przednia połowa, spłaszczył się jak harmonia. Ze wszystkich stron wystawały poszarpane i połamane kawałki metalu, szyba rozleciała się w proch, a jedno z kół dosłownie wystrzeliło i wylądowało po drugiej stronie drogi. Patrząc na ciężarówkę, można by pomyśleć, że doszło do małej stłuczki, a nie czołowego zderzenia.

– Kim pan jest?

W drzwiach domu stała kobieta w kuchennym fartuchu i szarej spódnicy. Miała ponad czterdzieści lat, proste włosy do ramion i podkrążone oczy. Przez ramię przewiesiła sobie kuchenną ścierkę.

– Ja... Jestem tutaj umówiony. Z... z pani mężem? – zaryzykowałem.

Przyjrzała mi się podejrzliwie. Podbródkiem wskazała na ciężarówkę.

– Pan od tej, od tej...

– Tak.

Ściągnęła usta w ciup. Wyszła za próg, zerknęła w głąb domu, a potem zamknęła za sobą cicho drzwi.

– Niech pan stąd jedzie – powiedziała ostro.

– Jestem umówiony – powtórzyłem.

– Męża nie ma.

– A kiedy będzie?

– Nie będzie.

– Rozmawiałem z nim wczoraj.

– Wiem. Ale go nie będzie. Pojechał w trasę. Pilna sprawa. Szef kazał, to pojechał.

Spojrzałem na ciągnik po mojej lewej stronie. Ona trwała nieporuszona. Jej kłamstwo było oczywiste, jednak wymagała ode mnie, żebym nie tyle w nie uwierzył, ile zrobił to, co z niego wynika.

Drzwi domu otworzyły się i stanął w nich mężczyzna z pogrzebu. Podszedł do kobiety, położył jej dłonie na ramionach w czułym geście i przyciągnął delikatnie do siebie.

– Już, Gosia, już, już... – wymruczał jej do ucha. – Pan do mnie przyjechał. Porozmawiamy.

Wyrwała się z jego objęć. Rzuciła mu pełne złości spojrzenie i pokręciła zdenerwowana głową. Ściągnęła ścierkę z ramienia i przez chwilę miałem wrażenie, że go nią zdzieli. Ona jednak ścisnęła ją w dłoniach.

– Tylko do domu nie wchodźcie! – warknęła. – Błota mi naniesie i... – Chciała coś jeszcze dodać, jednak rozmyśliła się i prychnęła na koniec. Wyminęła męża, po czym zniknęła we wnętrzu domu.

Mężczyzna pociągnął nosem dwa razy i przyjrzał mi się uważnie.

– Proszę poczekać – rzucił. – Po bluzę pójde.

Wrócił po trzech minutach w niebieskiej bluzie z kapturem. W dłoni trzymał dwie puszkę piwa. Podał mi jedną, ale podziękowałem.

– Przyjechałem samochodem – wyjaśniłem.

– A nie ma pan nic przeciwko, żebym ja...

– Nie mam.

Gdy schował puszkę do kieszeni bluzy, zorientowałem się, że ma tam jeszcze jedną. Wyjął paczkę papierosów, włożył sobie jednego w kącik ust i odpalił, po czym otworzył puszkę. Wypił dwa łyki.

Podszedł do kojca. Przez chwilę siłował się z zamkiem, ale w końcu otworzył drzwi. Wilczur najpierw zbaraniał, a potem rzucił się w moją stronę. Cofnąłem się mimowolnie o krok. Nie miałem gdzie uciec. Samochód był za daleko. Zanim bym do niego dotarł i schował się w środku, pies już by mnie dopadł.

– Kurwa! – zawołałem.

Uniosłem ręce w górę, próbując się zasłonić, jednak wilczur w ostatniej chwili zamiast skoczyć, zrobił dookoła mnie kółeczko i pobiegł do swojego właściciela. Ten poklepał go po grzbiecie i przez chwilę drapał za uchem. Pies tymczasem radośnie machał ogonem i wywiesił różowy jęzor. Wyglądał teraz tak, jakby szeroko się uśmiechał.

Mężczyzna znowu wypił dwa duże łyki piwa.

– Musiałem ją wypuścić – powiedział, wskazując na psa. – Łagodna jest, ale strasznie szczekliwa. Nie dałaby nam gadać. Teraz się uspokoi.

– Rozumiem.

– Już ten mniejszy jest gorszy – ciągnął facet. – Niby ucieka, niby się boi, ale człowiek się odwróci i go w dupę ugryzie. Pan uważa.

Rozejrzałem się, jednak nigdzie w pobliżu nie dostrzegłem białego kundelka. Moje pośladki były bezpieczne.

Tymczasem mężczyzna podszedł do białej ciężarówki, ruszyłem za nim. Wpatrywał się w rozbity reflektor. Popijał piwo lekko przygarbiony i wydawał mi się trochę nieobecny.

– Tutaj uderzyła – odezwał się, wypuszczając z siebie kłąb papierosowego dymu. – Pan tam był? Widział pan, jak to tam wygląda?

– Tak.

– Nie miałem nawet gdzie uciec, jak zahamować. Zresztą ona skręciła w ostatniej chwili. Bo ja z daleka ją widziałem. Zmierzchało już. Na drodze tylko my dwoje, to ją widziałem. Normalnie jechała. A potem, nie wiem, jakieś dwieście metrów ode mnie, może trochę bliżej, gwałtownie przyśpieszyła. Ledwo zdążyłem zwrócić uwagę, a wtedy ona skręca i prosto we mnie... – Przerwał.

Wypił piwo duszkiem do końca. Zgniół puszkę i wyrzucił ją przez ramię. Papierosa, niemal już wypalonego, przygniótł butem. Czekałem cierpliwie, aż odpali kolejną fajkę i otworzy nowe piwo.

– Dałem od razu po hamulcach – powiedział po chwili. – Ale to ciężka maszyna, nie żadne seicento. To jest kilkadziesiąt metrów najmniej, od kiedy człowiek naciśnie hamulec. A trzeba jeszcze nacisnąć.

Pokręcił głową. Czubkiem buta uderzył delikatnie w zderzak ciężarówki.

– Nie było żadnych szans. Nie mogłem nic zrobić. Przykro mi.

Wilczurzyca niespodziewanie trąciła mnie mokrym nosem w dłoń. Stała tuż obok mojej nogi. Nawet nie zauważyłem, jak się do mnie podkradała. Machała ogonem i patrzyła tak, jakby czegoś ode mnie chciała.

– Pobawiłaby się z panem – wyjaśnił mężczyzna. – Młoda jest. Dwa lata ledwo. Fajny pies. Lubi pana. Z pana to dobry człowiek musi być. Bo psy tak mają. Ojciec mi tłumaczył. Najgorszy, najwredniejszy pies, ale jak dobrego człowieka spotka, to się cieszy.

Suka jeszcze przez chwilę przy mnie stała, jednak ponieważ ani jej nie głaskałem, ani niczego nie rzuciłem, odeszła rozczarowana.

– Jechał pan za szybko – odezwałem się.

Mężczyzna upił łyk.

– Ano – zgodził się, kiedy przełknął.

– Tam można jechać siedemdziesiąt na godzinę. Według policji jechał pan ponad sto.

– Na krajowej jakiś remont był czy coś. Musiałem pchać się objazdem, żeby zdążyć na czas. W tej robocie czas jest najważniejszy. Szef cisnął. To moja ciężarówka, ale robię jako podwykonawca w firmie. No więc szef cisnął, to przydepnąłem. Ja jeżdżę bezpiecznie. Tam jest prosta droga. Nie miałem nikogo w zasięgu wzroku. No, oprócz pańskiej żony.

– Jakby pan jechał przepisowo...

– Nic by to nie zmieniło – przerwał mi, zanim zdążyłem skończyć. – Tłumaczyłem panu. To jest masa. Tego się nie da zatrzymać tak natychmiast. Może pan naciskać pedał do samego końca, ale to potrzebuje

miejsca, żeby zahamować. A poza tym... A poza tym to pańska żona we mnie wjechała, a nie ja w nią.

– Jechał pan za szybko.

Po raz pierwszy dostrzegłem na jego twarzy grymas złości, choć od razu ukrył ją głęboko w sobie. Przełknął razem z kolejnym łykiem piwa.

– Jechałem... – mruknął i papieros dosłownie wypadł mu z ust. Nawet nie zwrócił na to uwagi. Nie sięgnął też po kolejnego. Czekał na to, co zrobię. Teraz zrozumiałem, dlaczego przyszedł na pogrzeb, dlaczego chciał się ze mną spotkać. To była jego świecka spowiedź, oczekiwał pokuty i przebaczenia grzechów. Patrzyłem na jego twarz i wiedziałem, a może raczej czułem, że on w tym wszystkim jest najmniej winny, że znalazł się w złym miejscu i w złym czasie, ale pomimo tego nie potrafiłem go nie nienawidzić. To, co zamierzałem zrobić, było niewłaściwe. Już zaczynały mnie gryźć wyrzuty sumienia, jakaś część mojej jaźni, ta rozsądniejsza, krzyczała na mnie, żebym po prostu się pożegnał, podziękował za spotkanie i odszedł. I wtedy opanowała mnie całkiem inna siła. Bezrozumna i wściekła. Uległem jej, i to nawet nie dlatego, że nie mogłem się jej przeciwstawić, ale dlatego, że chciałem.

– Ona by żyła, gdyby nie pan – powiedziałem.

– Bo jechałem za szybko? – zapytał.

– Tak.

Skrzywił się, ale bez złości. Wyglądało to tak, jakby szukał w moich słowach sensu.

– To ona we mnie wjechała – powtórzył po chwili.

– Tylko że pan jechał za szybko. Gdyby pan jechał wolniej...

– I tak bym nie zdążył zahamować.

– Tego pan nie wie.

– To ona we mnie wjechała! – wrzasnął. Jego twarz niemalże w ułamku sekundy przybrała czerwony kolor. Zrobił krok w moją stronę. Jego pięści się zacisnęły, oczy błyszczały. A potem cofnął się natychmiast, oparł o ciężarówkę i odetchnął. Przyłożył dłoń do swojej piersi. – Ona we mnie

wjechała! Mogłem jechać sto na godzinę, mogłem jechać pięćdziesiąt. Mogłem, kurwa, stać na poboczu. Ale to ona we mnie wjechała. Nie ja w nią.

– To po co przyszedł pan na pogrzeb? – zapytałem. – Po co prosił mnie pan o kontakt? Wie pan, jak to jest, prawda?

– Jak?

– Tylko winni się tłumaczyć.

– Gównie pan wiesz – wydusił z siebie przez zaciśnięte zęby. – To ona we mnie wjechała. Gdyby nie ja, wjechałaby w kogoś innego.

Pokręciłem przecząco głową.

– Czytałem wczoraj sporo o samobójcach – zacząłem. – Bo to prawda, moja żona chciała się zabić. Tylko to tak nie działa, że jak nie jedno, to drugie. Samobójstwo to często impuls. Jedna głupia decyzja, której nie można już cofnąć. Ale jeśli zdarzą się jakieś okoliczności, coś, co samobójcę powstrzyma, to on potem już tego nie zrobi. Bo impuls minie. A tutaj impulsem był pan. Pędził pan tą wąską drogą, moja żona pana zobaczyła i pomyślała sobie: a może... Gdyby pan tamtędy nie jechał albo jechał wolniej, ona by się nie zabiła. Rozumie pan? Nie zabiłaby się.

Sięgnął po ostatnią puszkę z piwem. Otworzył ją. Wypił na raz chyba połowę i otarł mokre usta rękawem.

– Być może – powiedział.

Nie takiej reakcji się spodziewałem. Prędzej tego, że zacznie na mnie krzyczeć, a nawet zaatakuje albo z domu wybiegnie jego żona i wyrzuci mnie z posesji. Jednak nie tego, że przyzna mi rację. Stał przygnębiony, choć spokojny, i pociągał z puszki, a jego wzrok wędrował gdzieś daleko ponad moim ramieniem.

– Wie pan, co jest najgorsze? – zapytał nagle.

Pokręciłem przecząco głową.

– Ciągłe mi się śni. Pańska żona znaczy się. Co noc. Zawsze się budzę. Czasami to aż strach zasnąć, ale już mniejsza z tym. Widzi pan, w tej ciężarówce, w każdej ciężarówce, kierowca siedzi wysoko. I wtedy, już pod

sam koniec, kiedy jechała na mnie, światła reflektorów świeciły prosto na nią, na jej twarz. Ja ją bardzo dokładnie widziałem. I to mi utkwiło tutaj. – Uderzył się dwa razy palcem w czaszkę. – Jej twarz. Jej sylwetka. Jej oczy... To właśnie mi się śni. Ten moment. Tuż przed tym, jak we mnie uderzyła. A potem był huk i coś jeszcze, jakby młaśnięcie. Straszny dźwięk, najgorszy, jaki w życiu słyszałem. Coś jakby pan wziął ślimaka, takiego bez skorupy, i go nadepnął. Tylko że tysiąc razy głośniejsze. I ja już wiedziałem, co się stało. Ten dźwięk też mi się śni. Jej twarz i to młaśnięcie.

Skończył mówić, a ja nie miałem odwagi się odezwać. Wilczurzyca zupełnie straciła już nami zainteresowanie. Wróciła do kojca. Zrobiła tam kilka kółek i wreszcie położyła się na brudnym kocu. Kundel pojawił się na chwilę, jednak wbrew ostrzeżeniom jego pana nie próbował mnie ugryźć. Zamiast tego pogonił dwa wróble, a potem powędrował zadowolony z siebie za jeden z gospodarskich budynków.

– Chciała odbić w bok – odezwał się nagle mężczyzna. – To właśnie ten moment mi się śni. Siedzę w kabinie, widzę wszystko z góry, a ona chwytą za kierownicę. Skręca ją z całych sił. Ale jest już za późno. Dlatego przyszedłem na pogrzeb. To chciałem panu powiedzieć: próbowała odbić w bok.

Coś zabolalo mnie strasznie w dole brzucha. Straciłem oddech i musiałem klęknąć, żeby nie zemdleć. Szeroko otworzyłem usta. Wypłynęło z nich coś białego. Nie wymiociny, tylko ślina połączona z kwasem żołądkowym. Całym moim ciałem targały dreszcze i bałem się, że za chwilę upadnę. Zamknąłem oczy i trwałem tak, dopóki świat wokół mnie nie przestał się kręcić, a ból trochę nie zelżał. Wtedy wyciągnąłem w górę rękę. Chwycił mnie silną i szorstką dłonią. Pomógł mi wstać.

Nie pożegnałem go. Po prostu wsiadłem do samochodu. On zaś wrócił bez słowa do domu. Pewnie po to, żeby wypić kolejne piwo. Wyjechałem z posesji i zatrzymałem się zaraz za bramą, tak że widać było mnie z okien domu. Myślałem o tym, czego sobie nie powiedzieliśmy, chociaż pewnie obaj się nad tym zastanawialiśmy. Ona chciała odbić w bok, on jechał za

szybko. Gdyby jechał wolniej, gdyby Janina miała więcej czasu, może by jej się udało. Może uciekłyby w ostatniej chwili. Skończyłoby się tylko na strachu lub jakimś otarciu albo wściekłym trąbieniu. Może oboje by się zatrzymali. Może by wyszedł z kabiny, podbiegł do niej i zwyzywał od najgorszych. A ona opierałaby się o kierownicę, płakała i śmiała na przemian, zastanawiając się, co jej właściwie strzeliło do głowy. Potem wróciłaby do domu, jadąc wolniej i bardziej ostrożnie niż zazwyczaj. Tylko że kierowca miał rację. To ona wjechała w niego, nie on w nią. To ona podjęła tę decyzję. Nawet jeśli ją zmieniła w ostatniej chwili, a on jechał za szybko, to ona do tego doprowadziła. I dotarło do mnie, że nie znajdę w tym miejscu niczego, co pomogłoby mi rozwikłać tajemnicę jej śmierci.

Żona mężczyzny wyłoniła się zza rogu budynku. Wciąż w kuchennym fartuchu, ale już bez ścierki. Przemaszzerowała przed maską i zapukała w okno od strony kierowcy. Przez chwilę zastanawiałem się, czy po prostu odjechać, jednak wydało mi się to wyjątkowo parszywe. Opuściłem szybę. Kobieta schyliła się i wyciągnęła w moim kierunku tak mocno, że jej głowa niemal znalazła się w kabinie.

– Mój mąż prawie nie pił – zaczęła. – To był porządny człowiek. Jeździł ciężarówką. Robił przy jabłkach. Ogarniał gospodarstwo. A teraz tylko pije i ogląda telewizję. I jeszcze faję pali. Nic więcej.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

– Pan tu przejechał, bo pan myśli, że mój mąż zabił pańską żonę. Ale to pańska żona zabiła mi męża.

– Przykro mi.

– Taaa... – Zacisnęła usta i spuściła głowę tak, że włosy na moment zasłoniły jej całą twarz. Odgarnęła je drżącą dłonią. – Niech pan już jedzie – poprosiła i wyprostowała się.

Widziałem ją jeszcze długo w lusterku wstecznym. Stała bez ruchu, kuchenny fartuch łopotał na wietrze.

Wróciłem do Warszawy, oddałem samochód do wypożyczalni, chociaż według umowy powinienem to zrobić dopiero następnego dnia, i pojechałem odebrać córkę z przedszkola.

Akurat tego dnia wewnątrz wydało mi się wyjątkowo ponure. Te wszystkie prace dzieciaków wywieszane na ścianach, kolorowe obrazki, malowanki wyklejane plasteliną, kwiatki i nieudolnie sklezione pszczołki działały na mnie przygnębiająco. Nie potrafiłem się uwolnić od myśli, że Janina nie zobaczy już żadnej pracy plastycznej naszej córki. Nie weźmie do rąk, nie będzie oglądać, a potem przesadnie chwalić z szerokim uśmiechem na twarzy.

Zapukałem do drzwi sali i nacisnąłem klamkę. Iwona bawiła się w kąciku z jakimś chłopcem, którego imienia nie pamiętałem. Siedzieli naprzeciwko siebie i podawali sobie klocki. Dziewczynka obok udawała, że przygotowuje im posiłek na zabawkowej kuchence. Oprócz nich w sali było jeszcze dwoje dzieciaków mażących coś na kolorowych kartkach.

Zanim zdążyłem zawołać córkę, zauważyła mnie przedszkolanka. Błyskawicznie wstała od biurka i podeszła.

– Możemy porozmawiać? – zapytała szeptem.

– Iwonka znowu coś zrobiła?

– Najlepiej na zewnątrz.

Wyprowadziła mnie z sali, ale zostawiła na wpół otwarte drzwi, żeby co chwilę zaglądać do dzieci.

– Powie mi pani, co się stało?

– Iwonka popchnęła Marcina.

Westchnąłem ciężko. Na samą myśl o tym, że czeka mnie kolejne spotkanie z dyrektorką i rodzicami tego dzieciaka, zrobiło mi się słabo.

– Dlaczego go popchnęła?

– Bo ją nazwał sierotką – powiedziała wychowawczyni. – Nie miał złych intencji. To było takie serdeczne. Wie pan, usłyszał o wszystkim, skojarzyło mu się z bajką i chciał ją przytulić na pocieszenie. A ona go odepchnęła.

– Coś mu się stało?

– Na szczęście nie.

– Rozmawiała już pani z jego rodzicami?

– Musiałam. Wie pan, raz, że przepisy, dwa, że gdyby sam powiedział o tym rodzicom, a oni nie dowiedzieliby się tego ode mnie...

– ...miałyby pani kłopoty.

– Tak – przyznała. – Podeszli jednak do tego z dużym zrozumieniem. Uznali, że skoro Marcinowi nic się nie stało, nie ma co drążyć sprawy.

Odczułem lekką ulgę. Przynajmniej jeden problem z głowy. Przedszkolanka zajrzała do sali.

– Powinien pan porozmawiać z córką – powiedziała, wracając.

– Oczywiście. Powiem jej, żeby nie popychała kolegów.

– Wydaje mi się, że problem jest poważniejszy.

No co ty nie powiesz – chciałem jej krzyknąć prosto w twarz. Przed chwilą straciłem żonę, a moje dzieci matkę. Oczywiście, że problem jest poważniejszy! Zamiast tego pokiwałem tylko głową.

– Jest coś jeszcze... – zaczęła ostrożnie.

– Słucham.

– Iwona... Iwonka wszystkim w przedszkolu opowiada, że jej mama nie żyje.

– Bo tak jest.

– No tak, oczywiście. Ale sam pan rozumie... – Zawiesiła głos.

– Niespecjalnie.

– W przedszkolu, w jej grupie, są przecież małe dzieci. One... One nie wiedzą takich rzeczy. Nie są przygotowane na wiadomość, że ludzie umierają.

– A moja córka była?

– Nie! Oczywiście, że nie! Ale... Dzieci są przestraszone. Zaczynają pytać o te sprawy rodziców, rodzice nie wiedzą, co im powiedzieć, a Iwonka nieustannie do tego wraca. Na przykład mówi, że ktoś musi oddać jej zabawkę, bo ona już nie ma mamy. Sytuacja robi się bardzo trudna.

– Ale moja żona naprawdę nie żyje.

– Tak, wiem. To wielkie nieszczęście, jednak...

Nie pozwoliłem jej skończyć.

– Czego pani ode mnie oczekuje? Że pójde na cmentarz, stanę nad grobem mojej żony i powiem jej: „Ej, Janina, wstawaj, kurwa! Dość tej laby! Dzieci w przedszkolu się niepokoją!”?

Popatrzyła na mnie przestraszona i od razu zrobiło mi się jej żal. Poczułem się głupio, że straciłem nad sobą panowanie.

– Przepraszam – powiedziałem, chowając twarz w dłoniach.

Potarłem policzki, aż zaczęły mnie piec. Przejęta do granic możliwości przedszkolanka stała tuż obok. Pomyślałem sobie, że po raz pierwszy jest w takiej sytuacji. Rozmowy ze świeżo upieczonymi wdowcami to nie jest coś, czego uczą na studiach z pedagogiki przedszkolnej.

– Może pani ją zawołać? – poprosiłem.

– Tak.

– Porozmawiam z nią.

– Dziękuję panu.

Zniknęła w sali. Chwilę potem wybiegła stamtąd moja córka, uśmiechnięta i radosna, jakby w jej życiu nie stało się nic złego.

Pomogłem Iwonce się ubrać. Mieliśmy jeszcze trochę czasu do powrotu Basi ze szkoły, więc zabrałem małą do pobliskiej cukierni. Nie żadnej sieciówki, tylko prowadzonej przez młode, pełne entuzjazmu dziewczyny, które sprzedawały wykwintne ciastka według francuskich przepisów i z najlepszych składników oraz lody tak zdrowe, jak to tylko możliwe, bo pozbawione sztucznych barwników i aromatów. Wymalowane na ścianach fantazyjne wzory, spirale i łuki przeobrażały się w najbardziej

charakterystyczne budynki Paryża – wieżę Eiffla czy Łuk Triumfalny. Ostatnio sporo tego typu lokali pojawiło się w Warszawie.

Dla córki zamówiłem kawałek torcika czekoladowego, dla siebie kawę. Piłem ją w milczeniu, obserwując, jak pałaszuje ciastko, i czekając, aż skończy. Wiedziałem, że wtedy będzie mieć dobry humor. Po kilku minutach przełknęła ostatni kęs i spojrzała na pełen okruszków talerzyk, a potem na mnie. Rozejrzałem się dookoła. Oprócz nas w cukierni znajdowała się tylko jedna kobieta. Siedziała w kącie i pracowała na komputerze.

– Możesz – powiedziałem szeptem do córki. – Nikt nie patrzy.

Chwyciła za talerzyk i bardzo dokładnie go wylizała. Kiedy skończyła, miała buzię całą czarną od czekolady. Uśmiechnąłem się i pogładziłem ją po policzku. Pomyślałem, że nie chcę niszczyć tej chwili, bo oboje w tym akurat momencie byliśmy szczęśliwi. Kiedy wrócimy do domu, będzie już Basia, zacznie się przygotowywanie do szkoły, kolacja, bajki i codzienny rozgardiasz, z którym tak słabo sobie radziłem. Jeśli miałem z nią porozmawiać, to właśnie nadszedł odpowiedni moment.

– Pani powiedziała mi, że popchnęłaś dzisiaj Marcina.

Uśmiech momentalnie zniknął z twarzy mojej córki. Opuściła głowę i wbiła wzrok w podłogę.

– Nie gniewam się na ciebie – ciągnąłem spokojnie najłagodniejszym tonem, na jaki było mnie stać. – Chciałbym tylko wiedzieć, dlaczego to zrobiłaś.

Nie odpowiedziała mi, czego się spodziewałem. Dałem jej chwilę. Raz jeszcze pogłaskałem po policzku, ale wtedy odsunęła się ode mnie z burknięciem.

– Popchnęłaś go, bo nazwał cię sierotką?

Powoli podniosła głowę, a potem przytaknęła.

– Dlaczego?

Zbierała się przez pół minuty do odpowiedzi.

– Bo nie jestem sierotką – powiedziała twardo.

Podrapałem się po brodzie.

– Wiesz, kto to jest sierotka? – zapytałem.

– To ktoś, kto nie ma mamy i taty. A ja mam ciebie.

– To prawda. Masz mnie.

– Więc nie jestem sierotką.

– Nie jesteś – przyznałem. – Nie powinnaś jednak popychać Marcina. Ani żadnych innych dzieci.

Pokiwała głową, ale opornie, jakbym nie przekonał jej do końca. Oparłem się o krzesło, spojrzałem smętnie na pustą już filiżankę kawy i pomyślałem, że chętnie wypiłbym kolejną. Zdawałem sobie sprawę, że to nie była dobra rozmowa. Że tak naprawdę wygłosiłem jedynie rodzicielską formułkę. Ale bałem się, że jeśli dalej będę to roztrząsał, zrobię jej tylko większą krzywdę.

– Zbierajmy się – powiedziałem, spoglądając na zegarek. – Basia niedługo wraca ze szkoły.

– Tato...

– Tak?

– Czy ty też umrzesz?

Iwona patrzyła na mnie wyczekująco, z szeroko otwartymi oczami, czujna i uważna. Przez chwilę, patrząc na nią, miałem wrażenie, że jest kilka lat starsza niż w rzeczywistości. Wiedziałem, że to ważny moment, że tak wiele zależy od tego, co jej teraz powiem. Ale wiedziałem też, że w żaden sposób nie jestem na to gotowy. Ani emocjonalnie, ani intelektualnie. I przede wszystkim cholernie się bałem. Wybrałem więc najłatwiejsze, najprostsze i najgorsze wyjście z tej sytuacji.

Skłamałem.

– Nie. Ja nie umrę.

– Ale mama umarła.

– Tak – przyznałem, bo z tym nie dało się dyskutować. – Mama umarła.

– Więc ty też możesz umrzeć.

– Nie.

– Dlaczego?

– Bo to jest tak, że tylko jeden rodzic umiera. Drugi zostaje, żeby opiekować się dziećmi, i nie może umrzeć.

– Nigdy?

– Nigdy – odparłem stanowczo, mając nadzieję, że głos mi nie zadrży.

Zmarszczyła brwi. Język pojawił się w kąciku jej warg i przypominał teraz małe zwierzątko, które samodzielnie wyruszyło na poszukiwanie przylepionych do policzków okruszków. Bałem się, że kłamstwo szyte tak grubymi nićmi to za dużo nawet jak na małą dziewczynkę.

– Wolałabym, żebyś to ty umarł, a nie mama – odezwała się po chwili.

Powinno mnie to zboleć, mniej lub bardziej. Bo nawet biorąc pod uwagę tę sytuację, wszystkie uwarunkowania emocjonalne i rozwojowe, nie ma przecież w tych słowach nic przyjemnego. Ale nie. Jedyne, co odczułem, to ulgę, że mi uwierzyła.

– Musimy już iść – powiedziałem. – Ubieraj się.

– A kupimy jeszcze ciastka?

– Ciastka? Po co ciastka? Przecież przed chwilą jadłaś ciastko.

– Na kolację – odparła z poważną miną. Wykorzystywała sytuację. Wiedziałem o tym. I nawet ona zdawała sobie sprawę, że robi coś niewłaściwego, bo kręciła głową na wszystkie strony, byle tylko nie spojrzeć mi w oczy. Nie zamierzałem jednak z nią walczyć.

– Ciastka na kolację? – udałem zdziwienie, a potem entuzjazm. – Brzmi świetnie!

Kiedy to usłyszała, najpierw uśmiechnęła się szeroko, jeszcze z lekkim niedowierzaniem, a potem podskoczyła z radości. Rzuciła już trzymaną w dłoni kurtkę z powrotem na krzesło i pobiegła w stronę lady.

– Ja wybiorę! – zawołała i przylepiła się do szyby.

Patrzyłem na to, jak wędruje od jednej strony lady do drugiej, podekscytowana i radosna, i mimowolnie się uśmiechnąłem. Pomyślałem,

że chyba jednak poszło mi całkiem nieźle.

Cały dobry humor w naszym domu zniknął w momencie, kiedy Basia wróciła ze szkoły. Ubrana na czarno, burkliwa, od razu schowała się w pokoju. Krzyczała na siostrę za każdym razem, gdy ta próbowała zachęcić ją do wspólnej zabawy. Zniknęła gdzieś dziewczynka, która poprzedniego wieczoru czytała siostrze na dobranoc tak długo, aż ta usnęła. Iwonka za trzecim razem zaczęła płakać. Wtedy ja nakrzyczałem na Basię i przytuliłem młodszą córkę. Trochę ją uspokoiłem, po czym zaproponowałem, że jej poczytam, ale nie chciała. Ciągle chlipała, ciągle była smutna, na granicy dziecięcej hysterii i wystarczyła najmniejsza drobnostka, żeby znowu zalała się łzami. Dlatego włączyłem jej bajkę, a sam zamknąłem się w sypialni i położyłem na łóżku, żeby trochę ochłonąć. Bo byłem, podobnie jak Iwona, blisko wybuchu. Wszystko wewnątrz mnie drżało, jakby każdy organ nagle zaczął żyć własnym życiem, serce waliło jak oszalałe, a ja musiałem zaciskać zęby, żeby nie zacząć wściekle ryczeć.

Mrągowo, ciąża, samobójstwo.

Chciałem coś zniszczyć.

Mrągowo, ciąża, samobójstwo.

Chciałem coś rozpierdolić.

Po pięciu minutach poszedłem do Basi. Siedziała ze skrzyżowanymi nogami na górnym łóżku, wbijała wzrok w otwartą książkę, ale wydawało mi się, że wcale nie czyta. Jej wzrok prześlizgiwał się tylko po czarnych wzorach liter.

– Wszystko w porządku? – zapytałem. Musiałem lekko zadzierać głowę, żeby spojrzeć jej w twarz.

– W porządku – mruknęła.

– Dlaczego byłaś niemila dla siostry?

– Nie byłam.

– Krzyczałaś na nią.

– No.

– Nie wolno krzyczeć na siostrę.

– To niech mi da spokój.

– Co się stało?

– Nic się nie stało.

Ta rozmowa nie miała sensu. Czułem się tak, jakbym rzucał piłeczką tenisową w ceglana ścianę. Czego bym nie zrobił, jak bym nie rzucił, piłeczka i tak do mnie wróci, a ściana będzie stać nieporuszona.

– Po prostu bądź dla niej miłsza.

– Będę.

Klepnałem dwa razy w barierę łóżka. Chwilę jeszcze tamostałem, a potem ruszyłem w stronę dużego pokoju, skąd dochodziły nas dźwięki włączonego telewizora – psi patrol wyruszał właśnie na kolejną misję.

– Tatusiu... – Jej głos zatrzymał mnie, kiedy dotarłem do drzwi.

Odwróciłem się. Basia oderwała wzrok od książki i patrzyła na mnie wyczekująco. Chciała mi coś powiedzieć. Coś ważnego. Ale nie potrafiła. Widziałem w tym spojrzeniu prośbę o pomoc, o to, żebym podsunął jej słowa, którymi wyrazi to, co w niej siedzi. Tylko że ja byłem bezradny. Nic mi nie przychodziło do głowy. Żadne słowa. Żadna rada wykraczająca poza rodzicielski banał.

– Już nic – powiedziała po chwili.

Zawiodłem ją po raz kolejny.

Wieczorem znów odprawiliśmy ten sam rytuał, niemal się do siebie nie odzywając i udając, że nie dzieje się nic złego. Kolacja. Kąpiel. Spanie. Poczytałem Iwonie, poleżałem z nią w łóżku, aż zasnęła. Basia była na górze. Miała otwarte oczy i wpatrywała się w sufit. Pocałowałem ją w czoło. Nie zareagowała.

Mrągowo, ciąża, samobójstwo.

Przygotowałem sobie kolację. Zjadłem jedną kanapkę, z trudem ją przełknąłem. Żałowałem, że nie kupiłem w ciągu dnia piwa. Chętnie bym wypił trzy lub cztery. Nawet sześć, bo w końcu nie szedłem jutro do pracy, ale nie chciałem wychodzić z domu, póki Basia nie zaśnie. Przez chwilę zastanawiałem się, czy zadzwonić do pobliskiej Żabki i poprosić ich o to, żeby za dodatkowe dwie dychy przynieśli mi zgrzewkę browaru prosto do domu.

Usłyszałem pukanie. Spojrzałem na zegarek. Minęła już dziewiąta. Nie spodziewałem się żadnych gości. Podszedłem do drzwi i zajrzałem przez wizjer. Po drugiej stronie stała moja teściowa. Natychmiast jej otworzyłem.

Wyglądała dużo gorzej niż przed pogrzebem. Jakby faktycznie postanowiła zrealizować swój plan i zatopić się w rozpacz. Była elegancką kobietą, miała styl i zawsze starała się dobrze wyglądać. Teraz miała na sobie podniszczone trampki, brudne jeansy, tak duże, że przez chwilę podejrzewałem, że należą do jej męża, i szarą dresową bluzę. Lekko przygarbiona, nieumalowana, z nieułożoną fryzurą i podkrążonymi oczami wyglądała jak stara ćpunka, która cudem przeżyła ostatnie piętnaście lat nałogu, a nie szanowana pani doktor.

– Cześć – powiedziałem. – Coś się stało?

– To ja chciałam o to zapytać – odparła cicho. – Mogę wejść?

– Tak. Jasne.

Zrobiłem jej miejsce. Przeszła przez przedpokój, zerkając w stronę pokoju dzieci.

– Dziewczynki już śpią?

– Iwona tak. Basia chyba jeszcze nie. Czy chcesz się z nią zobaczyć?

Przez chwilę się nad tym zastanawiała, a potem potrząsnęła głową.

– Nie chcę, żeby widziała mnie w takim stanie. Pójdziemy do kuchni?

Zgodziłem się. Chwilę później siedzieliśmy przy stole. zaproponowałem kawę lub herbatę, jednak nic nie chciała. Mówiła ściszym głosem, co

chwilę oglądała się przez ramię, jakby faktycznie bała się, że Basia wyjdzie z pokoju i ją zobaczy.

– Nie widzieliśmy się od pogrzebu – zaczęła. – Nie dzwoniłeś, nie dałeś znaku życia. Trochę się o was martwiłam.

– Tak, wiem. Przepraszam. – Potarłem dłonią czoło. – Dużo się działo. Nie miałem głowy... właściwie do niczego.

– Z dziewczynkami wszystko w porządku?

– Nie wiem – przyznałem szczerze i okazało się to łatwiejsze, niż się spodziewałem. – Nie wiem, czy jest w porządku. Nie wiem, jak powinno być w takiej sytuacji. Iwona dzisiaj popchnęła kolegę w przedszkolu, bo nazwał ją sierotką. Basia chodzi cały czas ubrana na czarno i ledwo się do kogokolwiek odzywa. Ale może to jest normalne w takiej chwili? Może tak powinno być? Może potrzebujemy czasu, żeby przejść przez ten etap?

– Myślałeś już o tym, żeby pójść do psychologa?

– Ja? Czy z dziewczynkami?

– I ty, i wy. W trójkę.

– Nie, nie myślałem.

– Może tego potrzebujecie. Wiesz, że to żaden wstyd. Przeszliście... Nie, przechodzicie traumę. Przyda wam się pomoc.

– Nie wiem. Może. Pomyślę o tym.

– Mogę ci znaleźć dobrego psychologa, nie żadnego szarlatana. Popytam wśród koleżanek.

– Pomyślę – powiedziałem, może trochę za ostro. Ale nie miałem ochoty chodzić na żadną terapię. Na samą myśl, że miałbym zacząć odwiedzać obcą osobę, zwierzać jej się z tajemnic, uczuć i przeżyć, aż się wzdrygnąłem. – A co u was? – zapytałem, żeby zmienić temat.

Nagle jej twarz zrobiła się jeszcze bardziej pochmurna. Jakby te wszystkie zmarszczki postanowiły się właśnie pogłębić, a skóra przybrała szarawy, niezdrowy odcień.

– O co pokłóciliście się na stypie z Henrykiem? – zapytała, mając na myśli swojego męża.

– Tak po prostu – odpowiedziałem niezgrabnie. Nie chciałem rozwijać tematu. Ona to uszanowała.

– Szuka prawnika – zaczęła po chwili. – Zastanawia się, jak ci odebrać prawa rodzicielskie.

– Co takiego?!

– Właśnie to, Maciek. Nie wiem dokładnie, co się stało, ale on uważa, że Janina zabiła się przez ciebie. To mi właśnie powiedział... – Wzięła głęboki wdech. – Czy to prawda? Popełniła samobójstwo?

Patrzyłem na nią i milczałem. Dojrzałem swoje odbicie w szybie piekarnika. Wyglądałem żałośnie. Przygarbiony, przestraszony facet z drżącą brodą.

– Spokojnie – odezwała się teściowa. – Znam prawdę. Nie zamierzam cię również męczyć pytaniami, dlaczego wcześniej mi o tym nie powiedziałeś. Chcę tylko usłyszeć to od ciebie. Czy moja córka popełniła samobójstwo?

– Tak uważa policja.

– Czy zrobiła to przez ciebie?

Poderwałem się. Zamierzałem pokazać jej drzwi, jednak zobaczyłem, jak kurczowo chwyciła się stołka, na którym siedziała, i zrozumiałem, że opuści moje mieszkanie tylko wtedy, gdy ją stąd wyniosę. A poza tym, pomyślałem, była matką Janiny. Zasługiwała na odpowiedź.

– Nie. Nie było dobrze. Ale nie było też aż tak źle.

Bardzo powoli skinęła głową, a potem uśmiechnęła się lekko, ze smutkiem i jednocześnie z ulgą.

– Tak myślałam.

Usiadłem z powrotem.

– Nie zabieraj mi dziewczynek – odezwała się po chwili. – Pomimo tego, co robi Henryk. Nie zabieraj mi ich, proszę.

– Nie miałem takiego zamiaru.

– One są wszystkim, co mi zostało. Rozumiesz?

– Chyba tak.

– Myślałam, że się rozpadnę. Po pogrzebie. Na kawałki. Nawet nie miałam nic przeciwko temu, wiesz? Jednak zawsze, kiedy jestem już tuż-tuż, myślę o dziewczynkach. Chcę do nich wrócić, być dla nich babcią, patrzeć na nie, doszukiwać się na ich twarzach rysów Janiny. Tego, co po niej zostało.

– Też tego chcę. One cię potrzebują.

– Daj mi jeszcze chwilkę – poprosiła. – Pozbieram się trochę, ogarnę i przyjdę do nich. A co do Henryka... Postaram się wybić mu ten pomysł z głowy.

– Dziękuję.

– A co poza tym?

Rozejrzałem się dookoła. Kuchnia była dość czysta. Na suszarce w dużym pokoju suszyło się pranie. Poczulem ukłucie dumy na myśl o tym, że trochę jednak udało mi się zapanować nad sytuacją. A potem opowiedziałem jej o dzisiejszym spotkaniu z kierowcą ciężarówki. Wysłuchiła mnie uważnie, nie przerywała ani słowem. W pewnym momencie, kiedy opisywałem sam ciągnik, w jej oczach zaszklily się łzy, ale powstrzymała płacz. Gdy skończyłem opowiadać, zrobiła coś niespodziewanego – roześmiała się. Takim krótkim, nieprzyjemnym, niestosownym śmiechem. Jakby ktoś przejechał papierem ściernym po szkle.

– Co w tym śmiesznego? – zapytałem, oburzony i urażony. Natychmiast przybrała poważną minę.

– Przepraszam – powiedziała. – Po prostu... Wiesz, jak to mówią, kobiety na swoich mężów wybierają mężczyzn, którzy przypominają im ojców.

– Tak – mruknąłem.

– Ty i Henryk, obaj szukacie winnego. On znalazł ciebie i stąd ta awantura z prawnikiem, te jego gniewne tyrady, te... – Przerwała i machnęła ręką. – Nie będę ci tego streszczać. Za to ty... Ty wybrałaś inną drogę. Ciągłe szukasz.

– To źle?

Nachyliła się w moją stronę, chwyciła mnie za dłoń i mocno przytrzymała.

– Zdarzyło się to, co się zdarzyło. Cokolwiek zrobisz, nic tego nie cofnie. Powinieneś się z tym pogodzić. Tak byłoby najlepiej dla ciebie. Dla dziewczynek.

– Babcia? – usłyszeliśmy za plecami.

Odwróciliśmy się. Basia stała w korytarzu. Wyraźnie widzieliśmy jej sylwetkę w świetle kuchennych lamp. Teściowa jeszcze raz ścisnęła moją dłoń, chyba po to, żeby dodać mi otuchy, po czym podeszła do Basi, przytuliła ją mocno i wyszeptała jej coś do ucha, a potem obie zniknęły w dziecięcym pokoju.

Wyszła z niego po mniej więcej kwadransie. Wykorzystałem ten czas, żeby wyskoczyć do sklepu po piwo. Kiedy wróciłem, czekała już na mnie w kuchni. Zauważyła moje zakupy, ale ich nie skomentowała. Pożegnaliśmy się krótko i wróciła do siebie.

Ja natomiast otworzyłem piwo i usiadłem przy komputerze. Wiadomość, że teść szuka prawnika, by pozbawić mnie praw rodzicielskich, mocno mną poruszyła. Zastanawiałem się, czy jego próba ma szansę powodzenia. Postanowiłem się przygotować i zacząłem szukać informacji w internecie. Najpierw na temat samego procesu odbierania praw rodzicielskich. Trafiłem na wiele odnośników do stron i forów internetowych prowadzonych przez ojców, którzy twierdzili, często w dość melodramatyczny sposób, że stracili swoje dzieci po tym, jak sąd przyznał opiekę matkom. Uznałem więc, że to nie jest mój przypadek, jednak i tak znalazłem dwóch prawników, do których mógłbym się zwrócić o pomoc.

A potem powróciła diabelska trójka – samobójstwo, ciąża, Mrągowo. Dlaczego się zabiła? Czyje dziecko nosiła w brzuchu? Co robiła w Mrągowie?

Na żadne z tych pytań nie znałem odpowiedzi. Mówiła mi, że jedzie na plan serialu. Może rzeczywiście pojechała tam dla konkurencji swojego portalu, dlatego jej szef o niczym nie wiedział. Zacząłem wpisywać

kombinacje: Mrągowo telewizja, Mrągowo serial, Mrągowo film, Mrągowo plan, jednak nie pojawił się żaden sensowny wynik.

Podrapałem się po głowie. Przyszedł mi na myśl kolejny pomysł. Janina była w końcu dziennikarką, zawsze chciała pisać na poważne tematy i może wreszcie na taki trafiła. Dlatego jeździła tam w tajemnicy – prowadziła swoje dziennikarskie śledztwo. Poczujęm, że to może być to. W ostatnich tygodniach faktycznie niewiele mówiła, sprawiała wrażenie nieobecnej, pogrążonej we własnych myślach. Tak jak wspominałem, nie przeszkadzało mi to specjalnie. Sam skupiałem się na staraniach o awans.

Potem przypomniałem sobie jeszcze jedną rzecz. Od kilku miesięcy biegała, chodziła także na aerobik w pobliskiej siłowni. Więcej czasu spędzała w łazience, zmieniała fryzurę. Szlag... Zdawała się zatopiona w myślach, często wyjeżdżała, bardziej o siebie dbała – nawet nie trzeba było tej bielizny, by domyślić się, że miała romans. Spełniała wszystkie warunki. Można by na tej podstawie zrobić internetowy test – czy twoja żona ma romans? Sprawdź z nami!

Byłem ślepy.

Byłem idiotą.

Spojrzałem na otwarte piwo i zorientowałem się, że nie upiłem nawet łyka. Pociągnąłem więc trochę i od razu się wzdrygnąłem. Nie smakowało mi. Odstawiłem butelkę z dala od komputera.

Wróciłem do poszukiwań. Otworzyłem mejla i sprawdziłem, czy szef Janiny przesłał mi dokumenty z jej komputera, tak jak obiecał, jednak nic nie znalazłem. Spróbowałem więc inaczej. Wpisałem imię i nazwisko mojej żony oraz dodałem nazwę Mrągowo. Wskoczyło kilka wyników – jako pierwszy wywiad z jakimś aktorem. Kliknąłem odruchowo, strona się uruchomiła, ale nie tego szukałem, więc już chciałem ją zamknąć, kiedy nagle zobaczyłem zdjęcie. Miałem przed sobą twarz mężczyzny z pogrzebu. Tego przystojnego faceta o kędzierzawych włosach, w modnych okularach. Wiedziałem, że skądś go kojarzę. Kamil Wojnar. Tak się nazywał. Wystąpił w kilku filmach na początku lat dwutysięcznych. Potem skupił się na karierze teatralnej, ale nie z powodu braku propozycji.

Był rozchwytywany i równocześnie bardzo kapryśny. Starannie wybierał role, bo – jak twierdził w wywiadzie – nauczył się już, że nazwisko ma się tylko jedno. Poza tym po szalonych latach na początku nowego tysiąclecia postanowił zwolnić obroty. Wyjechał z Warszawy i zamieszkał w małej wiosce, Stare Wilcze, niedaleko Mrągowa.

Przeszedł mnie dreszcz. Sprawdziłem datę wywiadu. Udzielił go mojej żonie niecały rok temu.

Popatrzyłem na jego zdjęcie. Przeczytałem jeszcze raz – Stare Wilcze, niedaleko Mrągowa.

Właśnie poznałem odpowiedź przynajmniej na część moich pytań.

STARE WILCZE

– Co takiego?!

Renata popatrzyła na mnie z niedowierzaniem znad filiżanki z kawą.

– Chciałem pożyczyć od ciebie samochód i poprosić, żebyś zaopiekowała się przez dwa dni dziewczynkami.

– To słyszałam. Ale po co chcesz jechać na Mazury?!

Pomasowałem się po czole. Czułem się przerażająco zmęczony. Iwonka znowu się obudziła z płaczem w środku nocy. Płakała i wołała mamę. Przeniosłem ją do łóżka w sypialni. Przytulałem, gładziłem po pleckach, nuciłem kołysanki, ale ona nie przestawała płakać. Nie potrafiłem jej uspokoić, jednak najgorsze było to, że w pewnym momencie poczucie bezradności przeobraziło się w gniew. W mojej głowie pojawiły się myśli, że ona robi to specjalnie. Tylko po to, żeby zrobić mi na złość albo mnie ukarać. Sam już nie wiedziałem dlaczego. Nawet nie próbowałem się ich pozbyć. Wracałem do nich kompulsywnie raz po raz, zanurzając się w tych głupich myślach jak w truciźnie aż po sam czubek głowy. Oszalałamiły mnie zupełnie, niczym alkohol albo narkotyk. Chciałem krzyczeć na Iwonę, wrzeszczeć na nią, by w końcu się zamknęła, potrząsać nią mocno, żeby zaczęła zwracać na mnie uwagę.

Powstrzymałem się, oczywiście. Nie zrobiłem żadnej z tych rzeczy. Trzymałem ją w ramionach, tuliłem, głaskałem, nuciłem kołysanki, aż w końcu oboje padliśmy zupełnie wyczerpani. I właśnie także dlatego chciałem wyjechać. Bałem się, że jeśli to się powtórzy, w końcu ulegnę tym wściekłym podszeptom.

– Myślę, że miała romans z tym aktorem. Chcę się z nim spotkać. Porozmawiać.

– Po co?

– Bo to z nim zaszła w ciążę.

– Co takiego?!

– Była w trzecim miesiącu.

Podniosła dłoń do ust, a potem opuściła ją z impetem na stolik, aż podskoczyły nasze filiżanki.

– Nie możesz tak robić – warknęła.

– Czego nie mogę?

– Nie możesz przychodzić do mnie i ot tak, bez zapowiedzi wrzucać takiej bomby na temat Janiny. Nie możesz!

– Bo co? – zapytałem drwiąco. – Zniszczę ci ten cudowny obraz cudownej przyjaciółki? Nie była taka. Miała romans z innym mężczyzną. Ten facet zrobił jej dziecko. Taka właśnie była Janina. Przykro mi.

– Wiesz co...

– Pożyczysz mi ten samochód?! – przerwałem jej ostro. – Zajmiesz się dziewczynkami?

Nabrała głęboko powietrza. Przez kilkanaście sekund przyglądała mi się tak, jakby widziała mnie po raz pierwszy w życiu. Pomyślałem, że źle to wszystko rozegrałem, że zupełnie inaczej powinienem był poprowadzić tę rozmowę i że Renata miała rację. Należały jej się przeprosiny. Ale nie zamierzałem jej przeproszać. Byłem zmęczony, niewyspany i zły.

– Skąd wiesz, że to nie twoje dziecko?

– Nie mogło być – stwierdziłem.

Zrozumiała.

– A jeśli nie?

– Co jeśli nie?

– Jeśli to jedna wielka bzdura – powiedziała ostro. – Dlatego że robiła wywiad z tym aktorem, który mieszka na Mazurach, a tam doszło do wypadku, wbiłeś sobie do głowy, że musiała mieć z nim romans.

– Przyszedł też na pogrzeb.

– Bo zrobiła z nim wywiad.

– Uhm... Zrobiła wywiady z wieloma aktorami i muzykami. Zgadnij, ilu z nich przyszło na jej pogrzeb. – Podniosłem w górę palec wskazujący. – Tylko on.

– To jeszcze nic nie znaczy. A jeśli to nie on był ojcem? Jeśli to ktoś inny?

– Kto?

– Chociażby kolega z pracy – powiedziała.

Sięgnęła po filiżankę, wypła łyk kawy, a potem skrzywiła się, jakby zaraz miała ją wypluć. Z trudem przełknęła.

– Po co my w ogóle o tym rozmawiamy? – zapytała.

Odchyliłem się na krzesło. Siedzieliśmy w jednej z sieciowych kawiarni, ale o moim stanie rozkojarzenia niech świadczy fakt, że nie potrafiłem nawet powiedzieć w której. W każdym razie, blisko pracy Renaty. Z powodu dość wczesnej pory oprócz nas siedziało tam tylko kilka osób. Zajęliśmy stolik w kącie, na samym końcu sali, mieliśmy więc względny spokój. Dochodziły do nas jedynie szmery rozmów prowadzonych przy innych stołach i szum ekspresu do kawy.

– Kogo z jej pracy masz na myśli?

– Czy to zmieni cokolwiek?

– Opowiadała ci o kimś?

– Nigdy.

– Niekoniecznie o romansie. Może ktoś jej się podobał?

– Tak. Takie rzeczy się zdarzały.

– Naprawdę?

– A tobie nigdy nie spodobała się żadna nowa współpracownica? Jakaś stażystka, która trafiła do was prosto po studiach?

– Nie na tyle, żeby opowiadać o tym kumplowi.

– Jesteś pewien? Nigdy w żadnym barze nie powiedziałeś o żadnej dziewczynie, że niezła z niej dupa? Albo że ma fajne cycki? Albo że gdybyś nie miał żony, to chętnie byś do niej wystartował?

Nic jej nie odpowiedziałem. Renata odsunęła od siebie filiżankę z kawą. Odwróciła głowę i splotła ramiona na piersiach w obronnym geście.

– Stało się, co się stało – powiedziała cicho. – Po co dalej się tym zajmować?

– Brzmisz teraz jak jej matka.

– Mądra kobieta.

– Ty na moim miejscu nie chciałabyś wiedzieć, co naprawdę się wydarzyło?

Przysunęła się do mnie odrobinę. Nachyliła się w taki sposób, że widziałem jej dekolt, ciemną kreskę pomiędzy pełnymi piersiami i beżowy materiał stanika. Uciekłem wzrokiem w bok.

– A jeśli naprawdę miała romans z tym aktorem? Co ci to da, że się upewnisz? Co ci to da, jeśli się dowiesz, że to było jego dziecko?

Wzruszyłem ramionami.

– No właśnie – stwierdziła gorzko.

Przez chwilę nic nie mówiliśmy. Dwie filiżanki stały pomiędzy nami, powoli stygła w nich kawa. Zaczęło mi się kręcić w głowie. Musiałem się oprzeć o blat, bo bałem się, że zaraz wyrznię w niego czołem.

– Ale wiem, co się wydarzy, jeśli tam nie pojedę – odezwałem się.

– Co takiego?

– Oszaleję.

Renata zmarszczyła brwi, a potem bardzo powoli skinęła głową. Bez entuzjazmu. Raczej z rozczarowaniem i zmęczeniem, choć także ze świadomością, że żadne słowa nie są w stanie mnie powstrzymać.

– Dlaczego nie oddasz dzieci teściowej? – zapytała.

– Wczoraj nie wyglądała najlepiej. Poza tym nie wiem, co im teść naopowiada, kiedy mnie nie będzie. Wolałbym, wiesz, żeby czekały na mnie u kogoś, komu ufam.

– Ależ ty pierdolisz.

Uśmiechnąłem się lekko.

– Taka prawda.

Sięgnęła po filiżankę. Tym razem wypła kawę już bez krzywienia się.

– Kiedy je przywieziesz? – zapytała.

– Im wcześniej, tym lepiej.

Zerknęła na zegarek. Pomyślała chwilę.

– Koło czwartej?

– Byłoby świetnie. Dziękuję, Renata.

Wstałem od stolika i sięgnąłem po swoją kurtkę. Chciałem coś jeszcze powiedzieć, ale nic nie przychodziło mi do głowy. To głupie, jak w takich prostych sytuacjach brakuje człowiekowi słów.

Wróciłem do domu, spakowałem dziewczynki, po czym poszedłem odebrać je ze szkoły i przedszkola. Basia była zaskoczona moją obecnością, Iwona nawet się ucieszyła. Poinformowałem przedszkolankę, że przez najbliższe dni moją córkę odprowadzać i przyprowadzać będzie Renata. Pani zapisała to w swoim notatniku, a potem powiedziała mi, że Iwonka przeprosiła chłopca, którego popchnęła poprzedniego dnia.

– To chyba dobrze, prawda? – zapytała.

– Chyba tak – zgodziłem się grzecznie.

W domu wytłumaczyłem dziewczynkom, że na dwa, trzy dni zamieszkają u cioci Renaty, bo ja muszę wyjechać w delegację.

– Tak jak mama? – W szeroko otwartych oczach Iwonki dostrzegłem strach.

– Nie. Nie tak jak mama – skłamałem. – Inaczej.

– Jak to inaczej?

– Eee... Po prostu. Inaczej.

– Nie będziesz mieć wypadku?

– Na pewno nie.

– Skąd wiesz?

– Bo będę jechał takim specjalnym samochodem z takimi specjalnymi systemami, żeby nie mieć wypadków.

– A dlaczego samochód mamy nie miał takich systemów?

Usłyszałem w jej głosie wyrzut. Jeszcze niesprecyzowany, bo nie wiedziała, kogo powinna obarczać winą. Mnie? Producenta auta? Kogoś jeszcze innego? Patrzyła na mnie z nadzieją, że pomogę jej rozwiązać tę zagadkę. I nagle zrozumiałem, z czego wynikało to całe bicie, popychanie, może nawet nocny płacz. Ona po prostu też chciała mieć kogoś, na kogo mogłaby się wściec. Szukałem więc w głowie kolejnego kłamstwa, które równocześnie zaspokoiłoby tę potrzebę i ukoilo moją córkę, ale coraz bardziej obawiałem się, że z tej sytuacji nie ma dobrego wyjścia. Że cokolwiek powiem, doprowadzi to do kolejnego pytania i jeszcze kolejnego, aż w końcu pęknę pod ich ciężarem, a ta cała stawiana z kłamstw budowla zawali się na nasze głowy. Na szczęście uratowała mnie Basia, delikatnie szarpiąc siostrę za rękaw.

– Chodź – powiedziała. – Pójdziemy sprawdzić, czy tatuś spakował wszystkie twoje pluszaki.

Wizja kilku dni bez ulubionego misia czy innej przytulanki okazała się najwyraźniej tak przerażająca, że Iwona popędziła od razu do swojego pokoju. Spędziła tam z Basią blisko kwadrans. Po tym czasie okazało się, że oprócz pluszaków trzeba koniecznie zabrać kilka książeczek i mnóstwo zabawek. Na to wszystko potrzebowałem dodatkowej torby. Basia natomiast do przygotowanych przeze mnie rzeczy dorzuciła jedynie przybory szkolne i kilka nowych czarnych ciuchów z szafy.

Zdążyłem dać im jeszcze coś do jedzenia. Zapakowaliśmy się do taksówki i u Renaty zjawiliśmy się pięć po czwartej. Przywitała nas w drzwiach, zaprowadziła dziewczynki do jednego z pokoi, pokazała im, gdzie będą spać, a potem wróciła do mnie z kluczami od samochodu i dowodem rejestracyjnym.

– Będę je rozpuszczać słodyczami i bajkami – powiedziała.

– Należy im się.

– Będą oglądać telewizję tak długo, jak tylko zechcą.

Jakby w domu ostatnio robiły coś innego, pomyślałem.

– Byle nie filmy dla dorosłych – spróbowałem zażartować.

– A jeśli jutro nie będą chciały iść do szkoły lub przedszkola, to nie pójda.

– Dobrze.

Wcisnęła mi dokumenty i kluczyki do ręki. Poszedłem pożegnać się z dziewczynkami. Zdążyły już włączyć telewizję, ale oglądała tylko Iwona. Basia siedziała w kącie w wielkim skórzanym fotelu i z poważną miną, zbyt poważną jak na swój wiek, przeglądała album z renesansowym malarstwem. Pocałowałem je obie w czoło i wyszedłem szybko z mieszkania. Nie było sensu tego przedłużać. Z Renatą tylko skinęliśmy sobie głowami.

– Maciek – rzuciła w ostatniej chwili, tuż przed zamknięciem drzwi.

– Tak?

– Mam nadzieję, że nie będziesz tego żałować.

– Nie będę – powiedziałem. – Nic nie będzie gorsze od tego, co jest teraz.

Oczywiście, jak wkrótce miało się okazać, bardzo się pomyliłem.

Na miejsce dojechałem trochę przed dwudziestą pierwszą. Z trudem odnalazłem cel mojej podróży. Nawet Google miał problemy. Żeby tam dotrzeć, musiałem odbić z Mrągowa na północ, a potem pokonać trzydzieści kilometrów wąskiej, krętej drogi wiodącej pomiędzy lasami, wzgórzami, wioskami i jeziorami. Pewnie w innych okolicznościach zachwyciłbym się krajobrazem. Teraz chciałem już tylko być na miejscu.

Stare Wilcze okazało się niewielką miejsciną. Wzdłuż jezdni ciągnęły się rzędami jednorodzinne domy. Były tam gigantyczne szare peerelowskie klocki, w których mieszkało kilka pokoleń, o czym świadczyły porozrzucane po podwórkach zabawki i wepchnięte w kąty posesji trampoliny. Były eleganckie, świeżo wyremontowane domy w pastelowych kolorach, przed którymi stały całkiem niezłe samochody, najczęściej terenowe. Właściciel jednego z takich domów ozdobił sobie płot reklamami zagranicznych piw takich marek jak Foster czy Stella Artois. I wreszcie były również drewniane budy sprzed dziesięcioleci, małe, parterowe, niektóre odmalowane, większość jednak nie. Jedyna boczna droga prowadziła do niewielkiego osiedla złożonego z trzech niskich, dwupiętrowych bloków. Pomędzy nimi suszyło się pranie, a dzieciaki bawiły się jak za dawnych lat, pomimo późnej pory i wiosennego chłodu, szalejąc na trzepaku. Nad tym wszystkim zaś górowała ceglana, strzelista sylwetka kościoła na wzgórzu.

Przejechałem wioskę z jednej strony na drugą, a potem zawróciłem i zatrzymałem się niedaleko przystanku autobusowego. Stukałem palcami w kierownicę i zastanawiałem się, co powinienem teraz zrobić. Nie miałem zielonego pojęcia, gdzie dokładnie mieszka Wojnar. W wywiadzie mówił tylko tyle, że w okolicy. Co oznaczało, że równie dobrze może mieszkać

gdzieś pod wsią. Jak miałbym go znaleźć? Nic nie przychodziło mi do głowy.

Przez chwilę zastanawiałem się, czy pojechać do Mrągowa. Było jeszcze przed sezonem. Powinienem bez trudu znaleźć pokój w rozsądnej cenie w jakimś sensownym hoteliku i wrócić następnego dnia z samego rana, żeby znowu szukać.

Wracając tą samą drogą, niedaleko kościoła zobaczyłem kierunkowskaz z napisem „Gospoda pod Lipami”. Skręciłem w tamtą stronę. Pomyślałem, że może tam uda się wynająć pokój. Wtedy nie będę musiał jeździć do Mrągowa i z powrotem. Zaoszczędzę czas i paliwo.

Minąłem kościół, a potem kilka domów. Droga się zwężała. Wkrótce skończył się asfalt i przejechałem jeszcze dwieście metrów szutrową drogą pomiędzy polami. Przede mną, na niewielkim wzniesieniu znajdowała się gospoda oświetlona kilkoma lampami. Jednopiętrowy budynek, niedawno zbudowany albo przynajmniej odnowiony, miał białe ściany, dach kryty strzechą i drewniane okiennice, ozdobione fantazyjnymi malunkami kwiatów, kur, kogutów i innymi ludowymi motywami. Niedaleko zauważyłem drugi budynek, dwupiętrowy, ale ciągle w budowie. Wokół niego wyrosły rusztowania, z których zwisały, łopocząc na wietrze, płyty folii. A na całym podwórku można było znaleźć przypominające płatki śniegu kulki styropianu. Nad tym wszystkim zaś górowało kilka masywnych lip o potężnych, grubych konarach. Być może największych, jakie w życiu widziałem.

Na parkingu stały jeszcze dwa samochody. Zaparkowałem obok nich i wysiadłem z auta. Z gospody dochodziły mnie dźwięki lekkiej popowej muzyki, jakaś składanka najpopularniejszych polskich przebojów z ostatnich pięciu lat.

Wnętrze wyglądało tak, jakby właściciele nie potrafili się zdecydować, w jakim powinno być stylu. Za filary robiły lekko poskręcane, sękaty pnie drzew, oczywiście okorowane i polakierowane. Na pobielonych ścianach widniały podobne motywy ludowe co na okiennicach, ale już sam bar sprawiał wrażenie wyjętego żywca z jakiejś knajpy pod Dworcem

Centralnym w Warszawie. Drewniany, pomalowany na ciemny kolor i poobijany ozdabiały etykiety alkoholi i metalowe tabliczki, które głosiły, że „Osobom nieletnim i nietrzeźwym alkoholu nie podajemy” oraz „Czasami najlepszym wyjściem jest wyjście na piwo”, a „Kobieta jest jak prąd, czasami kopnie, czasami popieści”. Do tego stojąca pod jedną ścianą tarcza do rzutków i maszyna do karaoke pod drugą. Dostrzegłem też drzwi prowadzące do innej, wyciemnionej teraz sali.

W gospodzie oprócz mnie było jeszcze dwóch starszych mężczyzn w flanelowych koszulach i brudnych spodniach – chyba miejscowi rolnicy po dniu ciężkiej pracy przyszli na kilka piw – a także czworo młodych ludzi, dwóch chłopaków i dwie dziewczyny. Oni pili piwo, one jakieś drinki. Pomiedzy nimi na stole leżała paczka papierosów.

Podszedłem do baru. Musiałem chwilę poczekać, zanim z kuchni wyłoniła się barmanka w czarnej bluzce na ramiączkach. Miała trochę ponad dwadzieścia lat i wyglądała na zmęczoną. Blondynka z włosami sięgającymi do ramion, o bardzo ładnych oczach, zielonych, lekko tylko pomalowanych. Zasnuwająca je mgła sprawiała, że wyglądały, jakby należały do osoby znacznie starszej. Dziewczyna wytarła dłonie w szmatkę, którą zaraz odrzuciła gdzieś na bok. Zauważyła mnie, na chwilę przystanęła zaskoczona. Najwyraźniej nie spodziewała się tego wieczoru już więcej gości, a na pewno nie takich spoza wsi.

– Dobry wieczór – powiedziała.

– Dobry wieczór.

– Co podać?

– Właściwie to chciałem zapytać, czy macie wolne pokoje.

Pokręciła przecząco głową.

– Hotel dopiero się buduje – dodała.

– Jasne, a gdzie indziej mogę się przespać?

Wydeła policzki, przewróciła oczami, żeby wreszcie wykrzywić twarz w czymś, co przypominało trochę przepaszający uśmiech.

– U nas? O tej porze roku? Raczej nie.

– Jasne.

Odwróciłem się i oparłem o bar. Jeden z młodych chłopaków właśnie wychodził z gospody. Trzymał w ustach papierosa, a w dłoni telefon komórkowy. Wpatrywał się w ekran.

– Patrz pod nogi, cobyś się nie wypierdolił, a nie w to światełko – rzucił za nim jeden ze starszych mężczyzn. Jego kompan się zaśmiał.

– Patrzę, patrzę – odpowiedział chłopak.

Nagle przystanął, obrócił się do nas i spojrzał przeciągle na barmankę. Ta uciekła wzrokiem w bok.

– Anka! – zawołał. – Anka!

– Co? – odkrzyknęła niechętnie barmanka.

– Będziesz grzecznutka taka i jak wrócę, to niech piwko na mnie czeka, nie? Ale takie zimniutki.

Dziewczyna przewróciła oczami.

– Będzie piwko?

– A zapłacisz?

Chłopak wycelował do niej palcem, wyszczerzył zęby, a potem zniknął na dworze.

– Mogę coś zjeść? – zapytałem, bo uświadomiłem sobie, że nie jadłem nic od śniadania.

– Przepraszam, ale kuchnia już zamknięta.

– Naprawdę nic nie dostanę?

Barmanka obróciła się, zerknęła na bar.

– Mam chipsy, jakieś paluszki, orzeszki.

Machnąłem ręką.

– Bardzo mi przykro – powiedziała.

– No mnie też – mruknąłem.

Jeden ze starszych mężczyzn skończył swoje piwo. Podniósł się ze stęknieniem od stolika, wziął kufel i podszedł do baru.

– Jeszcze jeden zestaw, dobrze, Aneczko?

– Robi się, panie Radku.

Wzięła kufel, chciała go włożyć do zmywarki i wziąć czysty, kiedy mężczyzna ją powstrzymał.

– W tym samym, w tym samym, Aneczko. No przecież po sobie to ja się nie będę brzydzić.

– Ale ja mogę podać w czystym.

– No nie wygłupiaj się.

– Jak pan sobie życzy, panie Radku.

Nalała mężczyźnie piwa, potem sięgnęła po mniejszy kieliszek do wódki i po butelkę wyborowej. Nalała do pełna.

– Będzie z górką – ostrzegła.

– A Bóg ci zapłać, Aneczko! – powiedział mężczyzna. – A powiedz mi jeszcze, co u mamy?

– Po staremu. Kula się jakoś.

– A na tą rehabilitację to się dostała, co się starała?

– Gdzieś utknęły papiery w urzędzie. Ale to może i dobrze, panie Radku.

– A dlaczego to?

– Bo kto ją będzie na te zabiegi woził? Ja mam przecież pracę, a te zabiegi to trwają po kilka godzin. Nie zawsze da się tak ułożyć, żeby ją zawieźć, a potem przywieźć i zdążyć do roboty. A trzeba jeszcze Franka odstawić do szkoły i zabrać po lekcjach.

Mężczyzna przez chwilę kiwał z namysłem głową. Potem nachylił się nad kieliszkiem. Wypił nadmiar wódki.

– A nie ma nikogo, kto by wam mógł pomóc?

Dziewczyna rozłożyła bezradnie ręce.

– Pan wie, jak jest, panie Radosławie.

– Nic się nie da załatwić. Może jest jakiś bus z urzędu albo coś takiego?

– Nic nie ma. Już pytałam. Twierdzą, że mamy blisko, a poza tym autobus jeździ. Jak ja mamę do tego autobusu wpakuję? Przecież ona sama z niego nie wysiądzie!

– Też prawda – mruknął mężczyzna. Po raz kolejny sięgnął po kieliszek. Tym razem opróżnił cały i otarł usta rękawem. – Kurwa, przydałby się tutaj ktoś, to by to wszystko rozruszał. Poszedł raz, drugi, awanturę w urzędzie zrobił. Takie proste rzeczy dla ludzi pozałatwiał.

– No ale kto? Sołtys?

– Sołtys jest dupa. Siedzi i nic nie robi. – Nagle zaczął pstrykać palcami.

– Wiesz, Aneczko, kto mógłby awanturę tutaj zrobić?

– Kto?

– Ten aktor. Kurwa, siedzi tutaj, w wywiadach opowiada, jak tu jest pięknie, to by mógł, kurwa, dla ludzi coś zrobić. Nie wiem, telewizję tutaj sprowadzić. Zaraz by te kurwiszcza z urzędu limuzynę po twoją mamę przysłały.

Barmanka roześmiała się głośno. Przysunąłem się trochę bliżej, żeby lepiej słyszeć ich rozmowę.

– Ale on tylko na dupie siedzi – mruknął mężczyzna. – Chuj wie, co on tam robi.

– Może odpoczywa?

– Po czym? Przecież on prawie nie gra. W żadnym serialu go nie widziałem, a moja stara to chyba wszystkie ogląda. I *Koronę...*, *M jak miłość* i *Na Wspólnej*. Zresztą nawet jakby grał, to czym miałyby się zmęczyć? To nie jest prawdziwa praca przecież. Popracowałyby chwilę w polu, pojeździł traktorem nawet, to miałyby po czym odpoczywać. A tak, szkoda gadać. Pomógłby, mówię ci, Aneczko. Pomógłby, tylko się chujowi nie chce.

W tym momencie jego kompan zaczął do niego machać ręką. Mężczyzna chwycił za kufel i lekko chwiejnym krokiem wrócił do stolika. Barmanka odetchnęła. Poprawiła włosy i zabrała się do układania brudnych kufli w zmywarce.

– Przepraszam – rzuciłem, nachylając się nad barem.

Wyprostowała się, niezadowolona, że jej przerywam. Przez chwilę stała plecami do mnie, potem odwróciła się ze sztucznym, wymuszonym

uśmiechem.

– Tak?

– Przepraszam, że podsłuchiwałem – powiedziałem i mimowolnie skuliłem się pod jej pełnym niechęci spojrzeniem. – Ale wy, państwo, mówiliście o Kamilu Wojnarze?

– No.

– Pani wie, gdzie on mieszka?

Zmarszczyła brwi.

– A czemu pan pyta? – zapytała.

– Bo jestem dziennikarzem – skłamałem. Akurat tę część miałem przećwiczoną. Wymyśliłem całą historyjkę w drodze do Mrągowa. – Przyjechałem zrobić wywiad z panem Wojnarem, ale powiedział mi tylko, że mam przyjechać do Starych Wilczych, a stąd to on mnie już pokieruje.

– I nie pokierował pana?

– No nie. Dzwoniłem do niego i nie odbiera. Nie wiem... Telefon mu się rozładował albo coś takiego.

Starąłem się mówić swobodnie i spokojnie. Nie gestykulowałem przesadnie, a na koniec zrobiłem kwaśną minę, jaką mógłby mieć facet, który przejechał taki kawał z Warszawy, żeby zrobić wywiad, i nagle trafił głową w mur. Dziewczyna przyglądała mi się uważnie i nie potrafiłem się pozbyć wrażenia, że nie wierzy w ani jedno moje słowo.

– No tak – powiedziała po chwili. – To do niego podobne.

Nie potrafiłem ukryć zaskoczenia.

– Naprawdę?

– No. To dziwny facet. Prawie się u nas nie pokazuje. Czasami przyjdzie na piwo, z nikim słowa nie zamieni. Ale najczęściej to siedzi u siebie. Tylko zakupy robi, i tyle.

– To pani wie, gdzie on mieszka?

– A teraz chce pan do niego jechać?

Wzruszyłem ramionami. Ona odpowiedziała mi tym samym gestem i nagle się uśmiechnęła. Tym razem jednak szczerze. Pomyślałem wtedy, że jest bardzo ładna.

– Dobra. To musi pan jechać dalej główną drogą. Nie w stronę Mrągowa, ale drugą. Tam zaraz przed lasem, po mniej więcej pięciuset metrach trzeba skręcić w taką leśną dróżkę i nią jechać aż do przecinki i tam skręcić... – Przerwała na moment. Zastanowiła się nad czymś. – Wie pan, ja to panu narysuję.

Sięgnęła po jedną z chusteczek, wyjęła spod baru długopis i przygotowała mi prostą mapkę.

– To jest nad jeziorem na takim jakby cyplu. Tam są trzy domy. Jego jest najbardziej po lewej. W sensie, że tak jakby najbliżej nas, nie? – powiedziała, wręczając mi mapkę.

– Okej. Dziękuję.

– To udanego wywiadu.

– Mam nadzieję, że taki będzie.

Pożegnałem się i wyszedłem z gospody.

Na zewnątrz spotkałem chłopaka, który wyszedł kilka chwil temu. Krążył po parkingu, lekko przygarbiony, wściekle paląc papierosa i kopiać leżące przed nim kamyki. Był z pięć centymetrów wyższy ode mnie, tak szczupły i żyłasty, że luźno zwisający z niego tiszert sprawiał wrażenie o dwa numery za dużego. Oczy miał głęboko osadzone, tak że teraz, w ciemności, ledwo dało się je dostrzec. Rozmawiał przez telefon, zaciskając na nim palce, jakby chciał go zmiażdżyć.

– Ale chuj mnie to obchodzi! – krzyczał. – Załatwiłem, kurwa, ma być zapłacone! Jak mu to zajebali ludzie Cichego, to ja mam to w dupie, bo załatwiłem to dla niego, a nie dla Cichego. Hajs ma się, kurwa, zgadzać, bo jak nie, to ja tam przyjadę i się skończy dzień dobroci dla zwierząt. Serio, powiedz temu kutasowi, że nie chce, żebym przyjechał do niego podkurwiony. Jasne?! Jasne! No to ciao.

Rozłączył się. Zaklął pod nosem i nagle mnie zauważył. Zrobił krok w moją stronę. Teraz mogłem lepiej mu się przyjrzeć. Był nawet przystojny. Miał symetryczną twarz, ostre rysy i krótko obcięte ciemne włosy.

– Co jest? – rzucił agresywnym tonem.

– Nic.

– No ja myślę, że, kurwa, nic.

Minąłem go bez słowa. Wyjąłem kluczyki z kieszeni, nacisnąłem przycisk pilota i otworzyłem samochód.

– Te! – zawołał za mną chłopak.

Odwróciłem się. Wskazywał na kię Renaty.

– Twój wózek?

– Pożyczony.

– Fajny.

– Ano.

– Co to jest, bo nie widzę?

– Kia.

– Kia? – powtórzył z niedowierzaniem i splunął w bok. – Kie są przecież chujowe.

Wzruszyłem ramionami w odpowiedzi i wsiadłem do środka. Uruchomiłem silnik. Położyłem mapkę od barmanki na desce przed sobą i ruszyłem. Tymczasem żyłasty chłopak, wciąż kopiąc kamienie, spokojnie wracał do gospody.

Droga do domu Wojnara zajęła mi więcej czasu, niż sądziłem. Nawet z pomocą mapki od barmanki nie było łatwo. Na leśnej drodze, wąskiej i pełnej wertepów, nisko zawieszzone gałęzie szurały po dachu, a w panujących wokół ciemnościach widziałem jedynie obszar oświetlony samochodowymi lampami. Wydawało mi się, że jadę przez ten las godzinami, chociaż według zegarka od czasu opuszczenia gospody nie minęło nawet dwadzieścia minut.

Aż wreszcie, pomiędzy pniami drzew, których czarne linie przypominały teraz więzienne kraty, dostrzegłem ciemną taflę jeziora.

Dom Wojnara znajdował się nieopodal, tuż za zakrętem prowadzącym na sporej wielkości cypel. Stały na nim trzy domy. Po opowieści barmanki sądziłem, że tworzą one zwartą kolonię, jeden obok drugiego, jak na warszawskim osiedlu. Tymczasem wyglądało to tak, jakby każdy z nich został wybudowany osobno i niezależnie od innych. Jakby ich właściciele wzajemnie ignorowali swoje istnienie. Każdy znajdował się w dość dużej odległości od pozostałych, działki zaś przegrodzono gęstymi liniami drzew, żywopłotów i zwykłych krzewów.

Zaparkowałem samochód naprzeciwko bramy wjazdowej na posesję Wojnara, pomiędzy drzewami, żeby nie blokować drogi, i wysiadłem. Odetchnąłem chłodnym, wiosennym powietrzem. Panowała tu cisza. Nienormalny wręcz spokój. Żadnych hałasów, żadnego szumu aut, żadnych ludzi, żadnych dźwięków dobiegających z telewizora, puszczonej z przenośnych głośników muzyki, właścicieli nawołujących swoje psy i pijaków pokrzykujących do kompanów. Nic. Kiedy wreszcie jakiś ptak po drugiej stronie jeziora wydarł się tak, jakby ktoś właśnie wyrywał mu pióra z kupra, przyjąłem to z wdzięcznością.

Posesja Wojnara była dość duża, sięgała samego jeziora, ale zaniedbana. Jakby zupełnie nie obchodziło go, jak się prezentuje. Znajdowała się tu spora szopa, całkiem solidna, podmurowana, prawdopodobnie służąca za garaż, i dom, którego ściany pokrywał gęsto bluszcz. Spomiędzy liści w kilku miejscach wystawała czerwona cegła. Dom wyglądał na niedawno wyremontowany, przynajmniej na tyle, na ile mogłem to ocenić z tej odległości i w nocy. Patrząc na niego, po raz pierwszy podczas tej wyprawy poczułem w sercu wątpliwość. Po prostu nie potrafiłem wyobrazić sobie mojej żony w takim miejscu. Janina, wierna córka wielkiego miasta, wychowała się w Warszawie. W przeciwieństwie do wielu warszawiaków nie odczuwała tęsknoty za życiem na jakiejś wyidealizowanej wsi. Rozmawialiśmy o tym kilka razy. Nie mieściło jej się w głowie, że można mieszkać gdzieś, gdzie wszędzie jest daleko, gdzie wszędzie trzeba jeździć samochodem, a w dodatku nic dookoła się nie dzieje. Jej ideałem była okolica z Żabką pod blokiem, Lidlem lub Biedronką w zasięgu dziesięciominutowego spaceru i galerią handlową z multiplexem co najwyżej pół godziny jazdy samochodem od domu. Nawet wakacji nie chciała spędzać na wsi. Wraz z końcem studiów zginęła w niej chęć do zbierania turystycznych wrażeń. Miało być cywilizowanie – żadnych przygód na łonie przyrody, gdzie trzeba walczyć z komarami i innym robactwem, żadnej agroturystyki, gdzie główną atrakcją są świnki i złośliwe kozy, żadnych romantycznych wędrówek i noclegów na kempingach, gdzie trzeba dzielić z obcymi ludźmi kuchnię i łazienkę. Miał być porządny hotel z restauracją, basenem i najlepiej spa. W grę wchodziło też all inclusive na greckich wyspach lub inne przyjęte przez warszawską klasę średnią cywilizowane formy spędzania urlopu w klimatyzowanych pokojach. I tak właśnie robiliśmy, jeśli tylko mogliśmy sobie na to pozwolić. A tutaj? Okolice była ładna, ale to dzicz – daleko do najbliższej wsi, poza tym Stare Wilcze wyglądały, jak wyglądały. Dom, chociaż zadbane, zapewne ogrzewało się, paląc w kominku, co nie gwarantowało ciepłej wody pod prysznicem. To nie było miejsce dla Janiny.

Przez moment chciałem po prostu wsiąść z powrotem do samochodu i odjechać. Poczuję spokój, który wynikał z pewności, że moja żona

nigdy nie postawiłaby tu nogi. Nawet gdyby ten aktor jej się podobał, nawet gdyby się w nim zakochała i przyjechała do niego, to gdyby tylko zobaczyła tę okolicę, po prostu odwróciłaby się na pięcie i wróciła do Warszawy. Do latte w sieciowych kawiarniach, wegańskich lunchów w korporacyjnej knajpie i przyjemnie hałaśliwego open space'u. A potem przypomniałem sobie, że Wojnar jednak pojawił się na pogrzebie mojej żony. I skoro już tu jestem, mogę go zapytać, co tam robił.

Podszedłem do bramy. Przez chwilę, przyświecając sobie komórką, szukałem jakiegoś dzwonka lub przycisku domofonu, ale nic nie znalazłem. Zastanawiałem się, co teraz powinienem zrobić. Wejście na cudzą posesję bez zapowiedzi, bez umówienia się na spotkanie wydało mi się trochę niezręczne – tak jak wchodzenie komuś bez pukania do mieszkania. Tylko że nie zamierzałem stać przy płocie i wrzeszczeć „Wojnar!” na całe gardło. W oknach paliły się światła, więc ktoś tam był. Nacisnąłem klamkę od furki, nie robiąc sobie wielkich nadziei, ale ta ustąpiła.

Poszedłem prosto do domu przez nierówno ubite podwórko. Wszędzie rosła trawa. Tylko droga do stodoły wyglądała na bardziej wyrobioną, a gdzieś tam dało się dostrzec błotniste koleiny.

Nagle usłyszałem za sobą ruch, potem krótkie, ostre szczeknięcie i odgłos łap pędzących w moim kierunku. Pies, pomyślałem, w każdym wiejskim domu jest cholerny pies stróżujący. Przypomniałem sobie wielkiego wilczura od kierowcy ciężarówki. Obróciłem się, strach ścisnął mi wnętrzności i wtedy tuż obok dostrzegłem biało-czarną plamę. Jednak pies, zamiast rzucić się na mnie, otarł się tylko o moje nogi raz i drugi, a potem usiadł przede mną, machając ogonem i ziejąc z zadowoleniem. To był chyba kundel. Przypominał trochę border collie. Niezgrabnie pogłaskałem go po łbie. Upewniłem się, że nie zamierza się na mnie rzucić, i poszedłem dalej. Pies nie odstępował mnie na krok.

Kiedy zbliżyłem się do drewnianej werandy, zapaliło się światło. Oślepiony, zasłoniłem ramieniem oczy. Czekałem przez chwilę, jak więzień złapany podczas ucieczki w promień reflektora, ale nikt do mnie nie wyszedł. Zrobiłem krok w stronę drzwi. Nigdzie nie widziałem dzwonka,

za to znalazłem kołatkę. Zwykłą stalową obręcz, lekko pordzewiałą. Chwyciłem ją i zastukałem dwa razy. A potem jeszcze dwa.

I czekałem.

Usłyszałem jakiś ruch wewnątrz chaty. Potem ktoś po drugiej stronie nacisnął klamkę i drzwi się otworzyły. Ujrzałem Kamila Wojnara. On zobaczył mnie. To był moment, ułamek sekundy. Wystarczyło, żebym spojrzał mu prosto w oczy, i już wiedziałem. Nagle to wszystko, co w sobie nosiłem – mój strach, moja wściekłość, moje wątpliwości, mój ból – to wszystko eksplodowało cierpką, gorzką masą. Nic poza nią się nie liczyło.

Chciał zamknąć drzwi. Nie pozwoliłem mu, natarłem na niego barkiem. Uderzyły go prosto w twarz. Chwycił się za nos. Zacisnąłem pięści, uderzyłem go raz, potem drugi. Próbował się zasłonić. Moje ciosy ześlizgiwały się po jego przedramionach, ale ja ciągle nacierałem, aż wreszcie trafiłem go w podbródek. Głowa odskoczyła mu w tył, stracił równowagę i poleciał, po drodze uderzając się o krzesło. Padł z głuchym łupnięciem.

W uszach słyszałem tylko cichy, nieprzyjemny szum. Dyszałem ciężko. Pies wbiegł do środka, spojrzał na mnie pytająco z urazą, a potem kilka razy trącił Wojnara nosem i polizał go po twarzy. Aktor się nie poruszył.

– Kurwa... – wyszeptałem. – Kurwa...

Przestraszyłem się, że go zabiłem. Z rozciętego czoła płynęła mu krew. Kiedy pies polizał go po raz kolejny, Wojnar jęknął cicho, a ja zauważyłem, że jego klatka piersiowa ciągle się podnosi i opada w jednostajnym rytmie. Najpierw poczułem ulgę, potem wrócił gniew.

Stanąłem za Wojnarem, chwyciłem go pod pachy i przeciągnąłem do pokoju obok, do dużego pomieszczenia z kominkiem i oszkloną ścianą z widokiem na jezioro. Na masywnym drewnianym stole leżały porzucane narzędzia, bloczki, żeglarskie sprzęty, których nie potrafiłem nazwać, a także dwa zwoje lin. Wojnar coś naprawiał, zanim się pojawiłem.

Był trochę niższy ode mnie i ze swoją szczupłą, umięśnioną sylwetką nie mógł ważyć więcej niż osiemdziesiąt kilo, ale ciągnąc go, miałem wrażenie, że walczę z blokiem litej stali. Nie wiedziałem, że bezwładne ciało jest aż

tak ciężkie. Pokonałem zaledwie kilka metrów i już głośno sapałem, lepiałem się od potu, a mięśnie zaczynały piec. Czekał mnie jednak jeszcze jeden wysiłek.

Ponownie stanąłem za Wojnarem. Chwyciłem go pod pachami i podciągnąłem do góry, moje plecy zawyły z bólu. Musiałem zacisnąć zęby, żeby nie krzyknąć, ale posadziłem go wreszcie na cholernym krześle. Odetchnąłem głęboko i chwyciłem ze stołu jedną z lin. Chwilę się z nią szarpałem, żeby ją rozplątać. Potem owinąłem nią kilka razy Wojnara wokół klatki piersiowej i przywiązałem do oparcia, zrobiłem też pętle na ręce, a drugą liną przywiązałem mu nogi.

Kiedy skończyłem, byłem wyczerpany i cały spocony. Dłonie miałem lepkie od krwi z rozbitej głowy Wojnara. Oparłem się o ścianę, przymknąłem powieki i próbowałem się uspokoić. Serce waliło mi jak młotem.

Usłyszałem za sobą kaszlnięcie. Odwróciłem się, akurat żeby zobaczyć, jak Wojnar powoli podnosi głowę i otwiera oczy. Zaczął intensywnie mrugać.

– Co się... Co... – wymamrotał.

Wyjąłem z kieszeni paczkę chusteczek, ostrożnie podszedłem do aktora i zachowując jak największą odległość, jedną z nich wytarłem mu trochę twarz. Kiedy zbliżyłem się do rozciętego czoła, syknął z bólu. Rana nie wyglądała na wielką, ale krew lała się z niej, jakbym co najmniej poderznął mu gardło.

– Bandaż... – powiedział z trudem.

– Gdzie masz?

– Apteczka... W kuchni...

– A kuchnia gdzie jest?

Podbródkiem wskazał na przeciwległy kraniec domu. Ruszyłem tam, jednak zatrzymałem się po kilku krokach. Spojrzałem na Wojnara. Zastanawiałem się, czy mnie nabiera. Wyjdę na chwilę z pokoju, a kiedy wrócę, on będzie tu na mnie czekał z kijem bejsbolowym, siekierą lub

pogrzebaczem. Ale Wojnar siedział na krześle ze zwieszoną głową i wydawało się, że gdyby nie przytrzymujące go liny, już dawno by z niego spadł.

Poszedłem do kuchni. Za mną pies, który przypatrywał się całej sytuacji i raz po raz kręcił głową. Zapaliłem światło. Stojący na drewnianym blacie ekspres do kawy musiał kosztować tyle co mały samochód. Dostrzegłem też starą lodówkę i kuchenkę z płytą indukcyjną. Żadnej apteczki. Zacząłem otwierać wszystkie szafki, aż w końcu w trzeciej znalazłem pudełko z lekami, a w nim gaziki i dwa opakowania bandażu. Wróciłem z bijącym sercem do pokoju kominkowego. Wojnar siedział tak, jak go zostawiłem. Z rany na głowie ciągle leciała krew, choć już trochę mniej niż przed chwilą.

Podszedłem najpierw do kominka. Wziąłem z żeliwnego stojaka masywny pogrzebacz i dopiero tak uzbrojony odważyłem się zbliżyć do aktora. Pomachałem mu pogrzebaczem przed oczami.

– Coś będziesz kombinował, to ci nim przypierdolę! – powiedziałem.

– Nie będę... Nie będę...

Odłożyłem pogrzebacz na tyle blisko, by ciągle mieć go w zasięgu ręki. Odpakowałem gazik i przyłożyłem go do rany. Wojnar znowu stęknął. Obandażowałem mu czoło i cofnąłem się, podnosząc pogrzebacz. Opatrunek prezentował się żałośnie. Krzywy, niechlujny, wyglądał tak, jakby za chwilę miał zsunąć mu się z głowy. Ale musiał wystarczyć.

– Czego... czego chcesz? – zapytał Wojnar.

To było dobre pytanie. Przyszedłem tutaj, bo chciałem porozmawiać o Janinie, jednak wypadki potoczyły się w taki sposób, że nie wiedziałem, co teraz zrobić. Przepytować go? Zmusić, żeby opowiedział mi o swoim romansie z moją żoną? O tym, jak się poznali, jak się kochali, jak zrobił jej dziecko?!

Czułem, że łzy napływają mi do oczu, a mięśnie w całym ciele boleśnie się kurczą, jakby przechodziła przez nie fala elektrowstrząsów.

Tak, pomyślałem, mogłem go o to wszystko zapytać. Mogłem wydusić z niego prawdę. Ale co potem? Nagle dotarło do mnie, w jakiej sytuacji się znalazłem. Wtargnąłem do domu obcego człowieka, zaatakowałem go, pozbawiłem przytomności, związałem i uwięziłem. Chryste... Za takie rzeczy szło się do więzienia. Na ile lat? Nie wiedziałem. Wyjąłem z kieszeni telefon i chciałem to nawet wygoogłać, zanim jednak zdążyłem cokolwiek wpisać w oknie wyszukiwarki, krzyknąłem i po prostu rzuciłem nim o ścianę.

Zrobiło mi się słabo. Chciało mi się wymiotować. Doczłapałem do stojącej nieopodal skórzanej kanapy i się położyłem.

Nie miało znaczenia, ile lat dostanę. Rok, dwa, pięć, dziesięć. Odbiorą mi prawa rodzicielskie, teść zabierze mi dziewczynki, nawładają do ich głów najgorszych rzeczy na mój temat i później nie będą chciały nawet na mnie spojrzeć.

Właśnie straciłem swoje dzieci.

Co mogłem zrobić? Uciekać. Ale to nie miało sensu. Wojnar mnie znał. W końcu uwolni się z więzów albo ktoś do niego przyjdzie i powiadomi o wszystkim policję. A oni mnie zgarną.

Zabić go.

Krótką myśl. Sama pojawiła się w mojej głowie. Idiotyczna. Nie mógłbym. Nie potrafiłbym. Od razu ją wyrzuciłem.

Mogłem go uwolnić, błagać o litość, powiedzieć, że straciłem nad sobą panowanie. Tylko że to też nie miało sensu. Doskonale wiedziałem, co ja bym zrobił na jego miejscu. Najpierw sam bym sobie przyłożył, a potem zadzwonił na 112.

Idiota ze mnie. Pójdę do więzienia, stracę dzieci. Wszystko zepsułem. Wszystko zmarnowałem.

Zamknąłem na chwilę powieki. Musiałem się uspokoić. Pomyśleć, co mogę zrobić, jakie mam możliwości. Tylko na chwilę. Tylko na moment.

Zasnąłem.

Obudziło mnie tuptanie psa, odgłos pazurów uderzających o drewnianą podłogę i zapach kawy. Z trudem otworzyłem oczy. Bolała mnie głowa. W ustach miałem sucho, a całe ciało było sztywne.

Wojnar stał nade mną z czerwonym kubkiem kawy w dłoni. Powoli usiadłem i przez chwilę tak trwaliśmy, milczący i wpatrzeni w siebie. Z jego głowy zniknął ten niezdarnie założony bandaż, zastąpił go duży plaster w cielistym kolorze. Twarz miał lekko opuchniętą, a na lewym policzku rozlał się fioletowy siniak. Ja, we wczorajszych ubraniach, obolały, nieogolony i śmierdzący, nie wyglądałem zapewne dużo lepiej. A na pewno nie czułem się lepiej. Pies stał u jego boku i merdał wesoło ogonem.

Wojnar wręczył mi kawę.

– Jest ładna pogoda – stwierdził. – Śniadanie zjemy na tarasie.

Poszedł w kierunku oszklonej ściany, otworzył drzwi i wyszedł na zewnątrz. A ja ruszyłem za nim.

Tarasem okazał się drewniany podest, akurat duży na tyle, żeby zmieścić się na nim stół z dwoma krzesłami. Na blacie leżały dwa talerze, masło, sztućce, miska z jajecznicą i druga z pomidorami. Wojnar już siedział. Zająłem miejsce naprzeciwko niego. Przede mną rozciągał się widok na szare jezioro, zieloną trawę i szumiące drzewa.

Chciało mi się wymiotować.

– Mam teraz kilka bezmięsnych dni – powiedział. – Wiesz, z powodów ekologicznych, ale w lodówce znajdziesz kielbasę dla psa, jeśli byś chciał. To znaczy kupiłem ją dla psa, ale zrobiono ją dla ludzi. Możesz zjeść.

– Nie, dzięki.

Poszukałem wzrokiem psa. Leżał u stóp Wojnara, spokojny i zadowolony. Aktor pochylił się i pogłaskał go po łbie. Przypomniałem sobie wczorajszą noc. Pies w żaden sposób nie zareagował, kiedy biłem i wiązałem jego pana. Nawet nie zaszczekał.

– To nie jest pies obronny – odezwał się Wojnar, jakby czytał mi w myślach. – Pewnego dnia, kiedy tutaj jechałem, znalazłem ją przywiązaną do drzewa jakieś pięćdziesiąt kilometrów przed Mrągowem. Była tak chuda, że nie miała siły chodzić. Dało się jej policzyć wszystkie żebra. Siedziała tak tydzień, może dłużej... Wiesz, co jest najgorsze?

– Nie.

– Pal licha, że ktoś ją przywiązał i porzucił. Mam nadzieję, że skurwiel rozbił się o najbliższe drzewo. Ale ona siedziała tak kilka dni. Minęło ją pewnie kilka, kilkanaście tysięcy ludzi. Nikt się nie zatrzymał. Dopiero ja.

Schylił się i poklepał psa po boku.

– W każdym razie – kontynuował – to nie jest pies obronny. A jednak, pomimo tego, co ją spotkało, tak bardzo kocha ludzi. To daje nadzieję, nie uważasz?

– Nie wiem. Może.

Wypił łyk swojej kawy i nałożył jajecznicę – najpierw mnie, a potem sobie. Obserwowałem każdy jego ruch, zastanawiając się, co będzie dalej i do czego to wszystko zmierza. Chyba wyczuł mój niepokój, bo kiedy skończył nakładać nam jedzenie, nagle się uśmiechnął i wskazał na swoją twarz.

– Nie martw się – powiedział. – Nie mam żalu. Miałeś prawo się wkurwić.

– Jak się uwolniłeś? – zapytałem.

Znowu się uśmiechnął.

– Nie odbierz tego źle, ale nie potrafisz wiązać węzłów. Wyswobodziłem się, kiedy poszedłeś po bandaże. I dziękuję ci za to. Potem tylko czekałem na odpowiedni moment, żeby... – Zamilkł na chwilę. – W każdym razie poszedłeś spać i jakoś wszystko samo się rozwiązało – zakończył.

Zaczął jeść, a ja starałem się odtworzyć wczorajszy wieczór, sekunda po sekundzie. Wróciłem z kuchni z bandażem. Wziąłem pogrzebacz. Potem go odłożyłem, żeby założyć Wojnarowi opatrunek. Naprawdę mógł się wtedy na mnie rzucić? Spróbować obezwładnić? Zadrzałem na samą myśl. Bo pewnie by mu się udało. Nie spodziewałem się tego, byłem już wtedy w szoku i nie do końca ogarniałem to, co się działo.

– Kiedy się dowiedziałeś? – zapytał i zaraz sprecyzował, chociaż niepotrzebnie: – O mnie i Ninie.

– Pojawiłeś się na pogrzebie – odpowiedziałem.

Przełknął jajecznicę i odłożył talerz na stół. Tymczasem suka pod jego nogami coś wypatrzyła, bo nagle poderwała się i pognęła nad brzeg jeziora. A kiedy już się tam znalazła, zaczęła biegać wzdłuż szuwarów, jakby szukała najlepszej drogi, żeby wskoczyć pomiędzy nie.

– Miałem wątpliwości, czy powinienem przyjść – odezwał się Wojnar. – Ale chciałem się pożegnać.

– A ty jak się dowiedziałeś?

– Portal, w którym pracowała, opublikował nekrolog i informacje o pogrzebie – wyjaśnił.

Nie wiedziałem, że zrobili coś takiego. Przez moment pomyślałem o nich cieplej.

– Nina była niezwykłą kobietą. Wspaniałą – powiedział.

– Nie lubiła, gdy tak się ją nazywało.

– Jak?

– Nina.

– Tak mi się przedstawiła. Najpierw Janina, potem powiedziała: Nina. Twierdziła, że wszyscy tak do niej mówią.

Wszyscy, czyli kto? Na pewno nie ja ani dzieci, ani jej rodzice, ani Renata. Kto pozostawał? Ludzie z redakcji? Nina. Nie lubiła tego zdrobnienia. Wyraźnie mi to powiedziała na początku naszej znajomości. Wojnar był jednak pewien swego, a ja czułem, że nie kłamie. Nie miałby

przede wszystkim powodu, żeby to robić. Poczulem głęboki niepokój – coś mi umknęło, a ja nie wiedziałem co.

Pies zaszczekał dwa razy w stronę szuwarów i Wojnar podniósł się z krzesła.

– Znajda! – zawołał. – Wracaj tutaj!

Suka odwróciła się do nas. Przypatrywała się nam, przekręcając łeb to w jedną, to w drugą stronę, jakby właśnie rozwiązywała jakieś skomplikowane zadanie matematyczne, a potem radośnie podreptała do domu.

– Straszy kaczki – wyjaśnił, siadając.

– Długo się znaliście? – zapytałem.

Nie odpowiedział od razu. Grzebał widelcem w talerzu z jajecznicą, ale już nie jadł.

– Trochę ponad rok – stwierdził wreszcie. – Rok i dwa miesiące dokładnie. Albo niecały rok, zależy jak liczyć. Albo zaledwie dwadzieścia kilka dni. Trudno to tak po prostu powiedzieć.

– Nie rozumiem.

Sięgnął po talerz i postawił go na ziemi, tuż przed wracającą Znajdą, a ta rzuciła się na niego i zaczęła zjadać jajecznicę.

– Spotkałem ją rok i dwa miesiące temu. Grałem wtedy spektakl w Gdańsku. Przyjechała zrobić ze mną wywiad. Moja agentka starała się o jedną rolę dla mnie, akurat taką, na której mi zależało, więc byłem wyjątkowo trochę bardziej uległy niż zazwyczaj. Stwierdziła, że przydałoby się wokół mnie trochę szumu, i to załatwiła. W każdym razie po wywiadzie Nina została na spektaklu, a później spotkaliśmy się jeszcze, żeby dogadać jedną rzecz i... – Przerwał gwałtownie, a ja miałem wrażenie, jakby ktoś uderzył mnie pięścią w twarz. Zakręciło mi się w głowie, przed oczami zatańczyły mi różnokolorowe mroczki. Mogłem się domyślić, co wydarzyło się później. Ale gorsze było coś innego. Doskonale pamiętałem tamten wyjazd. Janina dostała dodatkową fuchę, wcale nie tak dobrze płatną, i zastanawiała się, czy oddać temat komuś innemu. Jednak sam ją

namawiałem, żeby pojechała. Mówiłem, że to przecież przygoda, ciekawy wywiad z ciekawym człowiekiem, a przy okazji dzień nad morzem. Trochę odpocznie, odsapnie. Liczyłem, że jeśli zrobi coś takiego, przestanie tak narzekać na swoją pracę. Bo miałem już dość codziennych tyrad na temat tego, jaka jej robota jest jałowa i jakie kiedyś robiła ciekawe rzeczy, a teraz musi uganiać się za klikami. I nagle okazało się, że sam wepchnąłem ją w ramiona przyszłego kochanka.

– Niecały rok, bo ostatni raz widziałem ją ponad dwa miesiące temu, a niecały miesiąc, bo tyle spędziliśmy ze sobą czasu.

Dwadzieścia kilka dni. Kolejny cios i fale bólu, prawdziwego, rozchodzące się po całym ciele. Robiłem w głowie pośpieszne obliczenia. Próbowałem sobie przypomnieć jej wszystkie wyjazdy na plan, na wywiady, tajemnicze delegacje. Które z nich były prawdziwe, a które były oszustwami? Kiedy naprawdę pracowała, a kiedy wyjeżdżała do swojego kochanka?

Coś mokrego trąciło moją rękę. Spojrzałem w dół i zobaczyłem Znajdę wpatrującą się we mnie wielkimi brązowymi oczami.

– Chce twoją jajecznicę – wyjaśnił Wojnar.

– Mogę jej dać?

– Pewnie dostanie sraczki. Ale jak ma ochotę, to czemu nie.

Zdjąłem talerz ze stołu i podsunąłem psu. Rzuciła się na niego, jakby jajecznicą była najlepszą rzeczą na świecie.

– Wiedziałaś, że jest zamężna? – zapytałem.

Wstał od stołu. Oparł się o barierkę tarasu i zaczął wpatrywać się w szarą toń jeziora.

– Co mam ci powiedzieć? – rzucił nagle. – Nie ściągnęła obrączki, kiedy po raz pierwszy się spotkaliśmy.

– Nie przeszkadzało ci to?

– Na początku nie.

Stał tyłem do mnie. Chciałem poderwać się z krzesła i kopnąć go prosto w plecy, tylko wtedy wrócilibyśmy do punktu wyjścia. A poza tym nie

miałem dość siły, żeby się podnieść, a co dopiero kogoś uderzyć. To wszystko, co powiedział – niby się tego spodziewałem, ale i tak to było dużo. Za dużo.

– Dlaczego tylko na początku?

Obrócił się do mnie. Jego twarz przybrała poważny, ponury wyraz. Przymknął powieki.

– Bo potem zorientowałem się, że ją kocham – odparł wreszcie z trudem, jakby każde słowo sprawiało mu ból. – Namawiałem ją, żeby od ciebie odeszła.

Zastanawiał się, czy powinien dodać coś jeszcze, ale uznał, że powiedział już wszystko. Zresztą ja też nie chciałem go dłużej słuchać. Renata miała rację. Przyjazd tutaj był błędem. Wszystko, co usłyszałem, tak cholernie bolało. I wiedziałem, że to już ze mną zostanie. Będzie wracać z każdym wspomnieniem żony. Janina, Nina...

Wojnar puścił balustradę i ruszył w stronę szklanych drzwi. Kiedy mnie mijał, nagle coś do mnie dotarło.

– Jak to dwa miesiące? – zapytałem.

Zatrzymał się. Odwrócił w moją stronę.

– Co takiego?

– Mówiłeś, że po raz ostatni widzieliście się ponad dwa miesiące temu. To nieprawda. Była u ciebie przecież niedawno.

Zmrużył oczy. Podniosłem się powoli z fotela.

– Była u ciebie niedawno – powtórzyłem. – W dniu swojej śmierci. Przyjechała tutaj do ciebie. Przyjechała się z tobą spotkać.

– Nie.

– Przyjechała się z tobą spotkać! – zawołałem. – Przyjechała powiedzieć ci, że zrobiłeś jej dziecko, dupku!

Nie zauważyłem jego pięści. Po prostu spadła na moją twarz. Cios był silny albo ja słaby, albo obie te rzeczy naraz. Cofnąłem się o dwa kroki, straciłem równowagę i zleciałem z tarasu. Wylądowałem na mokrej jeszcze od porannej rosy trawie.

Kiedy otworzyłem oczy, ujrzałem nad sobą Wojnara. Stał na podwyższeniu. Zaciskał pięści. I nagle, bez słowa, obrócił się na pięcie i zniknął we wnętrzu domu. Znajda podreptała radośnie za nim.

Podniosłem się z ziemi i rozmasowałem szczękę, a potem wdrapałem się z powrotem na taras i wszedłem do domu. Wojnara nie było ani w pokoju kominkowym, ani w kuchni, ani w łazience. Pod ścianą znalazłem swój telefon. Ekran był pęknięty, w prawym górnym rogu pojawiło się przypominające pajęczą sieć uszkodzenie, a pokaźna, gruba rysa ciągnęła się aż na sam dół. Wokół niej utworzyły się różnokolorowe plamy. Z komórki dało się jednak jako tako korzystać, chociaż kilka razy musiałem naciskać poszczególne ikony. Znalazłem esemesa od Renaty. Napisała, że u nich wszystko w porządku, dziewczynki są w szkole i przedszkolu. Zapytała też, kiedy wracam. Podziękowałem jej za wiadomość i zgodnie z prawdą odpisałem, że nie wiem, kiedy będę z powrotem. Chciałem jeszcze porozmawiać z Wojnarem.

Skierowałem się na piętro.

Nie jestem w stanie racjonalnie wyjaśnić, dlaczego w ogóle go szukałem. Pewnie powinienem doczłapać do samochodu Renaty i odjechać, ale czułem, że to nie powinno się tak skończyć. Wciąż jeszcze było zbyt wiele zagadek. Nina, Nina, powtarzałem sobie w głowie, tak ją nazywał, tak mu się przedstawiła, a przecież nienawidziła tego zdrobnienia. I nie, nie miałem do niego żalu, że mnie uderzył. Mogłem powiedzieć to samo co on rano – miał prawo się wkurwić. Co mnie więc tutaj zatrzymało? Zwykła ciekawość.

Na górze znalazłem łazienkę i trzy pokoje – pracownię i dwie sypialnie. Pierwsza z nich służyła chyba gościom. Znajdowało się tam łóżko, które wyglądało tak, jakby nikt nigdy z niego nie korzystał, dwa krzesła i komoda. W drugiej musiał spać Wojnar. Tam było więcej mebli, w otwartej szafie dostrzegłem wiszące na wieszakach męskie ubrania. Na nocnej szafce stała niepełna szklanka wody, obok leżał stos scenariuszy. Na

podłodze przy ścianie zobaczyłem psie legowisko. I łóżko. Duże, dwuosobowe. Oczywiście myśl, że to właśnie tutaj Wojnar uprawiał seks z moją żoną, natychmiast pojawiła się w mojej głowie. Skręciło mnie w żołądku, a policzki zaczęły piec.

Przeszedłem do pracowni. To było najmniejsze pomieszczenie ze wszystkich. Przy dużym oknie ustawiono biurko, na nim znajdował się komputer i dwa scenariusze. Spomiędzy stron wystawały kolorowe karteczki. Pod każdą ścianą stały regały pełne książek – biografie znanych aktorów, pisarzy, artystów, kilka opasłych tomów na temat II wojny światowej, jedna półka, którą zapełniały cienkie tomiki poezji, i wreszcie literatura piękna. Dziesiątki, setki tomów ułożonych chaotycznie, niektóre stare, z poszarpanymi grzbietami, inne świeżo wydane, a wśród nich dobrze znana mi powieść – *Lampeczki*. Wyjąłem ją. Miała podniszczoną okładkę i pozaginane rogi. W wielu miejscach znalazłem podkreślone długopisem fragmenty. Pomyślałem, że przeczytał ją co najmniej kilkakrotnie. Ja raz. Sprawdziłem stronę tytułową. Znajdowała się tam dedykacja: „Dla Kamila. Szkoda, że nic nie wyszło z ekranizacji. Byłbyś znakomitym Irkiem...”. I na koniec imię „Nina”.

Ekranizacja? Coś mgliście sobie przypominałem. Zaraz po wydaniu ktoś z wydawnictwa zadzwonił do Janiny w tej sprawie, ale koniec końców nic z tego nie wyszło. Nie podpisano żadnej umowy, rozmowy urwały się po jednym spotkaniu. Po tym pierwszym telefonie świętowaliśmy przy drogim winie. Byliśmy pewni, że zaraz zostanie sławną autorką. Janina śmiała się, że jeszcze nie może się zdecydować, czy chce być „nową, ale lepszą Katarzyną Grocholą” czy „nową, ale gorszą Olgą Tokarczuk”.

A Irek? Tak. Była tam taka postać, trochę tragiczna, trochę komiczna. Czterdziestoletni mężczyzna, któremu rozsypuje się kariera zawodowa, więc rekompensuje to sobie kolejnymi podbojami miłosnymi. Nieświadomie przewija się na różnych etapach przez życie trójki bohaterek tej powieści.

Odłożyłem książkę na miejsce i wyszedłem na dwór. Nigdzie nie dostrzegłem Wojnara, ale drzwi stodoły były otwarte.

Znalazłem go, jak siedział na wysokim stołku przy półce z narzędziami i palił papierosa. W żaden sposób nie dał do zrozumienia, że zauważył moją obecność. Dopiero kiedy chrząknąłem, niechętnie uniósł głowę i wypuścił dym nosem.

– Niby rzuciłem, ale na wszelki wypadek zawsze mam tutaj schowaną paczkę – wyjaśnił. – Nie wiem, przed kim ją chowam, bo mieszkam sam. Może przed Znajdą?

Strzepnął popiół na ziemię.

– Była w ciąży?

– Tak.

– Nie ze mną. – Sięgnął po leżącą obok paczkę. Obrócił ją dwa razy w dłoniach i wysunął w moim kierunku. – Chcesz jednego?

Pokręciłem przecząco głową.

– Zawsze bardzo uważaliśmy – powiedział. – Nalegała, żebym za każdym razem używał kondoma i...

– Przestań.

Po raz pierwszy na jego twarzy pojawił się wyraz zakłopotania.

– Tak – mruknął. – Masz rację. Przepraszam...

Rozejrzałem się dookoła. W stodole stał samochód, kilkuletnie terenowe volvo z lekko zgniecionym jednym bokiem. Pod jedną ze ścian w równych rzędach ułożono drewno kominkowe, obok wisiały kosa, motyka i grabie. Wnętrze pachniało stęchlizną i papierosowym dymem.

– Nie było jej tutaj – kontynuował. – Ostatni raz widziałem się z nią ponad dwa miesiące temu. Przyjechała na dwa dni, ale razem spędziliśmy tylko kilka godzin. Musiałem jechać na spektakl, bo mój zmiennik zachorował. Nina powiedziała, że zostanie. Lubiła to miejsce. Mówiła, że dobrze jej się tutaj pisze. Kiedy jednak przyjechałem następnego dnia rano, już jej nie było. Pisałem do niej, próbowałem nawet dzwonić, ale zerwała ze mną kontakt. Pomyślałem, że postanowiła to po prostu zakończyć. Szanowałem jej decyzję, choć już nie sposób, w jaki to zrobiła. Mogła mi

po prostu powiedzieć, dać szansę się pożegnać... A potem... Dowiedziałem się, że nie żyje.

Ostatni raz zaciągnął się papierosem i wyrzucił niedopałek na ziemię. Przygniótł go butem. Nie byłem pewien, w szopie panował lekki półmrok, jednak miałem wrażenie, że w jego oczach zaczęły zbierać się łzy.

– Dlaczego uważasz, że mnie odwiedziła? – zapytał.

– Zginęła w wypadku samochodowym pod Mrągowem – odparłem. – Wjechała w jadącą z naprzeciwka ciężarówkę.

– Wypadek.

– Policja twierdzi, że popełniła samobójstwo.

Ta informacja nim wstrząsnęła. Wyprostował się gwałtownie i wstrzymał oddech, jakby przez krótką chwilę był po prostu niezdolny do oddychania.

– Nie wiedziałeś o tym?

– Niby skąd miałem wiedzieć?! W nekrologu jakoś o tym nie wspomnieli, a na pogrzebie z nikim nie rozmawiałem. – Zwiesił głowę. – Wiadomo, dlaczego to zrobiła? – zapytał tak cicho, że ledwo go usłyszałem.

– Nie.

– Kurwa! – ryknął na całe gardło, a potem uderzył kilkakrotnie pięścią o szafkę z narzędziami tak mocno, że te aż zaczęły podskakiwać. Jeden z młotków spadł z hukiem na podłogę. Wojnar poderwał się na równe nogi. Wyszedł szybkim krokiem ze stodoły, prawie mnie przy tym taranując. Zatrzymał się dopiero na środku podwórka, zgiął się wpół, jakby zaraz miał wymiotować, i zastygł w tej pozycji na kilkanaście długich sekund.

– Kurwa! – krzyknął znowu i się wyprostował.

Podszedłem do niego, ale stanąłem w bezpiecznej odległości. Nie wiedziałem, jak teraz się zachowa. Wydawało mi się, że równie dobrze może mnie pobić, co paść na ziemię i zacząć szlochać.

– Nie było jej tutaj – powiedział. – Kiedy doszło do tego wypadku?

Podaliśmy mu dokładną datę. Zastanawiał się przez chwilę. Potem sięgnął po komórkę, odblokował ją i zaczął coś sprawdzać.

– Byłem tu wtedy – powiedział. – Ale ona się nie pojawiła. Nie macie tutaj jakichś znajomych? Rodziny? Kogokolwiek, kogo mogłaby odwiedzić?

– Nie.

– A tobie co powiedziała?

– Że jedzie pod Kraków na plan jakiegoś wojennego serialu.

Zmarszczył brwi.

– Pod Kraków? Przecież tam obecnie nic nie kręcą.

– Teraz to wiem.

Podrapał się po karku. Raz jeszcze zerknął na wyświetlacz komórki.

– Po co miałaby mnie okłamywać, jeśli nie jechała spotkać się z tobą? – zapytałem.

– Poczekaj chwilę – poprosił.

Kliknął jeszcze kilka razy w ekran, zaczął coś czytać. Kiedy skończył, włożył komórkę z powrotem do kieszeni.

– Byłem tu wtedy. Razem ze swoją agentką.

Powiedział to w taki sposób, że od razu zrozumiałem, o co mu chodzi. Agentka nie odwiedziła go tylko w interesach, łączyło ich coś więcej. Nie wiedziałem dokładnie co, ale w mojej głowie zaczął powstawać obraz wydarzeń z tamtego dnia. Pewnie oboje uważali, choć uwaga to za mało. Może czegoś nie dopilnowali, może raz się zapomnieli. Janina zaszła w ciążę, przyjechała do Wojnara, żeby mu o tym powiedzieć, wjechała na posesję, zapukała do drzwi. Nikt nie otwierał. Może tylko Znajda przybiegła się z nią przywitać. Ale słyszała, że ktoś jest w środku. Postanowiła wejść od strony tarasu i wtedy ich zobaczyła, przez tę wielką przeszkloną ścianę, jak baraszkuje w pokoju kominkowym. Jej kochanek i jego agentka. Uciekła. Jechała zapłakana wąskimi mazurskimi ścieżkami, jej świat właśnie całkowicie się rozsypał. Ujrzała pędzącą po przeciwnym pasie ciężarówkę. Głupi impuls, jeden skręt kierownicy, koniec.

Byłem pewien, że Wojnar w swojej głowie tworzy ten sam scenariusz. Wpatrzony w niego, czekałem cierpliwie, aż zrozumie wszystkie

konsekwencje tej historii.

Aż dotrze do niego, że zamordował mi żonę.

GOSPODA POD LIPAMI

Ciągle tam byłem.

Siedzieliśmy w pokoju kominkowym, Wojnar na krześle przy stole, ja na kanapie. Tej samej, na której spałem. Milczeliśmy od godziny. Nie wiem, o czym myślał Wojnar. Ja zastanawiałem się, dlaczego nie jestem w stanie stamtąd wyjechać. Zrobiłem to, co chciałem – spotkałem kochankę mojej żony, rozwiązałem zagadkę jej śmierci, dowiedziałem się, dokąd pojechała i dlaczego popełniła samobójstwo. Zdobyłem odpowiedzi na wszystkie moje pytania.

A jednak ciągle tam byłem, jakbym utknął w jakiejś cholernej czarnej dziurze albo dał się złapać w pułapkę.

Wstałem i wyszedłem przez przeszkolone drzwi na dwór. Wojnar nawet nie podniósł głowy, kiedy go mijałem.

Zachmurzyło się, a wszędzie wokoło zrobiło się nieprzyjemnie, chłodno i szaro. Wyglądało na to, że niedługo zacznie padać. Udałem się nad brzeg jeziora, na pomost. Dopiero teraz dostrzegłem przywiązaną do niego niewielką żaglówkę ze złożonym masztem. Woda w jeziorze była niesamowicie czysta. Widziałem dno, leniwie falujące wodorosty i żerujące wokół nich niewielkie rybki. Uklęknąłem, nachyliłem się i zanurzyłem czubki palców. Zakreśliłem nimi niewielki okrąg, po czym strzepnąłem krople. Kiedy się odwróciłem, ujrzałem Znajdę. Stała przy wejściu na pomost, jakby zagradzała mi przejście. Pogłaskałem ją po łbie, zostawiając na jej sierści mokre ślady.

– Ty też ją znałaś, prawda? – powiedziałem. – Lubiałaś ją, co nie? Chodziła z tobą na spacer? Na pewno chodziła z tobą na spacer. I pewnie cię dokarmiła jakimiś smakołykami, jak ten dupek nie patrzył, prawda?

Znajda zamerdała ogonem, ale już się nauczyłem, że to nic nie znaczy. Ten pies zawsze się cieszył.

Janina chciała mieć psa. Nigdy żadnego nie wzięliśmy. Za dużo pracy, a potem dzieci, żeby dokładać sobie kolejnych obowiązków. To nie tak, że ja podjąłem decyzję o nieposiadaniu zwierzaka. Oboje znaleźliśmy te wszystkie argumenty, oboje się z nimi zgadzaliśmy, a jednak od czasu do czasu, na spacerze, kiedy mijaliśmy rodzinę z jakimś yorkiem, sznaucerem, bokserem czy zwykłym kundlem, widziałem w jej oczach tę tęsknotę.

Tak bardzo chcieliśmy być dorośli i odpowiedzialni, że zapomnieliśmy o tym, czego kiedyś pragnęliśmy. A kiedyś pragnęliśmy przede wszystkim być szczęśliwi.

Ona chciała być pisarką, ja analitykiem robiącym karierę w finansach. I tak, możecie się śmiać z mojego marzenia, że jest banalne, nudne i nieciekawe, ale ono było, do cholery jasnej, moje i tylko moje. Sam je sobie wyśniłem. Nie każdy musi chcieć zdobywać Mount Everest, podróżować po świecie albo zostać gwiazdą filmową. Niektórym wystarczy tylko to – dobra pensja i rozwijająca się kariera.

Tylko że nawet tego małego marzenia, tego planu minimum, nie udało mi się zrealizować.

Janina mnie wspierała. Rok po roku, za każdym razem powtarzała mi, że jestem świetny w swojej robocie, że mam głowę do cyfr, że należy mi się ten awans. Wierzyła we mnie.

Kiedy ja po raz ostatni powiedziałem jej, że jest dobrą pisarką? Że w końcu wyda kolejną książkę i osiągnie sukces?

Nie pamiętam. Lata temu.

Pośpiesznie wróciłem do domu. Tym razem nie musiałem szukać Wojnara. Aktor siedział dokładnie tam, gdzie go zostawiłem.

– Pisała tutaj?! – rzuciłem, wchodząc do domu.

Spojrzał na mnie, nic nie rozumiejąc, zupełnie otumaniony, ze smutkiem w oczach.

– Pisała tutaj? – powtórzyłem spokojniej i wolniej, tak żeby do niego dotarło. – Kolejną powieść? Czy tylko artykuły?

– Nie – odpowiedział po chwili. – Nie artykuły. Coś innego, chyba opowiadania.

– Chyba?

– Nie pokazała mi ich nigdy. Mówiła, że to jeszcze za wcześnie. Że trochę język jej zardzewiał.

– Masz je gdzieś tutaj?

Pokręcił głową.

– Pisała na swoim komputerze.

No tak, a komputer został w redakcji. Zagryzłem nerwowo palec. Przez chwilę miałem ochotę rzucić się do samochodu i łamiąc wszystkie ograniczenia, wrócić do Warszawy. Albo przynajmniej zadzwonić do jej szefa. Ale potem pomyślałem, że to nie ma sensu. Komputer już dawno trafił do informatyków. Albo już wykasowali jej nowe opowiadania, albo, zgodnie z obietnicą, wyślą mi je. W każdym razie nic nie mogłem zrobić. Tylko czekać.

Poczułem, że po raz kolejny ją zawiodłem. Byłem mężem, który zapomniał o marzeniach swojej żony. A ona zawsze mnie wspierała, kiedy ponosiłem porażkę, i zawsze powtarzała mi, że następnym razem już na pewno się uda. Że jestem wybitnym analitykiem.

I byłem nim. A to dlatego, że nie zadowalałem się byle czym, potrafiłem dążyć głębiej. Gdy dostawałem odpowiedzi, wykorzystywałem je, żeby zadać kolejne pytania. Tak długo, aż zniknęły wszystkie moje wątpliwości.

Wtedy zrozumiałem, dlaczego nie mogłem stąd wyjechać. Liczby się nie zgadzały. Wciąż miałem wątpliwości i kolejne pytania do zadania.

– Spędziła tutaj dwa dni – powiedziałem.

Wojnar po raz kolejny spojrział na mnie pytająco. Przymknąłem oczy, musiałem się uspokoić, ułożyć sobie w głowie to, co zamierzałem przekazać. Przywykłem do prezentacji w ciasnych salkach konferencyjnych, zazwyczaj przed wysoko postawionymi mężczyznami w drogich koszulach, ale przecież sedno pozostawało to samo –

przeprowadziłem analizę, wyciągnąłem wnioski. Teraz miałem o nich opowiedzieć.

– Wyjechała wcześniej rano, zaraz po odprowadzeniu Iwony do przedszkola. Droga stąd do Warszawy to mniej więcej cztery godziny. Nawet jeśli założymy, że miała trudności z wyjazdem lub trafiła na jakiś straszny korek, to wychodzi sześć godzin. Rozumiesz?

– Nie za bardzo.

– W najgorszym razie dotarła tutaj koło czternastej, piętnastej.

– Ciągłe nie wiem, o co ci chodzi.

– Zginęła po dwudziestej, ale następnego dnia.

– I?

– Nawet jeśli tutaj przyjechała, nawet jeśli przyłapała cię z tą agentką, nawet jeśli stąd uciekła, to co robiła przez kolejne półtora dnia?

Powoli do niego docierało. Podniósł się z fotela. Przeszedł do kominka, drapiąc się po brodzie.

– Poza tym... – zacząłem ostrożnie.

– Co? Wyduś to z siebie.

– Naprawdę nie widziałeś jej przez ponad dwa miesiące?

– Nie widziałem się z nią. Nie rozmawiałem. Odcięła się ode mnie zupełnie. Dlaczego pytasz?

– Bo... – Wziąłem głęboki wdech. Wiedziałem, że to, co chcę powiedzieć, w kontekście najnowszych informacji jest dość ryzykowne, niemniej spędziłem z Janiną wiele lat, mieliśmy dwójkę dzieci. – Nie pojawiłaby się tutaj bez zapowiedzi po takim czasie, to nie w jej stylu.

– Masz rację – powiedział głucho. – Była impulsywna, czegoś takiego by jednak nie zrobiła.

Impulsywna? Moja ułożona żona? Nie, nie mogłem o tym teraz myśleć. Potrzebowałem się skupić.

– Mogła gdzie indziej się zatrzymać? – zapytałem. – Może, nie wiem, poznałeś ją z twoimi znajomymi stąd? Coś w tym stylu?

– Nie. Jeśli tutaj przyjeżdżam, to po to, żeby pobyć sam. I z Janiną spędzaliśmy czas głównie tutaj. Rzadko opuszczaliśmy dom. Może raz, dwa razy pojechaliśmy coś zjeść albo na zakupy, ale głównie to... – Przerwał. – Kurwa, niezręcznie, nie?

Przytaknąłem.

– Trochę – mruknąłem.

Staliśmy może półtora metra od siebie, lekko nachyleni ku sobie, obaj z zaciśniętymi pięściami. Twarz Wojnara poczerwieniała. Na jego czole pojawiła się fioletowa pulsująca żyłka.

– Kochałem ją – oznajmił.

– Ja też.

Cofnął się o krok. Zrobiłem to samo. Rozluźnił pięści, potem podniósł je do góry. Przyjrzał się z niedowierzaniem własnym dłoniom i opuścił je bezradnie.

– Chcę się dowiedzieć, co tutaj robiła – odezwałem się. – Co takiego wydarzyło się przez te dwa dni, że w drodze powrotnej wjechała w tę ciężarówkę. Chcę wiedzieć, po co w ogóle tutaj przyjechała, skoro nie zamierzała się z tobą zobaczyć.

– Myślisz, że jej tutaj nie było? – zapytał z nadzieją w głosie.

Coraz więcej wątpliwości. Ta cała historia, którą przecież jeszcze przed chwilą miałem w głowie, zaczynała się rozsypywać. Wiedziałem, że czegoś tutaj brakuje, że czegoś nie rozumiem, że prawdziwy przebieg wypadków mógł być zupełnie inny. Jednak wciąż brakowało mi danych.

– Chciałbym skorzystać z twojego komputera – powiedziałem.

– Była tutaj czy nie? – dopytywał.

Rozumiałem, dlaczego to dla niego takie ważne. Mówiąc, że jej nie było, że wcale nie przyłapała go na tym, jak pieprzył się ze swoją agentką, zdejmowałem z jego barków ciężar odpowiedzialności za śmierć Janiny. Ale nie zamierzałem tego robić. Chciałem widzieć ten strach na jego twarzy.

– A skąd mam wiedzieć? – warknąłem. – To mogę skorzystać z komputera czy nie?

Zaprowadził mnie na górę, uruchomił komputer, wpisał hasło, a potem pozwolił mi usiąść. Korzystał z maca, my w pracy i w domu mieliśmy zwykłe PC, więc potrzebowałem chwili, żeby się przyzwyczaić.

Uruchomiłem przeglądarkę Safari. Aż sam się na siebie złościłem, że nie pomyślałem o tym, by zrobić to wcześniej. Bo przecież jeśli na czymś się znałem, to na pieniądzach. Może nie potrafiłem ich zarabiać, ale wiedziałem, jak działają. I to, że z ich przepływów można wyciągnąć dużo informacji – trzeba tylko umieć zadawać odpowiednie pytania. Na przykład o to, gdzie moja żona spędziła dwa ostatnie dni swojego życia. Wiedziałem, że mnie okłamała i wcale nie zaproszono jej na plan pod Kraków. W drodze tutaj niewiele myślałem, po prostu chciałem zobaczyć się z Wojnarem. Potem założyłem, że zatrzymała się u niego, jednak on temu zaprzeczył, więc musiała gdzieś nocować. A skoro tak, to komuś za ten nocleg zapłaciła.

Wojnar stał za mną i patrzył mi przez ramię. Denerwowało mnie to, ale nie mogłem wyrzucić go z jego własnego gabinetu. Nie chciałem korzystać z komórki, z powodu uszkodzonego ekranu pewnie zajęłoby mi to znacznie więcej czasu. Jeśli w ogóle będzie możliwe.

Wszedłem na stronę naszego banku. Mieliśmy trzy konta: wspólne, małżeńskie, na którym lądowała większość naszych dochodów i z którego spłacaliśmy kredyt, oraz dwa osobne, moje i Janiny. Uznaliśmy kiedyś, że tak będzie zdrowiej. Nie będziemy musieli tłumaczyć się sobie nawzajem z każdego wydatku, zachowamy też pewną finansową niezależność, a to wydawało nam się ważne. Ale znaleźliśmy oba loginy i hasła. Tak na wszelki wypadek.

Wpisałem jej login. Tak, jako facet zatrudniony w finansach miałem swoje skrzywienie zawodowe i znałem na pamięć takie rzeczy. Potem hasło – Basia, data urodzin, Iwona, data urodzin. Ciąg liczb i liter, trudny do złamania dla hakera, ale łatwy do zapamiętania. Ja jej to podsunąłem.

Zalogowałem się. Saldo wynosiło niecałe trzysta złotych. Mało, miała jednak przecież dostęp do naszego wspólnego konta. Wszedłem w historię transakcji. Ostatnia płatność w dniu jej śmierci, hotel Sowi Raj.

– Znasz to miejsce? – zapytałem.

– Tak. To niedaleko, jakieś pół godziny stąd.

W milczeniu wpatrywaliśmy się w nazwę. Aż w końcu jeden z nas musiał zadać to pytanie. Padło na mnie.

– Jedziemy twoim czy moim samochodem?

Wybraliśmy volvo Wojnara. Wyjechał z garażu i opuściliśmy posesję. Znajda została na dworze. Nie goniła nas, ale patrzyła przez bramę, jak odjeżdżaliśmy leśną drogą.

– Nie ucieknie? – zapytałem.

– Znajda?

– No.

– Nie. Nawet na spacer gdzieś dalej ciężko ją wyciągnąć. No i nie lubi jeździć samochodem. Trudno jej się zresztą dziwić.

– No tak.

Wojnar włączył radio. Przez chwilę przerzucał stacje, jednak żadna mu nie odpowiadała. Wyłączył odbiornik i skupił się na prowadzeniu.

– Widziałem u ciebie w pracowni *Lampeczki* – odezwałem się, żeby przerwać ciszę. – Naprawdę chcieliście ją zekranizować?

– Był taki pomysł – przyznał.

– Twój?

– Mój i kumpla, Norberta Malika. Pracuje głównie w teatrze, pewnie nie znasz.

Faktycznie, nie kojarzyłem tego nazwiska, ale zdenerwowało mnie, że właśnie tak założył. Jakby myślał, że jestem jakimś niekulturalnym dzikusiem, który ani razu nie poszedł do teatru i nie interesuje się tym, co się dzieje na świecie.

– Coś mi świta – skłamałem.

– Nieprawda.

– Co takiego?

– Nieprawda. Nic ci nie świta.

– Słuchaj, nie jestem najmocniejszy w teatrze, ale jak mówię, że znam to nazwisko, to znam! – powiedziałem, udając oburzenie, a potem postanowiłem zaryzykować. – Parę lat temu coś robił w Warszawie...

– Gdzie w Warszawie?

– Słucham?

– W Rozmaitościach? W Dramatycznym? W Nowym? W Studio? Polonii? Och-Teatrze? Rampie? Ateneum? Gdzie coś robił w Warszawie?

– Mówię, że nie jestem najmocniejszy! – zawołałem. – W jakimś tym głośniejszym chyba...

Wojnar zjechał na pobocze i stanął, nie wyłączając silnika. Odwrócił się w moją stronę.

– Nina mi o tobie opowiadała. Do kina poszliście po raz ostatni dwa, trzy lata temu? Chyba na *Gwiezdne wojny*. Potem tylko oglądaliście coś na Netflixie. Książek prawie nie czytasz, chyba że ekonomiczne, a do teatru zabrałeś ją raz, gdy zaczynaliście ze sobą chodzić i chciałeś jej zaimponować. Potem poszliście jeszcze kilka razy, bo dostawała z pracy darmowe bilety. Ostatnio bodajże siedem lat temu.

Wszystko, co powiedział, było prawdą. Nie zmieniało to jednak faktu, że miałem ochotę go teraz uderzyć. Co on wiedział o naszym życiu?! Oboje dużo pracowaliśmy, zajmowaliśmy się dziećmi, spłacaliśmy kredyt. Wieczorami miałem tyle sił, żeby otworzyć piwo, włączyć telewizor i zasnąć na kanapie. Tak wygląda normalne życie dorosłych ludzi. Wojnar mógł sobie opowiadać o książkach i spektaklach, ale mieszkał sam w środku lasu, a jedyną istotą, o którą musiał dbać, był pies.

– Norbert pracował w Poznaniu i Krakowie – powiedział na koniec, po czym spojrzał na mnie wyczekująco.

– Aha... – mruknąłem. – W takim razie musiałem go z kimś pomylić.

– Jasne, że tak.

Zerknął w lusterko, wrzucił kierunkowskaz i ruszył.

– To co z tą ekranizacją? – Wróciłem do przerwane go tematu.

– Z Malikiem chodziliśmy z tą książką po producentach, szukając kogoś zainteresowanego tematem. Tyle że nikogo nie znaleźliśmy, a potem Malik dostał ofertę roboty za granicą, wyjechał do Włoch i temat umarł. On zajął się swoimi projektami, ja swoimi.

– Szkoda.

– Mógłby być z tego niezły film. Bo to jest bardzo dobra książka. Zabawna, lekka i naprawdę niegłupia. Kawał dobrej historii.

– Krytycy się z tobą nie zgadzają.

– Krytycy głównie wiedzą.

– Nawet nie zauważyli tej książki.

– Wiem.

Wyjechaliśmy z lasu i skręciliśmy w stronę Starych Wilczych. Wojnar przyśpieszył na asfaltowej drodze.

– Czytałeś jej drugą książkę? – zapytałem.

– *Bejbi*? Tak. Pokazała mi ją.

Jedyny egzemplarz *Bejbi*, jaki mieliśmy, leżał od lat na dnie szuflady razem z grzecznym, ale stanowczym listem odmownym od jednego z wydawnictw. Ten wydruk był jak niechciane dziecko, którego jednak nie można po prostu wyrzucić na ulicę. Bolesny dowód porażki. Nie wyjmowaliśmy go. Starła się zapomnieć, że kiedykolwiek coś takiego wyszło spod jej klawiatury. Przynajmniej tak mi się do tej pory wydawało. Powoli docierało do mnie, jak dobrze ją znał, jak blisko ze sobą byli.

– Sama ci ją przyniosła?

– Nie. Zapytałem, czy jeszcze kiedyś coś napisała. Odpowiedziała, że tak. Poprosiłem, żeby dała mi przeczytać. Trochę się opierała, ale w końcu się zgodziła.

„Trochę się opierała, ale w końcu się zgodziła” – miałem już na końcu języka pytanie, nad czym bardziej się napracowałem: żeby zaciągnąć ją do łóżka czy żeby dostać *Bejbi*.

– Podobało ci się? – zapytałem przez zaciśnięte gardło.

– Znakomita powieść – odparł, a w jego głosie usłyszałem szczerzy entuzjazm.

– Nikt tego nie chciał wydać.

– To dlatego, że dopierdoliła patriarchatowi, zanim to jeszcze stało się modne. Oczywiście, że prawica tego nie kupiła. A Nina dopierdoliła do tego z takiej pozycji, przyjmując pozę świętej matki Polki, że lewica z kolei nawet się nie zorientowała, co ona robi. Najpierw opowiadała o swoich marzeniach, czyli o konserwatywnym modelu rodziny: dom, mąż, dwoje, troje, czworo dzieci, którym można się całkowicie poświęcić, a potem pokazywała, jak ten model zmienia się w piekło. Równocześnie cały czas radośnie szczebiocząc o tym, że jest cudownie i że nie wyobraża sobie życia bez swojego ukochanego i dzieciaka. Trzeba mieć dobre ucho, żeby w przerwach pomiędzy tym szczebiotem usłyszeć jej szloch.

Każde jego słowo wbijało mi się w głowę bolesną szpilą. *Bejbi* opierało się na jej własnych przeżyciach po narodzinach Basi. Nie w stu procentach, choć inspiracja była oczywista. Nie lubiłem tej powieści, bo, jak wspominałem, odebrałem ją jako atak na siebie. Pewne fragmenty Janina napisała tak, jakby chciała mi specjalnie zrobić przykrość. Ale może nie o to chodziło, pomyślałem, próbując przypomnieć sobie tekst powieści, może *Bejbi* było tak naprawdę prośbą o pomoc.

– Jestem ciekawy, co teraz pisała – powiedział.

– Taa... – mruknąłem. – Ja również.

Następne dwadzieścia minut spędziliśmy w milczeniu.

Jechaliśmy bocznymi drogami, tak malowniczymi i pięknymi, że aż zaczynało się to robić męczące. W tym stanie ducha pewnie lepiej czułbym się, wędrując pomiędzy górniczymi hałdami albo płonącymi wysypiskami śmieci.

Wojnar zaparkował pomiędzy bmw na warszawskich blachach a nową skodą z Gdańska. Wyglądało na to, że pomimo wiosennej pory interes się kręcił.

Wysiedliśmy z wozu. Wojnar przystanął i długo patrzył na budynek hotelu.

– Co jest? – zapytałem.

– Nic – mruknął. – Sporo się tutaj zmieniło. Jeszcze kilka lat temu stał tu zwykły hotel. Dokładnie taki, jakie budowali w późnym PRL-u. Kojarzysz? Ośrodek wczasowy wielkich zakładów ze Śląska czy spod Radomia. Niedawno kupił to jakiś Polak z Niemiec i wywalił grubą kasę na przebudowę. Pomalował to wszystko na niebiesko, wymienił okna, dodał szklane cholerstwo przy wejściu i dobudował część ze spa.

Zupełnie mnie to nie interesowało. Chciałem się tylko dowiedzieć, co tutaj robiła moja żona. Zostawiłem Wojnara i ruszyłem w stronę hotelu. Aktor dogonił mnie po kilkunastu metrach. Do środka weszliśmy już razem.

Recepcja mieściła się w prostokątnym pomieszczeniu o beżowych ścianach ozdobionych kilkoma dyplomami z branżowych konkursów i wyrazami uznania od dziwnych organizacji, których nazwy nic mi nie mówiły. Odchodziły z niego dwa korytarze: jeden prowadził do restauracji, drugi do pokoi i do części spa. Za ladą stała trzydziestoletnia kobieta z ciasno związanymi czarnymi włosami. Według plakietki przypiętej do białej koszuli miała na imię Marta.

– Dzień dobry – powiedziała recepcjonistka, uśmiechając się szeroko na nasz widok. Jej zęby były lekko pożółkłe, a usta pociągnięte zbyt czerwoną szminką. – W czym mogę panom pomóc?

– Dzień dobry.

Oparłem się o ladę. Przez chwilę zastanawiałem się, jak zacząć tę rozmowę i o co zapytać. Kobieta patrzyła na mnie wyczekująco, co pewien czas zerkając podejrzliwie w stronę Wojnara. Za jej plecami wisiały trzy zegary: jeden podawał czas w Tokio, drugi w Warszawie, a trzeci w Nowym Jorku.

– Jakies dwa tygodnie temu przez dwa dni mieszkała u państwa moja żona, Janina Tomska.

– Rozumiem – odpowiedziała tonem świadczącym o tym, że nie ma pojęcia, o co mi chodzi. – Czy pani Janina coś zostawiła w pokoju?

– Nie. – Pomasowałem się po czole. – Chciałbym się dowiedzieć, co tutaj dokładnie robiła. Czy z kimś się tutaj spotykała.

– Eee... Bardzo mi przykro, ale nie udzielamy informacji na temat naszych klientów.

– To była moja żona! – powiedziałem, sięgając do kieszeni i wyjmując portfel. – Proszę zobaczyć, Maciej Tomski. Janina to moja żona. Może mi chyba pani powiedzieć, co moja żona tutaj robiła, prawda?

– Bardzo mi przykro. Obowiązują nas pewne przepisy i...

– To była moja żona! – zawołałem.

Recepcjonistka rozejrzała się dookoła, najwyraźniej szukając wzrokiem kogoś, kogo mogłaby poprosić o pomoc. Wojnar chwycił mnie za ramiona i odsunął na bok.

– Przepraszamy bardzo, ale to dla nas ważne – zaczął. – Janina, Nina... moja siostra... zginęła tutaj niedaleko w wypadku samochodowym. Zderzyła się z ciężarówką i... – Przerwał, jakby słowa nie chciały mu przejść przez usta. Pochylił głowę, dotknął palcami nasady nosa. Kiedy ją podniósł, w oczach miał łzy. – Przepraszam... Po prostu... chcemy wiedzieć, co robiła w tych ostatnich dniach...

Kobieta ciągle się wahała. Wojnar nachylił się ku niej, powolnym ruchem chwycił ją za dłoń i lekko ścisnął.

– Niech nam pani pomoże... – szepnął, patrząc jej prosto w oczy. – Bardzo panią proszę.

Kiedy odsunął rękę, recepcjonistka jeszcze chwilę się zastanawiała, a potem powtórnie się rozejrzała, tym razem jednak po to, żeby sprawdzić, czy nikt nas nie słyszy.

– Macie panowie zdjęcie?

Wojnar zerknął na mnie. Pokręciłem przecząco głową. Niektórzy ludzie noszą zdjęcia bliskich w portfelu, jednak ja nigdy do nich nie należałem. Być może miałem jakieś fotki w telefonie, ale z rozbitym ekranem do

niczego się nie nadawał. W tej sytuacji Wojnar wyjął swoją komórkę, odblokował ekran i zaczął przeglądać zdjęcia, aż znalazł odpowiednie. Podsunął je recepcjonistce. Stali na nim na dworze, twarze blisko siebie, dotykali się policzkami, wpatrzeni w obiektyw, oboje uśmiechnięci. Wyglądali na tyle niewinnie, że faktycznie można było ich uznać za rodzeństwo, a nie parę kochanków. A jednak mnie zabolalo. Nie tylko dlatego, że po raz pierwszy tak naprawdę zobaczyłem ich razem. Przede wszystkim dlatego, że Janina sprawiała wrażenie szczęśliwej. Nie pamiętam, kiedy taką po raz ostatni widziałem ją w domu.

– To ta pani? – zapytała recepcjonistka.

Wojnar potwierdził skinieniem.

– A więc to ona zginęła w tym wypadku – powiedziała szeptem kobieta.
– Słyszałam o tym. Każdy słyszał, to przecież blisko. Puścili te ciężarówki objazdem tutaj, a to przecież taka droga, że ledwo dwa normalne samochody się mijają. Nie powinno jej tutaj być.

– Pamięta pani moją żonę? – odezwałem się.

– To ja jej wydawałam klucz do pokoju. Doskonale ją pamiętam, bo wie pan... Ona była taka smutna.

– Smutna?

– Strasznie. Wydawało mi się, że dopiero co płakała. Udała się prosto do pokoju i długo nie wychodziła, a potem poszła kilka razy nad jezioro, pokręciła się po terenie i następnego dnia wyjechała. Poprosiła tylko, żeby przedłużyć jej dobę hotelową. Zgodziliśmy się, bo nie mieliśmy obłożenia. Zjadła u nas obiad i wieczorem wyjechała.

– Czyli w ogóle nie opuszczała hotelu?

Recepcjonistka się zawahała.

– Nie wiem – przyznała wreszcie. – Nie siedziałam tu przez cały czas. Miałam zmianę akurat wtedy, kiedy przyjechała, i następnego dnia. I wie pan co?

– Co?

– Samochód stał dokładnie w tym samym miejscu.

– Spotykała się tutaj z kimś? – zapytał Wojnar, włączając się do rozmowy.

– Nie wydaje mi się – powiedziała z ociąganiem. – Ale tak jak mówiłam, mnie tutaj cały czas nie było.

W tym momencie zadzwonił telefon. Recepcjonistka przeprosiła nas i odebrała, a po chwili zaczęła sprawdzać w komputerze rezerwację.

Obaj z Wojnarem odeszliśmy na bok. Aktor wsadził ręce w kieszenie i zaczął lekko kiwać się na piętach.

– I co teraz? – rzucił. – Rozmawiamy jeszcze z kimś?

– Myślisz, że to ma jakiś sens?

Zastanowił się.

– Chyba nie.

Ja też wątpiłem, że dowiemy się czegoś więcej. Poza tym nie za bardzo miałem ochotę łązić po hotelu, zaczepiać każdą osobę z obsługi, podsuwać jej pod nos fotografię Janiny z Wojnarem i pytać, czy nie zna tej kobiety.

– Chodźmy stąd – poprosiłem.

Skierowaliśmy się do wyjścia, ale wtedy właśnie recepcjonistka skończyła rozmawiać przez telefon.

– Proszę pana! – zawołała.

Nie wiedzieliśmy, o którego z nas chodzi, więc podeszliśmy obaj.

– Tak? – zapytałem.

– Przypomniała mi się jeszcze jedna rzecz – powiedziała i nagle zamilkła. Potem się uśmiechnęła zakłopotana. – Przepraszam, może niepotrzebnie w ogóle wspominam...

– Proszę powiedzieć – włączył się Wojnar.

– Bo kiedy pańska żona i pana siostra wyjeżdżała, zapytałam, jak jej się podobał pobyt. Wiedzą panowie, każdego o to pytamy.

– Rozumiem.

– I ona odpowiedziała wtedy, że bardzo, że spędziła tu jedno z najszcześniejszych dni w życiu. A ona... Ona przecież przez cały czas była

tak strasznie smutna. Tak strasznie smutna, że aż się zastanawiałam, czy przypadkiem nie jest chora...

Skończyła mówić i popatrzyła na nas wyczekująco, jakby prosiła, żebyśmy jej to wytłumaczyli.

– Nie była chora – odezwałem się. – Była w ciąży.

– Chodźmy coś zjeść – rzucił Wojnar, kiedy wracaliśmy z hotelu.

Powiedział to takim tonem, że od razu zrozumiałem, o co mu chodzi: gdziekolwiek wylądujemy, nie wyjdziemy stamtąd trzeźwi.

Pasowało mi to.

Zajechaliśmy do Gospody pod Lipami. Usiedliśmy przy stoliku w kącie, z dala od maszyny do karaoke, za to pod głośnikiem, z którego sączyła się słodka rockowa ballada z końca lat osiemdziesiątych. Po chwili rozpoznałem *Cryin'* Aerosmith. Wkrótce pojawiła się przy nas kelnerka z dwiema laminowanymi kartkami ze spisem dań. Poznałem ją, to ona pomogła mi wczorajszego dnia. Na nasz widok uśmiechnęła się lekko.

– O! Widzę, że dotarł pan na miejsce! – stwierdziła. – Udał się wywiad?

Wojnar podniósł głowę. Kiedy zobaczyła jego posiniaczoną twarz, uśmiech zamarł jej na ustach.

– Wywiad? – zapytał. – Tak... Chyba poszło całkiem nieźle.

Kiwnąłem głową na potwierdzenie jego słów. Aktor wyciągnął dłoń w stronę kelnerki, a ona niepewnie wręczyła mu karty dań. Jedną podał mi.

– Na początek poprosimy dwa piwa – powiedział.

– Dwa piwa, jasne... Duże?

– Oczywiście, że duże.

Dziewczyna odwróciła się na pięcie. Kiedy odchodziła, rzuciła nam jeszcze przez ramię badawcze spojrzenie. Wojnar wyglądał na rozbawionego.

– Więc była twoją siostrą – mruknąłem, kiedy zagłębił się w menu.

– To chyba lepiej brzmiało, niż gdybym powiedział prawdę, nie?

– Trochę tak. Często sypiasz z zamężnymi kobietami?

Odłożył kartę. Położył obie dłonie na stole, wyprostował się i znieruchomiał na kilkanaście sekund ze zmarszczonym czołem. Czułem się tak, jak może się czuć podsądny na chwilę przed ogłoszeniem wyroku, chociaż to ja powinienem go osądzać, a nie on mnie.

Kelnerka wróciła i postawiła przed nami dwa piwa w grubych, pękatych kufiach. Wyczuła napięcie przy stole. W jej oczach pojawił się niepokój.

– Wszystko w porządku? – zapytała.

– Tak – odpowiedzieliśmy niemal równocześnie.

– Czy już panowie się zdecydowali, co jeszcze podać?

– Plińce. Dwa razy – rzucił Wojnar.

Dziewczyna wciąż się w nas wpatrywała. Być może spodziewała się, że coś do tego zamówimy albo przynajmniej wyjaśnimy, ale obaj milczeliśmy, wbijając w siebie nawzajem spojrzenia, jakbyśmy tylko czekali na okazję, żeby rozbić sobie te kufle z piwem na głowach. Kelnerka zabrała więc jedną z kart i zostawiła nas samych.

– Co to są plińce? – zapytałem.

– Placki ziemniaczane. Tylko że inne, miejscowe.

– To często sypiasz z zamężnymi kobietami?

– Na tyle często, że nie jest to dla mnie nic nowego. Nie jestem z nikim związany. Jeśli jakaś kobieta wysyła mi sygnały, to dlaczego miałbym nie odpowiedzieć? Niezależnie od tego, czy nosi obrączkę czy nie. Jest w końcu dorosła. To jej decyzja.

– Moja żona wysyłała ci sygnały?

– Twoja żona... – Westchnął. Sięgnął po kufel i wypił łyk piwa. – Naprawdę chcesz wiedzieć, jak do tego doszło?

– Tak.

– Nie spodoba ci się to.

– Po prostu mi, kurwa, opowiedz.

– Dobrze... – Po raz kolejny chwycił za kufel. – Spotkaliśmy się po spektaklu. Już wcześniej wiedziałem, że jest autorką *Lampeczek*.

Zaczęliśmy rozmawiać. Zaprosiłem ją do pobliskiego lokalu. Nie do zwykłej knajpy, ale takiego bardzo przyzwoitego miejsca. Wypiliśmy kilka lampek wina i rozmawialiśmy przez jakieś trzy, cztery godziny. O jej książce, teatrze, o tym, co teraz robi, o Mazurach, naszych ulubionych filmach, poezji. O tym, gdzie by chciała pojechać... Dlaczego nigdy nie zabrałeś jej na Kubę?

– Co takiego?

– Marzyła o tym, żeby pojechać na Kubę. Miała fioła na tym punkcie, od kiedy zobaczyła *Buena Vista Social Club*. Była zawstydzona, kiedy mi o tym opowiadała. Twierdziła, że to takie stereotypowe. Zobaczyła film i zakochała się w kraju, którego nigdy nie widziała. Marzenia często właśnie takie są: typowe, naiwne. Ale to jeszcze nie powód, żeby ich nie realizować.

Oglądaliśmy ten film. Wiele razy. To znaczy bardziej ona. Włączała go co kilka miesięcy. Ja wtedy siadałem przed komputerem, odpowiadałem na mejle albo kończyłem kolejny raport giełdowy. Wiem, że czytała książki o Kubie – historyczne, kryminały, nawet przewodnik. I wiem, że kiedy braliśmy katalog z biura podróży, zawsze dłużej zatrzymywała się na ofertach z Kuby. Nigdy jednak nie mówiła mi, że chce tam pojechać. I teraz do mnie dotarło, że przecież nie musiała. To było oczywiste.

– Te wycieczki są drogie – powiedziałem.

– Serio? To jest twoja wymówka, żeby nie spełnić marzenia żony? Bo drogo? A szukałeś kiedyś tanich biletów? Mieszkań na wynajem w Hawanie? Czy w ogóle zrobiłeś cokolwiek, żebyście mogli tam pojechać?

– Pierdol się! – warknąłem. – Opowiedz mi, co stało się potem.

– Nie spodoba ci się to – powtórzył.

– Mów.

– Zaboli bardziej, niż się spodziewasz.

– Po prostu mi opowiedz.

Wzruszył ramionami.

– Sporo wypiliśmy. Oboje. Zostaliśmy w tej knajpie aż do jej zamknięcia, chyba do pierwszej, może drugiej w nocy. Zaoferowałem, że odprowadzę ją do hotelu. Mieszkała zbyt blisko, by wziąć taksówkę...

Miałem wrażenie, że z każdym jego wypowiedzianym słowem moje serce coraz mocniej bije i coraz trudniej mi się oddycha.

– Było ciemno, zimno... Prawie nikogo na ulicach, bo to był przecież środek tygodnia. Miała na sobie szpilki i po kilku lampkach wina chwiała się przy każdym kroku. Zaproponowałem, żeby wzięła mnie pod rękę. Wtedy po raz pierwszy jej dotknąłem. Tak naprawdę. Dłużej. Bo wiesz, wcześniej wymienialiśmy tylko spojrzenia. Odtńczyliśmy ten cały taniec z przypadkowymi muśnięciami dłoni, niby przyjacielskimi klepnięciami, stopami stykającymi się pod stołem. Robiła krok w moją stronę i zaraz potem się wycofywała, jakby sama nie wiedziała, czego chce. Ale wtedy, kiedy szliśmy do hotelu, czułem ciężar jej ciała, to, jak przytulała się do mojego ramienia, jej zapach i miękkie włosy na moim policzku.

Zaczęło mi się kręcić w głowie. Chwyciłem się mocno stołu, potrzebowałem czegoś stałego, mocnego, realnego. Bo tonąłem. To właśnie ze mną się działo – zalewały mnie brud, szlam, złość, rozczarowanie, żal. A Wojnar ciągle mówił.

– Dotarliśmy do hotelu. Weszliśmy do środka. Stanęliśmy niedaleko wind, za zakrętem, gdzie nikt nie mógł nas zobaczyć. I wtedy był taki moment, wiesz... Moment, kiedy wszystko mogło się rozstrzygnąć. Kiedy mieliśmy zdecydować, czy pojedziemy razem na górę i spędzimy wspólnie tę noc, czy rozejdziemy się każde do swoich spraw i zapomnimy o tym spotkaniu...

– I co? – zapytałem, chociaż wiedziałem, co się stało. Zaprosiła go do siebie albo on to zaproponował, a ona się zgodziła, co nie miało większego znaczenia. W każdym razie trafili do jej pokoju, a potem do jej łóżka.

– Przytuliła się. Bardzo mocno. Podniosła głowę, spojrzała mi prosto w oczy i już mieliśmy się pocałować, kiedy powiedziała „do widzenia”. Jeszcze raz podziękowała mi za wieczór i weszła do windy. Sama. A ja zostałem w holu. I wiesz co?

– Co?

– Siedziałem tam jeszcze jak kretyń chyba przez kwadrans, łudząc się, że ona wróci. Że poszła tylko, nie wiem, ogarnąć pokój, posprzątać trochę, może wziąć szybki prysznic, a potem po mnie zjedzie. Ale nie zjechała. A ja wróciłem do siebie.

Przypatrywałem mu się z niedowierzaniem. Wojnar westchnął ciężko. Zwiesił głowę, oparł dłonie na karku. Przez moment wyglądało to tak, jakby sam próbował sobie złamać kręgosłup.

– To co się stało? – zapytałem cicho.

– Zadzwoiła po dwóch tygodniach – odezwał się szeptem tak cichym, że ledwo go słyszałem. Musiałem się nachylić, żeby wyłowić każde jego słowo. – Zapytała, czy może do mnie przyjechać. Tutaj, na Mazury. Zgodziłem się. Pojawiła się po kilku dniach. Nerwowa, taka niepewna... I wtedy to się stało. Wtedy poszedłem do łóżka z twoją żoną.

Zamknąłem oczy. Skurwiel miał rację. To okazało się gorsze niż wszystko, czego mogłem się spodziewać. Potrafiłem sobie wyobrazić ten wieczór w Gdańsku. On pijany. Ona również. Najpierw teatr. On jest znanym aktorem. Zaczynają rozmawiać. Coś między nimi iskrzy. Alkohol szumi w głowach. On zachowuje się jak prawdziwy dżentelmen. Odprowadza ją do hotelu. Mają się uściskać na pożegnanie jak przyjaciele. Wychodzi z tego coś więcej. Zaczynają się całować. Jeden błąd prowadzi do kolejnego. Ale potoczyło się inaczej. Poczekala dwa tygodnie. Przemyślała sprawę. Zrobiła analizę zysków i strat. Skalkulowała ryzyko. A potem mnie okłamała. Przyjechała na Mazury z pełną świadomością tego, po co tu jedzie i co się wydarzy. Nie było żadnego błędu.

Ból jest zawsze uczuciem subiektywnym. Nie da się go zmierzyć. Wszystkie opracowane przez medycynę skale są tylko przybliżone. Ja teraz czułem się tak, jakby ktoś wyciął mi kawałek serca.

Kelnerka postawiła przed nami dwa pełne talerze. Potrawa pachniała tak intensywnie, że ogarnęły mnie mdłości.

– Podać coś jeszcze? – zapytała dziewczyna.

– Piwo – odparł Wojnar. – A dla ciebie?

– Wódkę – wymamrotałem. – Napijmy się wódki.

Wypiliśmy jeden kieliszek, potem drugi i trzeci. A następnie wróciliśmy do piwa, co było głupie, jednak tego dnia nie miało żadnego znaczenia. Chciałem umrzeć, ale nie mogłem, bo w domu czekały na mnie dwie córeczki, dlatego chciałem się zabić chociaż na chwilę. Alkohol wydawał się najlepszym rozwiązaniem.

– Radziłeś jej więc, żeby ode mnie odeszła – powiedziałem w pewnym momencie, kiedy na dworze już zapadła ciemność, a knajpa wypełniła się gośćmi. Straciłem poczucie czasu, nie wiedziałem, ile tam już siedzimy. W każdym razie na tyle długo, że nadszedł czas na uruchomienie maszyny do karaoke. Jakaś dziewczyna masakrowała właśnie *Wehikuł czasu* Dżemu. Pomyślałem, że skoro ciągle słyszę, jak ona fałszuje, to jestem za mało pijany.

– Tak.

– Dlaczego?

– Jak to dlaczego? Przyjeżdżała do mnie. Była u mnie szczęśliwa. Widziałem to na jej twarzy. A to znaczyło, że z tobą była nieszczęśliwa.

– Skąd wiesz?

– Bo inaczej by nie przyjeżdżała.

Z trudem i z bólem przyznałem przed sobą, że to miało sens.

– Ale dlaczego miałyby odejść do ciebie?

Wojnar skrzywił się, jakby ktoś tuż przy jego uchu przejechał ostrzem noża po tafli szkła.

– Wiesz, po czym poznać, że kogoś kochasz? – zapytał niespodziewanie.

Pokręciłem przecząco głową.

– Po tym, że ten ktoś potrafi cię naprawdę zranić – odparł i podrapał się po policzku. – Kiedy jej mówiłem, żeby od ciebie odeszła, żeby została ze

mną...

– Ta...

– Ona wtedy się śmiała. Albo opowiadała, że nie może. Albo zmieniała temat. Albo kazała mi się przestać wygłupiać. A czasami... Czasami patrzyła na mnie tak jak na dzieciaka, który w ogóle nie zna życia i nie ma pojęcia, co proponuje.

Roześmiałem się głośno. Wojnara najpierw zaskoczyła moja reakcja, a potem uraziła. Machnąłem dłonią w niezgrabnym geście przeprosin.

– Znam to spojrzenie! – powiedziałem, żeby się wytłumaczyć. – Na mnie czasami też tak patrzyła. Kiedy jej radziłem, żeby poszukała innej pracy. Na przykład w pijarze! Albo kiedy pytałem, czy naprawdę musimy wymienić pralkę, bo ta stara jeszcze całkiem niezłe działa. Chyba... W każdym razie patrzyła wtedy na mnie jak na małego chłopca.

– Aha... – potwierdził po chwili wahania. – I człowiek od razu miał ochotę się schować.

– Czasami mi się wydawało, że zaraz pośle mnie do kąta.

Wojnar uniósł kufel z piwem, ja podniosłem swój i stuknęliśmy się, po czym obaj wypiliśmy po sporym łyku.

– Cudowna była – powiedział.

– Tak. Była.

– Uwielbiałem na nią patrzeć, kiedy czytała. Zawsze mnie prosiła, żebym rozpalil w kominku, a potem siadała przy nim z książką w dłoni i całkowicie oddawała się lekturze. Jakby świat wokół przestawał istnieć i liczyło się tylko to, co zapisano na kartach powieści.

Potrafiłem wyobrazić sobie tę scenę. Także dlatego, że kiedyś też ją taką widywałem. Kiedy zaczynaliśmy być razem, świeżo po ślubie, kiedy nie mieliśmy dzieci i tych wszystkich problemów dorosłego życia. W ostatnich latach zasypiała równie szybko jak ja, a zamiast czytać, wołała słuchać audiobooków w drodze do pracy.

– Widziałeś ją, jak odpływa na jawie? – zapytałem. – Zdarzało jej się zupełnie zatopić we własnych marzeniach. Przymykała wtedy powieki

i leciutko się uśmiechała. Od razu wiedziałem, że coś dzieje się w jej głowie. A kiedy pytałem, o czym myśli...

– To odpowiadała, że o niczym – dokończył za mnie Wojnar. – I była taka rozkosznie zawstydzona, jakbyś przyłapał ją na czymś co najmniej nieprzyzwoitym.

– Tak właśnie – przytaknąłem i nagle wydałem z siebie przeciągłe jęknięcie.

– Co się stało? – zapytał zaniepokojony.

– Nie, nic. Po prostu... Kurwa.

– Co?

– Przez ostatnie miesiące... Kiedy pytałem ją w takich chwilach, o czym myśli, a ona mówiła, że o niczym...

– No?

– Pewnie myślała o tobie.

Wojnar wyciągnął rękę, jakby zamierzał mnie pocieszająco poklepać po ramieniu, ale cofnął ją w połowie ruchu. Odwrócił się do mnie bokiem. Przez chwilę obserwował ludzi w sali. Dziewczyna śpiewająca *Wehikuł czasu* zakończyła swój występ. Chłopak, który ją zastąpił z jakimś zagranicznym numerem, przerwał w połowie, kiedy zorientował się, że ktoś z tyłu się z niego śmieje, po czym rzucił mikrofon na ziemię i ruszył z zaciśniętymi pięściami w tamtą stronę. Podbiegła do niego kelnerka i zaczęła go uspokajać, a on gestykulował energicznie i coś krzyczał, ale nie słyszałem co. Osiągnęła jednak swój cel – chłopak się uspokoił i zamiast się bić, wyszedł zapalić na zewnątrz. Zdałem sobie sprawę, że jego również już spotkałem. To on krzyczał na kogoś przez telefon, kiedy wychodziłem z gospody poprzedniego wieczoru.

– Mogę cię o coś zapytać? – odezwał się Wojnar.

– O co?

– Co się wydarzyło przez te dwa tygodnie?

Też zadawałem sobie to pytanie. Wracałem do niego jak opętany pomiędzy jednym a drugim kuflem, próbując zrekonstruować tamte dni,

odtworzyć każdą chwilę, każdą naszą rozmowę. Jednak za każdym razem dochodziłem do tej samej smutnej konkluzji.

– Nic – powiedziałem. – Nic się nie wydarzyło.

Dwa tygodnie. Tyle czasu potrzebowała, żeby podjąć decyzję o zdradzie. W Gdańsku jeszcze miała skrupuły. Bała się konsekwencji albo nie wiedziała, czy tego naprawdę chce. Wróciła do domu i wszystko wyglądało jak zawsze: praca, dzieci, dom, kredyt, kłótnia, udawanie, że wszystko jest w porządku. Dwa tygodnie naszego zwyczajnego życia – tyle właśnie potrzebowała, żeby zmienić zdanie.

– Nie wiem, dlaczego do mnie nie przyjechała – odezwał się Wojnar. – Była tutaj, ledwie kilkadziesiąt kilometrów ode mnie. Nie wiem, ile to jest. Pół godziny? Góra godzina? Dlaczego nie przyjechała?

– Nie wiem.

– Naprawdę myślisz, że to było moje dziecko?

– Nie było moje.

– Uważaliśmy! Ona... – Nie dokończył. Zacisnął zęby i machnął gniewnie ręką. – Coś zrobiłem źle, kiedy widziałem ją po raz ostatni. Obiecała, że na mnie poczeka, a odeszła. Przestała odbierać telefony, mejle... Zastanawiam się dlaczego, ale mam pustkę w głowie. Jednego dnia byliśmy szczęśliwi, następnego zniknęła z mojego życia.

Pomyślałem, że to dziwne, jednak po tych wszystkich piwach i kieliszkach wódki zaczynałem się przyzwyczajać do Wojnara i jego opowieści. Ciągłe powodowały bolesne ukłucie w podbrzuszu, choć nie wywoływały już gniewu. Zamiast tego szukałem w nich tej Janiny, którą znałem. I nawet ucieszyłem się na wieść, że bywały dni, kiedy była szczęśliwa. Jakbym w ten sposób uciszał własne wyrzuty sumienia.

– Nosila w brzuchu moje dziecko – szepnął Wojnar i schował twarz w dłoniach.

Nagle wydał mi się mniejszy, słabszy, bardziej kruchy, jakby pokonał go natłok myśli i wspomnień. I chyba dopiero wtedy, w barowym półmroku, nad kuflem piwa, uwierzyłem, że on także ją kochał. Odwzajemniała to

uczucie, przyjechała tu przecież, żeby się z nim spotkać, powiedzieć mu o dziecku. A jeśli tak, to postanowiła je zatrzymać, co z kolei oznaczało, że zdecydowała się mnie zostawić. To, że wtedy jednak nie porozmawiała z Wojnarem, wydało mi się nieistotne. Może w ostatniej chwili stchórzyła, odłożyła to na później albo uznała, że jeszcze nie nadszedł czas. Bo w to, że zmieniła zdanie – nie wierzyłem. A samobójstwo? Policja mogła się pomylić, w końcu nie pracują tam sami najbystrzejsi z bystrych. Janina mogła się zamyślić, stracić kontrolę nad pojazdem, nawet zasnąć za kierownicą. Nie musiała od razu się zabijać. Zresztą nieważne. Teraz liczyło się jedynie to, że nasze małżeństwo skończyło się właśnie tutaj, na Mazurach. Człowiek za to odpowiedzialny siedział przede mną, a ja czułem obrzydzenie do samego siebie, bo nie miałem już siły, żeby się na niego złościć.

– Przepraszam na moment.

Wstałem od stolika, co okazało się trudniejsze i zajęło mi więcej czasu, niż się spodziewałem. Dwa pierwsze kroki postawiłem z trudem, ryzykując upadek, z kolejnymi poszło już łatwiej. Przedzierałem się przez zatłoczoną salę. Minęła mnie kelnerka, wkładając kurtkę i krzycząc do koleżanki za barem, że robi sobie przerwę na papierosa. Popchnąłem ją ramieniem i zaraz przeprosiłem. Zmęczona spojrzała na mnie z irytacją, nic nie powiedziała.

Znalazłem drzwi do ubikacji. Oparłem głowę o przyjemnie chłodne kafelki, wyjąłem penisa i zacząłem sikać, kreśląc moczem po pisuarze pętle i zygzaki. Skończyłem, zapiąłem spodnie. Postanowiłem, że nie umyję rąk, bo raz w życiu mogę być buntownikiem – poza tym dla kogo miałbym je myć, całować się z nikim nie będę, a od kropli sików na dłoni nikt jeszcze nie umarł – i wróciłem do naszego stolika.

Wojnar już jako tako doszedł do siebie. Siedział sztywno wyprostowany, jego posiniaczona twarz była blada, jakby zbierało mu się na wymioty, a spojrzenie nieobecne i równocześnie ponure. Wyglądał na człowieka, który właśnie zderzył się ze ścianą i ledwo wyszedł z tego o własnych siłach.

Chwyciłem go pod ramię i próbowałem podciągnąć w górę, ale sam się przy tym wywaliłem i wylądowałem tyłkiem na podłodze. Roześmiałem się, a Wojnar powoli obrócił głowę i spojrzał na mnie tak, jakbym właśnie wyrwał go z głębokiej pijackiej medytacji.

– Co jest? – zapytał, kiedy powoli podnosiłem się z ziemi.

– Czas wracać – powiedziałem.

– Mamy jeszcze piwo.

– Nie chcę piwa.

– W sumie to mamy w domu.

– W domu mogę się napić – przyznałem.

Pociągnął nosem. Chwycił za kufel, dopił resztę i wstał z ławy. Kiedy przy barze poprosił o rachunek, wyjąłem portfel. Chciałem zapłacić swoją część, ale mnie powstrzymał. Zdenerwowało mnie to. Taki protekcyjny, głupi, pasywno-agresywny gest.

– Pan podzieli na dwa – rzuciłem.

– Przecież zapłacę – wymamrotał Wojnar.

– Na dwa – powtórzyłem.

Za barem stał chłopak w białej koszuli, ze srebrnym kolczykiem w uchu. Nie żadnym małym kółkiem, tylko sporą srebrną obręczą z jakimś pogańskim wzorem. Przez chwilę wodził wzrokiem od Wojnara do mnie, a potem po prostu wzruszył ramionami i podzielił rachunek przez dwa. Każdy z nas zapłacił swoją część.

– Jesteś w stanie prowadzić? – zapytałem, kiedy znaleźliśmy się na dworze.

Było ciemno i zimno. Od razu się zapiąłem.

– Dam radę.

– Jesteś pijany.

– No! Ale to się przez las jedzie. Nikogo tam nie ma. Najwyżej jakiegoś jelenia przejadę. Poza tym... Poza tym... – Zachichotał.

– Co takiego?

– Tutaj, kurwa, nie ma ubera. Albo jedziemy, albo zapierdalamy z buta.
Nie musiałem się długo zastanawiać.

– Jedziemy – zdecydowałem.

Volvo Wojnara stało prawie na końcu parkingu. Z dala od gospody, niedaleko krzaków i ukryte pod jedną z tych gigantycznych lip, od których lokal wziął swoją nazwę. Co chwila się potykaliśmy na nierównym podłożu, pełnym dziur i kopczyków, a potem nawzajem łapaliśmy, ratując się przed upadkiem. Pomyślałem, że jeśli nie połamiemy sobie tutaj nóg, jazda po pijaku przez ciemny las to będzie już kaszka z mleczkiem.

I wtedy na masce volvo zobaczyliśmy dwa cienie, splecione ze sobą dwie czarne sylwetki. Jedna wbita w drugą, przygniatała ją swoim ciężarem. Usłyszeliśmy krzyk. Cichy, zduszony, jakby ktoś właśnie wcisnął komuś pięść w usta. A potem ociekające wściekłością przekleństwo.

– Kurwa! Głupia kurwo, kurwa, przestań się ruszać, kurwo, kurwa!

Uderzenie i stęknienie.

– Proszę... – Błaganie.

Oniemiałem, wpatrzony w sylwetki na srebrnej masce samochodu, jakby to był jeden z japońskich teatrów cieni.

Kolejny ruch, kolejne uderzenie, kolejna groźba.

– Nie ruszaj się, bo cię zajebię!

Wojnar ruszył do przodu i chwycił chłopaka – tego samego, który chciał się bić przy karaoke i którego spotkałem zaraz po przyjeździe. Pod nim leżała dziewczyna. Kelnerka.

– Co jest, kurwa?!

Zamachnął się i trafił chłopaka prosto w twarz. Ten zakręcił się w miejscu i głowa odskoczyła mu do tyłu, jakby była na gumce. Gdy padł na ziemię, Wojnar stanął nad nim z zaciśniętymi pięściami, gotowy do dalszej bijatyki. Oszołomiona dziewczyna zsunęła się z maski, wyglądała tak, jakby nie wiedziała, co się wokół niej dzieje, kiedy automatycznym ruchem wciągała na siebie spodnie i bieliznę. Przez moment widziałem jeszcze bladość skóry na udach. Odwróciłem wzrok.

Chłopak wstał z ziemi. Rozglądał się dookoła, wciąż lekko zamroczony, ale już wściekły. Widziałem białka jego oczu błyskające w mroku. Pomyślałem, że to wzrok szaleńca. Potrafił jednak liczyć – dwóch na jednego.

– Nie wasza sprawa, kurwa! – krzyknął.

Wojnar zrobił krok do przodu. Chłopak zaczął klepać się po kieszeniach, sięgnął do jednej, potem do drugiej. Jego ruchy robiły się coraz bardziej desperackie, na twarzy malował się gniew i frustracja. Wojnar schylił się, podniósł srebrny przedmiot i szybko wykonał kilka ruchów przegubem. W jego dłoni, jakby to była jakaś magiczna sztuczka, pojawiło się ostrze noża.

– Tego szukasz? – zapytał.

Chłopak zamarł. Skupił wzrok na wycelowanym wprost w niego czubku. Cofnął się, popatrzył na nas, potem na dziewczynę.

– Macie przejebane – wycedził.

– Jesteś pewien?!

– Wpierdolę wam, pierdolone zjebańce!

Wojnar zrobił ruch w jego stronę. Tyle wystarczyło. Chłopak odwrócił się na pięcie i popędził w stronę gospody. Po drodze, mniej więcej w połowie, wywrócił się na jakiejś dziurze. Krzyknął z bólu. Podniósł się niezgrabnie i kuśtykając, poczłapał do lokalu. Wojnar złożył nóż i schował motylka do kieszeni. Podszedł do dziewczyny.

Kelnerka miała szeroko otwarte oczy, kiwała machinalnie głową w górę i w dół.

– Już w porządku – powiedział. – Jesteś cała?

Dziewczyna skupiła wzrok na aktorze. Trwała tak przez moment, ze ściągniętymi brwiami, a potem, niespodziewanie, chwyciła go za klapy kurtki.

– Musimy uciekać! – zawołała.

– Co?!

– Musimy uciekać! – powtórzyła jeszcze głośniej.

Jej spojrzenie powędrowało ponad ramieniem Wojnara. Odwróciłem się w tę samą stronę. Drzwi od gospody właśnie się otwierały.

– Wojnar! – krzyknąłem.

Aktor też ich zobaczył. Kilku miejscowych chłopaków wypadło na parking i rozglądało się niepewnie dookoła, nie do końca zdając sobie sprawę, dokąd mają biec i kogo bić.

Otworzył samochód.

– Pomóż jej! – syknął, wskakując na miejsce kierowcy i uruchamiając silnik.

Otworzyłem drzwi od strony pasażera i wpakowałem dziewczynę do środka, sam rzucając się za nią. Wojnar już ruszał. Straciłem równowagę. Wylądowałem wprost na kelnerce, tak że uderzyła głową o drzwi po drugiej stronie, a moja twarz znalazła się tuż obok jej piersi.

– Przepraszam – wystękałem.

– Jedź! – ryknęła.

Dwóch chłopaków dobiegło do auta. Walili wściekle pięściami w szyby i dach. Wojnar przyśpieszył. Wypadł z parkingu na szutrową drogę i jeszcze bardziej docisnął gaz. Samochodem zakołysało, a ja przestraszyłem się, że zaraz władujemy się w latarnię lub wylądujemy w rowie, jednak aktor odzyskał panowanie nad wozem i wyrównał.

Podniosłem się z dziewczyny, spojrzałem w tylną szybę. Ci dwaj próbowali nas jeszcze gonić przez kilkanaście metrów, ale nie dali rady. Jeden znalazł leżącą na poboczu butelkę. Podniósł ją i rzucił w naszym kierunku. Nie trafił. Rozbiła się na drodze na drobne kawałki kilkanaście metrów za nami. Drugi uniósł wysoko dłoń z wyprostowanym środkowym palcem.

Wyjechaliśmy na główną drogę.

– Dokąd cię zawieźć? – zapytał Wojnar.

Mocno trzymał kierownicę. Mrużył powieki, wbijając wzrok w drogę przed nami.

– Jedź... – wyszeptała kelnerka.

Ledwo ją widziałem w ciemności samochodowej kabiny. Co chwila tylko w pomarańczowym świetle ulicznych latarni migąła mi jej twarz z rozmazanym makijażem, policzki dziewczyny pokrywały ciemne smugi tuszu.

– Powiedz mi, gdzie mieszkasz – rzucił lekko bełkotliwie, pomimo tego, że starał się mówić wyraźnie. – Zawiozę cię do domu.

– Nie! Jedź!

– Wojnar, powinniśmy pojechać na policję – odezwałem się z tylnego siedzenia.

– Żadnej policji! Po prostu jedź! Jedź! Jedź! – wrzeszczała dziewczyna, równocześnie uderzając pięściami w zagłówek fotela przed nią. – Jedź!

Wojnar zwolnił, zastanawiając się, co powinien zrobić. Co chwila nerwowo zerkał w lusterko wsteczne, wypatrując pogoni. Po kilku sekundach podjął decyzję. Przyśpieszył, a później skręcił w las, w drogę prowadzącą do jego domu.

– Co robisz? Powinniśmy jechać na policję.

– Pojedziemy... – mruknął, nachylony nad kierownicą. – Jutro.

– Jutro? – powtórzyłem.

– Dziewczyna jest w szoku, a ty i ja jesteśmy pijani. Ona niewiele powie na komendzie, a jak mnie sprawdzą alkomatem, to dostanę zarzuty za jazdę

pod wpływem. Poczekamy do rana. Wytrzeźwiejemy. Wypijemy kawę i zjemy śniadanie. Dopiero potem pojedziemy.

– Moglibyśmy po nich zadzwonić.

– Dziewczyna jest w szoku – powtórzył tonem, który zakończył dyskusję.

Westchnąłem i opadłem na tylne siedzenie. Wzburzenie spowodowane niebezpieczną sytuacją mijało. Władzę nad moim ciałem znowu przejmował alkohol. Tym razem jednak nie czułem już miłego upojenia, tylko zmęczenie połączone z zapowiedzią potwornego kaca. Ręce mi lekko drżały, byłem słaby, ale i tak wiedziałem, że jeszcze przez kilka godzin nie będę w stanie zmrużyć oka.

Nachyliłem się do dziewczyny, lekko dotknąłem jej ramienia.

– Wszystko w porządku? – zapytałem.

Odsunęła się ode mnie gwałtownie, równocześnie zasłaniając twarz dłonią. Jakby spodziewała się, że ją uderzę. Wycofałem się. Podskakujący na wertepach samochód sprawiał, że zaczynało mi się zbierać na wymioty.

Dojechaliśmy na miejsce, nie odzywając się już do siebie ani słowem. Wojnar wysiadł z wozu. Kiedy otworzył bramę wjazdową, od razu podbiegła Znajda z radosnym szczekaniem. Zaczęła tańczyć wokół niego, robiąc kółeczka i podskakując. Nachylił się nad psem i kilka razy pogłaskał go po łbie. Potem wrócił do samochodu i wjechaliśmy na teren posesji.

Gdy otworzył dziewczynie drzwi i podał jej dłoń, wahała się przez moment, ale wreszcie ją chwyciła. Poszedłem za nimi. Pies wciąż biegał pomiędzy nami, ciągle uradowany.

W środku Wojnar usadził dziewczynę na fotelu, podszedł do kominka, wrzucił podpałkę, ułożył na niej kilka szczapek drewna i podpalił. Podmuchał kilka razy, poczekał, aż pojawi się ogień, a potem wstał.

– Wrzucić tam jakiś większy kawałek, jak się mocniej rozpali – powiedział do mnie i przeszedł do kuchni. Za nim pobiegła Znajda.

Stałem niedaleko drzwi, czując się całkowicie zbędny. Poradziłby sobie doskonale na tym parkingu beze mnie. Nie zrobiłem nic, żeby pomóc jemu

albo tej dziewczynie. Co najwyżej nie utrudniłem mu najpierw bijatyki, a potem samej ucieczki. A teraz to polecenie rzucone mi w przelocie... Jak upokarzający akt łaski, zaznaczenie, że Wojnar pamięta o mojej obecności i próbuje mnie włączyć w przebieg wydarzeń.

Wszedłem do pokoju. Wziąłem z kanapy polarowy koc, fioletowy z frędzlami. Na moment stanęła mi przed oczami Janina. Ujrzałem ją, jak siedzi opatulona przed kominkiem, w dłoni trzyma kubek z herbatą lub grzańcem i wpatruje się w płomienie. Pod kocem jest goła. Na skórze ciągle znajdują się kropelki potu po niedawnym seksie z Wojnarem. Przez chwilę miałem ochotę zbliżyć materiał do swojej twarzy, żeby sprawdzić, czy potrafię wyczuć jej zapach.

Wzdrygnąłem się. Podeszedłem do dziewczyny i podałem jej koc. Nie zareagowała, być może nawet nie zauważyła mojej obecności. Kiedy delikatnie ją nim okryłem, najpierw się spięła, a potem chwyciła koc i podciągnęła go sobie aż pod samą brodę.

Czułem potrzebę, żeby się odezwać. Powiedzieć coś, co w jakiś sposób doda jej otuchy, wyrwie z tego stuporu, ale nie potrafiłem niczego wymyślić. Zamiast tego wziąłem więc dwa drwa z kupki pod ścianą, dorzuciłem do kominka i wróciłem pod ścianę.

Wojnar pojawił się po kilku minutach z tacką i trzema parującymi kubkami. Tacę położył na stoliku, jeden z kubków podał dziewczynie, drugi mnie, z trzecim usiadł na kanapie. Znajda wskoczyła za nim i położyła łeb na jego udzie. Uśmiechnął się lekko, prawie niezauważalnie, i podrapał ją za uchem.

Wypiłem ciepły napój z kubka i poczułem na języku smak słodkiej herbaty.

– Co tam się wydarzyło? – zapytał Wojnar po chwili.

Dziewczyna otworzyła usta, jednak nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

– Pierdolony Ułan! – rzuciła wreszcie gwałtownie, jakby próbowała wypluć z siebie grudę gęstej flegmy. Na jej twarzy odmalował się grymas wściekłości i obrzydzenia, który zaraz zniknął, a w oczach zamigotały łzy. – Pierdolony, pierdolony... – powtórzyła ciszej, żałośnie, i otarła kocem oczy.

Popatrzyliśmy na siebie z Wojnarem. Obaj niepewni, co w tej sytuacji powinniśmy zrobić. Czy dalej na nią naciskać, próbować dowiedzieć się czegoś więcej, czy odpuścić. W milczącym porozumieniu zdecydowaliśmy się na to drugie. Czekaliśmy, zdając sobie sprawę, że jeśli dziewczyna nie będzie sama chciała, niczego nam nie powie.

– Zapytał, czy mam papierosa – odezwała się po dwóch, może trzech minutach. – Zapytał tylko o papierosa...

Poprawiła się na krześle. Obejrzała się najpierw na mnie, potem na Wojnara.

– Nie jestem taka! – zawołała. – Nie pierdolę się z facetami na parkingu! Niczego mu nie proponowałam! Niczego, kurwa! Tylko papierosa! Tylko papierosa chciał! Ja nie jestem taka!

Nie potrafiłem zrozumieć tego nagłego wybuchu, tego gorączkowego potoku słów, strumienia zapewnień, że nic złego nie zrobiła. Zachowywała się tak, jakbyśmy naprawdę oskarżali ją o to, że sprowokowała tego chłopaka, że sama go zachęcała do gwałtu. Było to zaskakujące i krępujące.

– Spokojnie – odezwał się Wojnar. – Rozumiemy. Opowiesz to wszystko jutro policji.

– Policji?! Nie, nie, nie! Nie mogę! Nie opowiem! Nie mogę!

– Okej, okej. Słuchaj... Nikt cię do niczego nie zmusza. I nikt cię nie zmusi! Teraz odpocznij, dobrze? Nic ci tutaj nie grozi. Wszystko jest w porządku. Powinnaś się położyć, przespać, a rano zastanowimy się co dalej. Czy możemy tak zrobić?

Dziewczyna zagryzła dolną wargę i zmarszczyła brwi. Nagle wydała z siebie cichy, urwany krzyk.

– A moja mama?! – zapytała. – A jeśli on pojechał do mojej mamy?! Co z moją mamą?!

– Wszystko jest z nią w porządku. Chcesz, żebym do niej zadzwonił?

– Skąd wiesz?! Skąd wiesz, że jest w porządku? Nie możesz wiedzieć, że jest w porządku!

Zrzuciła z siebie koc. Kubek wypadł jej z dłoni i spadł na podłogę, kilka razy obracając się w powietrzu. Uderzył w ziemię, a herbata wylała się, tworząc rozległą kałużę.

Barmanka podniosła dłoń do ust.

– Przepraszam – wyjąkała.

Wojnar podniósł się z kanapy.

– Nic nie szkodzi – powiedział i dodał po chwili: – Pójdę po ścierkę.

Pies najpierw ruszył za nim do kuchni, ale zatrzymał się po kilku krokach, zawrócił i zwiesił łeb przy rozlanej herbacie. Chłepcząc energicznie, zaczął zlizywać ją z podłogi. Dziewczyna przyglądała mu się uważnie. Kąciki jej ust powędrowały lekko w górę. Przynajmniej tak mi się zdawało.

Wojnar wrócił z lnianą kuchenną szmatą, trochę poplamioną i nadpaloną w jednym miejscu, oraz rolką papierowych ręczników.

– Znajda, zostaw! – rzucił ostro, odsuwając psa.

– Smakuje jej – zauważyła dziewczyna.

– Smakuje, smakuje. Ale herbata jest słodzona. Zęby sobie popsuje.

Klęknął przy fotelu, podniósł kubek, otarł go szmatą i postawił obok.

– Nie zbił się? – zapytała.

– Nie. Zresztą nawet gdyby, nic by się nie stało.

Zerwał kilkanaście ręczników z rolki i rzucił na mokrą podłogę, przygniatając w kilku miejscach.

– Może pomogę? – zaproponowała dziewczyna.

– Nie trzeba – mruknął i nagle zamarł w pół ruchu.

– Co jest? – zapytałem zaniepokojony.

Nie odpowiedział. Podniósł się z ziemi, podszedł do okna i wyjrzał. Wtedy ja też to usłyszałem, wyraźny dźwięk samochodowych silników. Stałem obok Wojnara.

– Sąsiedzi? – zapytałem szeptem.

Pokręcił przecząco głową. Pomiedzy drzewami dostrzegliśmy odległe, ale zbliżające się do nas światła reflektorów.

– Chodź – rzucił i pociągnął mnie za sobą. Wziął pogrzebacz spod kominka. Zamachnął się nim kilka razy, a potem wręczył mi go bez słowa.

– A ty? – zapytałem.

– Coś sobie znajdę.

Dziewczyna przypatrywała się nam zaniepokojona. Wstała z fotela.

– Ty tutaj zostań – powstrzymał ją, dając mi znak, żebym poszedł za nim.

Wyszliśmy na dwór i stanęliśmy na werandzie, przed drzwiami wejściowymi. Dwa samochody, stary golf i równie stary opel corsa, właśnie wjeżdżały na posesję Wojnara. Zatrzymały się kilkanaście metrów za bramą, mniej więcej w połowie drogi pomiędzy szopą a domem. Wysypało się z nich sześciu chłopaków. Rozpoznałem tych dwóch, którzy nas gonili. Wszyscy mieli na sobie bluzy z kapturami, sportowe buty, bojówki lub jeansy. Ruszyli w naszą stronę, pokrzykując coś do siebie nawzajem, zagrzewając się wzajemnie i szykując do bijatyki.

– Trzymaj się na razie z tyłu – wyszeptał Wojnar.

– A potem?

– A potem przypierdol każdemu, który tutaj podejdzie.

Kiwnąłem głową, chociaż nie mógł tego zobaczyć. Patrzyłem na zbliżających się chłopaków i wiedziałem, że to nie może się dobrze dla nas skończyć. Sześciu na dwóch to aż nadto wyraźna przewaga. Rozsądek podpowiadał mi, że lepiej byłoby zabarykadować się w domu i zadzwonić po policję, a najlepiej po prostu uciec. Z tą dziewczyną nie miałem nic wspólnego, z Wojnarem zdradziła mnie żona, nie zależało mi na jego losie. Jeśli go pobiją, powinienem tylko się z tego cieszyć. Poza tym w Warszawie czekały na mnie dwie dziewczynki. Nie było żadnego powodu, żebym tu tkwił. A jednak ciągle stałem krok za Wojnarem, zaciskając gorączkowo dłoń na drewnianej ręczce pogrzebacza i zastanawiając się, czy faktycznie będę miał odwagę go użyć.

Na czoło grupy wysunął się Ułan. Szczrzył zęby i zamachał kilka razy ramionami, jakby chciał zaprezentować nam swoje towarzystwo.

– I co?! – rzucił. – Łyso, kurwa?

– Czego chcecie? – zapytał Wojnar.

– Gdzie jest Anka?!

– Jaka Anka?

– Anka barmanka!

Ktoś z tyłu parsknął, rozbawiony rymem. Wojnar wzruszył ramionami.

– A co?

– A bo ją porwaliście, kurwa! A my ją zabieramy. Więc oddajcie nam ją, bo, kurwa, źle się to dla was skończy.

Wojnar zrobił zdumioną minę. Podniósł w górę rękę, po czym ją opuścił. Otworzył usta, zamknął je, żeby wreszcie, na koniec tej pantomimy, parsknąć śmiechem.

– Porwaliśmy ją?! – zawołał. Znałem go już na tyle dobrze, by wiedzieć, że to nie jest jego naturalne zachowanie. Grał, a tych sześciu chłopaków, którzy przyjechali tutaj, żeby nas pobić, stanowiło jego publiczność. – Naprawdę?!

Zszedł z werandy i zbliżył się Ułana. Uśmiechał się szeroko, z udawanym rozbawieniem.

– Naprawdę uważacie, chłopaki, że nie mamy co robić, tylko porywać barmanki z waszej gospody? Naprawdę myślicie, że to właśnie się wydarzyło? Że mieliśmy taki kaprys, naszła nas ochota, żeby pojmać białogłową, wyrwać ją spod opieki tegoż ortalionowego rycerza?!

Dwóch, może trzech chłopaków parsknęło śmiechem, spoglądając na śliski dres Ułana. Ale co ważniejsze, reszta z nich zaczęła tracić pewność siebie. Spoglądali po sobie, jakby liczyli, że nawzajem rozwieją swoje wątpliwości.

– Nie pierdol, kurwa! Jest tu Anka czy nie?!

– Nawet jeśli jest, to z własnej woli. A was tutaj nie powinno być. Wracajcie do domu.

– Nigdzie bez niej, kurwa, nie pojedziemy. Jak ci będziemy musieli chałupę rozpierdolić, żeby ją znaleźć, to tak zrobimy! Nie, chłopaki?!

Odwrócił się do reszty towarzystwa, jednak kumple nie zareagowali tak, jak się spodziewał. Zamiast entuzjazmu pomieszanego z agresją rozległo się tylko kilka niepewnych pomruków.

– Kurwa! Ciule jedne! – ryknął na nich. – Lizalem się na parkingu z Anką, kiedy ten jebany chuj najpierw mi zajebał, a potem zajebał Ankę! Kurwa, chcecie mu na to pozwolić?!

Wojnar raz jeszcze się roześmiał.

– Lizaleś się z nią?! – zawołał. – Naprawdę? To właśnie działo się na tym parkingu? Lizaleś się z tą dziewczyną?!

– Słuchaj, kurwa, pierdolony kutasie! – wrzasnął Ułan. – Przyjeżdżasz sobie tutaj z Warszawy, zgrywasz wielkiego, kurwa, gwiazdora i wydaje ci się, że wszystko możesz! No to, kurwa, nie możesz wszystkiego, jebany warszawiaku! Tutaj jest nasz dom, nasze zasady, a ty masz ich przestrzegać, bo jesteś tutaj jebanym, kurwa, gościem!

Dopadł do Wojnara i odepchnął go tak mocno, że aktor poleciał na werandę. W ostatniej chwili chwycił się poręczy i odzyskał równowagę. Co gorsza, przemowa Ułana sprawiła, że pozostali jakby przypomnieli sobie, dlaczego tu przyjechali. I oni też zrobili kilka kroków w stronę domu. Wiedziałem, że jeśli coś się nie stanie, zaraz będę musiał użyć pogrzebacza.

– Gdzie jest Anka?! – ryknął Ułan.

– Tutaj jestem – usłyszałem za swoimi plecami. – Uspokój się wreszcie.

Odwróciłem się. Dziewczyna stała tuż za mną, w otwartych drzwiach. Ruszyła do przodu, minęła mnie i stanęła obok Wojnara. Położyła mu dłoń na plecach. Na sekundę, nie dłużej, i zaraz ją zdjęła.

– Co się dzieje? Co to za awantura? – zapytała, starając się, żeby jej głos brzmiał swobodnie.

– Ułan powiedział, że cię porwali.

– Co takiego? Porwali? Ułan się kiepsko lizał, to pojechałam z kimś innym.

– Nie pierdol, Anka! – wrzasnął chłopak. – Pobili mnie, a potem...

– Nie pobili, tylko się wypierdoliłeś po pijaku! – odpowiedziała mu dziewczyna. – I odwała ci z zazdrości, ale już nie jesteśmy razem, Ułan. Nie jesteśmy! I jak mam ochotę, to sobie mogę pójść z kimś na piwo, nie? No powiedz, Ułan, mogę czy nie?

Nie odpowiedział. Przesępował z nogi na nogę. Miętolił w ustach przekleństwa, jednak cała sytuacja wyraźnie go zdezorientowała. Chciał się bić, ale teraz dziewczyna pozbawiła go pretekstu do rozpoczęcia bijatyki.

Barmanka podeszła do jednego z chłopaków. Klepnęła go w ramię.

– Zabierz mnie do domu, Jurek.

– Anka! – zawołał Wojnar.

Odwróciła się do nas ze sztucznym uśmiechem.

– Jest okej – powiedziała.

Chwilę potem ona, chłopak o imieniu Jurek i jeszcze dwóch innych wsiedli do opla corsy i odjechali. Zaraz za nim reszta, na czele z Ułanem, wpakowała się do golfa i ruszyła za nimi. Wojnar zamknął bramę.

Wyjechałem stamtąd następnego ranka. Trochę po siódmej, po ledwie trzech, może czterech godzinach snu. Ciągle czułem się pijany, ale wolałem zaryzykować spotkanie z policją i utratę prawa jazdy niż zostać dłużej w tym miejscu.

Wojnar obserwował, jak się pakuję do samochodu. Stał na werandzie, pił kawę. Znajda leżała u jego stóp. Nie pożegnaliśmy się. Nie rozmawialiśmy o tym, co wydarzyło się w nocy. Nie było o czym. Kiepscy z nas byli rycerze na białym koniu. Obaj zawiedliśmy tę dziewczynę. Tak jak obaj, w różny sposób, zawiedliśmy Janinę.

WOJNAR

Czas na Mazurach płynął inaczej, wolniej i spokojniej. Jednym z głównych powodów, dla których Wojnar tutaj zamieszkał, było to, że w Warszawie nie potrafił się wyspać. To miasto miało w sobie coś toksycznego, coś, co zatruwało całe jego ciało i umysł. Za dużo tam pił, palił, a kiedyś także ćpał. Za późno kładł się do łóżka, budził się często po trzech, czterech godzinach i nie potrafił już zasnąć, więc tylko leżał, wsłuchując się w coraz głośniejsze dźwięki miasta. W Starych Wilczych nie potrzebował ani alkoholu, ani pigułek. O dziesiątej robił się senny, o wpół do jedenastej kładł się do łóżka. Czasami jeszcze trochę czytał, ale najczęściej koło jedenastej spał już jak niemowlę, żeby obudzić się równo o szóstej rano, wypoczęty i spokojny. Przekonany, że znajduje się właśnie tam, gdzie powinien być, a każdy element jego życia jest we właściwym miejscu.

Tak przynajmniej wyglądało to do wizyty męża Niny, tamtej niepokojącej nocy i wszystkiego, co wtedy się wydarzyło. Od tamtej pory męczyły go koszmary. Nie takie jak z horrorów. Nie było tam żadnych potworów, psychopatów z siekierą w ręku lub wściekłych zwierząt gotowych rozerwać go na strzępy. Prześladowały go niejasne szare obrazy, pełne smug i półcieni, kłęby dymu formujące się w kształt przypominający twarz Niny lub dziewczyny z Gospody pod Lipami. Trudne do zidentyfikowania szumy, wśród których dało się wyłowić tylko pojedyncze sylaby. Ktoś go wołał z oddali, ale nie wiedział, kto ani czego od niego chce.

Budził się później zupełnie zmęczony, jakby jego mózg oblepiała słodka wata. Z trudem podnosił się z łóżka. Najchętniej w ogóle by nie wstawał, tylko zakopał się w ciepłej pościeli, ale znał ten stan i wiedział, że bez względu na to, ile by leżał i próbował zasnąć, i tak nie uda mu się odpocząć.

Wstał więc. Przemył twarz w łazience i potarł palcami twardą szczecinę na policzkach. Już od dawna nie przypominała trzydniowego zarostu, tylko niechlujny zarost faceta, który przez ostatni tydzień pił. Wojnar uznał, że dzisiaj również nie chce mu się golić. Umył jedynie zęby i przygotował sobie kawę. Potem wyszedł na dwór z kubkiem w dłoni i papierosem w ustach. Jeszcze jedna konsekwencja odwiedzin męża Niny. Przyznał wreszcie przed sobą, że po raz kolejny przegrał walkę z nałogiem. Tak było łatwiej i przyjemniej. W samym tiszercie i spodniach od dresu ruszył na pomost. Zimna mokra trawa łaskotała bosc stopy, chłodny wiatr od jeziora gładził nagie ramiona. Znajda podbiegła do niego i przez chwilę pałętała się wokół jego nóg. Przystanał na moment, pogłaskał ją po łbie, ona jak zwykle zamerdała ogonem.

Zatrzymał się przy samej krawędzi pomostu. Upił łyk kawy. Po drugiej stronie jeziora dostrzegł łódkę, a na niej dwie małe sylwetki wędkarzy.

Nina właśnie tutaj najbardziej lubiła przychodzić rano. Niezależnie od pogody i pory roku. Nawet wtedy, pod koniec listopada, kiedy całą okolicę pokryła gruba warstwa śniegu w niespodziewanym, krótkim i gwałtownym ataku zimy. Włożyła kurtkę, trapery i w zawiei przedzierała się na pomost, żeby napić się kawy lub herbaty. Trzymała ją w posiniałych z zimna palcach, których nie ratowało nawet ciepło kubka. A on oczywiście szedł za nią jak głupi, chociaż w domu było ciepło, trzaskały drwa w kominku i nawet Znajdzie nie chciało się wychodzić.

W drodze powrotnej zaczęli się całować. Oparła się o ścianę, zsunęła lekko spodnie, akurat na tyle, że mógł w nią wejść. Wtulał się w nią, płatki śniegu padały na jego policzki, a para z ich ust łączyła się w jeden obłok. Przez moment zastanawiał się, czy to przypadkiem nie tego dnia ją zapłodnił. Potem jednak przypomniał sobie, że to mało prawdopodobne. W pewnym momencie odwróciła się i zaczęła go pieścić dłonią, aż skończył. Uśmiechając się figlarnie, zlizala jego spermę pomiędzy swoich palców, a na koniec pocałowała go tak mocno, że poczuł swój własny smak.

Potrząsnął głową. Wypił kolejny łyk kawy. Wrócił myślami do dnia, kiedy przyjechała tutaj ostatni raz. W grudniu, pomiędzy świętami

a sylwestrem. Zaskoczyła go. Wyjaśniła, że dzieci są u teściów w górach. A mąż? – chciał zapytać, bo o mężu nic nie powiedziała. Wtedy śnieg spadł dopiero w nocy. Za to wiał przenikliwy wiatr, a podwórko przemieniło się w prawdziwe bagno. Człowiek zapadał się przy każdym kroku, woda chlupotała pod podszewkami.

Ona wtedy siedziała na werandzie, on stał nad nią. Wcześniej powiedział jej, że jedzie do Warszawy. Musi. Kolega zachorował, on go zastępuje w spektaklu. Wróci następnego dnia, najszybciej, jak to będzie możliwe. Na początku czuła się trochę zawiedziona, jednak uznała, że wykorzysta ten czas, by w spokoju popracować nad książką. Potem dołała sobie herbaty i poszła na pomost. Po chwili ruszył za nią. Martwił się, że jest na niego zła.

– Zostaw go – powiedział wtedy.

Najpierw wydawało mu się, że go nie usłyszała, i już miał powtórzyć, kiedy podniosła głowę. Spojrzała na niego, a on poczuł, że po plecach przeszedł mu dreszcz. Bo jej twarz była inna niż do tej pory. Zniknął uśmiech, zniknęła radość z oczu – jakby nagle patrzył na nią przez zamglony obiektyw.

– Kogo? – zapytała.

– Twojego męża. Zostaw go.

Schylił się, chwycił ją za dłoń i przyciągnął do swoich ust. Poczował zapach jej kremu do rąk.

– Tak mało mamy czasu dla siebie. Wyrывasz go ze swojego życia, żeby przyjechać tutaj na dzień, czasami kilka godzin dłużej. A potem wracasz do niego. Po co? Przecież nawet go nie kochasz.

– A co ty możesz wiedzieć?

– Wiem, że nie jesteś z nim szczęśliwa. Zostaw go.

– I co dalej?

– Zamieszkać ze mną! Tutaj! Będziesz miała spokój, ciszę, dokończysz swoją powieść i...

– A moje dzieci?

– Zabierz je ze sobą. Lubię dzieci. Spodoba im się tutaj.

Mówił gorączkowo i wspominając tamtą chwilę, miał wrażenie, że ogarnęło go pewne szaleństwo. Nie żałował żadnego wypowiedzianego słowa, ale wiedział też, że żadnego z nich by nie powtórzył.

Uśmiechnęła się lekko i spojrzała na niego tak, jakby sam był dzieckiem. Poczł przyplłw złości i irytacji.

– Nawet mnie nie znasz – powiedziała.

– Znam.

– To jaki jest mój ulubiony kolor?

Pokręcił głową. Nie wiedział.

– To nie fair! – odparł. – Nigdy o tym nie rozmawialiśmy!

– No właśnie. Nie rozmawialiśmy o wielu rzeczach.

– Wiem, jakie filmy lubisz, jakich aktorów, książki, jedzenie i...

– Nie znasz mnie – przerwała mu.

Wstała. Dotknęła zimną dłonią jego rozgrzanego policzka. Przez chwilę wydawało mu się, że go pocałuje. Chciał tego, choć był na nią zły. Miał wrażenie, że złapała go w pułapkę. Za wszelką cenę chciała mu coś pokazać. Wnioski musiał już wyciągnąć sam.

Cofnęła rękę i wróciła do środka. On został na pomoście. Stał tam przez blisko dziesięć minut, bo nie wyobrażał sobie, że mógłby wtedy przebywać z nią w jednym pomieszczeniu. A kiedy wreszcie poszedł do domu, aż do jego wyjazdu zamienili ze sobą ledwo kilka słów. Przy pożegnaniu pocałowali się – chłodnym i w gruncie rzeczy nieprzyjemnym pocałunkiem, jakby w wykonaniu dwóch kiepskich aktorów albo ludzi, których do tego zmuszono.

Następnego dnia, gdy wrócił z Warszawy, chciał ją przeprosić i powiedzieć, że faktycznie się pośpieszył. To wszystko dlatego, że tak bardzo chciałby spędzać z nią więcej czasu i że kiedy jej przy nim nie ma, zżera go zazdrość i smutek. Ale ona już wyjechała.

Nigdy więcej się nie zobaczyli.

Od tamtego czasu wielokrotnie zastanawiał się, co by się stało, gdyby zaryzykował i rzucił nazwę jakiegoś koloru. Mógł spróbować z niebieskim,

podobno to najpopularniejsza barwa, jednak z jakiegoś powodu nie wydawał mu się tym właściwym. Chyba był zbyt spokojny. Zielony? Nigdy jej w nim nie widział. Różowy to kolor małych dziewczynek, a czarny zbuntowanych nastolatek. Czerwony? Kolor ognia, odwagi i pasji. Najbardziej mu do niej pasował, chociaż czuł, że to wciąż nie ten kolor. Niemniej mógł spróbować zgadnąć. Być może gdyby trafił, wszystko potoczyłoby się inaczej.

Otrząsnął się z tych myśli i wrócił do domu. Dorzucił drewno do kominka. Gdy usiadł na kanapie, Znajda próbowała ulokować się koło niego, jednak powstrzymał ją ruchem ręki. Zatrzymała się gwałtownie, spojrzała na niego urażona, zawróciła, a potem obeszła stół, żeby wreszcie położyć mu swój łeb na kolanach. Uśmiechnął się i podrapał ją za uchem.

– Co? – mruknął. – Już się na mnie nie gniewasz?

Sięgnął po paczkę papierosów, ale w tym momencie zadzwoniła leżąca tuż obok komórka. Podniósł ją i odebrał, nie patrząc nawet, kto dzwoni.

– Wojnar – rzucił do słuchawki.

– Przeczytałeś już scenariusze? – Usłyszał głos swojej agentki.

– Scenariusze? Tak. Przeczytałem – skłamał. Nie miał do tego głowy ani wielkiej ochoty.

– I co?

– Wszystkie są do dupy.

– Nawet ten serial dla HBO?

– Szczególnie ten serial dla HBO! – warknął.

W słuchawce zapadła cisza.

– Dlaczego? – zapytała po chwili. – Przecież to świetna historia.

Przejechał dłonią po twardym zaroście na szczęce. Musiał improwizować, ale akurat w tym zawsze był niezły.

– Bo to pieprzone popłuczyny po amerykańskich serialach! Te same schematy, te same wątki, to samo udawanie, że jesteśmy dojrzały i poważni, chociaż jedyne, co robimy, to pokazujemy trochę więcej brutalności i trochę więcej golizny. I do tego zero cholernej oryginalności. Wszyscy tylko

patrzają na to, co kręcą za oceanem, i próbują to powtórzyć. Dostajemy mało ambitne gównno, które tylko udaje ambitne gównno. Kurwa, już wolałbym zagrać w *W-11* niż w kolejnej zrzynce kolejnej zrzynki. Wiesz dlaczego? Bo w *W-11* przynajmniej nikt nie udaje, że robią coś wielkiego! I może dzięki temu są sto razy bardziej oryginalni niż ten syf od ciebie! Oni mają własny głos. Chujowy, bo chujowy, ale własny!

Zakończył i odetchnął głęboko. Pomyślał, że gdyby teraz znajdował się na scenie, z widowni rozległyby się oklaski.

– Rolę w *W-11* też ci mogę załatwić – powiedziała agentka.

– Pierdolę *W-11*!!! – wrzasnął do telefonu, udając gniew.

– No dobrze... To co w takim razie? Co z tym filmem, o którym ci opowiadałam?

Uznał, że to jest dobry moment, by przystopować. Tego nauczyli go na samym początku studiów aktorskich – nie przeszarżuj. Czasami trzeba odpuścić.

– Nie przeczytałem jeszcze scenariusza – przyznał.

– Powiedziałeś przecież, że przeczytałeś.

– Przeczytałem scenariusze tego chujowego serialu dla HBO. To gównno miało chyba z miliard odcinków.

– Dziesięć.

– O dziesięć za dużo.

Westchnęła, zmęczona już tą rozmową i gotowa się rozłączyć.

– Dobrze. Kiedy przeczytasz scenariusz filmu? – podjęła jeszcze jedną próbę.

– Dasz mi jeszcze tydzień?

– Tydzień? To zajmie ci jeden wieczór!

– Potrzebuję czasu.

Usłyszał, że przerzuca jakieś kartki. Miał wrażenie, że coś zapisuje. Zastanawiał się, ile jeszcze będzie dla niego pracować. Nie zarabiała na nim dużo, a każde zlecenie, które wreszcie przyjmował, było okupione

tygodniami jej starań, setkami telefonów, dziesiątkami ponagleń. Zdawał sobie sprawę, że żerował na jej sympatii. Gdyby go nie lubiła, przynajmniej na tyle, żeby kilka razy pójść z nim do łóżka, pewnie już dawno by go zostawiła dla sprawiających mniej kłopotów i przynoszących więcej pieniędzy klientów.

– A teatr? Pytał o ciebie...

– Nie mam teraz ochoty na żaden spektakl.

– Kamil, wiesz, że musisz zarabiać?

Rzecz w tym, że nie musiał. Poszcęściło mu się na początku lat dwutysięcznych. Przez chwilę był naprawdę wielką gwiazdą i mógł wszystko. Jedno mieszkanie dostał w spadku po babci na Powiślu, dwa dokupił. Potem zrobił kilka interesów ze znajomymi jeszcze z liceum, bo ci zamiast akademii teatralnej wybrali informatykę na politechnice, i zarobił na tym na kolejne dwa mieszkania i jedną kawalerkę w Śródmieściu. W niej właśnie mieszkał, kiedy przyjeżdżał do Warszawy. Pozostałych pięć lokali wynajmował – miesięcznie zarabiał w ten sposób kilkanaście tysięcy złotych na rękę.

– To co masz dla mnie?

– Audiobooka?

Zawsze odmawiał, bo nie wyobrażał sobie nic nudniejszego niż siedzenie w zamknięciu w studio i czytanie przez kilkadziesiąt godzin jednej książki do mikrofonu. Ale robili to już nawet najwięksi, więc może i on powinien. Poza tym sympatia sympatią, jednak agentka powinna na nim coś zarobić.

– Zgoda.

– Nie chcesz wiedzieć, ile płacą?

– Od tego mam ciebie. Wynegocjuj dobrą stawkę.

– A interesuje cię, jaką książkę masz czytać?

– Dowiem się na miejscu, nie? Jakby pytali, to powiedz, że bardzo mi się podobało i już nie mogę się doczekać wspólnej pracy.

– Dupek z ciebie.

– Wyślij mi, proszę, wszystkie informacje na mejla.

– Jasne. Powiedz mi tylko jedno.

– No?

– Naprawdę przeczytałeś scenariusze tego serialu?

Uśmiechnął się.

– Na razie – powiedział, rozłączając się, i rzucił telefon na stół.

– Jak ty się tu znalazłaś? – zapytał, patrząc na Znajdę, która nie wiadomo kiedy wlaźła na kanapę i zwinęła się w kłębek obok niego. Postanowił jej nie gonić ani nie zrzucić. Po prostu wziął papierosy i w milczeniu wypalił trzy. Jednego za drugim.

Znajda, przytulona do jego boku, cicho chrapała.

Wieczorem pojechał do Gospody pod Lipami. Od czasu wyjazdu męża Niny bywał tam dość regularnie, chociaż o różnych porach. Czasami przyjeżdżał rano, zaraz po otwarciu, i zamawiał zestaw śniadaniowy, żeby jakoś usprawiedliwić swoją obecność. Bywał w porze obiadowej, kiedy trafiali tam najczęściej zagubieni na mazurskich szlakach turyści i wracające ze szkół w Mrągowie dzieciaki, które jadły frytki i popijały je colą. Nie udało mu się jednak spotkać barmanki, a to dla niej tutaj przyjeżdżał. Chciał się dowiedzieć, czy u niej wszystko w porządku.

Wiedział, że te jego codzienne wizyty budziły zdziwienie wśród obsługi i stałych bywalców lokalu. Wcześniej zaglądał tutaj zaledwie kilka razy, przez lata najprawdopodobniej mniej niż dziesięć. Nie po to zamieszkał na Mazurach, żeby chodzić do knajp. Wolał jeść i pić w towarzystwie Znajdy. Bywały dni, po trzy, pięć, czasami siedem, kiedy do nikogo się nie odzywał. Nawet na psa wtedy gwizdał. Czuł się z tym zadziwiająco dobrze. Miał wrażenie, że z roku na rok potrzebował coraz mniej ludzi. Narastało w nim przekonanie, że każde słowo wychodzące z jego ust powinno mieć jakiś sens i znaczenie. To było tak, jakby nieustannie grał i każda scena z jego udziałem pchała fabułę do przodu. Czasami go to bawiło, czasami przerażało. Wyobrażał sobie, że w końcu zdziwaczeje zupełnie, odetnie się od wszystkich, zakopie wśród mazurskich jezior i przemieni się w kolejną barwną teatralną anegdotkę, stając się tym samym żywym dowodem na to, że ten zawód potrafi doprowadzić do szaleństwa.

Pojawienie się Niny wyrwało go z tego stanu. Po raz pierwszy od bardzo dawna wyobraził sobie inny scenariusz swojego życia i inne jego zakończenie. Scenariusz, w którym nie jest samotnym bohaterem, bo ktoś mu towarzyszy. Scenariusz, w którym jego nudnawy monolog zmienia się w dialog.

Przypomni ł sobie, jak to jest by  zakochanym.

Przypomni ł sobie, jak to jest by  trzydzieci lat m lodszy.

Przypomni ł sobie, jak to jest czu  co  innego ni  znu enie.

A potem Nina wjecha a w ci żar wk .

Wszed  do gospody. W  rodku przy czterech stolikach siedzieli mieszkac cy wioski, sami m ężczy ni. Popijali browary, rozmawiaj c p łg osem. Niekt rych zna  z widzenia, wi c przywita  si  z nimi ruchem g owy. Za barem stali ch opak z kolczykiem w uchu i jaka  dziewczyna. Anki jednak nie by o. Wojnar zam wi  piwo i siad  przy stoliku z boku.

Zastanawia  si , co powinien zrobi . M g by po prostu zapyta  pracuj cego tutaj ch opaka o Ank  i poprosi  go o jej numer telefonu, ale do tej pory wzbrania  si  przed tym. Po pierwsze, wstydzi  si  tego,  e pozwoli  jej tamtej nocy odjecha  z tymi ch opakami. Po drugie, nie wiedzia , czy dziewczyna w og ole  yczy sobie z nim rozmawia . My la ,  e gdyby chcia a si  z nim skontaktowa , sama by do niego przyjecha a. Poza tym gdyby co  jej si  wtedy sta o, dotar yby do niego jakie  plotki. Wszystkie te my li sprawia y,  e czu  si  jak idiota, kt ry nie wie, jak si  zachowa  w prostej sytuacji.

Tym razem jednak mu si  poszcz ci o. Kiedy wypi  mniej wi cej po ow  piwa, do gospody wesz a Anka. Wygl da a na zm czon . Nieumalowana, w jeansach i zwyk ej szarej kurtce, nie przypomina a tej  adnej, pewnej siebie i u miechniętej dziewczyny sprzed kilkunastu dni.

Wojnar wsta , ale zanim zd ży  podej  do dziewczyny albo zwr ci  na siebie jej uwag , ona ju  sta a przy barze.

– Jest szef? – zapyta  ch opaka z kolczykiem.

– Na zapleczu.

Bez pytania przesz a za bar i znikn a za kuchennymi drzwiami. Wojnar usiad  i nie spuszcza  z nich oka. Barmanka wr ci a po mniej wi cej dziesięciu minutach. Poblad a i w ciek a, poci ga a nosem. Przetar a policzek wierzchem d oni, ocieraj c z niego  z , i ruszy a do wyj cia.

– Anka! – rzuci , podnosz c si  po raz kolejny.

Zatrzymała się w pół kroku i odwróciła w jego stronę. Gdy go rozpoznała, na twarzy barmanki pojawił się wyraz irytacji, a później rezygnacji. Z ociąganiem, szurając nogami tak, jakby ktoś przyciskał lufę pistoletu do jej pleców, podeszła do aktora.

– Cześć – rzuciła.

– Cześć.

– Czego chcesz? – zapytała i pociągnęła po raz kolejny nosem.

– Usiądziesz?

– Raczej nie. Co jest?

– Chciałem się dowiedzieć, co u ciebie.

– Wszystko pięknie i cudownie. Gra i śpiewa. Mogę już iść?

Zanim zdążył odpowiedzieć, drzwi gospody otworzyły się z głośnym trzaskiem, a zaraz potem jakiś młody głos zarechotał donośnie. Do środka wpakowało się trzech chłopaków. Wojnar ich rozpoznał, każdy z nich był tamtej nocy przed jego domem. A rechotał Ułan.

– Kurwa... – jęknęła Anka i błyskawicznie siadła przy stoliku naprzeciwko Wojnara, jak najbliżej ściany. Zaraz potem rozpuściła włosy, które zasłoniły jej połowę twarzy, i postawiła wysoko kołnierz kurtki.

– Gdzie siadają? – zapytała szeptem.

– Po drugiej stronie sali – odpowiedział Wojnar po chwili.

– Blisko drzwi?

– Niestety tak.

– Kurwa... – wyszeptała, a potem podniosła dłoń do ust i zaczęła nerwowo obgryzać paznokcie.

– Możemy stąd wyjść – zaproponował.

– Aha... Zauważą nas.

– I co z tego?

– No właśnie to.

– Pójdziesz ze mną. Nic ci nie zrobią.

– Tobie nic nie zrobią! – warknęła Anka.

– Zawiozę cię prosto do domu.

– I myślisz, że to rozwiąże problem? – zapytała drwiąco.

Przyglądał jej się przez chwilę, a potem zerknął na chłopaków. Ułan był z nich najgłośniejszy. Dużo gadał i machał ramionami. Wojnar pomyślał, że chłopak mógł już być pijany albo naćpany. W każdym razie nie zachowywał się normalnie. Niektórzy aktorzy niezależnie do tego, jaką rolę grali, robili wszystko, żeby znaleźć się na pierwszym planie i zwrócić na siebie uwagę. Tacy psuli każdą scenę i każde ujęcie. Ułan zachowywał się teraz jak jeden z nich.

– Nie patrz tak na niego – rzuciła dziewczyna.

– Nie boję się go.

– Ale ja się go boję! – powiedziała to głośno, prawie krzyknęła i pewnie dlatego jeszcze mocniej przytuliła się do ściany. Jakby chciała się z nią całkowicie stopić.

Wojnar raz jeszcze zerknął w stronę chłopaka, ale tym razem ich spojrzenia się spotkały. Ułan przerwał przemowę w pół słowa, znieruchomiał i nagle uśmiechnął się szeroko, złośliwie. Po chwili wstał i ruszył w stronę aktora. Szedł szybko. Mniej więcej w połowie drogi zauważył Ankę i na moment zwolnił. Zmrużył oczy, na jego czole pojawiła się gniewna zmarszczka, która zaraz zniknęła, zastąpiona paskudnym grymasem podniesionych mimowolnie ust, odsłaniających zaciśnięte zęby. Podobny wyraz pyska mają wściekłe, trzymane w klatkach psy, kiedy trącić je kijem w żebra.

Cokolwiek chłopak chciał zrobić, nie zdążył.

– Ułan! – ktoś zawołał z tyłu.

Do gospody weszło dwóch gości. Pierwszy miał może dwadzieścia pięć lat, czarne włosy krótko obcięte po bokach i twarz pokrytą bliznami po przebytej ospie. Za nim stał trzydziestolatek z tatuażem na karku, łysy i napakowany. Ważył pewnie koło stu kilogramów.

– Co jest, Vito?! – Ułan odwrócił się na pięcie i wydawało się, że zupełnie zapomniał o Wojnarze i Annie.

– To ja się pytam, co jest, kurwa?! Co ty odpierdalasz?!

– Ja?! – zdziwił się przesadnie Ułan, rozkładając szeroko ręce. – Ja nic. Luz i spokój! To moje motto!

Mężczyzna o ksywce Vito zawahał się. Rozejrzał się dookoła, zdając sobie sprawę, że wszyscy w knajpie go teraz obserwują.

– Chodź pogadać na zewnątrz – powiedział spokojniejszym tonem.

– Gówno! Ja mogę gadać tutaj! Nie mam nic do ukrycia.

Vito zwiesił głowę. Wymamrotał coś pod nosem.

– Dobra... Cichy chce swoją kasę.

Chłopak roześmiał się głośno i podszedł kilka kroków w stronę Vita. Na początku był zaskoczony, może nawet trochę przestraszony pojawieniem się obu mężczyzn, ale teraz wracała mu pewność siebie.

– Cichy może mnie cmoknąć w pompkę! – powiedział, wyrzucił biodra do przodu i zarechotał.

– Kasa!

– Cichy zajebał mi coś mojego, to teraz ja się odwzięczyłem. Jest sprawiedliwie!

Vito zacisnął szczęki. W tym momencie z kuchni wyłonił się może pięćdziesięcioletni mężczyzna w szarej, luźno zwisającej koszuli. Wojnar rozpoznał w nim Witka, właściciela gospody. Mężczyzna oparł się o bar, fachowym okiem ocenił sytuację.

– Jest problem? – zapytał.

Ułan odwrócił się do niego i pokręcił przecząco głową z miną niewiniątka. Wyglądał dość przekonująco i przez chwilę można było uwierzyć, że faktycznie nie ma pojęcia, co się wokół dzieje.

– A wy? Jest problem czy mam dzwonić po policję? – Witek zwrócił się do nowych gości.

– Nie ma problemu. Przyszedłem porozmawiać z kolegą – powiedział Vito.

– To se pogadałeś i teraz proszę, żebyście poszli.

Vito przez chwilę zastanawiał się nad tym, co usłyszał. Docierało do niego, że fatalnie rozegrał sprawę i będzie wracać z niczym. Tracił stojącego za nim łysola i obaj opuścili gospodę.

Właściciel poczekał, aż wyjdą, a potem wskazał palcem na Ułana.

– Chodź tutaj.

– No co?! Co złego, to nie ja!

– Chodź tutaj! – warknął Witek. Poczzerwieniał na twarzy, a na skroni pokazała mu się żyła.

Ułan odwrócił się do swoich kumpli, którzy cały czas obserwowali sytuację, puścił do nich oko i zbliżył się do baru. Zaczął o czymś szeptem rozmawiać z właścicielem. Wojnar nie usłyszał o czym, bo właśnie ten moment postanowiła wykorzystać Anka.

– Idziemy! – syknęła do niego.

Poderwała się z miejsca, a potem szybkim krokiem, prawie biegiem skierowała się do wyjścia. Wojnar po sekundzie wahania ruszył za nią.

Na zewnątrz dziewczyna już się nie powstrzymywała. Pobiegła prosto do volva aktora. Minęli Vita i jego kompana, jednak ci nie zwrócili na nich uwagi. Vito opierał się o maskę swojego samochodu, kilkuletniego subaru imprezy, i rozmawiał z kimś przez telefon.

Wojnar wpuścił dziewczynę do wozu, uruchomił silnik i wyjechali z parkingu.

– Zawieźć cię do domu? – zapytał, kiedy wyjeżdżali na główną drogę.

– Lepiej nie – odpowiedziała, kręcąc głową, a po chwili dodała: – Pojedźmy do ciebie.

Milczeli przez całą drogę przez las. On skupiał się na jeździe, ona opierała głowę o szybę i wydawało się, że zasypia. Na miejscu Znajda przywitała ich głośnym szczekaniem i radosnym tańcem wokół nóg. Anka jakby nie zauważyła psa, skierowała się prosto do domu.

Wojnar przygotował im herbatę. Potem rozpałił w kominku, co zajęło mu blisko dziesięć minut. Trochę dłużej niż zwykle, bo czuł się skrępowany obecnością obserwującej go młodej dziewczyny. Wreszcie, kiedy drwa się zajęły, usiadł na fotelu, sięgnął po swój kubek i upił porządny łyk. Herbata była ciągle gorąca, więc poparzył sobie trochę usta. Znajda wskoczyła na kanapę i ułożyła się obok barmanki, co pewien czas zerkając w stronę Wojnara, jakby się bała, że zaraz na nią nakrzyczy i każe jej zejść.

– Dlaczego nie chciałaś wracać do domu? – zapytał, przerywając ciszę.

Wpatrzona w ogień Anka siedziała z podwiniętymi nogami, zaciskała dłonie na gorącym kubku.

– Po co? – odpowiedziała wreszcie pytaniem. Jej głos brzmiał nieco chrapliwie, sprawiała wrażenie zmęczonej.

– Po co co? Po co chcę wiedzieć? Po co miałybyś tam wracać? Po co pytam?

Wzruszyła ramionami.

– Chciałabym tutaj po prostu trochę posiedzieć. Czy mogę?

– Możesz. Ale ja chciałabym wiedzieć, co tam się dzieje. Dlaczego tak się boisz tego chłopaka?

Obróciła się w jego stronę, a Wojnar mimowolnie zadrżał, bo ta dwudziestokilkuletnia dziewczyna popatrzyła na niego tak, jakby był małym dzieckiem, które nie rozumie, jak działa świat dorosłych. Tak samo czasami patrzyła na niego Nina.

– Nic nie wiesz, prawda? – zapytała. – Siedzisz sobie nad jeziorkiem, w tej samotni, czasami wystąpisz w filmie, czasami udzielisz wywiadu i gównu cię obchodzi, co się dzieje wokół.

Nie zaprzeczył, bo miała rację. Przez Stare Wilcze właściwie tylko przejeżdżał i robił tu najpotrzebniejsze zakupy.

– Ty mnie obchodzisz – odparł, a ona, słysząc to, pokręciła głową, jakby powiedział coś śmiesznego. – Szukałem cię. Chciałem się dowiedzieć, czy wszystko u ciebie w porządku.

– No to słabo szukałeś, bo nigdzie się stąd nie ruszałam. Ale dzięki za troskę, wszystko w porządku.

– Nic ci nie zrobił, gdy stąd pojechaliście?

– Nie, bo przyjechał z kumplami. Kiedy jest z kumplami, to się pilnuje. Nic mi nie groziło, jeśli o to się martwiłeś.

– Nie pojawiałaś się w barze. Dopiero dzisiaj...

– Dzisiaj przyszedłam się kłócić o wypłatę za pół miesiąca. Trochę krucho u nas z kasą, a teraz, jak mnie Witek zwolnił, to już w ogóle kaplica.

– Zwolnił cię? Dlaczego?

– Bo opuściłam bez pozwolenia miejsce pracy. I nikomu nic nie powiedziałam.

– Co takiego?! – Poderwał się z miejsca i zaczął gniewnie gestykulować, wyrzucając z siebie kolejne słowa: – Nie miał prawa tego zrobić! To nie była twoja wina! Pojedziemy tam teraz i wyjaśnię wszystko twojemu szefowi!

– Nie! – krzyknęła ostro.

Wojnar zamarł w połowie ruchu.

– Nie – odezwała się już spokojniejszym głosem. – Nikomu nigdy nie opowiesz, co się wtedy wydarzyło na tym parkingu. Rozumiesz? Nigdy, nikomu.

– Ale...

– Nigdy i nikomu! – przerwała mu gwałtownie. – Przysięgnij! Nigdy i nikomu!

Na twarzy dziewczyny wystąpiły rumieńce. Mocniej przycisnęła kolana do ciała.

– Nigdy i nikomu – powtórzyła ciszej i zabrzmiało to trochę jak echo.

– Dlaczego nie chciałaś wracać teraz do domu? – zapytał.

Anka spuściła głowę, schowała się na kilka sekund za zasłoną własnych włosów.

– Bo bałam się, że Ułan tam przyjdzie. A jeśli ja tam będę, to wtedy... Mam młodszego brata, moja mama jest chora. Nie chcę ich na to wszystko narażać.

– Czemu tak się boisz tego chłopaka?

– Ty go nie znasz.

– To nie jest odpowiedź na moje pytanie.

– Gdybyś tu mieszkał...

– Mieszkam tutaj.

– Gdybyś tutaj naprawdę mieszkał, tobyś wiedział, że wszyscy się go boją.

– Dlaczego?

– Bo to wariat, rozumiesz? Jeździ do Rosji, handluje prochami, podporządkował sobie chłopaków w wiosce, robi rozróby na dyskotekach w Mrągowie, ale najgorzej, jak mu odbije. Wtedy jest nieobliczalny. Po pijaku rzucił się na jednego kumpla i rozbił mu butelkę na głowie. Bo tamten podobno się z niego zaśmiał. A to i tak najmniejsze wariactwo, jakie odwalił.

– Ale chodziłaś z nim, prawda? – zapytał.

Zamarła. Potem powoli skinęła głową.

– Wtedy jeszcze mu tak nie odbijało. A poza tym...

– Co poza tym?

– Jaki ja mam tutaj wybór? – powiedziała i zaśmiała się gorzko. – W Wilczych nie ma wielu fajnych facetów. Jeśli jacyś byli, to wyjechali.

– Ty nie mogłaś wyjechać?

– Nie.

– Dlaczego?

– Moja mama jest chora, mówiłam przecież.

– To prawda. Przepraszam. Na co choruje?

– Naprawdę musisz wiedzieć? – zapytała z irytacją w głosie.

– Nie muszę. Ale chciałbym.

Pokręciła z niedowierzaniem głową.

– Ma stwardnienie rozsiane w późnej fazie – wyznała. – Ktoś musi się nią zajmować. Ojciec nas zostawił, a brat jest za mały.

– Nikt ci nie pomaga?

– Czasami sąsiadka. Ale ona ma swoje problemy.

Dziewczyna mówiła to zrezygnowanym głosem, jakby już dawno się z tym pogodziła i stwierdzała po prostu fakt. Albo nie chciała, albo nie miała siły buntować się przeciwko losowi.

Wojnar podszedł do kominka. Przyglądał się skaczącym po drwach płomieniom. Chwycił za pogrzebacz i przesunął kłodę. W górę wzbił się niewielki snop iskier.

– Dlaczego nikt nie zrobi z nim porządku? – zapytał, wracając do pierwotnego tematu. – On jest tylko jeden. Można przecież... Można coś zrobić.

– Z Ułanem?

– O nim rozmawiamy.

Opuściła nogi na podłogę tak gwałtownie, że aż Znajda poderwała się z kanapy. Zeskoczyła, ale kiedy zorientowała się, że nic jej nie grozi, wskoczyła z powrotem.

– Jego ojciec zginął, gdy Ułan miał dwa lata – zaczęła Anka. – Utonął w jeziorze, kiedy wędkował z bratem. Wypadł z łódki. Pewnie coś razem

wypili i skończyło się, jak się skończyło. Ułan został sam z matką. Ma dwóch wujków. Jeden pracuje w Mrągowie, jest policjantem, szefem jakiegoś wydziału czy czegoś tam.

– A drugi?

– To Witek.

– Właściciel gospody? Twój szef?

Przytaknęła.

– Obaj w pewnym sensie opiekują się Ułanem. Policjant wiadomo: gdy pojawia się jakiś problem, to przyjeżdża i łagodzi. Poza tym wszyscy w rejonie wiedzą, czym bratankiem jest Ułan.

– Wujkowi nie przeszkadza, że Ułan diluje?

– Nie wiem. Kiedyś mu za to podobno wpierdolił z kolegami, ale Ułan dalej handlował, więc trudno powiedzieć. A Witek to Witek, nie? Jest aktywny. Jeździ do Warszawy, się udziela. Zna posłów od nas, potrafi różne rzeczy w urzędzie załatwić. Tyle że robi dla siebie albo jak coś mu się opłaca.

– I oni zapewniają mu bezkarność?

Dziewczyna przeczesła dłonią włosy, zastanawiając się nad odpowiedzią.

– Przynajmniej dopóki nie odpierdoli jakiegoś naprawdę grubego numeru – stwierdziła z lekkim ociąganiem, jakby nie była pewna własnej odpowiedzi.

– Próbował cię zgwałcić. To nie jest wystarczająco grubo?

– Nie pójdę z tym na policję.

– Może powinnaś.

– Nie pójdę! – Podniosła głos. – To jest mała wieś! Wszyscy wszystkich znają! Co ty sobie myślisz? Że co oni wszyscy będą o mnie mówić? Jak na mnie patrzeć?! A do tego... A do tego... – Zaczerpnęła gorączkowo powietrza, jakby się dusiła. – A do tego on mnie przecież nawet nie zgwałcił.

– To źle?

Dał się porwać zdenerwowaniu i irytacji. Nie musiał patrzeć na wyraz jej twarzy, by wiedzieć, że teraz przesadził. Wystarczyło samo drgnienie powietrza. Trudne do uchwycenia, ale zwiastujące nadchodzącą burzę.

– Przepraszam – powiedział szybko.

– Pierdol się – warknęła w odpowiedzi.

– Boisz się go? – zadał wreszcie pytanie, na które znał już przecież odpowiedź.

– Coś mu odpierdoliło ostatnio. W głowie. Jakby ktoś mu tam wszystko przemeblował – powiedziała niemalże szeptem. – Kiedyś nie był taki... – Zawahała się i sprecyzowała: – Nie aż taki. Podobno dorwał jakiegoś chłopaka w Mrągowie. Pobił go i skroił z kasy, bo tamten wcześniej podebrał mu towar. I to jest takie dziwne wszystko.

– Dlaczego?

– Bo on nigdy nie dilował w mieście – odparła po chwili. – On tam miał układ z miejscowymi. Że może handlować u nas i w okolicy, ale w Mrągowie tylko za pozwoleniem, i to wyjątkowo.

– A dlaczego myślisz, że może ci coś zrobić?

Przez moment obawiał się, że sama jest w to wszystko zamieszana, handluje narkotykami albo w tym pomaga. Nie żeby miał jakieś wielkie opory moralne. Za dużo w życiu ćpał, żeby teraz zgrywać świętoszka. Po prostu nie podobało mu się, że mógłby się wmieszać w jakąś narkotykowo-gangsterską historię.

– Dwa dni temu przyszedł do mojego domu, kiedy akurat mnie nie było. Mama spała. Gdy się obudziła, zobaczyła, że on stoi na korytarzu.

– I co?

Zagryzła wargę.

– Niby nic. Przywitał się, pomachał ręką i wyszedł. Tylko że ja, wychodząc, zamknęłam drzwi na klucz. Na sto procent je zamknęłam, a on i tak wszedł.

– Nie możesz o tym komuś powiedzieć? Chociażby jego wujkowi?

– Wtedy musiałabym im opowiedzieć o parkingu – przypomniała mu.

– Jasne.

– Boję się – wyznała nagle drżącym głosem. – Boję się, że on mi coś zrobi. Albo mojemu bratu. Albo mamie.

– Jest do tego zdolny?

Bez wahania skinęła głową. Wstał z fotela. Podeszedł do niej i usiadł obok. Zastanawiał się, czy nie powinien objąć jej ramieniem, ale uznał, że to krok za daleko. Ona zaś siedziała cała spięta, to zaciskając, to rozprostowując palce na swoich kolanach, i wpatrywała się tępo w kominek. Nie w sam ogień, tylko w ciemną, brudną ścianę za płomieniami.

– On robił też gorsze rzeczy – powiedziała głucho.

– Gorsze?

– Niż rozbicie koledze butelki na głowie.

– Jakie?

– Na przykład spalił dom. Chyba.

– Swój? I czemu chyba?

– Nie, czyjś. Przed Kiersztanowem, jak się skręca nad jezioro, są takie domki.

– Chyba wiem, gdzie to jest.

– Tam mieli dom ludzie z Warszawy. W przerwie świątecznej przyjechali ich synowie, studenci. Robili imprezę, kilkudniowego sylwestra. Nie wiem jak, ale Ułan się tam wkręcił. Spił się, zaćpał, zaczął się awanturować. Przyłożył komuś, więc go wyrzucili.

– I co?

– I teraz tej chałupy nie ma. Spaliła się.

– Spaliła się czy to on spalił?

– Nikomu się nie przyznał – stwierdziła ostrożnie. – Ale ludzie gadają, że to on.

– I co on na to?

– Się uśmiecha.

Wojnar pomyślał, że to jeszcze nic nie znaczy. Na miejscu Ułana pewnie robiłby to samo. Uśmiechał się znacząco, nawet jeśli to był wypadek i zbieg okoliczności. Niech ludzie sobie sami dopowiadają resztę, niech się go boją. Plotka to przecież potężna broń. Aktorzy chętnie ją wykorzystywali. Sam nie dementował różnych opowieści, które słyszał na swój temat, choćby o tym, dlaczego przeniósł się na Mazury. Jedni opowiadali o problemie alkoholowym, inni wyciągali jakieś nieprzyjemne przyjażnie z początku kariery, kiedy przygotowywał się do roli w serialu kryminalnym i nawiązał kontakt z kilkoma gangsterami. Nakłonił ich do zwierzeń, imprezowali kilka razy, i tyle, ale w aktorskim świecie krążyły takie historie, jakby co najmniej sam napadł na parę tirów.

– Jeśli się nie przyznał, to nic nie znaczy.

– Przyznał się do innych rzeczy – powiedziała cicho.

– Do czego?

Zawahała się.

– Do czego się przyznał? – naciskał Wojnar.

Zamknęła oczy. Odetchnęła głęboko.

– Do czego się przyznał? – powtórzył.

– Do tego, że zgwałcił kobietę – odparła wreszcie dziewczyna.

– Kiedy?

– Wtedy, kiedy go wyrzucili z tej imprezy. Wracał pieszo do domu. Było zimno, daleko. Łapał stopa i zatrzymała się jakaś kobieta. Miała go podwieźć do domu, ale on... – Przełknęła ślinę i skrzywiła się, jakby ją to zabolalo. – Powiedział Jurkowi, że zachciało mu się ruchać. To zaruchał.

Wojnar poczuł, że serce zaczyna mu mocniej bić, a w głębi trzewi rośnie bolesna kula niepokoju. Nie rozumiał, dlaczego właśnie teraz, ale miał wrażenie, że atmosfera w pokoju zrobiła się nagle duszna, nieprzyjemna, jakby wewnątrz wypełniło cmentarne powietrze. W jego głowie zaczęły wybuchać myśli, jedna po drugiej. Przerwa świąteczna. Kilkudniowy sylwester.

– Co to za kobieta? – zapytał.

– Nie wiem.

– Stąd czy nie stąd?!

– Chyba nie stąd.

– Jak wyglądała? Jakim samochodem jechała? Kiedy dokładnie to się stało?!

– Nie wiem! – Barmanka odsunęła się od niego, potrącając przy okazji Znajdę. Patrzyła na Wojnara szeroko otwartymi oczami, przestraszona i przejęta.

– Coś musisz wiedzieć! – zawołał. – Cokolwiek! Coś ci powiedział!

– Nic mi nie powiedział! – zaprzeczyła gorączkowo.

– To skąd o tym wiesz?!

– Powiedział Jurkowi! Jemu się przechwalał, kiedy poszli raz na piwo. Popisywał się, co on nie zrobił, i jakoś na to zeszło. A Jurek powiedział mi, stąd o tym wiem.

Wojnar wstał z miejsca. Przeszedł pod okno i oparł się o nie przedramieniem. Odetchnął kilka razy, próbując się trochę uspokoić. Samotna kobieta, nie stąd, która jechała od strony Mrągowa w kierunku Starych Wilczych. W zimie. W przerwie świątecznej. Wtedy, kiedy po raz ostatni widział Ninę. Wrócił do kelnerki, odsunął stół, klęknął naprzeciwko niej i delikatnie chwycił ją za ramiona.

– To bardzo ważne – odezwał się. – Coś musiał powiedzieć twojemu kumpłowi o tej kobiecie. Jak wyglądała? Jaki miała kolor włosów? Blondynka, brunetka, ruda?

– Nic nie powiedział – zapewniła.

– Cokolwiek! Czy powiedział cokolwiek?!

Zbliżył do niej twarz. Miał ochotę potrząsać nią tak długo, aż powie mu wszystko, co wie.

– Jedną rzecz – przyznała wreszcie. – Ale to głupie.

– Nieważne.

– Powiedział... Powiedział Jurkowi, że pewnie nie będzie miał problemów, bo to chyba była prostytutka.

– Dlaczego?

– Bo miała takie ruskie imię. A wszystkie ruskie to prostytutki. Tak powiedział.

– Ruskie imię?

Przytaknęła i zaraz dodała:

– Nina. Miała na imię Nina.

Wstał wcześniej rano. Na tyle wcześniej, że Znajda ledwie podniosła łeb ze swojego legowiska i wróciła spać, a na dworze było jeszcze szaro i przeraźliwie zimno. Pojechał do Mrągowa załatwić jedną rzecz. Kiedy wrócił, suka biegała już po dworze, a Ania przygotowywała w kuchni śniadanie. W domu pachniało świeżą kawą i jajecznicą.

– Nie wiedziałam, czy mogę, ale pomyślałam, że będziesz głodny – powiedziała.

– Dobrze zrobiłaś.

Zjedli razem w kuchni. Ona siedziała przy stole, on stał, opierając się o kuchenny blat. Potem dziewczyna zabrała swoje rzeczy, a Wojnar zaproponował, że zawiezie ją do domu.

– Z którym z braci ojciec Ułana wybrał się na ryby? – zapytał aktor, kiedy jechali przez las.

– Słucham?

– Mówiłaś, że jego ojciec utopił się, kiedy łowił z jednym z braci. Z którym? Z Witkiem czy z tym policjantem?

– Nie wiadomo.

– Jak to?

– Witek powiedział, że to był on, ale we wsi plotkują, że ten drugi. On już wtedy pracował w policji. Źle to by wyglądało, jakby wyszło, że zbyt się nawalił, by pomóc tonącemu bratu. Witek wziął winę na siebie.

Wojnar pomyślał, że pewnie dlatego ten policjant tak chroni bratanka. Czuje się odpowiedzialny za śmierć ojca chłopaka.

Wjechali do Starych Wilczych. Dziewczyna poprowadziła Wojnara. Mieszkała w jednym z niskich, jednopiętrowych bloków na skraju wsi. Kiedyś straszyły odłazącym tynkiem i odpadającymi z dachu kawałami

papy, ale niedawno je odremontowano i teraz terroryzowały okolice pstrokatym pomarańczem i żółcią elewacji.

– Masz. – Podsunął jej zwitek banknotów.

– Co to?

– Pieniądze.

– Przecież widzę. Ale za co?

– Za nic – odparł. – Powiedziałaś, że potrzebujecie, to ci daję.

Po to właśnie pojechał rano do Mrągowa. Znalazł tam bankomat i wybrał pięć tysięcy złotych, które teraz wręczył dziewczynie. Ona natomiast przyglądała im się nieufnie i marszczyła brwi, zastanawiając się, co powinna zrobić.

– Przestań się wygłupiać – powiedział. – Niczego od ciebie nie chcę w zamian. Nic mi nie będziesz winna. Nie obchodzi mnie też, na co je wydasz. Po prostu je weź.

Anka niepewnie wzięła zwitek, jakby się spodziewała, że Wojnar w ostatniej chwili roześmieje jej się w twarz i zabierze pieniądze, a potem pośpiesznie schowała go do kieszeni kurtki.

– Dziękuję.

Chwyciła za klamkę, chciała już wysiąść.

– Potrzebuję też pomocy – rzucił aktor. – Kogoś, kto będzie mi gotował, posprząta, zrobi kilka rzeczy w gospodarstwie, zajmie się domem i Znajdą, kiedy wyjadę do roboty.

– Nie potrzebuję jałmużny.

– Jałmużnę już wzięłaś. Teraz oferuję ci pracę – oznajmił.

– Mogę znaleźć sobie pracę...

– W Mrągowie. – Urwał. – Trzeba tam dojechać i jeszcze wrócić. Macie samochód czy będziesz musiała jakiś kupić? Bo autobusy jeżdżą tak, że nie można na nich polegać. A do tego masz się opiekować mamą i młodszym bratem, tak?

Przytaknęła niechętnie. W głębi jej oczu tliły się iskry czystej złości. Wojnar pomyślał, że jest młoda, a młodzi ludzie mają w sobie dużo dumy. Niechętnie zginają kark, jeszcze rzadziej potrafią przyjąć pomoc. Życie nie zdążyło im jeszcze wystarczająco przyłożyć.

– Dam ci za to dwa i pół tysiąca miesięcznie – powiedział.

Nie był pewien, czy oferta jest wystarczająco hojna. Zupełnie nie orientował się, ile dziewczyna mogła zarabiać u Witka, nie sądził jednak, żeby zbijała tam kokosy.

– Niech będzie trzy tysiące – rzucił, bo ciągle się wahała.

Anka zaśmiała się krótko i pokręciła z niedowierzaniem głową.

– Kiedy miałabym zacząć? – zapytała.

– Za dzień, dwa – odparł. – Daj mi swój numer telefonu. Zdzwonimy się i ustalimy szczegóły.

Wymienili się telefonami i wysiadła z samochodu. Weszła do drugiej klatki i zniknęła we wnętrzu. Wojnar jeszcze przez pięć minut stał przed blokiem. Na wszelki wypadek. Pomyślał, że gdyby było coś nie tak, albo wybiegłaby z domu, albo do niego zadzwoniła. Nie stało się ani jedno, ani drugie, więc odjechał.

Zamiast do domu, skierował się w stronę Kiersztanowa. Po drodze zastanawiał się nad tym, jakie obowiązki narzucić dziewczynie. Pomyśl, żeby zaproponować jej pracę, wpadł mu do głowy, dopiero kiedy ją odwoził. Tak naprawdę nie wiedział, co miałaby u niego robić. Ze wszystkim radził sobie doskonale sam. Sprzątał, gotował, prał, naprawiał rzeczy, gdy się zepsuły. Kiedy wyjeżdżał do pracy, zostawiał psa sąsiadom, którzy uwielbiali Znajdę, albo brał ją ze sobą. Wiedział jednak, że pozory są ważne. I jeśli wystarczająco nie obciąży dziewczyny pracą, Anka trzaśnie drzwiami i więcej się nie pokaże. A chciał jej pomóc. Chyba nawet trochę ją polubił.

Przed Kiersztanowem skręcił w stronę jeziora. Jechał teraz wolniej, uważnie przyglądając się wszystkim mijanym posesjom, aż w końcu znalazł jedną – nie nad samą wodą, tylko bliżej lasu, ze spaloną chałupą.

Zatrzymał się, wysiadł z wozu, po czym podszedł do płotu i oparł się o niego.

Działka była dużo mniejsza niż jego. Prostokąt o boku może trzydziestu metrów na dwadzieścia. Tyle, by dało się postawić altankę, samochód i dom letniskowy, z którego pozostały teraz jedynie poczerniałe szczątki. Jedna cudem ocalała ściana wyglądała tak, jakby miała się zaraz przewrócić.

– A co pan tu robi? – Usłyszał.

Zatrzymał się przy nim mężczyzna w brudnym roboczym ubraniu, spod wełnianej czapki wystawały mu kępki siwych włosów. Opierał się o stary rower, z kierownicy zwisała siatka z zakupami.

– Szukam działki do kupienia – skłamał Wojnar.

– A to pan profesor będzie to sprzedawać? – zdziwił się mężczyzna.

Aktor wzruszył ramionami.

– Jeszcze nie wiadomo, ale zobaczyć można, nie? – powiedział.

– A pan by to kupił?

– Jakby była dobra cena.

– Bo tam dalej to sąsiad mieszka, który mówi, że by sprzedawał. A on ma przy samej wodzie, nie?

– Co tu się stało? – zapytał Wojnar, zmieniając temat.

– Ano pożar. Cały dom się panu profesorowi spalił. Teraz to już tutaj nieźle wygląda, bo miesiąc temu przyjechała ekipa i posprzątała, ale zaraz po pożarze to przecież pogorzeliśko. A szkoda, bo ładny dom był. Do odmalowania i remontu trochę, bo chałupa to przecież sto lat chyba miała, ale ładna była. Bardzo ładna.

– A kiedy to się stało?

– W zimie, w lutym. Ale dokładnie kiedy, to ja już panu nie powiem.

– A wiadomo, co się stało?

Mężczyzna podrapał się po głowie.

– No właśnie – mruknął, a w jego głosie po raz pierwszy pojawiła się nutka podejrzliwości. – Profesor to panu nic nie mówił?

– Nie rozmawiałem z nim – powiedział prawdę Wojnar, żeby zaraz skłamać – tylko z agentem nieruchomości. A że wtedy przejeżdżałem, to pomyślałem, że zobaczę.

Mężczyzna cmoknął, jakby nie do końca zadowolony go te wyjaśnienia.

– Strażacy mówią, że ktoś podpalił – zaczął z ociąganiem. – Że ktoś się włamał do środka, rozlał benzynę i podpalił.

– Wiadomo, kto to zrobił? – zapytał aktor, chociaż znał już odpowiedź.

– Ech! – Mężczyzna machnął ręką. – Nic nie wiadomo. Nie złapali skurwysyna. Policja chodziła i pytała, ale nikt nic nie widział ani nie słyszał. W środku nocy to wszyscy śpią. U nas spokojnie jest. Ludzie wcześniej wstają i wcześniej się kładą.

– Jasne.

– Przez chwilę to nawet się baliśmy, że to jakiś ten, pyroman, się po okolicy kręci. Nerwowo się zrobiło. No ale tyle czasu minęło, nic się dzięki Panu Bogu nie stało, to już się chyba nie stanie, nie?

Dopiero po chwili do Wojnara dotarło, że to pytanie.

– Pewnie nie – odparł szybko.

Mężczyzna, uspokojony, uśmiechnął się lekko.

– Dziękuję panu za pomoc – powiedział aktor i poszedł do samochodu.

– A to chce pan obejrzyć? – zawołał za nim mężczyzna.

Wojnar przystanął.

– Co takiego? – zapytał zdziwiony.

– No, tę działkę mojego sąsiada, co jest na sprzedaż.

Aktor podciągnął rękaw i popatrzył na zegarek, jakby się nad czymś zastanawiał. A potem pokręcił przecząco głową.

– Niestety już się śpieszę – rzucił przepraszającym tonem. – Może innym razem.

Wsiadł szybko do volva, żeby uniknąć kolejnych pytań, i odjechał. W drodze do domu myślał tylko o dwóch rzeczach: Ułan to wariat, po którym można spodziewać się wszystkiego. I że ten wariat zgwałcił Ninę.

Pierwszą rzeczą, która zwróciła jego uwagę, było to, że Znajda nie wybiegła mu na spotkanie. Zawsze pojawiała się, kiedy tylko podjeżdżał pod bramę. Najpierw biegała radośnie wzdłuż płotu, potem krążyła wokół auta, żeby wreszcie rzucić się na niego, gdy wysiadał. Tym razem jednak jej nie zobaczył. Wojnar zamknął drzwi wozu i przeszedł przez stodołę. Zaczął rozglądać się dookoła, szukając wzrokiem psa. Przez chwilę zastanawiał się, czy przypadkiem nie zamknął jej w domu, ale przecież wyraźnie pamiętał, że Anka wygłaskała Znajdę już na podwórku, kiedy on czekał za kierownicą i walczył z chęcią zapalenia papierosa.

– Znajda! – zawołał. – Już jestem! Znajda!

Poczuł ukłucie niepokoju. Gdyby chodziło o innego psa, pomyślałby, że postanowił się poszwendać po lesie. Ale nie Znajda. Nie lubiła ruszać się z posesji, pod tym względem przypominała kota. Przywiązała się do tego miejsca i niechętnie je opuszczała. Na początku, kiedy miał ją ledwie trzy miesiące, zabrał ją ze sobą do Warszawy. Zostawił w kawalerce na kilka godzin, a gdy wrócił, mieszkanie było zdewastowane – wszystkie poduszki pogryzione, kanapa poszarpana, podłoga zaszczana i zaszczana. Zmęczona i przerażona suka wygląda wtedy tak żałośnie, że nawet nie miał siły się na nią gniewać. Po prostu wsadził ją do samochodu i odwiózł na Mazury.

Z czasem trochę się poprawiło. Przyzwyczała się do tego, że pomieszkuje u sąsiada, bo choć jeszcze kilka razy pojechała z Wojnarem do Warszawy, to zmiana miejsca kosztowała ją sporo nerwów. Wolał jej tego oszczędzać. Rzadko nawet brał ją na spacer po posesję. Zawsze wtedy miała zjezoną sierść, często przystawała i spoglądała za siebie, jakby prosiła, by już wracali. Najprawdopodobniej bała się tego, że i on przywiąże ją do drzewa i porzuci.

– Znajda! – zawołał po raz kolejny, głośniejszym głosem niż poprzednim razem.

Nie zaszczekała, nie przybiegła. Już wiedział, że stało się coś złego.

Zaczął jej szukać. Najpierw poszedł do domu, otworzył drzwi i zawołał ją – wolał się upewnić, jednak w środku też jej nie było. Wrócił na podwórze.

– Gdzie ty jesteś, piesku? – zapytał cicho.

Zajrzał do stodoły, potem postanowił ją obejść. W pewnym momencie usłyszał jakby piszczenie. Przyśpieszył kroku. Znalazł się na tyłach budynku i stanął jak wryty. Znajda leżała niecałe trzy metry od niego. Z trudem podniosła łeb. Dyszała ciężko. Miała dziwnie skrzyżowane tylne łapy, wykrzywione na różne strony. Wyglądała niemalże tak żałośnie jak w dniu, kiedy ją znalazł. Zdał sobie sprawę, że nie przybiegła do niego dlatego, że nie mogła się podnieść.

– Znajda, piesku, co się stało?

Zdążył zrobić dwa kroki w jej kierunku, gdy usłyszał za sobą ruch i czyjś przyśpieszony oddech. Nagle coś ciężkiego z wielką siłą spadło na jego plecy. Najpierw stracił dech w piersiach, potem potężny ból rozlał się po całej górnej połowie ciała, a na końcu Wojnar poleciał przed siebie i upadł. Uderzył głową o ziemię. Poczul w ustach smak mokrej trawy. Spróbował się podnieść, ale wtedy otrzymał kolejny cios, jeszcze silniejszy niż poprzedni, i stracił zupełnie siły.

Leżał tak przez kilka długich chwil. Dyszał ciężko. Znajda leżała ledwo metr od niego. Skomlała cicho. Poruszała przednimi łapami, próbując się podczołgać. Wyciągnął do niej rękę, żeby przestała. Nie chciał patrzeć, jak się męczy.

– Wiesz, że to twoja wina? – Usłyszał nad sobą.

Zagryzł zęby. Obrócił się na plecy. Ułan stał nad nim na lekko rozstawionych nogach. Opierał się o aluminiowy kij bejsbolowy. Chłopak miał poważną minę, ale jego oczy błyszczały radośnie. Był chudszy, drobniejszy, niż Wojnar go zapamiętał. Aktor pomyślał, że gdyby nie ten kij, bez trudu powaliłby chłopaka kilkoma ciosami. Kombinacja lewy, prawy, sierp. Albo tylko lewy, prawy, lewy. Teraz jednak nie miało to żadnego znaczenia, skoro nie potrafił nawet się podnieść.

– Żyjesz sobie tutaj na uboczu, wielki pan z Warszawy, patrzysz na nas z góry...

– Nie... patrzę... – wycharczał.

– Nie pierdol. Ile tu już mieszkasz? Dziesięć lat? Dłużej? A ilu ludzi znasz ze wsi? Z iloma jesteś po imieniu? Do kościoła nie chodzisz, piwa z nami nie pijesz... – Ułan pokręcił z rozczarowaniem głową. – Ale nie mam z tym problemu, wiesz? Każdy ma prawo żyć po swojemu. Chcesz się wywyższać, chcesz być wielkim panem z wielkiego miasta, mam to w dupie.

Zbliżył się do niego. Zarzucił sobie kij na barki i klęknął, tak że ich twarze znalazły się blisko siebie i Wojnar poczuł jego kwaśny, śmierdzący papierosami oddech.

– Ale na chuj... – zaczął Ułan – na chuj, powiedz mi, zacząłeś się mieszać?

– Ja...

– Na chuj! – ryknął chłopak. Chwycił znów za kij. Wojnar zamknął oczy, pewien, że chłopak go uderzy, ale aluminiowa końcówka trafiła tuż obok jego głowy, a kawałki ziemi wylądowały mu na policzku. Ułan zarechotał, podskoczył dwa razy i okręcił się wokół własnej osi w dziwacznym tańcu radości. Nagle przystanął. Złośliwy uśmiech zniknął mu z twarzy, zastąpiony dziwaczną, nienormalną powagą.

– Na chuj się mieszasz w nie swoje sprawy? – zapytał, pokręcił z dezaprobatą głową i wreszcie westchnął teatralnie. – Wiesz co? Wybaczyłbym ci pierwszy raz. Jak sąsiad sąsiadowi. Wiadomo, różnie bywa, ty byłeś pijany, bo widziałem, ile tam chlałeś ze swoim kumplem. Mogło ci się coś wydawać...

– Chciałeś ją zgwałcić.

Ułan skrzywił się, jakby teraz to on dostał w brzuch. Staął okrakiem nad Wojnarem. Czubek kija bejsbolowego położył na jego piersi i oparł się na nim. Nie całym ciężarem, ale wystarczyło, żeby aktor po raz kolejny stęknął z bólu. Ledwo potrafił złapać oddech.

– Mam ci znowu zapierdolić? – zapytał Ułan.

Wojnar pokręcił przecząco głową.

– No właśnie. – Chłopak wyprostował się i przestał opierać się na kij. – Wydawało ci się coś. Doszło do nieporozumienia. Zdarza się. Nie mam z tym problemu. Ale potem znowu zobaczyłem cię z Anką, zobaczyłem, jak coś kombinujecie, gadacie... Pierdolona dziwka i wielki pan z Warszawy. I już wiedziałem, że będą z wami kłopoty. I wiesz, co sobie pomyślałem? Że przyjdę z tobą pogadać. To przyszedłem. Jestem. I powiem ci jedno: nie mieszaj się, kurwa. To nie jest twój świat. Mieszkaj sobie tutaj, rób u nas zakupy. Jak chcesz, to przyjdź do knajpy, napij się, jak musisz, ale nie mieszaj się. Rozumiesz?

Wojnar z trudem skinął głową. W ustach czuł smak krwi. Miał wrażenie, że chłopak złamał mu co najmniej kilka żeber.

– To powiedz to.

– Rozumiem – wyszeptał.

– Nie to. Powiedz, że nie będziesz się mieszał.

Wojnar wziął głębszy wdech i od razu jęknął. Łzy napłynęły mu do oczu.

– Nie... będę... się mieszał.

Ułan zagryzł dolną wargę i zmarszczył brwi, jakby zastanawiał się, czy to, co właśnie usłyszał, mu wystarczy. A potem uśmiechnął się szeroko.

– Dobrze. To teraz wyjaśnimy sobie jeszcze jedną rzecz, dobra? Pewnie jak pójde, to przyjdzie ci do głowy, żeby zadzwonić po policję.

– Nie...

– Cicho, cicho... – Ułan przyłożył palec do ust. – Wy z Warszawy tak macie. Chcecie dzwonić na policję z powodu każdej pierdoły zamiast załatwić sprawę jak ludzie. Tacy już, skurwiele, jesteście. Ale problem polega na tym, że jak zadzwonisz na policję, powiesz, że to byłem ja, wyjdiesz na wariata, wiesz? A wiesz dlaczego?

– Nie...

– Bo mnie tu nie ma. Pierdołę właśnie jedną laskę pod Mrągowem. Laskę, której chłopak wisi mi kasę, więc laska chętnie powie, że ją

puknąłem, żeby zlikwidować dług. Kumasz? Dla niej to nawet dobry interes. Zamiast ciągnąć mi druta, tylko powie, że ciągnęła!

Chłopak zaśmiał się, jakby opowiedział szczególnie dobry dowcip.

– Dobra – rzucił. – Jest tak: możesz pójść na psy, ale nic z tego nie będzie. Oprócz tego, że ja się mocno wkurwię. A jak się wkurwię... – Zawahał się. – Nie chcesz wiedzieć, co ci zrobię, jak się wkurwię.

– Nie... nie pójdę na policję.

Ułan wzruszył ramionami, jakby niewiele go to obchodziło. Chwilę stał jeszcze, obracając w dłoniach kij. Chrząknął, splunął w bok i wgniótł plwocinę w ziemię. Podszedł do Znajdy. Nachylił się nad suką. Kilka razy delikatnie pogłaskał ją po grzbiecie. Wojnar chciał krzyknąć na niego, żeby przestał. Próbował się podnieść, ale każdy ruch sprawiał mu straszny ból.

– Fajny jest ten twój pies – odezwał się Ułan. – Naprawdę fajny. A wiesz, co jest niefajne? – zapytał.

Wojnar nie odpowiedział. Wpatrywał się tylko w chłopaka. Jego serce biło tak mocno, jakby zaraz miało mu pęknąć. I nagle aktor zdał sobie sprawę, że jeszcze nigdy w życiu tak bardzo się nie bał.

– Niefajne jest to, że gdybyś teraz zawiózł go do weterynarza, to pewnie by z tego wyszedł – powiedział Ułan i podrapał się dwa razy po nosie. – Ale nie zawieszysz – dodał.

A potem chwycił kij w obie dłonie i z całych sił uderzył nim w łeb Znajdy.

DECYZJA

Mój świat walił się po raz kolejny, a ja potrafiłem myśleć tylko o minionych świętach Wielkiejnocy. Cholernie się ich bałem. Nie byłem pewien, czy damy radę je przetrwać. Moi rodzice zapraszali nas do Bielska, ale nie miałem siły ani ochoty tam jechać. Bałem się współczujących spojrzeń, prowadzonych szeptem rozmów i pytań, czy wszystko jest w porządku. Zamiast tego kupiłem kilka jajek, barwniki i mazurka. Przygotowałem proste świąteczne śniadanie, które kosztowało mnie tyle wysiłku, że przez resztę dnia leżałem na kanapie i razem z córkami oglądałem bajki na Netflixie, aż wszyscy zasnęli.

W lany poniedziałek natomiast wydarzył się mały cud. Iwonka znalazła w swoich zabawkach pistolet na wodę. Rano obudziły mnie krzyki Basi. Starsza córka była wściekła. Krzyczała na siostrę, kazała jej przestać, wyzywała od głupich, jednak Iwona nie przestawała na nią psikać wodą i goniła ją, śmiejąc się jak opętana. Zanim zdążyłem zareagować, Basia chwyciła za spryskiwacz do kwiatów. Stały tak naprzeciwko siebie, psikając na siebie wodą, aż nagle Iwona krzyknęła: „Na tatę!”, i obie rzuciły się na mnie. Uciekłem do łazienki, odkręciłem kran i zacząłem im oddawać. Spędziliśmy na tej bitwie blisko dwadzieścia minut, a potem zmęczeni i cali mokrzy padliśmy na kanapę. Pamiętam, że siedzieliśmy wtedy obok siebie, Basia wtulona we mnie z jednej strony, Iwona z drugiej, a ja pomyślałem, chyba po raz pierwszy od śmierci Janiny, że to może nam się udać. Że będziemy jeszcze szczęśliwi.

Wieczorem tego samego dnia napisał do mnie na Facebooku Wojnar. Poprosił o spotkanie. Powinienem był mu odmówić, zamknąć tę historię i już do niej nie wracać, ale kiedy kochanek martwej żony mówi ci, że ma coś ważnego do powiedzenia, to chcesz go wysłuchać.

Siedzieliśmy teraz w Aioli, jednej z knajp na placu Konstytucji. Zajęliśmy stolik w głębi sali, zamówiliśmy kawę i coś do jedzenia, choć żaden z nas nic nie przełknął. Wojnar opowiadał mi, czego się dowiedział o Ułanie i Janinie, a ja z każdym jego słowem miałem wrażenie, że pod ich ciężarem zapadam się w sobie, a każda komórka mojego ciała wyje z bólu. Kiedy skończył, bardzo długo siedzieliśmy naprzeciwko siebie w milczeniu. On dlatego, że powiedział wszystko, co miał do powiedzenia, a ja dlatego, że miałem problem z oddychaniem.

– Powinniśmy pójść na policję – odezwałem się po dwóch, trzech minutach, kiedy wciąż kręciło mi się w głowie, ale zniknęło już to przerażające uczucie, że moje własne ciało próbuje mnie zabić.

– Po co?

– Jak to po co? Przecież on... – Przerwałem na moment, bo zdałem sobie sprawę, że nie będę w stanie wymówić słowa „gwałt”, przerażało mnie. – ...on to zrobił – zakończyłem nieporadnie.

– I co dalej? Nina nie żyje. Niczego nikomu już nie powie. Nie ma żadnych dowodów.

– A ta dziewczyna?

– Nie chce iść na policję. A nawet jeśli pójdzie... Byliśmy tylko my i on. Ja mu przyłożyłem. Jego kumple zaczną opowiadać, że go pobiłem... – Zakończył machnięciem ręki.

– Chcesz to tak zostawić?

– Nie.

– Nie?

– Nie.

– To co chcesz zrobić?

Nachylił się w moją stronę i popatrzył mi prosto w oczy.

– Chcę go zabić – powiedział.

Roześmiałem się. To był odruch. Słyszysz głupią, krępującą propozycję, śmiejesz się i obracasz wszystko w żart. Ale kiedy spojrzałem na niego,

zrozumiałem dwie rzeczy. Nie tylko mówił zupełnie serio – przede wszystkim on to przemyślał. Przygotował plan.

– Nie.

– A widzisz jakieś inne rozwiązanie?

– Przecież on... Policja.

– Jego wujek pracuje w policji. I nie mamy żadnych dowodów.

– To w takim razie...

– Co w takim razie?

Nie odpowiedziałem, bo miałem pustkę w głowie. Wojnar uderzył trzy razy palcami w stół. Buzowało w nim. Z trudem potrafił usiedzieć w miejscu.

– On zgwałcił Ninę.

– Tak.

– To on jej zrobił to dziecko, rozumiesz? – powiedział. – To przez niego wjechała w tę ciężarówkę. To on ją zabił!

– Przepraszam – odezwał się dziewczęcy głos z boku. Obaj niemal podskoczyliśmy ze strachu.

Obok nas stała dziewczyna, blondynka w dużych okularach w drucianej oprawie. Golf brązowego swetra podchodził jej aż pod brodę. W dłoniach trzymała telefon komórkowy.

– Pan Wojnar? – zapytała cichutko. Chyba przestraszyła się naszej reakcji.

– Tak.

– Czy mogę zrobić sobie z panem zdjęcie? Przepraszam, że przeszkadzam, ale widziałam pana w teatrze i...

Jego ramiona zadrżały, cały się spiął, jakby szykował się do skoku, a jednak w ułamku sekundy nastąpiła w nim przemiana. Uśmiechnął się przyjaźnie i wstał od stołu.

– Oczywiście – powiedział, obejmując ją.

Podziękowała i włączyła telefon. Chwilę grzebała w ustawieniach, najwyraźniej przejęta zapomniała, jak się robi selfie. Dziwne, myślałem, że to podstawowa umiejętność osób w jej wieku. Potem wycelowała aparat w ich stronę i zaczęła nim kręcić to w jedną, to w drugą stronę.

– Może ja to zrobię – powiedział Wojnar i wziął od niej telefon, po czym szybko zrobił zdjęcie i oddał komórkę.

– Dziękuję i przepraszam, że przeszkadzam, ale...

– Nie ma żadnego problemu – przerwał jej Wojnar, ciągle się uśmiechając. – Teraz jednak, jeśli pani pozwoli... – Wskazał na mnie palcem.

– Tak, oczywiście.

Dziewczyna się oddaliła, a aktor usiadł z pełnym irytacji westchnieniem. Uniósł filiżankę z kawą i obrócił ją w dłoniach, jakby chciał upić łyk, ale zaraz odstawił ją z powrotem.

– Musimy to zrobić – powiedział cicho. – Nie mamy innego wyjścia.

– Nie. To wariactwo.

– Przecież wiesz, co on zrobił.

– Nie.

– Byłeś na parkingu, widziałeś, jak zaatakował tę barmankę. Wiesz, że robi to jeszcze raz. Zgwałci kolejną kobietę. Albo stanie się coś jeszcze gorszego, rozumiesz? Chcesz mieć to na sumieniu?

– Nie – powtórzyłem i wstałem od stołu. Sięgnąłem po kurtkę, która zwisała luźno z oparcia krzesła.

– Mówiła, że jesteś tchórzem – rzucił.

Zamarłem w połowie ruchu.

– Co?

– Nina. Mówiła, że jesteś tchórzem. I miała rację.

– Nic o mnie nie wiesz.

– Wiem wszystko – powiedział. – Wiem, że wciąż pracujesz na tym samym stanowisku. Ciągle marzysz o awansie i narzekasz, że nikt cię nie

docenia, prawda? I wiem, że nic nie robisz, by to zmienić. I teraz będzie tak samo. Facet zgwałcił ci żonę, a ty nie zrobisz nic.

Zacisnąłem pięści. Zauważył to. Podniósł się i wyszedł mi naprzeciw.

– No dalej – warknął. – Zrób to. Pokaż, że masz jaja.

I przez chwilę chciałem to zrobić. Przyłożyć mu prosto w twarz, w policzek, w nos, patrzeć, jak jego głowa odskakuje do tyłu, jak z jego ust wydobywa się okrzyk zaskoczenia i bólu. Zaraz jednak w mojej głowie odezwał się głos rozsądku. Znajdowaliśmy się w miejscu publicznym, w restauracji. On był znanym aktorem, ja nikim, a wokół siedziały jego fanki z telefonami komórkowymi w dłoniach. Gotowe wszystko nagrać i natychmiast wrzucić na Instagrama. Odetchnąłem. Rozluźniłem ręce.

– Jesteś tylko dużym dzieciakiem – odparłem cicho. Mogłem albo szeptać, albo krzyczeć, inna opcja nie wchodziła w grę. – Nie masz żadnych obowiązków, żadnego życia, żadnych zobowiązań. Żyjesz sobie na tym zadupiu i wydaje ci się, że cały świat należy do ciebie. Ale nie należy. Ja mam dzieci, rozumiesz? Dwie córeczki, którymi muszę się zająć. To jest moje życie, moja odpowiedzialność. Coś, czego nie jesteś w stanie zrozumieć, bo ty musisz się opiekować wyłącznie jebanym psem. A i to robisz kiepsko.

Pobladł. Jego usta zacisnęły się w cienką linię. Miałem wrażenie, że po raz pierwszy moje słowa naprawdę go dotknęły, a on nie wie, co odpowiedzieć i jak odzyskać panowanie nad sytuacją. Żadna z odgrywanych ról nie przygotowała go do tej chwili.

Włożyłem pośpiesznie kurtkę i odruchowo sięgnąłem do portfela, żeby zapłacić za swoją część, jednak zrezygnowałem. Pomyślałem, że Wojnar mnie tu wyciągnął, zmusił do tej idiotycznej rozmowy, niech on zapłaci.

– A co do Janiny – rzuciłem na koniec. – Tak, uprawiałeś z nią seks, ale wcale jej nie znałeś.

Był ponury, szary kwietniowy dzień i właśnie zaczęło padać. Nie miałem parasola, więc szedłem do pracy w strugach zimnego wiosennego deszczu. Choć Wojnar został w Aioli, ciągle czułem na swoich plecach jego wzrok, a w mojej głowie rezonowało echo jego słów.

Pracowałem niedaleko, w jednym z wieżowców koło metra Politechnika, gdzie każde piętro zajmowała wielka korporacja, która robiła wielkie pieniądze, a parter opanowały knajpki i restauracje żyjące z biznesowych lunchów. O każdej porze dnia bez względu na pogodę przed wejściem tłoczyli się ludkowie w garniturach i garsonkach, wykorzystujący przerwy, żeby pośpiesznie wypalić papierosa i wymienić się biurowymi plotkami. Teraz też stali – siedmiu facetów trzęsących się z zimna, schowanych pod dwoma parasolami, narzekało na pogodę i opowiadało o jakimś informatycznym projekcie.

Kiedy dotarłem na swoje piętro, byłem cały przemoczony. Rzuciłem kurtkę na wieszak w szafie i następne dwadzieścia minut spędziłem w łazience, próbując wysuszyć się za pomocą suszarki i sporej ilości papierowych ręczników. Nie przyniosło to jednak efektu. Gdy stamtąd wychodziłem, wciąż wyglądałem, jakbym wypadł spod prysznica.

Usiadłem przy swoim komputerze, wpisałem hasło, przejrzałem nagłówki mejli – setek mejli, jednych ważniejszych, innych mniej ważnych. Urlopowe zaległości dosłownie mnie zasypały, do tego czułem narastający ból głowy. Praca pokonała mnie po raz kolejny – bo już pojawiłem się dzisiaj w biurze. Przyszedłem wcześniej rano, kiedy oprócz mnie były tam jedynie recepcjonistka i sprzątaczką w kuchni, jednak przez dwie godziny właściwie nic nie zrobiłem. Zdobyłem się tylko na to, by odpalić komputer, a potem tępo wpatrywać się w tabelki arkusza kalkulacyjnego. Symulowałem pracę, od czasu do czasu wpisując jakąś formułę do modelu, po czym ją wycofując, bo tak naprawdę zastanawiałem się wyłącznie nad tym, czego ode mnie może chcieć kochanek mojej żony.

Teraz już wiedziałem, choć w niczym to nie pomogło.

Janina została zgwałcona. W przerwie pomiędzy świętami a sylwestrem. Nie wiedziałem dokładnie jak ani gdzie, jednak byłem pewien, że Wojnar mówi prawdę.

Moja żona została zgwałcona.

Całe to zdanie niczym rozżarzony pręt wbijało mi się w mózg.

Moja żona została zgwałcona.

Ktoś klepnął mnie w ramię.

– Szczepan już na ciebie czeka – powiedział Arek i postukał palcem w tarczę gigantycznego zegarka na swoim przegubie. Miał grubą stalową kopertę i złote albo przynajmniej pozłacane wskazówki. Wydawało mi się, że nigdy wcześniej go nie widziałem, a Arek specjalnie podciągnął lekko rękaw marynarki, żeby każdy mógł zobaczyć.

– Słucham?

– Jesteśmy umówieni na spotkanie, pamiętasz? Miało się zacząć kwadrans temu, ale nie przyszedłeś.

– Spotkanie? Ja nic nie wiem.

– Jak to? – zdziwił się. – Dostałeś mejla i potwierdziłeś, że będziesz.

Faktycznie, rano odpowiedziałem na kilka mejli, ale szczerze mówiąc, nie potrafiłem już sobie przypomnieć, ile ich było i czego dokładnie dotyczyły.

– Tak – mruknąłem. – Przepraszam. Myślałem, że chodzi o inne spotkanie.

– Jakie inne spotkanie?

– Eee... To z klientem.

Arek na szczęście nie dopytywał. Raz jeszcze postukał palcem w tarczę zegarka.

– Pośpieszmy się, bo Szczepan ma jechać na jakiś trening czy coś – rzucił i dał znak, żebym poszedł za nim.

W gabinecie oprócz Szczepana czekał jeszcze Jacek. Ten niski czarnowłosy chłopak zawsze wyglądał tak, jakby przed chwilą wyszedł

z siłowni. Prosił wszystkich, żeby mówili na niego „Jack”, bo niby taką miał ksywkę. Ale nie od imienia, tylko dlatego, że „zajebicie lubi jacka daniel’sa”. Za każdym razem, kiedy kończył opowiadać tę anegdotkę, wybuchał śmiechem. Nie miał chyba nawet trzydziestki i należał do tych ludzi, którzy są strasznie irytujący, a równocześnie z jakiegoś powodu uważają, że wszyscy ich lubią. Na mój widok uśmiechnął się, odsłaniając garnitur białych zębów.

– No czolem! – powiedział, a ja tylko kiwnąłem mu głową na przywitanie.

Szczepan w tym czasie przerzucał pośpiesznie dokumenty na swoim biurku. Miałem wrażenie, że nawet ich nie czyta, jedynie przekłada kartki z jednej kupki na drugą. Nie wiem, dla kogo i po co odgrywał to przedstawienie. Kiedy skończył, nagryzmołił coś długopisem na okładce i wrzucił wszystko do szuflady biurka.

– No jesteś, Maciek.

– Jestem. Przepraszam za spóźnienie, ale...

Szczepan machnął ręką.

– Nieważne, nieważne. Jak się czujesz? Jak po urlopie? – zapytał.

Ewidentnie mu się śpieszyło. Rozglądał się dookoła, czegoś szukając.

– Nieźle. Dziękuję.

Wysunął szufladę biurka, przejrzał jej zawartość, a potem wyjął z niej pilota od samochodu. Zamachał nim nam przed oczami.

– Nie mam, kurwa, pojęcia, jak on się tam znalazł – powiedział.

Arek pokiwał głową ze zrozumieniem, jakby on też, oprócz tego, że nosił zegarki za kilkanaście tysięcy, co chwila gubił gdzieś kluczyki od luksusowego audi lub jakiegoś mercedesa. Jacek natomiast zaśmiał się, ale chyba nawet on zorientował się, że brzmi to sztucznie, bo od razu zamilkł i chyba nawet lekko się zarumienił.

– Magia, nie? – rzucił.

– No – mruknął Szczepan i schował pilota do kieszeni spodni. Na jego twarzy odmalowała się ulga. Oparł się na biurku. Miał podwinięte rękawy

koszuli, więc zauważyłem, że jego lewe przedramię jest owinięte przezroczystą taśmą przypominającą folię spożywczą, a pod nią czernieje wzór nowego tatuażu. Nie udało mi się dostrzec, co tam jest, ale znając zainteresowania Szczepana, zapewne rozpędzony samochód albo uśmiechnięta twarz Roberta Kubicy.

– Słuchaj, Maciek, poprosiliśmy cię tutaj, bo jak pewnie wiesz, Arek niedługo nas opuszcza. Niestety, znalazł się jakiś skurwysyn, który zaproponował mu lepszą pracę i lepszą płacę...

– Zawsze możesz go przebić – wtrącił Arek.

Jacek po raz kolejny zarechotał.

– No chyba nas na ciebie już nie stać, Areczku – powiedział Szczepan z udawaną naganą w głosie. – Ale przechodząc do rzeczy. Pogadaliśmy z Arkiem, zastanowiliśmy się, jak to teraz zorganizować, i stwierdziliśmy, że najlepiej będzie, jak funkcję szefa zespołu obejmie Jacek.

Niby nie powinienem być zaskoczony. Doskonale wiedziałem, czego się spodziewać, kiedy tylko przekroczyłem próg tego gabinetu i zobaczyłem, kto na mnie czeka. Ale i tak rozczarowanie rozlało się kałużą kwasu po całym moim ciele.

Jacek uśmiechał się zadowolony, byłem pewien, że przynajmniej trochę pręży mięśnie pod błękitną koszulą. Arek założył ręce i obserwował mnie, czekając na moją reakcję, a Szczepan najwyraźniej stwierdził, że on już zrobił swoje, bo zaczął wkładać marynarkę i schował portfel do kieszeni.

– On? – zapytałem, wskazując na Jacka. – Serio? Chcesz zrobić szefem zespołu jego?

Na twarzy Szczepana odmalował się wyraz głębokiego rozczarowania. Sięgnął po komórkę, sprawdził godzinę. Pomyślał przez chwilę.

– Dobra, Maciek – powiedział – i tak jestem już przez ciebie spóźniony, więc równie dobrze mogę poświęcić ci jeszcze dwie minuty. Wiem, że zależało ci na tym stanowisku, ale nic z tego. Uznaliśmy, że Jacek lepiej się sprawdzi. Zwłaszcza biorąc pod uwagę twoją obecną sytuację rodzinną i...

– Gówno prawda – warknąłem. – Moja rodzinna sytuacja nie ma nic do rzeczy. Jak nie to, znalazłby się inny pretekst. Ile ten chłopak tutaj pracuje? Rok?

– Rok i trzy miesiące – uściślił Arek.

– No tak. Ty dokładnie to wiesz – mruknąłem.

– Co to niby miało znaczyć?

– Tylko tyle, że przecież ty dokładnie wiesz, ile on już tutaj pracuje, bo przez ten czas, przez te wszystkie dni, przez rok i trzy miesiące Jacuś nie robił nic innego, jak tylko wchodził ci w dupę!

– Ej! – zaprotestował Jacek.

– Zamknij się! – zawołałem do niego i podszedłem do biurka. – Szczepan, ludzie z zespołu go nienawidzą, rozumiesz? On tylko podlizuje się Arkowi. Jak widać, skutecznie, skoro zaproponował go na szefa zespołu.

– Jacek ma dobre wyniki – wtrącił Arek.

– Bo nic innego nie robi, tylko chodzi i smędzi, żeby mu pomóc. Sam mu chyba ze trzy razy robiłem modele. Cyfr do prognoz też nie szuka, zawsze kogoś pyta. Szczepan, on nie ma pojęcia o tej branży, nie wie nawet, jak przygotować zwykłą wycenę. I nie mówię teraz o jakiejś megaskomplikowanej, tylko o zwykłej decefce. Przez ten rok... przepraszam, przez rok i trzy miesiące ani jednej nie zrobił samodzielnie.

– Czy to prawda? – zapytał Szczepan.

Jacek chciał coś powiedzieć, jednak Arek mu nie pozwolił.

– Pracujemy jako zespół i jako zespół mamy wyniki – stwierdził. – To chyba normalne, że prosi się kolegów o radę i pomoc, nie uważasz, Szczepan? A analizy podpisane przez Jacka są dobre. I obaj uznaliśmy, że chłopak zasługuje na swoją szansę.

Szczepan podszedł do okna. Przez chwilę obserwował panoramę Warszawy, kołysząc się lekko na piętach. Deszcz akurat przestał padać, trochę się przejaśniło i promienie słońca, ostre i jasne, padły prosto na jego twarz. Zamiast się zasłonić albo odwrócić głowę, stał tam, mrużąc oczy.

Przez chwilę przypominał przerośniętego chomika. Wreszcie odwrócił się, oparł o biurko i spojrzał na mnie ciężko.

– Poprosiłem cię tutaj, Maciek, ze względu na to, jak skończyła się nasza ostatnia rozmowa. Chciałem ci dać znać wcześniej, przed wszystkimi. To wyraz szacunku i uznania dla twojej pracy. Ale podjąłem decyzję: Jacek zostaje szefem zespołu. Albo to zaakceptujesz, albo pomimo całej mojej sympatii i wiedzy o twojej trudnej sytuacji będę musiał cię zwolnić.

– To mnie zwolnij – powiedziałem.

Dostrzegłem zdumienie malujące się na twarzy Szczepana, a potem Arka. I szczerze mówiąc, ja też byłem zaskoczony. Najdziwniejsze, że normalnie natychmiast wycofałbym się z tej deklaracji, zacząłbym się tłumaczyć, przeproszać, jednak teraz, w chwili, kiedy wypowiedziałem to na głos, wydało mi się to naturalne i właściwe.

– Zwolnij mnie – powtórzyłem. Głównie po to, żeby znów usłyszeć te słowa. I po raz kolejny brzmiały równie dobrze. – Chyba że chcesz, bym sam przyniósł wypowiedzenie – dodałem.

Szczepan chrząknął. Zerknął na Arka, ten tylko wzruszył ramionami, że nie ma pojęcia, o co chodzi. Jacek z trudem maskował uśmiech. Domyśliłem się, że moje zniknięcie bardzo mu odpowiada.

– Słuchaj, Maciek, wiem, że jesteś w trudnej sytuacji, także psychicznej, ale czy zdajesz sobie sprawę, jaka jest teraz sytuacja na rynku? W sektorze mamy zastój, warszawska giełda leci na pysk i nie wiadomo, co będzie dalej. Naprawdę myślisz, że tak łatwo uda ci się znaleźć nową pracę?

– Mnie? Myślę, że zrobię to ot tak. – Pstryknąłem palcami. – Mam wieloletnie doświadczenie. Znam sektor spożywczy od podszewki i powiedzmy to wreszcie głośno, jestem zajebistym analitykiem. Naprawdę zajebistym. Wiem o tym i wiem, że inni ludzie o tym wiedzą. Ale wiesz, jaka jest moja największa zaleta?

– Jaka?

Również oparłem się o biurko i teraz nasze twarze dzieliło może trzydzieści centymetrów.

– Jestem, kurwa, tani. Nie mam dużych wymagań, Szczepan. Mogę startować prawie od samego dołu. Szczerze? Założymy się, że jeśli teraz wyjdę z biura i zacznę dzwonić, to pierwsze oferty dostanę przed siedemnastą?

Wyciągnąłem rękę w stronę szefa. Ten chwilę się jej przypatrywał, jednak nie przyjął zakładu.

– Pracuję tutaj od lat – powiedziałem, opuszczając dłoń. – Nie awansujesz mnie? Twoja sprawa. Dalej promuj tych, co stąd odchodzą przy pierwszej nadarzającej się okazji. Ja nie widzę w tym najmniejszego sensu, ale to twoja firma, nie moja. I ty, i ja wiemy, że nie możesz sobie pozwolić na to, żeby mnie stracić. Bo zwolnienie mnie byłoby naprawdę chujowym ruchem i odbiłoby się na wynikach całego zespołu. Zespołu, który podlega tobie, więc będziesz musiał się tłumaczyć, dlaczego coś, co przez tak długi czas działało tak dobrze, teraz się spierdoliło.

Wyprostowałem się. Szczepan milczał prawie minutę. Ani Arek, ani Jacek nie ważyli się odezwać. To było tak, jakbyśmy zostali w tym pokoju tylko we dwóch. Potem mruknął do siebie pod nosem coś, czego nie zrozumiałem, ale co najprawdopodobniej sprowadzało się do ciągu przekleństw. Ściągnął marynarkę, odwiesił ją na wieszak, wyjął portfel z kieszeni i rzucił nim na blat, po czym schował pilot od samochodu z powrotem do szuflady i wrócił za biurko. Krzesło lekko zaskrzypiało pod ciężarem jego ciała.

– Dobra – stwierdził i pociągnął nosem. – Dostaniesz to, czego chcesz, i zostaniesz szefem zespołu, Maciek.

– Chwila! – zaprotestował Arek. – Przecież ustaliliśmy...

– Odchodzisz z firmy, więc zamknij, kurwa, ryj, Arek! – zawołał Szczepan.

Arek pobladł. Rozłożył szeroko ręce, niemo oznajmiając, że nie wie, co się właściwie wydarzyło.

– Nie mam zamiaru – powiedziałem.

Szczepan podniósł wysoko obie brwi.

– Co znowu? – wykrztusił. – Przecież ta cała awantura była właśnie o to!

– Ta cała awantura była o to, że Jacek będzie chujowym szefem – oznajmiłem. – Tylko tyle. A ja? Ja muszę się teraz zajmować dwójką dzieci. W dupie mam to stanowisko.

Szczepan otworzył usta i wydobył się z nich przeciągły jęk.

– To kto powinien zostać szefem zespołu? – zapytał wreszcie.

– Anka.

Odpowiedziałem właściwie – kolejna niespodzianka – niemal bez zastanowienia.

– Anka?! – włączył się Arek. – Przecież ona pracuje jeszcze krócej od Jacka.

– Ale jest zajebista – odparowałem. – I samodzielna. I ogarnia temat, umie zarządzać czasem i daje sobie radę. Daj jej jeszcze rok, może dwa, będzie prawie tak dobra jak ja.

Szczepan podrapał się po brodzie, a potem uśmiechnął się lekko.

– W sumie masz rację – stwierdził. – Niezła jest. Zostanie szefem zespołu.

Zerknąłem szybko na Jacka. Rozczarowanie, które teraz odmalowało się na jego twarzy, było najprzyjemniejszą rzeczą, jaka przydarzyła mi się w ostatnich kilku tygodniach.

– A co z tobą? – zapytał Szczepan.

– Daj mi podwyżkę – powiedziałem. – I jeszcze tydzień urlopu.

– Kolejny?

– Tak. Mam kilka rzeczy do ogarnięcia. Gdy wrócę, będę już dyspozycyjny.

– A podwyżka?

– Ustalimy jej wysokość po moim powrocie.

Szczepan pokiwał w zamyśleniu głową.

– Dobrze – stwierdził i uśmiechnął się szeroko. – Miłego urlopu, Maciek – rzucił i była w tym zdaniu i zjadliwa ironia, i jakaś nie do końca

wypowiedziana, niesprecyzowana groźba. Być może nawet on sam nie wiedział jeszcze, jak ona powinna brzmieć. Ale nie zamierzałem się tym przejmować. Wiedziałem, że wychodzę z gabinetu szefa jako zwycięzca. No i miałem teraz coś naprawdę ważnego do zrobienia.

Ściany przychodni miały kolor pomarańczowy, tak delikatny, jakby malarzowi żal było zużywać farby. Placówka zajmowała niemal połowę piętra wieżowca na jednym z nowych osiedli na warszawskiej Woli. Na krzesłach w poczekalni, przeglądając kolorowe magazyny, siedziały kobiety w różnych stadiach ciąży. Te z brzuchami wielkimi niczym arbuzy wyglądały, jakby zaraz miały pęknąć, inne miały mniejsze, ledwie wystające, tak że człowiek na ich widok w autobusie czy tramwaju nie wiedziałby, czy powinien ustąpić miejsca. Często towarzyszyli im mężczyźni, w większości znudzeni, zatopieni w komórkach. Jeden z nich założył sobie słuchawki na uszy i oglądał film. W tym towarzystwie wyróżniałem się ja i starsza kobieta o siwych włosach, w fioletowym swetrze i szarej spódnicy. Nosiła brązowy beret z małą antenką. Siedziała sztywno, wpatrzona w jakiś punkt przed sobą, niczym posąg albo dziwna instalacja artystyczna mająca przypominać tym wszystkim kobietom w ciąży, że czeka na nie starość, wiotka skóra i zmarszczki na twarzy.

Trafiłem tutaj, bo po raz kolejny zrobiłem coś, co powinienem był zrobić już dawno temu. Po powrocie do domu uruchomiłem komputer i ponownie sprawdziłem konto bankowe Janiny. Tym razem cofnąłem się aż do grudnia. Miesiąca, w którym została zgwałcona. Miesiąca, w którym doszło do zapłodnienia.

Wojnar twierdzi, że przyjechała do niego na weekend pomiędzy świętami a sylwestrem. W sobotę musiał pojechać na spektakl. Kiedy wrócił w niedzielę, już jej nie zastał. Pamiętałem ten wyjazd z dwóch powodów. Po pierwsze, wtedy przedostatni raz zostawiła nas na dwa dni. Po drugie, nie pokłóciliśmy się. Chociaż powinniśmy. Ja wtedy pojechałem pociągiem do Bielska po dziewczynki. Wracaliśmy w niedzielę. Opowiadałem im, że

mama na nie czeka, bardzo się cieszyły, że ją wreszcie zobaczą, ale nasze mieszkanie było ciemne, chłodne i puste. Janina pojawiła się dopiero w poniedziałek po południu. Tłumaczyła, że musiała zostać, bo ostatni wywiad miała w poniedziałek rano. Wściekłem się, że nie uprzedziła mnie wcześniej, i przypomniałem, że jej praca nie jest aż tak ważna jak moja, skoro ona zarabia dużo mniej, a ciągle wisi nad nami cholerny kredyt. Mieliśmy w tym momencie pełen zestaw, na stole leżał każdy element naszych dotychczasowych kłótni, każdy punkt zapalny. Ale ona tylko mnie przeprosiła. Powiedziała, że straciła poczucie czasu. Przyznała, że raczej nie będzie już wyjeżdżać na plany zdjęciowe i konferencje, bo redakcja zmieniła wobec niej plany. A potem, chociaż we mnie ciągle się kotłowało, po prostu sobie poszła. Zajęła się dziećmi, obiadem, domem, nie pamiętam dobrze. W każdym razie zostałem sam, a trudno kłócić się w pojedynkę.

Wyjechała od Wojnara w sobotę wieczorem lub w niedzielę rano. Do domu wróciła w poniedziałek po południu. Gdzie była w międzyczasie? Odpowiedź znalazłem na jej koncie bankowym. W poniedziałek rano zapłaciła za dwie doby pobytu w hotelu w Warszawie. Wyguglałem go – tani, dwugwiazdkowy, niedaleko lotniska. Zapewne mieli tam taki przerób, że nikt nie zapamiętał mojej żony. We wtorek dokonała kolejnej transakcji, zapłaciła za wizytę u ginekologa. Właśnie w tej przychodni.

– Kolejną osobę proszę! – zawołała pielęgniarka.

Podniosłem się z fotela i ruszyłem w stronę gabinetu, z którego właśnie wychodziło młode małżeństwo. Ona wyglądała na niewyspaną i zmęczoną, on niósł małe dziecko w foteliku samochodowym.

– Pan sam? – zapytała zaskoczona pielęgniarka.

– Żona zaraz przyjdzie – powiedziałem i wszedłem do gabinetu, zanim zdążyła zadać kolejne pytanie.

Pomieszczenie było mniejsze, niż się spodziewałem. Mieścił się tam fotel ginekologiczny, leżanka, aparat do USG i dwie szafki ze sprzętem medycznym. Lekarka siedziała przy niewielkim biurku i szybko pisała coś na komputerze. Miała koło pięćdziesiątki, brązowe włosy sięgające ramion i mocny makijaż. Kiedy skończyła, sięgnęła po leżący przed nią formularz.

– Pani Janina Tomska – przeczytała i zamarła na moment. Potem bardzo powoli odłożyła kartkę i przeniosła wzrok na mnie.

– Pan nie jest panią Janiną – spróbowała zażartować.

– Nie.

– Żona przyjdzie zaraz, tak?

Pokręciłem przecząco głową.

– Jest pan sam.

– Tak.

– To dość nietypowa sytuacja u ginekologa.

– Moja żona leczyła się u pani.

Złożyła dłonie w piramidkę. Jej paznokcie były pomalowane krwistoczerwonym lakierem.

– Chyba wiem, o co chodzi – powiedziała powoli. – Ale pan musi sobie zdawać sprawę, że obowiązuje mnie tajemnica lekarska. Nie mogę panu zdradzić niczego, co dotyczy zdrowia pani Janiny. W rzeczywistości, nie powinnam nawet panu potwierdzić, że pani Janina jest moją pacjentką. No ale tego już się pan sam jakoś dowiedział. Dlatego bardzo proszę, żeby pan opuścił mój gabinet. Inni pacjenci czekają.

Nie poruszyłem się.

– Bardzo pana proszę – dodała lekarka. – Nie chciałabym być zmuszona do wezwania ochrony.

Przez moment zastanawiałem się, o jakiej ochronie ona mówi. W recepcji siedziały dwie pielęgniarki, na dole, w portierni przy wejściu do budynku, jeden emeryt, co prawda w uniformie firmy ochroniarskiej, ale jego aktywność sprowadzała się do naciskania przycisku domofonu.

– Proszę pana...

– Moja żona nie żyje – odezwałem się w końcu. – Popełniła samobójstwo.

Zaskakujące, z jakim trudem po tym wszystkim, co ostatnio przeżyłem, przyszło mi wypowiedzenie tych słów. Zupełnie jakbym musiał wypluć stos

kamieni o ostrych krawędziach.

Lekarka siedziała ciągle w tej samej pozycji. Nie odezwała się, nie zareagowała w żaden sposób, tak że początkowo wydawało mi się, że nie usłyszała. Co niemal doprowadziło mnie do rozpacz, bo nie byłem pewien, czy znajdę w sobie dość siły, żeby powtórzyć swoje słowa. Ale wreszcie wstała od biurka.

– Bardzo mi przykro – powiedziała. – Naprawdę, bardzo mi przykro.

– Chciałbym zadać kilka pytań.

– Nie będę mogła na nie odpowiedzieć.

Otworzyłem trzymaną w dłoniach teczkę i wyjąłem z niej dokument. Podsunąłem go lekarce.

– Co to jest?

– Akt zgonu mojej żony. Gdyby pani miała jakiegokolwiek wątpliwości.

Lekko się uśmiechnęła.

– Nie mam żadnych. Chociaż dobrze, że pan go przyniósł. Czasami zdarzają się takie historie. Nie tutaj, w innej przychodni, chłopak pacjentki groził mi nożem. Chciał wiedzieć, czy dziewczyna go zdradza. To oczywiście skrajność. Ale tego kitu, który starają się wcisnąć mi mężczyźni, żeby wydobyć informacje o swoich kobietach, nie da się opisać. Pana to jednak nie dotyczy. Kiedy tylko na pana spojrzałam, wiedziałam, że mówi pan prawdę... – Urwała na moment. – Ale to też jest bez znaczenia, proszę pana. Tajemnica lekarska obowiązuje mnie także po śmierci pacjenta. Nie mogę panu pomóc.

– Moja żona została zgwałcona, prawda? – powiedziałem.

I znowu to uczucie, ten wstyd. Ogromny i przerażający. Jak wielki czarny potwór, który potrafi obezwładnić samym spojrzeniem. I ból. Bo to bolało. Od kiedy Wojnar mi powiedział, cały czas bolało.

Lekarka wpatrywała się we mnie dłuższą chwilę, jakbym był bardzo ciekawym, dziwnym medycznym przypadkiem. Potem podeszła do drzwi, otworzyła je, wyjrzała na zewnątrz, po czym wróciła do środka i przekręciła zamek.

– Czasami lepiej nie wiedzieć – stwierdziła, siadając za biurkiem. –
Zdaje pan sobie z tego sprawę?

– Tak.

– I jest pan pewien?

– Tak.

– Dobrze.

Zaczęła coś klikać w komputerze. Długo wpatrywała się w ekran, zanim odwróciła się w moją stronę.

– To niech pan pyta.

– Została zgwałcona?

– Tak mi powiedziała. I badanie to potwierdziło. Otarcia pochwy, siniaki na ciele. Czasami gwałt nie zostawia żadnych śladów, ale nie tym razem.

– Powiedziała pani coś więcej? Kiedy to się stało? Jak do tego doszło?

– Nie.

– Pytała pani?

– Nie.

– Dlaczego?

– A dlaczego bym miała?

Nie potrafiłem odpowiedzieć na to pytanie. Lekarka raz jeszcze spojrzała na ekran, a potem zamknęła komputer.

– Został pan kiedyś zgwałcony? – zapytała.

– Co? Nie.

– A bał się pan kiedyś, że zostanie zgwałcony?

– Słucham?

– Czy kiedykolwiek bał się pan, że zostanie zgwałcony?

– Nie. Ale nie rozumiem...

– Bo dla kobiet to dość naturalny element życia. Pewien standard. Nie twierdzę, że non stop, każdego dnia oglądamy się trwożliwie, czy ktoś nas zgwałci. Nie. Ale za każdym razem, kiedy nocą wracamy do domu, pojawia

się ta myśl, chociaż na chwilę: czy ktoś spróbuje mnie zgwałcić? Albo kiedy wychodzimy do klubu: czy tym razem nikt mi nie poda tabletki gwałtu? Albo na imprezie firmowej – czy żadnemu z moich kolegów, których przecież znam i lubię, po wódce nie odbije? Mogłabym to ciągnąć i ciągnąć.

– Po co mi to pani mówi?

– Żeby panu uświadomić, że pan tego nigdy nie zrozumie. Coś, co dla nas jest jednym z największych koszmarów, czego obawiamy się niemal każdego dnia i w każdej sytuacji, dla pana nie istnieje. Nie ma tego. A w przypadku pańskiej żony ten koszmar się ziścił. Dlatego powiedziała mi tylko to, co chciała powiedzieć. Nie jestem ani psychiatrą, ani psychologiem. Nie naciskałam, nie pytałam. Dałam jej namiar na terapeutę, który pomaga ofiarom, ale nie wiem, czy się z nim skontaktowała.

Na wyciągu z jej konta nie było żadnych informacji o płatnościach w gabinecie psychologicznym. Mogła co prawda płacić gotówką, jednak jakoś w to wątpiłem. Nie ukrywała rachunków za hotele, dlaczego miałyby ukrywać terapeutę?

– Policja?

– Pana żona była dorosłą osobą. Jeśli chciała zgłosić przestępstwo, to je zgłosiła. Nie widziałam powodów, żeby ją do tego namawiać.

– To po co do pani przyszła?

– Poprosiła o receptę na tabletkę dzień po.

– Dała ją pani?

Skinęła głową.

– Ale przyszła za późno – dodała po chwili. – Minęło ponad sześćdziesiąt godzin od stosunku, a ich skuteczność jest najwyższa dobie po.

– Powiedziała jej o tym pani?

– Oczywiście. Powiedziałam też, że prawdopodobieństwo zapłodnienia jest znikome. Ale gdyby coś się wydarzyło, to żeby przyszła do mnie raz jeszcze.

– I przyszła do pani?

– Pan zna odpowiedź na to pytanie.

– Wiem, że była w ciąży. Trzeci miesiąc.

– Przyszła do mnie na wizytę. Nie wiedziała, co ma zrobić, jak postąpić. Dałam jej numer do mojego kolegi, który... pomaga w takich sytuacjach. Prywatnie, jeśli wie pan, co mam na myśli.

– Tak.

– Nie mam jednak pojęcia, czy go odwiedziła. Wolę nie wiedzieć takich rzeczy.

– Aborcja w przypadku gwałtu jest legalna.

– Trzeba najpierw zgłosić przestępstwo.

Miała rację. A do mnie powoli zaczęło docierać, w jakiej matni znalazła się Janina. Nie mogła zgłosić gwałtu. Nie tylko dlatego, że się wstydziła, bała, ale też dlatego, że gdyby to zrobiła, ja dowiedziałbym się o jej wyprawie na Mazury do Wojnara. Została z tym wszystkim sama.

– Dziękuję pani za pomoc – powiedziałem i schowałem akt zgonu do teczki.

– Pan wygląda na dobrego człowieka – rzuciła lekarka, kiedy już zbierałem się do wyjścia. – I dobrego męża. I pewnie dlatego dręczy pana jedna kwestia, prawda?

– Jaka?

– Dlaczego niczego pan nie zauważył? Dlaczego niczego się pan nie domyślił? Mam rację? – Zawiesiła głos na moment, ale nie czekała na odpowiedź. – Musi pan wiedzieć, że my, kobiety, jesteśmy dobre w ukrywaniu takich rzeczy. Piekielnie dobre. Przeróżająco dobre.

– To pani podpowiada doświadczenie lekarskie?

– Życiowe, proszę pana – odparła i uśmiechnęła się gorzko.

Zacisnąłem dłoń na uchwycie teczki. Poczułem pod palcami wytartą skórę, gładką, odrobinę lepłą.

– W jednym się pani pomyliła – odezwałem się. – Może i jestem dobrym człowiekiem, ale na pewno nie byłem dobrym mężem. Żeby to ukryć,

Janina nie musiała się nawet specjalnie starać.

– Przynajmniej ma pan odwagę to przyznać.

– Trochę za późno, nie uważa pani?

Lekarka pokiwała głową.

– Dla niej? Na pewno.

Reżyser miał trzydzieści lat, dziurę w uchu i niewielkie doświadczenie. To był zaledwie trzeci audiobook, który robił, ale nawet on sobie zdawał sprawę, że idzie bardzo źle. Co chwila się krzywił, kręcił z niesmakiem głową, drapał po nosie i coś mamrotał. Potem zerkał na realizatora, a ten reagował dokładnie tak samo. Alina stała za nimi i wszystko widziała. Natomiast po drugiej stronie szyby, w studiu o ścianach wyłożonych ciemną gąbką, siedział Kamil Wojnar i do zawieszonych tuż przy jego twarzy mikrofonów beznamiętnie deklamował tekst trzymanej w dłoniach książki.

Reżyser zdjął słuchawki i podjechał na krześle do Aliny.

– Posłuchaj – powiedział, patrząc na nią z dołu. Zastanawiała się, czy nie wstał z lenistwa czy z jakiegoś innego powodu. – To jest chujnia. Totalna. On tego nawet nie czyta. On to... Nie wiem, wykłada?

Alina wiedziała, że jako agentka Wojnara powinna go teraz bronić. Ale nie wiedziała jak. No i też niespecjalnie miała ochotę. Lubiła aktora i właściwie tylko dlatego ciągle z nim współpracowała. Był najbardziej kłopotliwy z jej klientów i czasami wydawało się, że robi wszystko, byleby tylko nie zarabiać pieniędzy.

– Po raz pierwszy nagrywa audiobooka – odparła. – Daj mu się rozkręcić.

– Ale tutaj nie ma niczego do rozkręcania! Ty go słyszysz? To jest zupełnie płaskie! Zero intonacji, zero interpunkcji, jedno wielkie nic! Nic tam nie ma! Facet z metra przeczytał nazwy stacji z większym uczuciem! Stacja Pole Mokotowskie! Stacja Ratusz Arsenał! Jakby twój facet to czytał, ludzie pozasypialiby w tych wagonach. Albo gorzej!

Podeszła do konsoly, udając, że przygląda się świecącym tam przyciskom, by nie przyznać reżyserowi racji. Wojnar był bardzo dobrym

aktorem, być może nawet jednym z najlepszych w tej chwili w Polsce. Lepiej co prawda radził sobie w teatrze niż w filmie, gdyby jednak tylko chciał, mógłby zrobić karierę jak Szyca, Dorociński lub nawet Kot. Ale niespecjalnie się starał. Jakby sukces sprzed prawie dwudziestu lat w zupełności mu wystarczył. A teraz zawałał zwykłe nagranie audiobooka.

– Pogadam z nim – zapewniła Alina. – Poproszę go, żeby się sprężył, okej?

– Okej – powiedział reżyser. – Bo wiesz, jeśli dalej tak ma być, to poproszę kogoś innego o przeczytanie tej książki, jasne?

Zirykowała ją ta groźba. Reżyser wygłosił ją takim tonem, jakby czytanie audiobooka oznaczało nie wiadomo jak lukratywne i prestiżowe zajęcie. Alina wytargowała od producenta piętnaście tysięcy. I ona, i Wojnar mogli sobie spokojnie pozwolić na stratę tych pieniędzy, jednak wolałyby tego nie robić. Bo nie chodziło tylko o kasę, ale o reputację. Takie historie zawsze źle wyglądały i prędzej czy później wracały. Ludzie zaczną się zastanawiać, czy jeśli teraz Wojnar dał ciała, to powtórzy ten numer przy innych projektach. A jeśli coś takiego robi jeden jej klient, to co z innymi? Nie chciała, żeby ktokolwiek zadawał sobie takie pytania.

Reżyser wrócił do konsoly. Dał znak realizatorowi, żeby wyłączył nagrywanie, i nacisnął jeden z przycisków przed sobą.

– Kamil, robimy dziesięć minut przerwy, okej?

Wojnar przerwał czytanie i rzucił książkę na blat stołu. Ściągnął słuchawki z uszu, poprawił włosy i wyszedł ze studia.

Alina czekała już na niego w korytarzu.

– Kawa? – zapytała.

– Może być kawa – mruknął.

Poprowadziła go do kuchni. Szczęśliwie nikogo innego w niej nie było. Nie chciała odbywać tej rozmowy przy ludziach.

Wyjęła z szafki dwie filiżanki. Obie białe i mocno sfatygowane, z czarnymi smugami osadu na brzegach, z którymi zmywarka nie dawała już sobie rady. Zaniósła je do ekspresu, nacisnęła przyciski i poczekała, aż

maszyna, bucząc i prychnając, przygotowuje im dwa podwójne espresso. Wojnar tymczasem opierał się z założonymi rękami o kuchenną szafkę i przyglądał się czubkom swoich butów.

Kiedy Alina podała mu kawę, nawet nie podziękował. Ugryzła się w język, żeby tego nie skomentować. Przypomniała sama sobie, że jest tutaj po to, by zarabiać dla niego pieniądze, a nie po to, by uczyć go dobrych manier.

– Dobrze się czujesz? – zapytała.

– Dobrze – burknął. – Dlaczego pytasz?

– Bo mamy problem z twoim czytaniem i myślałam, że może to kwestia złego samopoczucia.

Zmarszczył brwi nad filiżanką.

– Mamy? Problem? Z moim czytaniem? – odezwał się, a Alina dostrzegła w jego oczach rosnące z sekundy na sekundę rozdrażnienie.

– Nie wkurzaj się, proszę – powiedziała łagodnie. – Przecież nie jesteś pierwszym lepszym ziutkiem z ulicy i wiesz, jak to powinno być zrobione. Znasz się na swojej robocie. I sam słyszysz, że nie jest dobrze.

Przez moment zastanawiała się, czy powtórzyć zarzuty reżysera, ale zrezygnowała. Nauczyła się, że artyści to kapryśne i delikatne zwierzątka, najlepiej zwracać się do nich jak do dzieci. Pozwolić, żeby sami doszli do odpowiednich wniosków.

– Daliście mi chujową książkę do czytania i dziwicie się, że chujowo ją czytam?! – wybuchnął. – Kurwa! Przecież tam jest bzdura na bzdurze, nic nie trzyma się kupy, psychologia postaci nie istnieje, a autor używa chyba ze trzech słów na krzyż i żadne nie ma więcej niż cztery sylaby!

– Ludziom to się podoba.

– Ludzie to cymbały!

– Ale chcą tego słuchać – powiedziała stanowczo. – A ty zgodziłeś się to dobrze przeczytać, więc zamiast się obrażać na cały świat, zacznij choć odrobinę przykładać się do swojej pracy. Nie mówię, że masz z tego zrobić

arcydzieło, bo fakt, ta książka jest chujowa, ale trzymaj poziom. Tylko o to proszę. O nic więcej.

Wojnar zaciskał mocno szczęki, nozdrza lekko mu drgały. Walczył ze sobą, żeby nie wybuchnąć. Przełknął kawę, a potem odstawił filiżankę na blat stołu.

– Co jest niby nie tak? – zapytał.

– Kamil, proszę cię.

– Nie. Chcę usłyszeć, co robię źle. Jeśli mówisz mi, że źle czytam, to okej. Ale czekam na wskazówki, żebyś mi powiedziała, jak mam czytać dobrze. Bo najwyraźniej przez pięć lat szkoły aktorskiej mnie tego nie nauczyli...

– Kamil, proszę...

– Nie! Nie! Żadnego „proszę”! Pracowałem z Klatą i Englertem. Ani jeden, ani drugi, ani Glińska, Strzępka czy cholerny Holoubek nie zorientowali się, że nie jestem w stanie poprawnie przeczytać tekstu z kartki! Więc bardzo cię, kurwa, proszę, żebyś wytłumaczyła mi, jak mam to zrobić!

Alina pomyślała, że coś jest bardzo nie tak. Z Wojnarem nigdy nie było łatwo. Zawsze miała kłopot, żeby wyrwać go z tej jego mazurskiej samotni, szczególnie jeśli sprawa dotyczyła projektów czysto komercyjnych. Ale kiedy już brał się do pracy, stawał się wzorem profesjonalisty. Przykładał się, przygotowywał, spokojnie wysłuchiwał wskazówek od każdego, kto miał mu coś do powiedzenia. W jednym z filmów – to była akurat lekka komedia romantyczna i Alina uważała za swoje szczytowe osiągnięcie, że namówiła go do tego, by w niej wystąpił – grał nauczyciela. Na planie uciął sobie godzinną pogawędkę na temat swojej roli z oświetlaczem, gdyż ten – tak się złożyło – wcześniej wykładał matkę w jednym z warszawskich liceów i uważał, że może się podzielić swoim doświadczeniem. Wojnar bez problemu wysłuchał wtedy porad faceta odpowiedzialnego jedynie za rozwieszanie lampek na planie, a teraz wścieka się na mnie, pomyślała Alina. Nie rozumiała tego. Człowiek, który przed nią stał, nie był tym samym aktorem, którego znała tyle lat.

– Reżyser uważa, że czytasz płasko, monotonie.

– Reżyser?! – zawołał z przesadnym zdziwieniem Wojnar. – Reżyser?! Wajda był reżyserem! Kolski to reżyser! Machulski to reżyser! Palkowski to reżyser! Nawet pierdolony Vega to reżyser! A ten gnojek kim jest?! Co on, kurwa, w życiu zrobił?! Jakie ma osiągnięcia?! Czym się może pochwalić?! Kolczykiem na kutasie co najwyżej!

– Kamil, proszę, uspokój się! Nie będę z tobą tak rozmawiać!

– Nie będziesz, bo ja to pierdolę! Rozumiesz?!

– Co to znaczy?

W tym momencie rozległ się dźwięk telefonu. Wojnar sięgnął do kieszeni i zastygł na moment, kiedy spojrzał na wyświetlacz.

– To znaczy – powiedział trochę ciszej, spokojniejszym już tonem – że pierdolę tę książkę i pierdolę tę robotę!

Potem nacisnął zieloną słuchawkę, przyłożył aparat do ucha i energicznym krokiem wyszedł z kuchni.

Alina została. Nie miała już ochoty na kawę, ale jeszcze bardziej nie chciała się ponownie spotkać z Wojnarem. Poczekała kilka minut, po czym wyszła na papierosa. Wypaliła go szybciej niż zwykle. Ręce jej drżały. Nie potrafiła sama przed sobą przyznać, jak bardzo jest zdenerwowana.

Wróciła do studia i zajrzała do realizatorki. Reżyser siedział z nosem w komórce, a realizator leniwie jadł kanapkę. Studio było puste.

– I co? Pogadałaś z nim? – zapytał reżyser, który najwyraźniej miał cudownie rozwinięte widzenie peryferyjne, bo wciąż wpatrywał się w ekran telefonu.

– Tak.

– Będzie dobrze?

– Będzie dobrze – skłamała, siłąc się na to, żeby jej głos zabrzmiał pewnie i spokojnie. – Kamil zaraz przyjdzie.

Wyszła z reżyserki. Nie znalazła go ani w kuchni, ani w żadnym z korytarzy. Na parkingu ciągle stało jego volvo. Zadzwoiła do aktora, ten jednak nie odbierał.

– Do diabła, Wojnar – powiedziała sama do siebie.

Pomyślała, że jeśli nie ma go w budynku, a jego auto wciąż jest na miejscu, to on sam też znajduje się gdzieś w pobliżu. Zaczęła go szukać w okolicy. Zajrzała do każdej kawiarni w pobliżu i każdego sklepu, sprawdziła każdy skwer. Co chwila wybierała jego numer, ale ciągle z tym samym rezultatem.

Wracając do studia, zastanawiała się, jakich wymówek użyje, żeby uratować to zlecenie i wytłumaczyć nieobecność Wojnara, oraz jakich argumentów, by zmusić go do powrotu do pracy. Mniej więcej w połowie drogi pomyślała jednak, że to nie ma sensu. Lubiała tego faceta. Naprawdę go lubiała. Z tej sympatii kilka razy poszła z nim nawet do łóżka i musiała przyznać, że było wtedy lepiej niż dobrze. Bez fajerwerków, ale lepiej. I być może to wszystko sprawiło, że straciła trochę ostrość widzenia. Miała innych klientów. Takich, którzy sprawiali jej mniej kłopotów i na których zarabiała więcej. To na nich powinna się skupić. Przeprosi firmę od audiobooków za kłopot, przyzna, że to pomyłka, i znajdzie im kogoś zamiast niego, by pokazać, że potrafi rozwiązywać problemy. A potem podziękuje Wojnarowi za współpracę. Przemyślała jeszcze tę decyzję, paląc kolejnego papierosa, i uznała, że jest słuszna.

Kiedy weszła do realizatorki, ujrzała reżysera siedzącego na swoim krześle. Lekko się garbił, na głowie miał słuchawki i uważnie patrzył na znajdującego się po drugiej stronie szyby Wojnara. Aktor wpatrywał się intensywnie w tekst, słuchawki zarzucił sobie na szyję i czytał.

Alina cicho podeszła do reżysera i delikatnie klepnęła go w ramię. Ten zerknął na nią i uśmiechnął się.

– Jak jest? – zapytała.

– Nie wiem, co mu powiedziałaś, ale jest zajebiście – odparł reżyser. – Nawet zaczął postaciom głosy robić!

Tym razem spotkaliśmy się w parku Łazienkowskim. Wojnar miał gdzieś w pobliżu kawalerkę, ja natomiast i tak nie wiedziałem, co zrobić ze swoim dniem. Dziewczynki poszły do szkoły i przedszkola, więc byłem wolny.

Umówiliśmy się przy bramie od strony ulicy Gagarina. Przywitaliśmy się krótkim uściskiem dłoni. Przeszliśmy koło faceta, który sprzedawał balony z helem, i kobiety handlującej orzechami dla wiewiórek. Weszliśmy do parku, okrążyliśmy plac zabaw, a potem skręciliśmy w stronę ujeżdżalni dla koni.

Mijaliśmy kolejnych spacerowiczów, nie wymieniając nawet jednego słowa. Każdy z nas zdawał sobie sprawę, że to ostatni moment, by odwołać całą tę awanturę, że jeszcze możemy po prostu odwrócić się na pięcie i udawać, że nigdy się nie spotkaliśmy i o niczym nie wiemy. Rozważaliśmy w głowie wszystkie za i przeciw, badaliśmy ryzyko, snuliśmy scenariusze, co może pójść nie tak i jak to wszystko się skończy. Przede wszystkim jednak szukaliśmy odpowiedzi, czy naprawdę chcemy to zrobić.

Ułan zgwałcił moją żonę.

Ułan zabił moją żonę.

Dla mnie odpowiedź była jasna.

– To masz jakiś plan? – zapytałem, kiedy ujrzelśmy przez drzewa budynki stadniny.

– Nie do końca. Mam kilka pomysłów, ale nie zastanawiałem się jeszcze nad nimi. Tak w skrócie: trzeba go porwać, zabić i zakopać w lesie. A potem udawać, że o niczym nie wiemy.

– Brzmi prosto.

Podeszliśmy bliżej i oparliśmy się o płot. Wojnar wyjął papierosa. Zapalił. Podsunął mi paczkę, ale odmówiłem. Przez chwilę obserwowaliśmy dziewczynę, która samotnie robiła kółka na padoku. Brązowa klacz raz przyśpieszała, raz zwalniała. Czasami, jakby zirytowana monotonią ćwiczenia, podrzucała nerwowo łbem.

– A jeśli to jest proste? – zapytał Wojnar. – Jeśli za bardzo się nad tym zastanawiamy? Cała kultura, etyka, religia, wszystko to nas blokuje. W jądrze każdego z tych systemów jest jedna podstawowa zasada: nie zabijaj. Ale powiedz mi, czy potrzebowalibyśmy tych wszystkich zakazów, gdyby to było naprawdę takie trudne?

– Nie wiem – mruknąłem. – I chyba niespecjalnie mnie to interesuje. Albo inaczej: nigdy do końca nie radziłem sobie z takimi tematami. U nas w domu zajmowała się tym Janina. Ona lubiła dywagować, ja jestem od cyferek, konkretów.

– To porozmawiajmy o konkretach – zgodził się Wojnar.

– Założmy, że to zrobimy. Zabijemy go. Dlaczego nas nie złapią? Bo chyba o to nam chodzi, prawda? To nie ma być samobójcza misja?

– Nie.

– To dlaczego nas nie złapią?

– Nic nas z nim nie łączy. Nie mamy motywu.

– Zgwałcił Janinę.

– Ale prawie nikt o tym nie wie. Sprawa nie została zgłoszona na policję. No i najważniejsze: nikt nie wie, że chodzi o twoją żonę, a moją...

– ...kochankę – dokończyłem, kiedy się zawahał. – Na tym etapie możemy sobie darować owijanie w bawełnę, dobrze?

Skinął głową.

– Parę osób wie tylko, że prawdopodobnie zgwałcił kobietę o imieniu Nina. I tyle. W żaden sposób nie łączy się to z nami.

– A sprawa na parkingu? Pobijeś się z nim. Ja też tam byłem.

– Myślałem o tym – przyznał. – To nic nie znaczy. To wydarzenie ważne dla ciebie, ważne dla mnie, ale dla niego dzień jak co dzień. Jakiemuś

chłopakowi na dyskotecie rozbił butelkę na głowie, spalił dom studentom, bo ci wywalili go z domówki, ma konflikt z gangiem z Mrągowa, a poszło o narkotyki i pieniądze. Jest mnóstwo ludzi, którzy mają motyw, żeby go zabić. Jeśli w ogóle znajdziemy się na tej liście, to na bardzo, bardzo dalekim miejscu.

Dziewczyna przestała robić kółka. Ustawiła konia przed przeszkodami. Poprzeczkę zawieszono dość nisko. Obie, i klacz, i dziewczyna, wydawały się znudzone, kiedy ją pokonywały.

– Założmy, że tak właśnie będzie – powiedziałem ostrożnie. – Założmy, że nikt nas z tym nie połączy. Ale i tak... Mam dwójkę dzieci. Zostały już bez matki.

– Wycofujesz się? – zapytał, a mnie zdawało się, że przez sekundę usłyszałem w jego głosie coś jakby nadzieję.

– Nie, po prostu nie mogę iść do więzienia. Trzeba wszystko zaplanować, nie zostawić żadnego słabego punktu. Musimy być gotowi na każdą okoliczność.

– Zgadza się.

– To od czego zaczniemy?

– Alibi. Potrzebujesz alibi.

– Ty już jakieś masz?

– Chciałbym to zrobić w następny weekend.

– Dlaczego tak szybko?

– Mam wtedy spektakl w Warszawie.

– Czyli musisz być w stolicy? Nie na Mazurach?

– Zadzwoń, że jestem chory, i odwołam występ w ostatniej chwili. Powiem, że zostałem w Warszawie. Mój samochód będzie stał przed blokiem w widocznym miejscu. Może nawet zaparkuję go na kopercie, żeby dostać parę mandatów. Komórkę zostawię w mieszkaniu. Tobie radzę to samo.

– To jak się dostaniemy na Mazury? – zapytałem.

– Wynajętym samochodem.

– To mądry pomysł? Zostawisz ślady.

– Zapłacę z góry gotówką, a umowa... – Wzruszył ramionami. – Masz lepszy pomysł?

– Ja go wynajmę – powiedziałem po chwili.

Spojrzał na mnie zaskoczony.

– Ja go wynajmę – powtórzyłem, żeby upewnić się w podjętej decyzji. – Jeśli ktoś wpadnie na twój trop, to nigdy się nie wytłumaczysz, po co wynająłeś samochód, skoro przez weekend leżałeś chory w Warszawie i do tego twój całkiem sprawny wóz stał przed domem. Ale ja? Od czasu wypadku nie mam samochodu. Zawsze będę mógł ściemnić, że potrzebowalem do pracy, podwiezienia dzieci do szkoły czy czegoś takiego.

– Tak – mruknął. – To ma sens. Dzięki.

– Ale nawet bez tego twoje alibi jest dość słabe – dodałem. – Nie będzie nas dzień, może dwa. Jasne, niby jesteś chory, samochód stoi przed domem, a telefon loguje się do stacji bazowych w Warszawie, tylko że nikt cię nie widzi! Nikt nie potwierdzi, że naprawdę spędziłeś tutaj cały dzień.

Wojnar podrapał się po tyle głowy. W tym czasie dziewczyna na koniu raz jeszcze pokonała przeszkodę, a potem poklepała go po karku. Przyjrzałem jej się uważnie. Miała dziesięć, może dwanaście lat. Byłem zaskoczony, że nikt jej nie pilnuje.

– *Everybody knows you never go full retard...* – odezwał się po chwili.

– Co takiego?

– *Everybody knows you never go full retard* – powtórzył. – To cytat z jednego filmu.

– Jakiego?

– Takiej komedii. *Tropic Thunder*.

– Nie znam tego tytułu.

Wojnar skrzywił się lekko.

– W Polsce grali ją jako *Jaja w tropikach*.

– *Jaja w tropikach*? – Uśmiechnąłem się szeroko. – Serio?

– Tak – przyznał niechętnie. – Co cię tak bawi?

– Nie wyglądasz na kogoś, kto by oglądał *Jaja w tropikach*.

– To świetny film – zaprotestował. – Tam jest mnóstwo interesujących obserwacji na temat aktorstwa.

– W *Jajach w tropikach*?

– W *Jajach w tropikach*.

– Takich jak to, co powiedziałaś? Żeby nigdy nie robić z siebie pełnego debila? Tak to się tłumaczy?

– Opóźnionego umysłowo, ale nie o to teraz chodzi.

– A o co? – zapytałem.

Papieros żarzył się w jego dłoni. Wojnar nie zaciągał się, przyłożył go tylko do ust, które leciutko się poruszały, jakby intensywnie próbował coś sobie przypomnieć albo powtarzał jakąś kwestię.

– Nie lubię Marlona Brando – odezwał się wreszcie, jakby ogłaszał coś wstydliwego. – Nigdy nie kupowałem tego jego gówna. *Ojciec chrzestny*? Zajebisty film. Al Pacino jest tam absolutnie wybitny. Ale Brando? Postarzony, z tą sztuczną szczęką w gębie, powolnymi ruchami i tym „przychodzisz do mnie w dzień ślubu mojej córki i”... Albo *Czas apokalipsy* z jego głębokim wejściem w rolę, siedzeniem w półmroku, polewaniem sobie łysej czaszki wodą. Na cholerę to wszystko?! Dlaczego nie potrafił tego zagrać bez tego całego make-upu i w pełnym świetle? Albo Christian Bale w *American Hustle*. On zresztą do każdej roli musi schudnąć trzydzieści kilo albo trzydzieści kilo utyć. Inaczej jest, kurwa, chory. Ale w *American Hustle* – łysy i z nadwagą. Na cholerę! Przecież ja wiem, jak on naprawdę wygląda! To jest przystojny, dobrze zbudowany facet! Ale nie, jeśli nie zrobi z siebie kaleki, przygotowując się do roli, to nic, kurwa, nie zagra.

– Do czego zmierzasz?

– Że tak głębokie wejście w rolę, psychiczne i fizyczne, nie jest normalne. Kiedy wchodzisz w rolę tak głęboko, szkodzisz filmowi, sztuce.

Bo widz to czuje. Rozumiesz? To jest zbyt doskonałe. A jak coś jest zbyt doskonałe, to staje się niepokojące. A jak coś jest niepokojące, to nie możesz wygodnie rozsiąść się w fotelu i oglądać tego, co dzieje się na ekranie, tylko nieustannie zadajesz sobie pytanie, co się tutaj, do cholery, dzieje, dlaczego coś mi tu nie gra. Spójrz na Meryl Streep. Wybitna aktorka, wspaniała, może najlepsza z żyjących. Ale jak się ją ogląda, to widzisz, czujesz to, że ona zawsze trzyma dystans. Zostawia jakąś drobną niedoskonałość. Bo ona świetnie rozumie, że w tym niedoskonałym świecie to, co jest doskonałe, musi być sztuczne. Doskonałość to największe kłamstwo.

Zaciągnął się wreszcie papierosem. Długo trzymał dym w płucach, a potem wypuścił go przez nos.

– Okej. A co to ma wspólnego z nami? – zapytałem.

– To, że w naszym alibi, twoim i moim, nie wszystko musi się zgadzać. Bo jeśli przypadkiem, w co nie wierzę, policja się nami zainteresuje, to wiesz, kiedy naprawdę nabiorą podejrzeń?

– Nie.

– Kiedy nasze historie będą zbyt doskonałe, kiedy nie będzie w nich żadnych luk, a my będziemy mieć odpowiedzi na wszystkie pytania. Rozumiesz?

– Czyli luki są dobre?

– Tak! – wykrzyknął z entuzjazmem. – Wyobraź sobie, że jesteś śledczym, a ja ci opowiadam tę historię. Zaczynasz ją analizować. I okej, dochodzisz do takiego wniosku – facet niby był w Warszawie, niby jego samochód był na dworze, a komórka logowała się do tutejszych stacji bazowych, ale nikt go nie widział. Może faktycznie pojechał na Mazury i zabił tego chłopaka. A potem w twojej głowie powinna pojawić się jeszcze jedna wątpliwość...

– Jeśli naprawdę to zrobiłeś, jeśli to wszystko zaplanowałeś, to czemu nie wymyśliłeś sobie lepszego alibi? – domyśliłem się.

– Dokładnie. To jak z kawałem o niedźwiedziu. Nie musisz biec szybciej od niedźwiedzia, tylko od koleśia, który ucieka razem z tobą. Tutaj jest tak samo. Jeśli znajdziemy się na liście podejrzanych, to jeszcze nie jest tragedia. Ważne, żeby nie być na jej szczycie.

Niechętnie przyznałem, że to, co mówił Wojnar, miało sens. To, co planowaliśmy... W przypadku takiej rzeczy nie da się przewidzieć wszystkiego, zawsze jest pewne ryzyko. Ile byśmy się starali, jak bardzo planowali, jakie środki bezpieczeństwa podjęli – nie mogliśmy całkowicie go wyeliminować. Kiedy to zrozumiałem, sparaliżował mnie strach. Poczułem na swojej piersi straszny ciężar, jakby właśnie obsiadło mnie stado wron. Jeśli to zrobimy, jeśli nam się nie uda, pójdę do więzienia. Ile dostanę? Dziesięć, dwadzieścia lat? Nawet nie wiedziałem, jaka kara mi grozi. A moje dziewczynki zostaną same. Pragnienie zemsty było uczuciem skrajnie egoistycznym i nieodpowiedzialnym, jednak byłem pewien, że nigdy nie będę w stanie zaopiekować się moimi córeczkami, jeśli nie zamknę tej sprawy. Nie potrafiłem o niej zapomnieć, pogodzić się z myślą, że gdzieś tam wolny i spokojny chodzi człowiek, który zgwałcił i pchnął do samobójstwa moją żonę. To by mnie zżerało od środka jak rak, powoli niszczyło, a potem zaraziłbym tą chorobą, tym całym złem moje córki. Potrzebowałem czegoś, co byłoby zamknięciem tej historii. Potrzebowałem tej śmierci, żeby móc dalej żyć.

– Czyli moje alibi też nie musi być doskonałe? – zapytałem.

– Tak – odparł.

– A co z naszymi telefonami?

– Zostawimy je w Warszawie.

– Nie. Nie o to mi chodziło – powiedziałem. – Rozmawialiśmy ze sobą, dzwoniлиśmy do siebie, ludzie widzieli mnie z tobą na Mazurach, a kto wie, może ktoś nawet rozpozna Janinę.

– A! O to ci chodzi. Myślałem o tym.

– I?

– Nina robiła ze mną wywiad. Da się go znaleźć w necie. Jest pisarką. To też da się znaleźć. Uznałem ją więc za świetną osobę do napisania mojej biografii. Dlatego przyjeżdżała do mnie na Mazury. Robiliśmy wywiady do książki.

Chciałem rzucić jakiś kąśliwy komentarz, że przygotowywanie biografii nie wymaga tarzania się nago przed kominkiem, ale powstrzymałem się. To nie miało żadnego sensu.

– A spotkanie ze mną?

– Nina powiedziała mi, że jej mąż jest analitykiem giełdowym, bo kimś takim jesteś, prawda?

– Tak.

– Doradzałeś mi w kwestii finansów. Znamy się, rozmawialiśmy kilka razy. Nawet przyjechałeś do mnie na Mazury, żeby odpocząć przez kilka dni po ciężkim dla ciebie okresie. Ale to wszystko. Nie jesteśmy przyjaciółmi.

– To akurat prawda.

Dziewczyna jeszcze raz objechała padok dookoła, a potem zawróciła konia w stronę stajni. Obserwowałem ich przez chwilę, zanim zniknęli w ciemnym wnętrzu budynku. Potem odwróciłem się do Wojnara.

– W takim razie ten weekend? – zapytałem.

– Zdążysz załatwić sobie alibi?

– Tak.

– W takim razie ten weekend – potwierdził.

Podaliśmy sobie dłonie i rozeszliśmy się każdy w swoją stronę. Żaden z nas nie wspomniał o najważniejszym powodzie, dla którego musieliśmy zrobić to tak szybko, ale myślę, że obaj go znaleźliśmy.

Chodziło o to, żebyśmy nie mieli czasu się rozmyślić.

Wciąż chodził regularnie na basen. Ten na Inflanckiej, dość stary, skryty pod wielkim dmuchanym namiotem, za to olimpijskiej długości i tani, a teść był już na emeryturze, więc liczył każdy grosz w portfelu. Pamiętałem, że bywa tam w każdy czwartek, tylko nie wiedziałem o której, dlatego przyjechałem zaraz po spotkaniu z Wojnarem. Siedziałem na krześle w poczekalni, zerkałem na zegarek i miałem nadzieję, że jeszcze się z nim nie rozminąłem.

Pojawił się po pierwszej. Zauważyłem go, kiedy zbliżał się do drzwi w spranym dresie, kurtce i ze sportową torbą przerzuconą przez ramię. Powiem szczerze, że po prostu się przestraszyłem. Narzuciłem kaptur bluzy, opuściłem głowę i udawałem, że sprawdzam coś bardzo ważnego w komórce. Kiedy po kilku minutach odważyłem się podnieść wzrok, już zniknął. Czekałem kolejną godzinę, zanim skończy swój trening.

Wreszcie wyszedł. Siwe włosy lśniły, ciągle mokre od wody. Przystanął. Nasunął czapkę na głowę i szurając, ruszył przed siebie, wyraźnie zmęczony i znużony. Jakby zdał sobie sprawę, że wizyta na pływalni to jedyne pozytywne wydarzenie tego dnia. W połowie drogi do wyjścia zatrzymał się po raz kolejny, sięgnął do torby, żeby sprawdzić, czy czegoś nie zapomniał, i wtedy mnie zauważył. Przez chwilę patrzyliśmy na siebie i dostrzegłem rodzącą się w jego oczach wściekłość. Wyprostował się, odwrócił i wyszedł. Poderwałem się z krzesła. Wypadłem za nim na dwór.

Zdumiało mnie, że potrafi iść tak szybko. Stawiał coraz dłuższe kroki i wyrzucał przed siebie na przemian ręce, jakby był żołnierzem na defiladzie. Zacząłem biec, żeby za nim nadążyć. Wtedy nieoczekiwanie zatrzymał się, a kiedy go dogoniłem, odwrócił się błyskawicznie, chwycił mnie za bluzę, przyciągnął, a potem rzucił na maskę najbliższego samochodu. Stęknąłem, bardziej z zaskoczenia niż z bólu.

– Zostaw mnie! – warknął.

Ruszył dalej, kontynuując ten swój gniewny marsz.

– Chodzi o Janinę! – zawołałem.

Zwolnił, zwiesił głowę, jakby nad czymś się zastanawiał, a potem znowu przyśpieszył. Podbiegłem do niego, ale tym razem zachowałem bezpieczny dystans.

– Wiem, czemu popełniła samobójstwo!

Zachwiał się i oparł o pobliską latarnię. Torba zsunęła mu się z ramienia i upadła na chodnik. Nie wiedziałem, co się dzieje. Czy gorzej się poczuł? Stracił siły? A może zaraz znowu się na mnie rzuci i spróbuje uderzyć? Dopiero po chwili zorientowałem się, że on po prostu płacze.

– Dlaczego? – zapytał.

– Nie mogę ci powiedzieć.

Zaciśnięta pięść. Krok w moją stronę. Potem nagła rezygnacja. Jakby zabrakło mu sił.

– To po co mi o tym mówisz? – zapytał.

Nie wiem, co to sprawiło, promień słońca, które przebiło się przez chmury, chwila spokoju między nami, ale nagle dojrzałem to, co do tej pory mi uciekało. Szare kręgi pod jego oczami. Pogłębione zmarszczki, jakby wyżłobione bezlitośnie w twarzy przez żal i rozpacz. Szara szczecina na policzkach. Nagle wydał mi się mniejszy i słabszy, jakby postarzał się o milion lat.

– Potrzebuję pomocy – oznajmiłem.

– Pomocy? Ode mnie? Jakiej?

– Muszę gdzieś pojechać. Muszę coś zrobić. I chcę, żebyś powiedział, że byliśmy wtedy razem.

Błysk w jego oczach.

– Jadę z tobą! – rzucił gwałtownie, z pasją i nadzieją.

– Nie.

– Chodzi o moją córkę!

– A moją żonę!

Chwycił mnie za bluzę. Tym razem jednak nie wylądowałem na samochodzie. Teść uwiesił się na mnie całym ciężarem. Poczułem jego kwaśny oddech na policzku. I zrozumiałem jeszcze jedną rzecz – tak naprawdę męczyło go i odbierało mu wszystkie siły poczucie bezradności. Jego córka, jego jedyne dziecko zginęło, a on nie mógł już nic z tym zrobić. Nie było żadnej walki, którą mógłby podjąć. Kontaktował się z prawnikami, zastanawiał się nad tym, jak odebrać mi dzieci, nie dlatego, że mnie nienawidził – po prostu działał. Inaczej musiałby przyznać, że Janina odeszła. Na zawsze. Definitywnie i bez odwołania, podczas gdy on nie zrobił nic, żeby temu zapobiec. A teraz pojawiłem się przed nim i dawałem mu... Co właściwie? Nie nadzieję. Nie obietnicę spokoju. Właściwie coś zupełnie odwrotnego – mętną obietnicę wojny. Ale właśnie wojny teraz potrzebował.

Naprawdę zabolalo mnie to, że przyniosę mu tylko kolejne rozczarowanie.

– Błagam cię – wyszeptał, mocniej zaciskając dłonie na mojej bluzie.

– Nie mogę.

Puścił mnie. Dyszał ciężko, bardziej zmęczony niż po godzinie pływania.

– Co chcesz zrobić? – zapytał.

– Lepiej, żebyś nie wiedział.

– Ale powiesz mi potem?

– Raczej nie.

Pokręcił głową.

– Matki zawsze bardziej kochają swoje dzieci od ojców – zaczął ostrożnie, rozkręcając się z każdym kolejnym słowem. – Ale to my, ojcowie, nienawidzimy mężczyzn, którzy zabierają nam nasze córki. Ty jeszcze tego nie znasz, nie rozumiesz, wkrótce jednak dziewczynki dorosną i sam się przekonasz. Będziesz gardzić każdym chłopakiem, którego przyprowadzą do domu. Każdego będziesz podejrzewać o to, co najgorsze. I każdemu z nich będziesz życzyć, żeby sobie połamano nogi i przestał

przyłązić do twojego domu. Taka jest natura rzeczy. Kobietom przypadła miłość, nam nienawiść.

Przerwał na moment. Odetchnął i starł wierzchem dłoni kropelki śliny z ust.

– Nienawidziłem cię, bo odebrałeś mi to, co miałem najlepszego w życiu. Córkę. I patrz sobie tak teraz na mnie, bo nie rozumiesz. Dopiero kiedyś zrozumiesz ten żal i ból. Myślałem, że to najgorsze, co mnie w życiu spotka. Ale to, co właśnie robisz... To jest czyste okrucieństwo.

– Przepraszam.

Prychnął.

– To nic nie znaczy. Słowa nic nie znaczą. Nie teraz.

– Potrzebuję twojej pomocy.

– Dlaczego?

– Bo nie mam nikogo innego, do kogo mógłbym się zwrócić – przyznałem szczerze. – Poza tym wiem, że wynająłeś adwokata, by odebrać mi prawa rodzicielskie.

Spojrzał na mnie zaskoczony, ale nie zadał żadnych pytań.

– Inni też o tym wiedzą – dodałem. – I biorąc to wszystko pod uwagę...

– Mnie uwierzą – dokończył za mnie.

– Tak.

Dostrzegł ironię sytuacji. Konflikt między nami sprawił, że alibi od niego było najbardziej wiarygodne. Schylił się po leżącą u jego stóp torbę i z trudem zarzucił ją sobie na ramię, jakby w środku znajdowało się kilka kilogramów żelastwa.

– Jaką mam pewność, że zrobisz to, co trzeba? – zapytał.

– Nie masz.

– Ale zrobisz to, co trzeba?

– Tak.

– A jak powiem, że nie pozwolę ci na to, jeśli nie weźmiesz mnie ze sobą?

– Nie dasz rady.

– Myślisz, że mnie znasz?

– Myślę, że gdybyś dowiedział się wszystkiego, czego ja dowiedziałem się o Janinie, to pękłoby ci serce.

Otworzył usta, żeby mi odpowiedzieć, jednak zaraz je zamknął. Mijała nas właśnie grupka hałaśliwych dzieciaków, których pilnowała dwójka dość zdeorientowanych mężczyzn.

– Czego dokładnie ode mnie potrzebujesz? – zapytał teść, kiedy wszyscy weszli do budynku.

– Żebyśmy gdzieś wyjechali na weekend. Ty i ja. Niby żeby próbować się dogadać.

– Dogadamy się?

– To nie ma znaczenia i nie o to cię proszę.

Poprawił torbę, bo ta znowu zaczęła mu się zsuwać z ramienia.

– Jest takie miejsce nad Bugiem – powiedział z ociąganiem. – Za Wyszkowem. Znajomy ma domek. Jeździmy do niego wędkować. Ty i ja tam właśnie spędzimy ten weekend, próbując rozwiązać nasz spór.

– Będziesz musiał wziąć moją komórkę.

– Dobrze.

– Czy mama – jego obwisłe policzki zadrgały, jakbym uderzył go, wypowiadając to słowo – mogłaby się zająć przez ten czas dziewczynkami?

Potrząsnął przecząco głową.

– Kiepsko się trzyma. Bardzo kiepsko. Nie chcę, żeby dziewczynki widziały babcię w takim stanie. Nawet nie powinienem zostawiać jej na ten weekend...

– Kolejny powód, żebyś ze mną nie jechał. Ona cię potrzebuje.

Zaśmiał się.

– Cokolwiek chcesz zrobić, myślisz, że za składanie fałszywych zeznań dostanę niższy wyrok?

Przyznaję, że nie pomyślałem o tym do tej pory. Wydawało mi się chyba, że dawanie komuś fałszywego alibi to niewinny psikus, który się sprawia policji czy prokuraturze, a jak człowieka złapią, tylko rozkłada bezradnie ramiona i robi głupią minę. Lekko się zaczerwieniłem na myśl o własnej głupocie.

– Nie wiem. Nie sprawdzałem – przyznałem.

– A kto by się miał zająć dziećmi, gdyby... – Nie dokończył pytania, ale wiedziałem, o co mu chodzi.

– Myślałem o was.

Podniósł wysoko brwi.

– Moi rodzice mieszkają w Bielsku. Dziewczynki nikogo tam nie znają, nie mają żadnych kolegów, koleżanek. Poza tym oznaczałoby to zmianę szkoły – zacząłem tłumaczyć. – Tylko jeśli coś pójdzie nie tak, to ciebie też posadzą, prawda?

– Pewnie tak. I to jest kolejny argument za tym, żebym pojechał z tobą. Jeśli i tak mam siedzieć, to za coś konkretnego, a nie za kilka kłamstw.

– Nie – powiedziałem stanowczo. – Ktoś musi zająć się dziewczynkami.

– To mamy problem.

– Chyba że... – Przerwałem na moment. Próbowałem sobie przypomnieć, jak wygląda mapa Polski, umiejscowiłem na niej Wyszków, potem dokonałem kilku obliczeń. – Chyba że źle się poczułeś i szybciej poszedłeś spać. Albo źle się czułeś przez cały wyjazd.

– I tak naprawdę nie wiedziałem, ile ze mną byłeś?

– Mogłem zniknąć nawet na cały dzień, a ty byś się nie zorientował.

Zaśmiał się chrapliwie.

– Chujowe to alibi.

– I dlatego jest doskonale – powiedziałem. – Gdyby nie miało żadnych luk, zaczęliby podejrzewać, że coś jest nie tak.

Nie wiem, czy go przekonałem, ale zgodził się. Umówiliśmy się nazajutrz, żebym mógł mu przekazać telefon komórkowy.

Jeszcze tego samego dnia zadzwoniłem do Renaty. Poprosiłem ją, żeby zajęła się dziećmi przez weekend. Nie była zachwycona.

– Proszę cię. Nie mam z kim ich zostawić.

– A dlaczego właściwie musisz je zostawić? – zapytała.

– Wyjeżdżam z teściem.

– Na cały weekend?

– Tak. Spróbujemy zakopać wojenny topór. On... On uważa, że to ja jestem winny śmierci Janiny, rozumiesz? Chce mi odebrać dziewczynki. Jeśli się nie dogadamy... Chcę się z nim dogadać, dziewczynki nie powinny widzieć, jak ze sobą walczymy. Nie teraz, zaraz po śmierci mamy.

Słyszałem tylko jej oddech w słuchawce. Krótki, urywany, zmęczony.

– Dobrze. Przywieź je jutro – powiedziała i rozłączyła się, zanim zdążyłem jej podziękować.

W piątek spakowałem siebie i dzieciaki i wytłumaczyłem im, że muszę znowu wyjechać na kilka dni. Basia przyjęła to dość obojętnie. Iwonka się popłakała i kazała mi przysiąc, że na pewno, na sto, tysiąc i milion procent nic mi się nie stanie. Zrobiłem to, zdając sobie sprawę z tego, że ją okłamuję.

Później spędziłem blisko dwie godziny, zastanawiając się, jaki samochód mam wynająć. Wybrałem wreszcie opla astrę w wersji sedan, żeby się specjalnie nie wyróżniać. Wróciłem do domu, zrobiłem sobie coś do jedzenia i wtedy do moich drzwi zapukał kurier. Wręczył mi niewielką paczkę. W środku znalazłem pendrive'a wraz z krótkim listem od szefa Janiny. Skreślił go własną ręką. Pismo miało niewyraźne, kilka razy długo się zastanawiałem, zanim odczytałem dane słowo. Ale doceniłem gest. Tłumaczył, że na dysku znajdują się wszystkie osobiste materiały, jakie znaleźli na jej laptopie. Przejrzałem je. Było tam trochę zdjęć i kilka tekstowych plików. Jeden szczególnie ciekawy.

Wkrótce zrobiło się dość późno. Pojechałem na miejsce spotkania z teściem i oddałem mu telefon komórkowy, a on wrzucił go do swojego samochodu. Nie zamieniliśmy przy tym ani słowa. Odebrałem dziewczynki

ze szkoły i przedszkola. Pojechaliśmy do McDonalda na obiad, a potem odprowadziłem je do Renaty. Z nią też nie porozmawiałem. Poczekala, aż pożegnam się z dziewczynkami, popatrzyła na mnie ciężko i zamknęła mi drzwi przed nosem.

Trochę po piątej jechaliśmy już z Wojnarem na Mazury po to, żeby zabić Ułana.

ZABÓJSTWO

O dziwo, na drodze był niewielki ruch. Gładko pokonywaliśmy kolejne kilometry. Ja prowadziłem, Wojnar siedział z boku.

– Naprawdę powiedziała ci, że jestem tchórzem? – zapytałem, kiedy przejechaliśmy blisko sto kilometrów.

– Nie.

– A co mówiła?

– To, co już wiesz. Że narzekasz na pracę, że marzysz o awansie, ale nie chcesz zaryzykować, postawić się.

– To brzmi jak tchórz – stwierdziłem.

– To już twoje słowa.

– Co jeszcze o mnie mówiła?

Oparł głowę o zagłówek. Przymknął powieki.

– Szczerze mówiąc, i nie obraź się, nie rozmawialiśmy dużo na twój temat.

– Nie ciekawiło cię to?

– Co?

– Kim jest mąż kobiety, z którą masz romans?

– Niespecjalnie.

– Nawet to, dlaczego mnie z tobą zdradza?

– To akurat wiedziałem.

– Dlaczego?

– Bo była z tobą nieszczęśliwa.

– Powiedziała ci to?

– Gdyby była szczęśliwa, zdradzałaby cię?

Zacisnąłem zęby i przycisnąłem trochę pedał gazu. Prędkość skoczyła powyżej stu pięćdziesięciu kilometrów. Wojnar zerknął na prędkościomierz.

– Zwolnij – powiedział. – Nie możemy teraz dostać mandatu.

Puściłem pedał. Poczekalem, aż samochód sam zwolni do stu trzydziestu.

– Nie pomyślałeś, że może być inny powód?

– Jaki?

– Nie wiem! Może straciłem jaja w wypadku samochodowym?!

Popatrzył na mnie dziwnie, jednak nie skomentował mojego wybuchu, a ja tylko zacisnąłem zęby. Sam nie rozumiałem, dlaczego tak się wzburzyłem. Była ze mną nieszczęśliwa, już o tym wiedziałem, ale usłyszeć to od kogoś innego, szczególnie od Wojnara – to bolało. A moje tchórzostwo? Przez tyle lat walczyłem o ten cholerny awans, a wystarczyło tylko kilka ostrzejszych słów, żeby go dostać. Dlaczego wcześniej się na to nie zdobyłem? Co mnie hamowało? A Janinę? Nie chciała być dziennikarką, przynajmniej nie taką, jaką się stała. Marzyła o tym, żeby pisać na ważne tematy, tworzyć powieści, opowiadania, scenariusze, sztuki teatralne. Porzuciła te marzenia dla internetowych quizów i stałej pensji. Oboje pragnęliśmy być kimś innym, kimś lepszym. Obojgu nam się to nie udało. Tkwiliśmy na swoich stanowiskach. Trzymaliśmy się ich desperacko, niczym boi ratunkowej na rozszalałym morzu. Zupełnie jak nasi znajomi. Wszyscy w podobnej sytuacji, uwiązani pętlą kredytów, przygniecenii tonami zawodowych zobowiązań. Całe pokolenie ludzi, które żyje w przekonaniu, że bycie nieszczęśliwym to ich obowiązek.

Nie byliśmy jedyni.

– Może to z tobą jest coś nie tak – powiedziałem.

– Dlaczego?

– Odniosłeś sukces, ale się na niego wypiąłeś i wyjechałeś na Mazury. Jesteś wolny, przyznaję. Jednak co to za wolność, kiedy wszyscy inni tkwią w klatkach?

Parsknął śmiechem, a ja spojrzałem na niego zaskoczony, bo takiej reakcji się nie spodziewałem.

– Od kiedy zrobiłeś się taki poetycki?

– Wiesz, o co mi chodzi – mruknąłem.

– Wiem – przyznał.

– Naprawdę?

– Naprawdę – powiedział. – Spieprzyłeś swoje życie i teraz szukasz wymówek. Pewnie wreszcie jakąś znajdziesz. Ale zanim tak się stanie, powiem ci to, co już ci kiedyś mówiłem: Nina była jedną z najwspanialszych i najbardziej fascynujących kobiet, jakie w życiu spotkałem. I ona wybrała ciebie. Nie wiem dlaczego. Nie wiem jak. Ale wybrała ciebie. I ty to spieprzyłeś. Powiem ci to po raz kolejny: to tylko i wyłącznie twoja wina. Niczyja inna. Nie moja, nie jej, tylko twoja. Naucz się z tym żyć.

Potem demonstracyjnie założył ręce na piersiach, zapadł się w fotel i zamknął oczy. Udawał, że śni, albo naprawdę próbował zasnąć. Włączyłem więc radio i pogłośniłem, tak że muzyka tętniła w całym samochodzie. Drobną złośliwość, marna satysfakcja, a jednak sprawiła mi radość.

Kiedy dojeżdżaliśmy do Mrągowa, kazał mi skrócić na leśny parking.

– Podjedź na sam skraj. Najdalej, jak się da.

Zrobiłem to, zaparkowałem niemal przy samej ścianie lasu. Wojnar wyszedł z wozu i rozejrzał się dokładnie dookoła, upewniając się, że nikogo oprócz nas nie ma. Przyglądałem mu się zdziwiony. Sądziłem, że chce się tylko załatwić, ale on otworzył bagażnik, po czym podszedł do drzwi od strony kierowcy i dwa razy puknął w szybę.

– Chodź mi pomóc – powiedział.

Wysiadłem z wozu. W bagażniku znajdowała się duża czarna torba wypakowana po brzegi i srebrny kufer. Obie te rzeczy należały do aktora. Zauważyłem jeszcze zwoje liny, szmaty i chyba jakieś narzędzia. Wojnar wyjął z otwartej torby dwie tablice rejestracyjne. Wręczył mi jedną, sam wziął drugą.

– Zamontuj ją z przodu. Ja się zajmę tyłem.

Zerknąłem na nie. Warszawskie numery, których z niczym nie kojarzyłem.

– Skąd je masz? – zapytałem.

– Ukradłem.

– Chryste... A jeśli ktoś je sprawdzi w jakiejś bazie?

– Bazie czego? Kradzionych tablic?

– Na przykład.

– Naprawdę wolisz jeździć teraz samochodem z numerami wypożyczalni? Jeśli ktoś je spisze i potem sprawdzi, to policja raz-dwa trafi do ciebie.

– A jak policja teraz nas zatrzyma? Sprawdzą tablice, okaże się, że są kradzione, i co?

– I gówno. Wolisz mieć problemy z powodu kradzionych tablic czy siedzieć za morderstwo?

Po raz kolejny miał rację. To było w pewien sposób upokarzające, a na pewno wkurzające. Wyrwałem tablicę z jego ręki i poszedłem na przód pojazdu. Szybko zmieniłem rejestrację. Wojnar ze swoją mocował się trochę dłużej, ale w końcu też dał radę. Stare tablice wrzuciliśmy do bagażnika.

Później aktor otworzył srebrny kufer. Wnętrze podzielono na kilkanaście pudełeczek, w nich znajdowały się tubki, dużo pędzelków, kawałki czegoś, co przypominało gumę, puderniczki i kosmetyki, a także kępki włosów popakowanych w foliowe torebki. Wojnar zaczął wyjmować kolejne przedmioty.

– Co to? – zapytałem.

– Zestaw do charakteryzacji.

– Skąd go masz?

– Kupiłem.

– To nie wyda się podejrzane?

– Aktor kupujący zestaw do charakteryzacji? – Uśmiechnął się pod nosem. – Nie wydaje mi się.

Odwrócił się do mnie i przyjrzał mi się uważnie.

– Trzeba ci trochę zmienić wygląd – powiedział. – Na wszelki wypadek.

– Jak?

– Wystarczy kilka prostych rzeczy. Najpierw włosy. Z twoimi niewiele zrobimy, są krótkie, proste, mało charakterystyczne. Włożysz tylko czapkę i będzie dobrze. Potem oczy. Podobno świadkowie najbardziej je zapamiętują. Dlatego trzymaj. – Sięgnął do torby i wyjął z niej parę okularów. – Założ. To zerówki. Zmienimy ci też trochę kształt nosa i dodamy wąsy jako element charakterystyczny.

Po mniej więcej pół godzinie pracy musiałem przyznać, że efekt był całkiem niezły. Mój nos zmienił kształt dzięki przyklepionej przez Wojnara silikonowej wypukłości, włosów nie dało się dostrzec pod czarną czapką z daszkiem bez żadnego nadruku. Wąsy koloru blond wyglądały bardzo naturalnie. W półmroku, który zapanował na parkingu, nie dało się zauważyć, że zostały doklejone. Okulary natomiast, całkiem duże, rzucały się w oczy i nie wątpiłem, że każdy, kto mnie zobaczy, zwróci uwagę najpierw na nie.

Później Wojnar zajął się sobą. Wyjął sprej w srebrnej puszcze i popsikał sobie nim włosy, a te zmieniły barwę na zupełnie czarną. Dodał sobie niewielką kocią bródkę w tym samym kolorze, zielone soczewki do oczu, a w usta wsadził protezę, zmieniając owal twarzy. Kiedy skończył, dokładnie obejrzał się w lusterku. Chyba nie do końca chodziło mu o ten efekt, ale nie zrobił nic więcej. Schował zestaw do charakteryzacji.

– Jesteś gotowy? – zapytał, zamykając bagażnik.

Nie byłem. Bolał mnie żołądek, robiło mi się niedobrze i bałem się, że w każdej chwili mogę zwymiotować.

– Tak – odpowiedziałem.

Wsiedliśmy do samochodu i ruszyliśmy w dalszą drogę.

– Jaki jest plan? – zapytałem, kiedy dojechaliśmy do Starych Wilczych.

Zatrzymaliśmy się na parkingu Gospody pod Lipami. Wybrałem miejsce z dala od wejścia, tam gdzie samochód skrywał się w cieniu rosnącego nieopodal drzewa, dzięki temu nikt, kto wchodził i wychodził z budynku, nie mógł nas zauważyć. Za to my widzieliśmy każdego.

Wojnar siedział obok ze spuszczoną głową. Ledwo dostrzegałem zarys jego twarzy. Przybrał obły, groźny kształt.

– Poczekamy, aż wyjdzie – oznajmił chrapliwym, nieprzyjemnym głosem. Brzmiał tak, jakby ktoś go ścisnął za gardło. – Złapiemy go, wrzucimy do wozu i wywieziemy do lasu.

– Będzie się bronił.

– Będzie pijany. Damy radę.

Zachowywał się zbyt pewnie – wiedziałem, że musiał kłamać. *You never go full retarded*, sam mi to powiedział w Łazienkach. Jeśli planujesz kogoś zabić i nie wahasz się nawet przez sekundę, to albo jesteś psychopatą, a Wojnar nim nie był, albo zżerają cię wątpliwości.

Z perspektywy czasu nie wiem, dlaczego wtedy po prostu nie odjechałem. Mogłem to zrobić. Chciałem to zrobić. I jestem pewien, że Wojnar nawet by nie protestował. Ale to było tak, jakby złapały nas ruchome piaski. Cokolwiek byśmy zrobili, jakikolwiek ruch wykonali, jak bardzo próbowali uciec – piaski wciągały nas coraz głębiej.

– Skąd wiesz, że tam siedzi?

– Jest piątek wieczorem. Gdzie indziej miałby być?

– Gdziekolwiek.

– Widziałem na parkingu samochody jego kumpli.

– Czyli oni są. On niekoniecznie.

Przez minutę, może dłużej, tkwiliśmy w obezwładniającej ciszy, wpatrzeni w zajazd przed nami. Trzy osoby wyszły na zewnątrz, dwóch mężczyzn i kobieta. Ona miała blond włosy, kręcone, sięgające poniżej ramion, i duży dekolt, w który chciwie wpatrywali się jej towarzysze. Przeszła z nogi na nogę i śmiała się głośno. Mężczyźni też się śmiali, ale co pewien czas spoglądali jeden na drugiego, nieufnie, ze źle maskowaną wrogością, bo każdy z nich chciał wrócić dziś z blondynką do domu. A kiedy skończyli palić, rzucili się na wyścigi, żeby otworzyć jej drzwi.

– Trzeba sprawdzić... – powiedział Wojnar niepewnie.

– Co takiego?

– Czy jest w środku.

Odwrócił się w moją stronę i spojrzał na mnie znacząco.

– Ja mam iść? – zdziwiłem się.

– Ja tu mieszkam. Prędzej zwróć uwagę na mnie niż na ciebie. Po prostu tam wejdź, szybko sprawdź teren i wracaj.

Chciałem go w tym momencie zapytać, po co w takim razie ten cały cyrk z charakteryzacją. Po co farbował włosy, doczepiał sobie sztuczną brodę, a mi kazał nosić te durne okulary. Ale zrezygnowałem. Zamiast tego ruszyłem do gospody w nadziei, że Ułana tam nie znajdzie. A wtedy spędzimy resztę nocy na bezowocnych poszukiwaniach i wrócimy do Warszawy z niczym.

Kiedy tylko przekroczyłem próg i wpadłem w miękkie światło lamp, w barowy gwar dziesiątków głosów, poczułem strach. Miałem wrażenie, złudne oczywiście, że wszyscy się na mnie patrzą. Zapamiętuję każdy szczegół mojej twarzy, dziwią się, że nie zdejmuję czapki, z niedowierzaniem komentują sztuczne wąsy. Teatralny klej, którym je przyczepiono, wydał mi się nagle niewiarygodnie słaby i lepki. Zaczął się roztopiać i spływać wprost do moich ust. Spanikowany podniosłem dłoń i lekko docisnąłem wąsy, ale z ulgą przekonałem się, że tkwią mocno na miejscu.

Ułan siedział przy stoliku cztery, może pięć metrów ode mnie. Pił piwo w towarzystwie kolegów i głośno się śmiał. Odrzucał przy tym głowę do tyłu, otwierał szczękę tak szeroko, że na moment opanowała mnie ta niedorzeczna fantazja, żeby podbiec do niego, wsadzić mu rękę głęboko do ust, przełyku, aż do samego żołądka, i wyrwać serce.

Nienawiść to niesamowite uczucie. Czyste, palące, a jednak w dziwny sposób przyjemne.

Ktoś mnie potrącił, nie zauważyłem nawet kto. Nie zrobił tego specjalnie, on lub ona, po prostu przechodził obok, zahaczył ramieniem. Chyba nawet przeprosił, nie dosłyszałem. Pomyślałem, że niepotrzebnie zwracam na siebie uwagę, samotny facet stojący na środku sali. Chciałem się cofnąć, wyjść, ale uznałem, że to wyglądałoby jeszcze bardziej podejrzanie. Skręciłem więc w stronę ubikacji i schowałem się w jednej z kabin. Poczekalem tam kilka minut, siedząc na sedesie, oddychając głęboko i próbując się uspokoić. Zerwałem parę listków papieru toaletowego, otarłem sobie nimi czoło, wrzuciłem je do ubikacji i spuściłem wodę. Wyszedłem.

– Toaleta jest tylko dla klientów – odezwała się do mnie kelnerka, kiedy pojawiłem się w sali.

To nie była ta dziewczyna, którą Wojnar uratował tamtej nocy na parkingu. Nigdy wcześniej jej nie widziałem. Niosła trzy piwa i talerz z frytkami obficie polanymi ketchupem.

– Jestem klientem. Właśnie miałem zamówić.

– Aha.

– Pepsi poproszę.

– Gdzie przynieść?

– Tam. – Pokazałem pierwszy lepszy stolik. Siedziało przy nim dwóch facetów, mniej więcej w moim wieku. Obaj mieli w dłoni telefony komórkowe i pokazywali sobie zdjęcia.

– Zaraz przyniosę.

– Dziękuję.

Poszła dalej, a ja ruszyłem prosto do wyjścia. Kiedy tylko znalazłem się na zewnątrz, niemal pobiegłem do samochodu. Niemal, bo nie chciałem zwracać na siebie uwagi, dlatego robiłem kilka szybkich kroków, potem zrywałem się do biegu i znowu zwalniałem. Wyglądało to jeszcze gorzej, niż gdybym po prostu potruchtał do auta. Mogłem się tylko cieszyć, że na parkingu oprócz nas nikogo nie było.

– Kurwa... Kurwa... Kurwa... – powtarzałem, wskakując za kierownicę. Serce waliło mi jak oszalałe. Plecy miałem całe mokre.

– Co się stało?

– Kelnerka mnie zauważyła.

– I co?

– I powiedziała, że toaleta jest tylko dla klientów, więc musiałem zamówić pepsi, a ona ją przyniesie do stolika, gdzie mnie nie będzie, i...

– I nic się nie stanie – mruknął Wojnar. – Uspokój się.

– Łatwo ci mówić.

Sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki i wyjął stamtąd metalową piersiówkę. Odkręcił korek i podsunął mi ją niemal pod sam nos.

– Masz. Napij się. Zrobi ci się lepiej.

Wziąłem ją odruchowo. Powąchałem i poczułem ostrą woń alkoholu.

– Nie mogę – warknąłem. – Przecież prowadzę.

– I co z tego? – zapytał.

Oddałem mu piersiówkę. Potrząsnął nią jeszcze raz na zachętę, ale widząc, że nie reaguję, tylko się zaśmiał i sam ją przechylił.

– Nie upij się.

– Już się o to nie martw – powiedział i znów łyknął.

Schował ją z powrotem do kieszeni. Nie zapytał, czy Ułan jest w środku. Nie wiem dlaczego. Pewnie uznał, że skoro nie odjechałem, to chłopak musi być w zajeździe. A może zapomniał, po co w ogóle tam wszedłem.

Siedzieliśmy tak co najmniej pół godziny, może trochę dłużej, bo w pewnym momencie straciłem poczucie czasu. Chociaż nie, to złe

wyrażenie, bo chodziło o coś innego. Każda mijająca minuta wbijała mi się ostrzem w skórę, ale kiedy patrzyłem na zegarek, nie potrafiłem zapamiętać, która jest godzina. W rezultacie nie wiedziałem, ile czasu minęło pomiędzy jednym a drugim spojrzeniem – minuta, pięć, dziesięć? Wojnar wyszedł w tym czasie dwa razy na zewnątrz. Kucał za samochodem, wracał śmierdzący tytoniowym dymem. Jednak więcej już nie pił. Chyba.

– Jest. – W ciszy jego szept zabrzmiał jak krzyk.

Faktycznie, w otwartych drzwiach, na jasnym tle świateł z wnętrza zajazdu pojawiła się ciemna sylwetka. Zrobiła krok do przodu, wpadając w promienie latarni zawieszanej nad wejściem, i rozpoznałem Ułana. Zadowolonego z siebie, podpitego, szczerzącego zęby nie wiadomo do kogo i nie wiadomo z jakiego powodu. Zaraz za nim wyszło dwóch chłopaków. A potem jeszcze dwóch. Wszyscy ruszyli lekko chwiejnym krokiem w stronę zaparkowanych nieopodal samochodów.

– Kurwa... – jęknął Wojnar.

– Co teraz? – zapytałem.

Ich było pięciu, nas dwóch. Prosta matematyka. Musieliśmy odpuścić.

Wsiedli do aut. Usłyszeliśmy zapalane silniki, a potem żwir zachrząścił pod czarnymi oponami.

– Jedź za nimi – rzucił Wojnar.

– I co zrobimy?

– Po prostu jedź!

Uruchomiłem wóz. Włączyłem światła. Wojnar przechylił się w moją stronę i natychmiast je zgasił.

– Co robisz?

– Żeby nie widzieli, że za nimi jedziemy.

– Nie będę prowadził bez świateł.

– Potem włączysz! Teraz ruszaj wreszcie, kurwa!

Nacisnąłem pedał gazu. Dojechałem do skrzyżowania. Samochody z Ułanem skręciły w stronę Mrągowa. Zrobiłem to samo.

– Co on robi? – zapytałem.

– Nie mam pojęcia – przyznał Wojnar.

Był zdenerwowany. Co pewien czas uderzał się w udo i szeptał przekleństwa pod nosem, jakby rzucał magiczne zaklęcia. Ja niemal przykleiłem się całym ciałem do kierownicy. Zaciskałem na niej palce, prawa stopa nieustannie wędrowała pomiędzy hamulcem a gazem. Wpatrywałem się w czerwone lampy samochodu przede mną i równocześnie próbowałem wyłować wzrokiem w ciemności wstęgę nierównej drogi. Pomagał mi tylko mdły, szarawy blask księżyca. Dodatkowe utrudnienie stanowiły gwałtowne, nieoczekiwane podmuchy wiatru, tak mocnego, że trząsał całym samochodem i niemal spychał nas z drogi. Kiedy jechaliśmy na Mazury, była ładna, wiosenna pogoda, a dzień przyjemnie ciepły. Teraz termometr na desce rozdzielczej pokazywał, że temperatura spadła do około czterech stopni. Pomyślałem, że zaraz rozbijemy się na przydrożnym drzewie. Zginiemy, zanim zdążymy zabić Ułana.

A jednak nam się udało. Dojechaliśmy w ten sposób niemal do samego Mrągowa. Dopiero tam, kiedy samochód z Ułanem zniknął na moment za zakrętem, odważyłem się włączyć światła.

Zatrzymali się na przedmieściach miasta, w dzielnicy domów jednorodzinnych. Zaparkowali na poboczu drogi tak, że ich wóz niebezpiecznie przechylił się w stronę rowu melioracyjnego. Jeden z chłopaków wpadł do niego. Krzyknął przeraźliwie, na początku przestraszony, potem wściekły. Reszta się roześmiała, po czym wszyscy powędrowali do najbliższego domu, białego budynku postawionego nie więcej niż dziesięć lat temu, z dachem krytym czerwoną dachówką i wyłożonym kostką brukową podjazdem. Wewnątrz paliło się światło, w oknach tańczyły niewyraźne sylwetki i dochodziły do nas głośne dźwięki hip-hopowych kawałków.

Minęliśmy ich wóz i zatrzymaliśmy się kilkanaście metrów dalej. Nikt nie zwrócił na nas uwagi. Ani wchodzący do domu Ułan, ani żaden z jego towarzyszy, ani nikt inny.

– To jakaś impreza – zauważyłem.

– Tak. Widzę. – Wojnar pomasaował się po czole. – Ułan handluje prochami. Może dostał telefon, że towarzystwo potrzebuje czegoś, co je rozrusza.

– Czyli będzie tutaj dilaować?

– Może tak. Nie wiem.

– A co my zrobimy?

Zagryzł nerwowo wargę.

– Poczekamy.

– Na co?

– Na to, aż wyjdzie. Jak wyjdzie, to znowu pojedziemy za nim.

– Na kolejną imprezę?

– Gdzieś go dorwiemy!

Powoli przestawałem wierzyć w nasz plan. Ułanowi towarzyszyło czterech chłopaków, nieważne, czy kumpli, czy ochroniarzy – dopóki się z nimi włóczył, nie mogliśmy mu nic zrobić. Nawet jeśli pójdzie na kolejną imprezę, a potem jeszcze następną, to zapewne z nimi. Jedyne, co mogliśmy, to przyglądać się, jak facet, który zgwałcił moją żonę, bawi się ze swoimi koleśkami, sprzedaje narkotyki i pewnie zalicza jakieś panienki.

– Kurwa! Kurwa! Kurwa! – krzyknąłem i zacząłem z całych sił walić pięściami w kierownicę.

Wojnar najpierw podskoczył i odsunął się przestraszony, dopiero po chwili mnie przytrzymał.

– Spokojnie, spokojnie... – szeptał, ściskając mnie mocno w żelaznym uścisku, uniemożliwiając mi jakikolwiek ruch.

Szarpnąłem się i wreszcie opadłem na fotel.

– Kurwa... – jęknąłem.

– Wiem.

Puścił mnie po kilku sekundach. Skończył się hiphopowy kawałek, zastąpiły go skoczne dźwięki jakiegoś przeboju disco polo. Nawet w samochodzie usłyszeliśmy dziewczęcy pisk, a potem zwiększono głośność.

– Możemy tylko czekać – powiedział.

– I po to tu przyjechaliśmy? – zapytałem. – Po to pokonaliśmy te kilkaset kilometrów? Po to przyklepałeś mi te idiotyczne wąsy?

– Nie.

Ale to właśnie robiliśmy przez kolejnych kilkanaście minut. W pewnym momencie wydało mi się to nawet zabawne: tak jak tyle innych rzeczy w życiu, zabijanie człowieka polega głównie na czekaniu.

Koło północy kilkanaście osób wyszło z domu. Słyszeliśmy śmiechy, widzieliśmy ludzi biegnących po podjeździe i czerwone plamki trzymany w dłoniach i ustach papierosów.

– Nowy Rok!

– Nowy Rok!

– Nowy Rok!

Krzyczeli jeden przez drugiego.

– Co jest? – zapytał cicho Wojnar.

A potem z głośnym świstem powędrowały w górę fajerwerki, które zaraz wybuchły z przeraźliwym hukiem, jeden za drugim, nad naszymi głowami, sypiąc na niebie ślady wielokolorowych iskier. Jakby w odpowiedzi rozszalały się okoliczne psy, zaczęły wściekle szczekać i wyć do księżyca, a na posesji sąsiada włączył się samochodowy alarm.

– Nowy Rok!

Pokaz fajerwerków skończył się po minucie, góra dwóch, i całe towarzystwo wróciło do domu, tylko dwie dziewczyny goniły się w kółko z zimnymi ogniami w dłoniach. Ale i one szybko znudziły się tą zabawą.

– Co to było?

– Chyba zostały im jakieś niewykorzystane zapasy z sylwestra – zaryzykowałem odpowiedź.

Obserwowaliśmy dalej imprezę, jednak nikt już nie wychodził na zewnątrz. Napięcie, do tej pory trzymające mnie na nogach, powoli opadało. Podobnie jak moje powieki. Zacząłem się zastanawiać, czy będziemy siedzieć tutaj aż do samego rana. Chyba nawet zasnąłem, bo nagle poczułem ukłucie w boku, kiedy Wojnar trącił mnie łokciem. Wskazał mi drogę przed nami – jechał nią radiowóz. Miał włączoną syrenę, ale tylko sygnalizację świetlną, a nie dźwiękową. Zatrzymał się przed bramą wjazdową i wysiadło z niego dwóch funkcjonariuszy. Popatrzyli na siebie, jeden coś powiedział do radia, a potem obaj weszli na teren posesji.

– Co się dzieje? – zapytałem.

– Nie mam pojęcia – mruknął Wojnar i wyszedł z samochodu.

Ruszyłem za nim. Na zewnątrz było zaskakująco zimno. Podejrzewałem, że dużo zimniej niż te cztery stopnie, które jeszcze niedawno pokazywał termometr. Wojnar zerknął na mnie. Nawet jeśli zaskoczyła go moja obecność lub przyjął ją z niezadowoleniem, nie okazał tego w żaden sposób. Razem podkradliśmy się do drewnianego płotu i wyglądaliśmy spomiędzy sztachet, żeby zobaczyć, co się dokładnie dzieje.

Policjanci podeszli do drzwi. Jeden z nich zapukał stanowczo, a potem kilkakrotnie nacisnął dzwonek. Wreszcie ktoś mu otworzył. Z tej odległości nie widziałem, czy to dziewczyna, czy chłopak. Policjant coś powiedział, a potem razem z towarzyszem weszli do środka. Przebywali tam około trzech minut. Tyle wystarczyło, żebym zupełnie przemarzł, a zęby zaczęły mi szczekać. Już miałem wracać do samochodu, kiedy znów ujrzałem funkcjonariuszy. Razem z nimi szedł Ułan i coś gorączkowo tłumaczył, uśmiechając się przy tym głupkowato.

– Ma być ciszej! – Usłyszeliśmy.

Ułan stanął na baczność i zasalutował.

– Będzie ciszej! – oznajmił.

– I żadnych fajerwerków!

– Nie będzie żadnych fajerwerków.

Policjanci spojrzeli po sobie. Jeden z nich, mężczyzna około czterdziestoletni, machnął ręką.

– Tylko żebyśmy nie musieli zaraz znowu przyjeżdżać.

– Nie będziecie musieli.

– Bo jak przyjedziemy, to ci skopiemy dupę. Rozumiesz?

– Jasne, jasne. Będzie pełna kulturka. Na sto procent. Zero patologii, nie?

Ułan wyciągnął w górę dłoń. Młodszy funkcjonariusz przybił mu piątkę, starszy tylko pogroził palcem i obaj skierowali się w stronę bramy. My zaś z Wojnarem pośpiesznie wróciliśmy do samochodu.

Tam też było zimno. Kiedy radiowóz odjechał, uruchomiłem silnik, żeby włączyć ogrzewanie. Wyciągnąłem dłonie w stronę dmuchawy i czekałem, aż ciepłe powietrze zacznie owiewać moje skostniałe palce. Zginałem je i rozprostowywałem raz za razem. Powoli wracało w nich czucie.

– Co teraz? – zapytałem.

– Mam pomysł.

– Jaki?

– Poczekaj.

– Nie będę czekać! Co chcesz zrobić?

Nie odpowiedział. Wyjął z kieszeni spodni paczkę papierosów. Zapalił. Jakaś część mojego mózgu chciała zaprotestować – to w końcu samochód z wypożyczalni, druga jednak miała to gdzieś, i to ona zwyciężyła. W nozdrza uderzył mnie zapach palonego tytoniu. Od czasu studiów papierosa miałem w ustach może tylko kilka razy. Zapomniałem już, jaki obrzydliwy to smród. Skrzywiłem się i od razu opuściłem szybę od strony kierowcy.

– Będę potrzebować twojej pomocy – powiedział Wojnar powoli. – Ale musisz mi zaufać.

– Aha... I co jeszcze?

– I milczeć.

– Tylko tyle?

– Na razie tak.

Chciałem go zapytać, jak miałbym mu zaufać, skoro pieprzył moją żonę, ale słowa uwięzły mi w gardle. Łatwiej było skinać głową, i to właśnie zrobiłem.

Po mniej więcej dziesięciu minutach dał mi znać, żebym poszedł za nim. Skierowaliśmy się w stronę wejścia do posesji. Wojnar zatrzymał się przy bramie, przez chwilę szukał domofonu albo dzwonka, ale żadnego nie znalazł, więc po prostu nacisnął klamkę i weszliśmy do środka.

– Tylko nic nie mów – przypomniał mi szeptem, kiedy zbliżaliśmy się do drzwi.

Zrobił to samo co policjanci przed nami. Uderzył w nie pięścią kilka razy, a potem zaczął naciskać energicznie dzwonek.

Otworzył nam chłopak, chyba dwudziestokilkuletni, w jeansach z mnóstwem starannie wykonanych dziur i wsadzonej do spodni koszuli w kratę. Na jednym przegubie lśniła mu srebrna bransoleta, na drugim drogi zegarek. Wyglądał na pijanego. Wzrok miał szklisty, zamglony, więc najprawdopodobniej zdążył też sobie zapalić. Na nasz widok zrobił zdziwioną minę.

Wojnar sięgnął do zewnętrznej kieszeni kurtki. Wyjął z niej portfel, otworzył go i machnął nim chłopakowi przed nosem, po czym schował z powrotem. Nawet ja ledwo zauważyłem, że pokazywał tylko prawo jazdy, przy okazji zasłaniając kciukiem zdjęcie.

– Pan jest właścicielem tego domu? – rzucił ostrym, nieprzyjemnym tonem.

– No...

– No co? Jest pan czy, kurwa, nie?

– No ja. W sensie rodzice, ale ja. A pan to?

– Policja. Komenda w Mrągowie. Dostaliśmy zgłoszenie w sprawie zakłócenia ciszy nocnej.

– Ale my nie zakłócamy!

– Nie? A mam wejść i tam, kurwa, sprawdzić? – I widząc, że jego groźby niespecjalnie przynoszą skutek, Wojnar zniżył głos: – Zadzwoń do twoich rodziców? Opowiedzieć im, co tu się dzieje?

– Nie! Nie! – Chłopak zaczął gorączkowo protestować. – Ale wasi koledzy już tu byli.

– Byli? – Wojnar udał zdziwienie. – Jak to byli? Nie mam żadnej informacji.

– No byli, byli! I wszystko było okej!

– Nic o tym nie wiem.

– Mój kolega z nimi rozmawiał.

– Kolega? A co mnie twój kolega obchodzi?! Dawaj numer do starych!

– Nie! No bo kolega coś tam zagadał, wiedział... – Chłopak zaczął się plątać.

Wojnar pokręcił głową. Wzniósł oczy do nieba, jakby nad czymś się zastanawiał.

– Dobra – powiedział wreszcie. – Powiedz temu swojemu koledze, że ma do nas przyjść. Wyjaśnimy sprawę.

– Już go wołam.

– Czekamy w samochodzie przed bramą.

– Jasne. Jasne. Jasne.

Wojnar chwycił go za kraciatą koszulę i przytrzymał.

– Powiedz mu, że ma do nas wyjść przed bramę. Dotarło?

– Tak, proszę pana – potwierdził szybko chłopak.

Wojnar go puścił. Gdy dzieciak zniknął we wnętrzu, aktor dał mi znak, żebyśmy ruszyli w stronę samochodu.

– Co teraz? – zapytałem.

– Idź do wozu, otwórz bagażnik, ale trzymaj go tak, jakby był zamknięty. Rozumiesz?

– Co chcesz zrobić?

– Zobaczysz. – Klepnął mnie w ramię, a potem przebiegł kilka metrów w przeciwnym kierunku i kucnął, chowając się w cieniu płotu.

Po chwili wahania zrobiłem to, o co mnie prosił. Podszedłem do wozu, otworzyłem bagażnik i stanąłem tuż przy nim tak, że w każdej chwili mogłem go otworzyć.

Kolejne minuty ciągnęły się przeraźliwie. Drżałem z zimna, ale go nie czułem, co było dziwne i równocześnie nieprzyjemne. Bałem się, że powoli tracę panowanie nad swoim ciałem albo że do mojego mózgu przestają docierać najważniejsze informacje. Jakby wobec nadmiaru bodźców, tych psychicznych i tych fizycznych, jakaś część mojej jaźni zaczęła je blokować.

Zanim zdążyłem się nad tym dobrze zastanowić, furtka w bramie się otworzyła i ujrzałem Ułana. Chłopak wyszedł na pobocze. Spojrzał w lewo, jednak najwyraźniej nie dostrzegł czającego się tam Wojnara, bo zaczął iść w moim kierunku. Niemal wbiłem palce w klamkę od bagażnika.

– Co jest?! – zawołał. – Przecież powiedziałem, że będziemy grzeczni.

Za chłopakiem pojawił się Wojnar. Pochylony zmierzał w jego stronę, przyśpieszając przy każdym kroku. Kiedy znalazł się metr od niego, wyprostował się gwałtownie. Skoczył mu na plecy, zaciskając przedramię na jego szyi i pchając go w stronę naszego samochodu. Otworzyłem szeroko bagażnik. Zrobiłem to automatycznie, bez udziału mózgu i jakiegokolwiek myśli.

Ułan chyba próbował krzyknąć, jednak Wojnar w porę zdołał go podduścić. Szarpali się jeszcze chwilę, ale chłopak tracił siły z każdą sekundą. Wreszcie zwił bezradnie w uścisku aktora, który z trudem dociągnął go do bagażnika.

– Pomóż mi go włożyć.

Razem wsadziliśmy go do środka. W świetle lampki zamontowanej wewnątrz bagażnika dostrzegłem, że Wojnar jest czerwony na twarzy. Oddychał ciężko.

– W torbie jest lina – rzucił.

Wyciągnęliśmy ją. Dwa kawałki. On wziął jeden. Ja drugi. Związał Ułanowi dłonie, ja nogi. Potem pośpiesznie weszliśmy do samochodu i odjechaliśmy.

Porwaliśmy Ułana.

Łatwiejszą część zadania mieliśmy już za sobą.

Teraz trzeba go było jeszcze zabić.

– Skreć w lewo.

Tak to wyglądało. Ja prowadziłem. Dłonie ślizgały mi się po kierownicy mokre od potu, a w uszach szumiała krew jak cholerny wodospad. Co akurat było błogosławieństwem, bo jeśli się starałem, udawało mi się nie słyszeć Ułana, który wył wściekle w bagażniku, rzucał przekleństwa i kopał w klapę.

– Jedź szybciej.

Jechałem szybciej. Samochód podskakiwał na leśnym dukcie, pasy wbijały mi się w pierś, szarpało mną na lewo i prawo, a zawieszenie jęczało przeciągle. Czekałem, aż coś walnie. Odleci nam koło z lewej albo prawej strony, złamie się oś, zaryjemy podwoziem o zmarzniętą, twardą, pełną kolein ziemię. Ale przyśpieszałem, bo nie mogłem już zwolnić.

– Teraz w prawo.

– W prawo?

– W prawo. I prosto.

Leśny dukt zmienił się w jeszcze węższą przecinkę pomiędzy dwiema ścianami lasu gospodarczego. Tam już nie dało się jechać szybko. Chłostały nas krzewy, małe drzewa samosiejki, gałęzie świerków.

– Jeszcze trochę, jeszcze trochę... – powtarzał jak modlitwę Wojnar.

Aż wreszcie zatrzymaliśmy się po przejechaniu stu, stu pięćdziesięciu metrów, nie więcej, tylko dlatego, że droga się skończyła i snopy świateł z samochodowych reflektorów zmierzyły się nagle z potężnymi pniami buków, może dębów – nie wiem, nie umiałem rozpoznać w tej ciemności.

– To tu – powiedział.

Wysiedliśmy z samochodu. Aktor podszedł do bagażnika, chwycił za klapę. Kiedy stanąłem za nim, obejrzał się na mnie. Skinąłem głową.

A raczej zobaczyłem, jak kiwam głową. Bo przez chwilę mnie tam nie było. Patrzyłem na to z boku. Na siebie, na samochód, na Wojnara. Na to, jak otwiera bagażnik. Na kulącą się wewnątrz postać. Na jej przestraszone wielkie oczy. Na wijące się ciało, które próbowało zerwać więzy.

– Kurwa! Ratunku! Kurwa! – wrzasnął Ułan.

Wojnar uderzył go pięścią w twarz. Coś chrapnęło. Chłopak jęknął. Trysnęła mu krew z nosa i zaraz się nią zalał. Spływała mu na usta, na podbródek, ubranie, do bagażnika, wsiąkała w tę czarną, miękką wyściółkę i przyszło mi na myśl, że nigdy już jej się nie pozbędziemy, że jedyne wyjście to spalić ten samochód. Potem jednak pomyślałem, że to dopiero będzie podejrzane, ale i tak nasz plan, by zrobić to sprytnie, by nie zostawić śladów, właśnie poszedł w diabły, i tyle.

Wojnar chwycił go za ubranie. Szarpnął i uniósł. Był silny, uświadomiłem sobie, bo przecież Ułan ważył pewnie siedemdziesiąt kilo, może więcej. A potem go puścił i chłopak spadł na ziemię z głuchym, nieprzyjemnym łupnięciem. Jęknął.

– Patrz na niego.

Patrzyłem. Ułan wyginał się, obracał jak wielki robak, krwawił, z jego ust wydobywały się jakieś słowa, może przekleństwa, a może tylko skomlenie.

– Bierz go za nogi – powiedział Wojnar.

Zamknął klapę od bagażnika. Z ramienia zwisała mu czarna torba. Zrobiłem to, co mi kazał. On chwycił Ułana pod pachami. Nieśliśmy go i ciągnęliśmy na przemian, co pewien czas musieliśmy złapać oddech, odpocząć, a potem znowu szliśmy krok za krokiem. Nie chciało mi się wierzyć, że ciało człowieka jest aż tak ciężkie, że aż tyle waży, że dwóch facetów z trudem może sobie z nim poradzić. Ale Ułan wcale nam nie pomagał. Szarpał się, walczył, przekreślał to na jedną stronę, to na drugą. Wreszcie Wojnar rzucił nim o ziemię i znów uderzył go w twarz, i znów, i znów, aż przestraszyłem się, że tak właśnie chce go zabić, zatłuc na śmierć, i krzyknąłem:

– Wystarczy!

Wyprostował się. W ciemności nie widziałem jego twarzy, nie widziałem jego spojrzenia, tylko samą sylwetkę.

– Tak – wycharczał. – Wystarczy. To tutaj.

Znajdowaliśmy się w środku lasu. Ledwo widziałem przecinkę, którą przyjechaliśmy. W oddali, pomiędzy sylwetkami drzew, ciemnymi pionowymi liniami przypominającymi kod kreskowy, dostrzegłem szarość. W pierwszej chwili pomyślałem, że to niebo, dopiero po chwili dotarło do mnie, że widzę jezioro. Ale co z tego, byliśmy na Mazurach – tutaj wszędzie są jeziora.

– Dajcie spokój... – wycharczał Ułan.

– Co?

– Dajcie spokój – powiedział trochę głośniej. – Czego wy chcecie? Kto was przysłał? Cichy? Powiedzcie Cichemu, że się dogadamy. Chce kasy, dam mu kasę, chce, żebym trzymał się z dala od Mrągowa, będę się trzymał z dala, ma żal, że pociąłem tego gnoja, no i chuj, bywa, taki lajf... Dogadamy się, dogadamy się.

Wojnar zaczął grzebać w torbie. Najpierw wyjął lampę turystyczną. Zapalił ją i zawiesił na gałęzi najbliższego drzewa tak, że oświetlała całą scenę. Ułan leżał na ziemi, twarz i ubranie miał brudne od krwi i ziemi, wzrok ledwo przytomny.

Poczułem satysfakcję.

Poczułem strach.

Chciałem już stamtąd odjechać. Uciec. Teraz. Zaraz. Natychmiast.

Wojnar wyjął z torby dwie saperki. Złożył je i rzucił na ziemię. Wzrok Ułana zatrzymał się na nich. Chłopak uśmiechnął się, ukazując rząd czerwonych teraz zębów.

– To tak... Kurwa... Myślicie chłopaki, że ja tego nie robiłem. Robiłem. Każecie mi wykopać grób, postraszyście, a potem zostawicie. To sobie to darujemy, co? Jest zimno, jest noc, pizga strasznie. Darujmy sobie.

– Nie.

– Powiedziałem, że się dogadamy.

– Nie.

– Czy wy wiecie, kim ja jestem? Czy wy wiecie, kim jest mój wujek?! Kurwa! Powiedzcie Cichemu, zadzwońcie do niego! Mój wujek was, kurwa, dojedzie! Mój wujek wam wpierdoli! On jest z policji?! Rozumiecie?! Z policji, kurwa, i was zapierdoli, kutasy!

Wojnar czekał, aż Ułanowi minie ten wybuch. Ja rozglądałem się niespokojnie, nie wiedziałem, gdzie dokładnie jesteśmy. Bałem się, że zaraz ktoś nas usłyszy i przyjdzie sprawdzić, co tu się dzieje. Ale w lesie byliśmy tylko my. Ja, Wojnar i Ułan.

Kiedy Ułan wreszcie skończył wrzeszczeć, aktor klęknął naprzeciwko niego i chłopak po raz pierwszy mógł zobaczyć, kto go porwał. I pobladł.

– Kim ty jesteś? – zapytał.

– Kilka miesięcy temu pojechałeś na imprezę z dwoma studentami z Warszawy. Nie zachowywałeś się właściwie. Zrobiłeś awanturę. Wypierdolili cię...

– To oni? To wy? To za tę chałupę? Ja nic nie wiem... Słyszałem, że się spaliła, ale ja nic nie wiem.

Wojnar dwa razy klepnął go w twarz. Lekko. Nie, żeby sprawić mu ból, tylko żeby przestał mówić.

– Wracałeś do Wilczych. Łapałeś stopa. Zatrzymała się kobieta. Postanowiła ci pomóc. Chciała cię zawieźć do domu. A ty ją zgwałciłeś.

– Po co mu to mówisz? – zapytałem.

Wojnar zadarł głowę, by na mnie spojrzeć.

– Żeby wiedział.

– Po co?

– Żeby wiedział, dlaczego zginie.

– Po co?

Powtórzyłem to pytanie jeszcze raz, może dwa, bo naprawdę nie rozumiałem. Dotarliśmy aż tutaj. Porwaliśmy tego chłopaka. Trzeba go

jeszcze tylko dźgnąć, udusić, wałnąć w głowę saperką – wszystko jedno, po prostu wreszcie to skończyć!

– Co takiego? Jaka kobieta? Jaki gwałt! Ja nikogo nie zgwałciłem!

– Zgwałciłeś! Zgwałciłeś Ninę! Tak miała na imię, Nina! A ty ją zgwałciłeś!

– Nie mam pojęcia, o czym ty mówisz! Kurwa, ja nikogo nie zgwałciłem!

– Zrobiłeś to!

– No jak, kurwa, kiedy, po co, na co?! – krzyczał. – Kurwa, pojedę na dyskę, błysnę bilonem, to laski mi same na chuja wskakują! Po co mam gwałcić?! Po co?! Na co?!

Wrzeszczał gorączkowo, na całe gardło, ze łzami w oczach, a ja czułem, że popełniliśmy straszny błąd, że się pomyliliśmy, że cokolwiek ta dziewczyna powiedziała, że cokolwiek powiedział mi Wojnar, to po prostu nie jest prawda. Ułan był niewinny.

– Zgwałciłeś ją!

– Nikogo, kurwa, nie zgwałciłem!!! – wrzasnął i zamarł na moment. Zmarszczył brwi. Przypatrzył się Wojnarowi – To ty... – wycedził.

– Co ja? – odpowiedział autentycznie zaskoczony Wojnar. I przestraszony, bo jego głos drżał. Nie miał już w sobie takiej pewności, takiego gniewu.

– To ty jesteś tym aktorem! Kurwa! To jesteś ty! To ty! Ty! Ty! Ty!

– Zamknij się!

– To dlatego mnie tu zawiozłeś! Mścisz się?! Za psa się mścisz?!

– Co takiego?! – zawołałem.

– Za psa! Psa ci zajebałem i się mścisz?! Mścisz się!

– On zabił Znajdę?!

– Zabiłem! Zabiłem, kurwa, przepraszam, a teraz on chce mnie za to zajebać! – wrzeszczał w moją stronę. – Nie zabija się ludzi za psa! No kurwa!

– Dlaczego mi nie powiedziałaś?!

– Bo nie chodzi o psa! – wydarł się Wojnar. – On zgwałcił Ninę! Pamiętasz?! Zgwałcił Ninę!

– Janinę! – ryknąłem. – Miała na imię Janina! Nienawidziła imienia Nina! Nie nazywaj jej tak! Miała na imię Janina!

I wtedy Ułan kopnął Wojnara prosto w twarz. Nie mam pojęcia, jak to się stało. W jednej chwili jego nogi były związane, w drugiej wolne, i jego but wylądował prosto na szczęce aktora. Chłopak przekręcił się na brzuch, poderwał w górę i znów kopnął Wojnara, tym razem w jądra. Aktor zapiszczał, zwinął się w kulkę, osłonił głowę ramieniem, spodziewając się kolejnych ciosów. Ułan jednak odwrócił się w moją stronę. Patrzyliśmy na siebie przez dwie, trzy sekundy, a potem odwrócił się i rzucił do ucieczki.

Nie wiem, dlaczego pobiegłem za nim. Ale to zrobiłem. Nie miałem w głowie żadnej myśli, tylko obrazy. Moje dzieci. Moje córki. Nie mogłem ich zostawić. Nie mogłem pójść do więzienia. Nie przeżyłyby straty kolejnego rodzica.

Gałęzie uderzały mnie po twarzy. Drapały aż do krwi. Próbowałem się zasłonić. Potknąłem się raz. Potem drugi. Upadłem. Igły świerków i sosen wbijały mi się w ciało. Ale się podniosłem. Pobiegłem dalej za Ułanem. A on był osłabiony. Pewnie ciągle pijany. Obity.

I dlatego był wolniejszy.

Biegł w stronę jeziora, wpadłem prosto w niego. Chwyciłem go w pasie. Podniosłem lekko w górę. I nagle wylądowaliśmy w lodowatej wodzie. On na twarzy, ja na jego plecach.

Nie walczył. Nie wydarzyło się nic z tego, co czasami widzimy na filmach. Nie szarpał się. Nie próbował mnie uderzyć. Nie walił ramionami na lewo i prawo, bo przecież miał je związane. Nawet nie próbował udawać martwego, żeby mnie zmylić i znienacka wynurzyć się z szatańskim, przepelnionym wściekłością śmiechem. Po prostu siedziałem na nim, przytrzymałem mu głowę pod wodą, z jego ust i nosa wydobywały się bąbelki, aż wreszcie zniknęły, a ja nadal na nim siedziałem.

I tak właśnie zabiłem Ułana.

Potem przyszedł po mnie Wojnar. Razem wyciągnęliśmy ciało z wody.

– Jesteś cały mokry, trzęsiesz się – powiedział. – Wracaj do samochodu, ogrzej się.

– Nie. Zakopmy go. Teraz.

I znowu wziąłem go za nogi, a Wojnar pod pachy. Tym razem Ułan się nie szarpał, ale i tak wydawał się cięższy niż za życia. Przenieśliśmy go z powrotem do miejsca, które wybrał aktor. Ja wziąłem jedną saperkę, on drugą. Kopało się ciężko, bo ziemia była na początku twarda, przeszkadzały nam korzenie. Szczękałem zębami z zimna. Cały drżałem, jednak nie przestawałem kopać. Nagle zaczął padać śnieg.

– Tak się czasami tutaj zdarza – powiedział Wojnar.

– Co takiego?

– Śnieg w kwietniu – stwierdził. – To w końcu polski biegun zimna.

– Ano.

Wykopaliśmy dół głęboki na mniej więcej półtora metra. Wrzuciliśmy tam ciało. Zakopaliśmy je. Potem przysypaliśmy to miejsce leśnym runem, gałęziami, liśćmi paproci i wróciliśmy do samochodu.

Siedziałem na skraju łóżka w domu Wojnara w Starych Wilczych. Wokół siebie miałem rozrzuconą pościel i koce. Nie pamiętałem, jak się tutaj znalazłem. Wiedziałem jedynie, że nie zemdlałem, wszedłem do tego domu o własnych siłach i nikt nie musiał mnie wnosić, ale to tyle. Zabiłem Ułana. Zakopaliśmy go w środku lasu. I to był koniec. Jakby film się skończył, a na sali kinowej włączyli światła.

Miałem na sobie tylko skarpetki i bokserki. Nie wiedziałem, czy sam się rozebrałem, czy zrobił to Wojnar. Ostrożnie wyjrzałem na zewnątrz, ledwo tylko uchylając zasłony. Nocna szarość dopiero ustępowała miejsca pierwszym promieniom słońca. W ustach czułem suchość i nieprzyjemny kwaśny posmak. Bolały mnie mięśnie pleców i ramion. Byłem słaby i zmęczony. Przez moment zastanawiałem się, czy wrócić do łóżka, ale przecież nie tak to powinno wyglądać. Nie powinno nas tutaj być.

Zszedłem na dół. Wojnar stał w salonie przed szklaną ścianą prowadzącą na werandę, choć widział jedynie ciężki zielony materiał kotary zasłaniającej okna i drzwi. Chrząknąłem, żeby oznajmić mu swoją obecność. Odwrócił się.

– Wstałeś – zauważył.

– Czemu tu jesteście? – zapytałem.

– Kiedy wracaliśmy, dostałeś dreszczy. Potem gorączki. Miałeś całkiem mokre ubranie. Zdjąłem ci je, żeby się wysuszyło, a ciebie położyłem do łóżka.

– Mieliśmy tutaj nie zostawać.

– Nie wszystko poszło tak, jak planowaliśmy – powiedział cicho. – Przyniosę ci coś ciepłego do picia. I szlafrok.

Minął mnie. Usłyszałem, że włącza elektryczny czajnik w kuchni. Po chwili wrócił z kubkiem herbaty i szlafrokiem frotte. Włożyłem go i usiadłem na kanapie. Wojnar znów stanął przed zasłoną. Przymknął powieki, zupełnie jakby wyobrażał sobie znajdujące się na zewnątrz jezioro.

– Gdzie jest samochód? – zapytałem.

– W szopie. Nikt nie widział, kiedy tu przyjechaliśmy.

– Nie powinniśmy tutaj zostawać.

– Nie miałem lepszego pomysłu. Naprawdę było z tobą źle. I jeszcze ten śnieg. Przestraszyłem się.

Jego szczerość trochę zbiła mnie z tropu. Wziąłem kubek i upiłem dwa łyki. Napój poparzył mi lekko usta.

– Powinniśmy stąd wyjechać, zanim ktoś nas zauważy.

– A kto miałby to zrobić? – odparł. – Sąsiadów chyba nie ma, a jeśli są, to pilnują własnego nosa. Obcy tutaj nie przyjeżdżają. Jeśli nie będziemy rozpalać w kominku ani wychodzić na zewnątrz, nikt się nie zorientuje, że tutaj jesteśmy. A poza tym...

– Co takiego?

– Zaraz będzie jasno. Zanim się zbierzemy... To akurat niebezpiecznie wyjeżdżać stąd za dnia. Lepiej poczekać do nocy.

– Czyli mamy tu spędzić całą sobotę?

Być może nawet nie był to do końca zły pomysł. Według przygotowanej przeze mnie legendy miałem wrócić z teściem z ryb dopiero w niedzielę. Te dwa dni i tak musiałbym gdzieś przeczekać, a że najciemniej jest pod latarnią... Ale po wydarzeniach ostatniej nocy moje ciało buntowało się na samą myśl o pozostaniu tutaj. Jak najszybciej chciałem opuścić Stare Wilcze i nigdy już tu nie wracać.

– Niedzielę – odezwał się Wojnar. – Jest niedziela.

– Co takiego?

– Właśnie to. Wpakowałem w ciebie kilka aspiryn, trochę wody, ale przespałeś właściwie całą dobę.

Niedziela. Straciliśmy cały dzień. Zakręciło mi się w głowie.

– Ktoś nas szukał? Ktoś tu zaglądał?

– Nie.

– A Ułan? Ktoś go szukał? Zgłosił zaginięcie?

– Skąd mam wiedzieć?

– Myślałem, że może sprawdzałeś w telewizji, w internecie.

– Nawet ich nie włączałem. Nie chciałem zostawić śladu, że tego dnia logowałem się do internetu z domowego komputera. A w telewizji cisza. Rząd kłóci się z opozycją o to samo co zwykle, i to jest temat dnia.

Zaśmiał się gorzko. Podeszedł do stolika. Sięgnął po leżącą na blacie paczkę cameli, wyjął z niej papierosa i odpalił. Po zawartości popielniczki zorientowałem się, że nie była to pierwsza fajka tego dnia. Ani nawet dziesiąta.

Musiałem się skupić. Minęła już doba od zabójstwa. Ani ja, ani Wojnar nie mieliśmy ze sobą telefonów komórkowych. Nie wiedzieliśmy, co się dzieje poza tym domem. Może znaleziono już ciało. Może policja przesłuchuje teraz uczestników tamtej imprezy w Mrągowie i pokazuje im nasze portrety pamięciowe. A może radiowozy na sygnale właśnie podjeżdżają pod mój warszawski adres. Nie znajdą mnie tam oczywiście. Ale dopadną, kiedy wrócę. Bo co innego miałbym ze sobą zrobić?

– Pewnie nawet jeszcze go nie szukają – oznajmił.

– Słucham?

– Mówię, że pewnie nawet jeszcze go nie szukają. Znam takich typów jak Ułan. Często znikają na dzień, dwa, tydzień, nikomu nic nie mówiąc, potem pojawiają się cali i zdrowi. Z nim będzie tak samo. Nie w sensie, że się pojawi, tylko... Minie sporo czasu, zanim ktokolwiek pomyśli, że mogło się z nim stać coś złego.

Mówił raczej do siebie niż do mnie, z niemal nieruchomą twarzą, wpatrzony w martwy kominek. Kiedy zamilkł, papieros leniwie tlił mu się między palcami, wypełniając wnętrze wonią tytoniowego dymu.

– Nie mściłem się za Znajdę – powiedział wreszcie. – Zabił ją, ale to nie o nią chodziło.

– Dobrze – potwierdziłem. Śmieszne, jednak prawie zapomniałem o tym psie. A teraz zrobiło mi się trochę smutno, kiedy zorientowałem się, że nigdzie go nie ma. Że nie biega między nami, nie próbuje wskoczyć na kanapę, nie kładzie mi pyska na kolanach, domagając się pieśczoł.

– Myślisz, że ją zgwałcił? – zapytał.

– Janinę?

– Ja myślę, że to zrobił. To wszystko układa się w logiczną całość. Czas, miejsce, zniknięcie Niny, opowieść Anki. Kłamał w tym lesie, bo musiał kłamać. Walczył o życie. Ale zrobił to. Próbował przecież zgwałcić Ankę i...

– To nie ma znaczenia – przerwałem mu. Trochę zbyt ostro, trochę zbyt głośno.

Odwrócił się w moją stronę, spojrział na mnie pytająco.

– To nie ma znaczenia – powtórzyłem. – Nie ma znaczenia, co zrobił ze Znajdą. Nie ma znaczenia, czy zgwałcił Janinę. Zabiliśmy go. Ja go zabiłem. Nieważne. Zrobiliśmy to. I tyle. On nie żyje i my to zrobiliśmy.

Wojnar podniósł papierosa do ust. Zaciągnął się. Potem wykaszłał dym i do teraz nie wiem, czy się zaśmiał, czy zakrztusił.

– Poza tym miała na imię Janina. Nienawidziła zdrobnienia Nina.

Spoważniał.

– Tak mi się przedstawiła – stwierdził. – Po co miałaby przedstawiać się imieniem, którego nienawidzi?

– Nie wiem.

– Znałeś ją w ogóle?

– A ty?

Podszedł do kominka. Oparł się o niego i wrzucił do środka na wpół wypalony papierosa.

– Chyba nie – odpowiedział.

– To tak jak ja.

Uśmiechnęliśmy się obaj lekko, niewyraźnie. W jego oczach pojawiły się łzy. Ja czułem się zbyt zmęczony, by płakać.

– Zazdrościsz ci – oznajmił.

– Czego?

– Tego, że zdążyliście się sobą znudzić.

– Gdyby była z tobą, pewnie nigdy by się to nie stało.

– Tego nie wiesz. Miałem przecież inne kobiety, wszystkie w pewnym momencie odeszły. Ale ja i Nina... Po prostu nie dostaliśmy naszej szansy.

Bo byłem ja. Bo były dzieci. Bo było nasze popaprane warszawskie życie. Kiedy jednak na niego patrzyłem, jak tak stał naprzeciwko mnie, bezbronny, nieporadny i samotny, zrozumiałem coś, co powinno być dla mnie już od dawna jasne. On ją naprawdę kochał. I to kochał mocniej niż ja. Być może dlatego, że faktycznie nie zdążyli się sobą zmęczyć, ugrzęznąć w pułapce codziennych zmagania, rozmów o pieniądzu, kłótni o drobiazgi, a być może po prostu miał większe serce ode mnie.

I wtedy usłyszeliśmy skrzypnięcie furki. Wojnar wyprostował się gwałtownie. Spojrzał na mnie pytająco, a ja tylko wzruszyłem ramionami. Podbiegł do okna, wyjrzał na zewnątrz i zaraz się schował.

– Kurwa... – szepnął.

– Co się dzieje?

– Anka!

– Anka?

– Ta kelnerka.

– Co ona tutaj robi?!

– Nieważne. Na górę!

Pociągnął mnie za szlafrok. Podniosłem się z fotela i niezgrabnie pobiegłem na schody, a Wojnar za mną. Tuż przed schodami przystanął, zaklął pod nosem i wrócił do salonu. Pojawił się chwilę później z kubkiem

i pełną popielniczką. W tym momencie usłyszeliśmy szcęk kluczy w zamku.

– Do sypialni.

Wyglądaliśmy jak postacie z jakiejś durnej komedii, dwóch facetów w średnim wieku próbujący się przemknąć na paluszkach do sypialni. Przygarbieni, wystraszeni niczym dwóch małych chłopców, którzy próbują podkraść nutellę z kuchennej szafki.

Wślizgnęliśmy się do środka. Wojnar chwycił za klamkę i ostrożnie, najciszej, jak potrafił, zamknął drzwi.

– Co ona tu robi? – zapytałem szeptem.

– Zatrudniłem ją jako gosposię. Ma mi tu sprzątać, czasami gotować, pilnować domu, gdy wyjeżdżam.

– I przyjechała tutaj w niedzielę?

– Najwyraźniej – rzucił przez zaciśnięte zęby.

– To po co nas tutaj przywiozłeś, skoro wiedziałeś, że tu będzie?

– Bo zapomniałem o niej! A teraz cicho!

Staliśmy więc przy drzwiach, ja trochę z boku, Wojnar ciągle z dłonią na klamce, wsłuchani w odgłosy, które dochodziły nas z dołu. Dziewczyna weszła do domu, skierowała się do kuchni, bo usłyszeliśmy lejącą się z kranu wodę, a potem pstryknięcie elektrycznego czajnika. Kolejne kroki, tym razem w stronę salonu. Przez moment nic się nie działo. Zapadła idealna cisza.

– Halo! – Usłyszeliśmy z salonu. – Jest tu ktoś?

Spojrzałem na Wojnara. On tylko pokręcił głową. Zaciśnął usta w cienką kreskę. Kolejne dźwięki. Otwierane drzwi, pewnie te od łazienki. Dziewczyna zaczęła wchodzić po schodach. Powoli, początkowo nieśmiało, pod koniec przyśpieszyła.

– Halo! – Usłyszeliśmy po raz kolejny, tym razem głośniejszy, wyraźniejszy. – Jest tu ktoś?

Zagryzłem wargę. Kroki na piętrze. Otworzyła pierwszy pokój. Po chwili łazienkę. I skierowała się w stronę sypialni. Wojnar zaciśnął mocniej dłoń

na klamce, a ja chciałem go zapytać, co zamierza zrobić. Przytrzymać drzwi? Naprawdę? Czy można sobie wyobrazić bardziej dziecinne i głupsze zachowanie?

Drzwi miały matowe przeszklenia na prawie całej swojej szerokości. Dostrzegłem w nich rozmytą, nierówną plamę – sylwetkę dziewczyny. Wyciągnęła dłoń do klamki i zamarła w połowie ruchu. Cofnęła ją. Odwróciła się i usłyszeliśmy, jak schodzi na dół, później trzaśnięcie drzwiami. Wojnar puścił klamkę. Podszedłem do okna. Wyjrzałem na dwór.

– Wychodzi przez bramę – powiedziałem.

Faktycznie otwierała furtkę. Znowu rozległ się charakterystyczny pisk. Ale wtedy nagle się zatrzymała. Odwróciła się i spojrzała w stronę okna. Cofnąłem się o krok. Nie byłem pewien, czy mnie zauważyła z tej odległości, poza tym stałem za firanką. Ale i tak miałem wrażenie, że jej wzrok prześlizgnął się po mojej twarzy. Powiedziała coś. Nie słyszałem co. Zobaczyłem tylko poruszające się wargi.

– I co? – dopytywał Wojnar.

– Wsiada na rower – powiedziałem. – Odjeżdża.

Jeszcze przez kilka minut siedzieliśmy zamknięci w sypialni. Nie mieliśmy odwagi wyjść. Może obawialiśmy się, że kelnerka wróci.

Wreszcie zeszliśmy na dół. Rozejrzałem się dookoła. W kuchni dostrzegłem brudne naczynia w zlewie, nóż na blacie. Uznałem, że to nic podejrzanego. Kelnerka równie dobrze mogła uznać, że Wojnar nie posprzątał po sobie przed wyjazdem, zostawiając to gosposi. Za to w salonie unosiła się woń papierosowego dymu, ostra, wręcz dusząca. I zbyt świeża. Było jasne, że ktoś jest w domu. Albo niedawno w nim przebywał.

– Mieliśmy szczęście – odezwał się Wojnar.

– Dlaczego?

– Że jednak nie weszła do sypialni.

Pokręciłem głową.

– Nie w tym rzecz.

– A w czym?

Zamarłem na moment. Miałem poczucie, że moje serce na chwilę przestało bić. Przypomniałem sobie kelnerkę. Przypomniałem sobie jej poruszające się wargi.

– Nie chciała tam wchodzić.

– Dlaczego?

– Żeby mogła szczerze powiedzieć, że nas tutaj nie widziała – stwierdziłem.

Dopiero teraz to do mnie dotarło. Usłyszałem w głowie bezgłośnie wypowiedziane słowo. Słowo, które niosło mi ulgę, ale także mnie przerażało. Bo oznaczało, że ktoś już zwrócił uwagę na jego nagłe zniknięcie.

Powiedziała „dziękuję”.

Wyjechaliśmy, kiedy tylko zrobiło się ciemno. Przez cały dzień nerwowo snuliśmy się z kuchni do salonu, z salonu do sypialni na górze, potem z powrotem na dół. Na początku zastanawialiśmy się, czy uciec od razu. Pomimo tego, co wydawało mi się, że dziewczyna powiedziała, nie mogłem wykluczyć własnej pomyłki. W takim wypadku istniała szansa, że kelnerka, podejrzewając włamanie, wezwie policję. Rozmawialiśmy o tym przez chwilę, jednak uznaliśmy, że zostaniemy. Zresztą nawet jeśli pojawiliby się policjanci, to przecież dom należał do aktora. Będąc tutaj, nie łamaliśmy prawa. Zepsułoby nam to plan, ale postanowiliśmy zaryzykować.

Wojnar próbował czytać, ja także. Wziąłem książkę z jego półki, jednak nie potrafiłem się skupić do tego stopnia, że nie zapamiętałem nawet tytułu. Pamiętam jedynie okładkę, czarną albo brązową. Po półgodzinie poszedłem się położyć. Oczywiście nie potrafiłem zasnąć. Przewracałem się tylko z boku na bok. I myślałem o Janinie. O tym, jak się poznaliśmy. O tym, jak braliśmy ślub i rozpadało się w chwili, kiedy wychodziliśmy z kościoła, i potem biegliśmy do samochodu schowani pod parasolem. Choć oboje całkiem zmokliśmy, i tak przetańczyliśmy całą noc, a przez następny tydzień leczyliśmy się z przeziębienia i śmialiśmy się z mojej ciotki, która kręciła głową, że to zła wróżba, ale przecież byliśmy szczęśliwi i mieliśmy tacy pozostać. Myślałem o tym, jak kupowaliśmy mieszkanie, jak je urządzaliśmy, jak rodziły się nasze dzieci. Patrzyłem, jak rosną, patrzyłem na ich twarze i patrzyłem na dumę na twojej twarzy, Janina.

– Przepraszam. – Usłyszałem swój głos.

Bałem się teraz. Bałem się tego, że policja nas znajdzie, wykopią ciało, odkryją prawdę, pójdę do więzienia. I nie potrafiłem zrozumieć, jakie szaleństwo mnie opanowało, że zaryzykowałem przyszłość, dobro moich córek dla czegoś tak trywialnego i tak głupiego jak zemsta.

I właśnie za to przepraszałem.

Późnym popołudniem zjedliśmy obiad. Wojnar ugotował makaron z resztkami tego, co znalazł w lodówce: groszkiem, ketchupem i starymi parówkami. Wypiliśmy do tego gorzką herbatę.

Wsiedliśmy do wozu, kiedy już zupełnie się ściemniło. Wyjechaliśmy w absolutnej ciszy, światła włączyliśmy dopiero w środku lasu. Tym razem to Wojnar prowadził. Ja byłem zbyt zmęczony, bałem się, że zasnę za kierownicą. Poza tym znowu gorzej się czułem. Kręciło mi się w głowie, łamało mnie w kościach. Łyknąłem przed wyjazdem aspirynę, licząc, że pomoże.

– Pojedziemy nie przez Mrągowo, ale bocznymi drogami – powiedział Wojnar. – Na wszelki wypadek.

– Jasne – zgodziłem się, chociaż nie widziałem w tym sensu. Jeśli nas szukają, to prędzej czy później znajdą. Jeśli nie, to czy ktokolwiek zwróciłby uwagę na zwykłego opla?

Zaraz po wyjeździe z lasu, zamiast ruszyć do Starych Wilczych, wybrał zanedbaną, niemalże polną dróżkę, prowadzącą do innej wsi, mniejszej i bardziej zanedbanej niż Stare Wilcze. Tam wskoczyliśmy już na normalną drogę. Przejechaliśmy tak spory kawałek, aż zorientowałem się, gdzie jestem.

– Znam tę okolicę – powiedziałem.

– Przyjechałeś tutaj ze mną.

– Kiedy?

– Za pierwszym razem. To tutaj zatrzymała się Nina... Janina znaczy. W hotelu.

I rzeczywiście, z ciemności powoli wyłonił się prostokątny budynek hotelu. Miałem jednak wrażenie, że nie o to chodzi. Że moje przeczucie wynikało z zupełnie innych przesłanek.

– Zatrzymaj! – zawołałem.

– Co?

– Zatrzymaj się!

Spojrzał na mnie zdziwiony, ale zrobił to, o co prosiłem. Wsiadłem z samochodu i spojrzałem na hotel. Teraz, w środku nocy wyglądał inaczej. Latarnie oświetlały tylko wejście i parking, przez co reszta budynku przypominała czarną bryłę. I być może dlatego wreszcie go rozpoznałem. Nasze ostatnie wakacje bez dzieci. Janina była w ciąży, remontowaliśmy mieszkanie, ja szykowałem się do podjęcia nowej pracy. Pieniądzy mieliśmy tyle, żeby wyskoczyć na kilka dni na Mazury do starego, rozpadającego się hoteliku. Wojnar sam mi mówił, że go przebudowano, przemalowano, dodano część ze spa, i dlatego za pierwszym razem się nie zorientowałem. Ale teraz patrzyłem na to miejsce, przypominałem sobie nasz pobyt tutaj, to jak Janina wymiotowała po każdym posiłku, a jednak uśmiechała się, wychodząc z łazienki i ocierając usta ręcznikiem, jak spacerowaliśmy po okolicy, rozmawialiśmy o naszej przyszłości, jak spodziewaliśmy się tego, że spotkają nas tylko dobre rzeczy, a potem wracaliśmy do pokoju i kochaliśmy się na zbyt wąskim łóżku. Ona leżała bokiem, ja pieściłem jej piersi i wielki brzuch, w którym powoli dojrzewała Basia. I zrozumiałem, że Janina nie przyjechała tutaj, by zobaczyć się z Wojnarem. Przyjechała tutaj, by odwiedzić miejsce, w którym kiedyś byliśmy szczęśliwi, i przypomnieć sobie, kim kiedyś byliśmy.

– Jedźmy już – powiedziałem, wsiadając do samochodu.

– O co chodziło?

– O nic.

Widziałem, że chce pociągnąć temat, ale ja nie zamierzałem nic więcej mówić. To, czego się dowiedziałem, nie miało przecież dla niego żadnego znaczenia. Wiedział, że Janina przyjechała na Mazury, wiedział, że nie do niego. Nie musiał znać jej motywacji. Być może to, że nigdy nie pozna odpowiedzi na swoje pytania, było pewnym okrucieństwem, jednak wydawało mi się, że jeszcze większym będzie wyznanie mu prawdy. Poza tym jej obecność tutaj, a potem mój przyjazd – pomyślałem, że to nasza, moja i jej, ostatnia rozmowa. Dużo lepsza, dużo piękniejsza niż ta, którą odbyliśmy ze sobą za pomocą słów. Chciałem, żeby pozostała tylko pomiędzy nami.

Dojechaliśmy do Warszawy koło północy. Wojnar zaparkował niedaleko swojego mieszkania w Śródmieściu. Wręczył mi kluczyki do samochodu, podaliśmy sobie dłonie i wysiadł.

– Poczekaj – zatrzymałem go, kiedy miał już zamykać drzwi.

Sięgnąłem do leżącej z tyłu torby. Pogrzebałem w niej chwilę i wyjąłem pękatą papierową teczkę. Wyskoczyłem z auta, po czym podszedłem do Wojnara.

– To dla ciebie – powiedziałem. – Zrobisz z tym, co uważasz za słuszne.

Wziął ode mnie teczkę i otworzył ją niezgrabnym ruchem, tak że kartki niemal wysypały się na chodnik. Chwycił je w ostatnim momencie.

– Co to jest? – zapytał.

– Pisała to u ciebie, chyba zbiór opowiadań, nie jestem pewien. Znaleźli na jej służbowym laptopie i wysłali mi, a ja pomyślałem, że ona chciałaby, byś ty to miał.

– Dlaczego?

– Przeczytaj dedykację.

Zerknął na pierwszą stronę. Wiedziałem, co tam jest napisane. Czytałem to tyle razy, że nauczyłem się tych kilku słów na pamięć: „Dla mojego ukochanego. Za to, że dał mi odwagę, by spróbować jeszcze raz”.

Wojnar pociągnął nosem. Zamknął teczkę.

– Daj spokój – powiedział. – Równie dobrze mogła to napisać o tobie.

– Obaj wiemy, że to nieprawda.

Odwrócił wzrok. Mocno przycisnął teczkę do piersi, jakby nagle przestraszył się, że może ją zgubić.

– Jaki był jej ulubiony kolor? – zapytał niespodziewanie.

– Pomarańczowy.

Uniósł wysoko brwi, a potem na jego twarzy odmalował się grymas głębokiego rozczarowania.

– Nigdy bym się nie domyślił – powiedział bardziej do siebie niż do mnie.

– Była pełna niespodzianek – przyznałem.

Raz jeszcze podaliśmy sobie ręce. Tym razem chyba ze świadomością, że jeśli wszystko dobrze pójdzie, to widzimy się po raz ostatni.

Pomimo późnej pory w oknach mieszkania Renaty ciągle paliło się światło. Trochę mi ulżyło. Już i tak nadużywałem jej dobroci, wołałem nie przeciągać struny.

Jednak wciąż po prostu siedziałem w samochodzie. Obserwowałem okolicę, wypatrywałem radiowozu albo patrolu policji, który tylko czeka na okazję, żeby mnie zatrzymać. Wcześniej pojechałem przed swój dom i zrobiłem to samo.

Nic się nie stało. Nikt mnie nie szukał.

Wysiadłem z wozu, poszedłem do klatki i wpisałem numer na domofonie. Znałem kod, ale postanowiłem go nie używać. Po kilkunastu sekundach usłyszałem kliknięcie, a potem przygłuszony głos.

– Tak?

– To ja.

Rozległo się elektroniczne brzęczenie.

Czekała na mnie na progu, już w pidżamie – długich flanelowych spodniach i szarej koszulce. Nie miała stanika, więc pod materiałem zobaczyłem zarys jej sutków. Chyba się zorientowała, bo cofnęła się do mieszkania, ściągnęła z wieszaka bluzę i szybko ją na siebie zarzuciła.

– Dziewczynki już śpią – powiedziała.

– To dobrze.

Wszedłem do środka. Zamknąłem za sobą drzwi.

Renata przeszła do salonu i usiadła w fotelu z Ikei. Sam go składałem, kiedy przeprowadziła się do tego mieszkania po rozwodzie. Wzięła do ręki na wpół opróżniony kieliszek wina. Stan stojącej niedaleko butelki wskazywał, że nie był to pierwszy, natomiast stan Renaty sugerował, że mogła to być kolejna butelka.

– Wszystko w porządku?

– Słucham?

– Czy wszystko w porządku? Z dziewczynkami?

– Tak.

– Co robiłyście?

– Oglądałyśmy dużo telewizji, odrobiłyśmy lekcje i zjadłyśmy pizzę. Nie miałam siły na nic więcej.

Zakręciła winem w kieliszku i spojrzała na mnie tak, jakby spodziewała się, że zacznę jej robić wyrzuty.

– Iwonka strasznie płakała – powiedziała. – W nocy. Wołała Janinę. Nie potrafiłam jej uspokoić.

– Czasami tak się zdarza. Ja wtedy też nie daję rady. Nie przejmuj się.

– Po prostu ci mówię.

– Pytał ktoś o mnie? – zapytałam.

– Kto?

– Nie wiem. Policja?

Zmarszczyła czoło, autentycznie zaskoczona.

– Dlaczego policja miałaby o ciebie pytać?

Machnąłem lekceważąco ręką i wykrzywiłem twarz w czymś, co być może nawet trochę przypominało uśmiech. Pomyślałem, że niepotrzebnie się odsłoniłem. Już sobie wyobraziłem, jak za kilka dni będzie ją przesłuchiwać jakiś komisarz czy inspektor i zapyta, czy w ostatnich dniach pan Maciej dziwnie się zachowywał. A ona opowie o tej rozmowie. Inspektor pokiwa mądrą głową i zapisze coś sobie w policyjnym kajeciku. Mogłem tylko mieć nadzieję, że po takiej dawce alkoholu Renata nie będzie niczego pamiętała.

– Zabiorę dziewczynki i jedziemy. Dziękuję ci bardzo za wszystko.

– Poczekaj – poprosiła.

– Tak?

Upiła bardzo duży łyk. Wzdrygnęła się, kiedy przełykała alkohol.

– Chcę ci coś powiedzieć – odezwała się po chwili. Jej dłoń drżała. Reszta wina odbijała się od ścianek kieliszka.

– Co takiego?

– Wydaje mi się, że to przeze mnie Janina popełniła samobójstwo. Że to była moja wina.

Zrobiłem krok w jej kierunku, ale wyciągnęła przed siebie jedną dłoń, nakazując mi stanąć.

– To nieprawda – stwierdziłem.

– Tego nie wiesz.

– Wiem. To nieprawda.

– Nie wiesz tego, czego ci nie powiedziałam! – zawołała. Przez chwilę wyglądała tak, jakby zamierzała we mnie rzucić kieliszkiem. Rude włosy opadły jej na oczy. Odgarnęła je gniewnym ruchem.

– W takim razie powiedz mi – odezwałem się cichym, miałem nadzieję, że uspokajającym tonem.

Na moment ją zamurowało i zobaczyłem czyste przerażenie w jej oczach. Jakby właśnie miała zmierzyć się ze swoim największym koszmarem. Przez chwilę wydawało mi się, że zrezygnuje. Cofnie się. Machnie ręką. Powie mi, żebym odszedł, zabrał dziewczynki, i oboje będziemy udawać, że do tej rozmowy nigdy nie doszło. Ale potem dopiła resztę wina.

– Tego dnia, kiedy miała wypadek, napisałam do niej esemesa. Napisałam, bo zabrakło mi odwagi, by do niej zadzwonić. A ona – dokończyła łamiącym się głosem – wjechała w tę pierdoloną ciężarówkę. To ja ją zabiłam, Maciek. Bo napisałam jej wszystko. Napisałam jej o nas.

Musiałem usiąść. Opadłem na kanapę, schowałem twarz w dłoniach i próbowałem oddychać.

Tak. Nie tylko Janina miała romans. Chociaż ja, żeby ją zdradzić, nie musiałem wyjeżdżać aż na Mazury. Wystarczyło pojechać do innej dzielnicy. Do jej najlepszej przyjaciółki.

Dopiero teraz nasza historia nabiera sensu, prawda?

Gdzieś dawno temu czytałem, że to jedna z najczęstszych fantazji erotycznych u mężczyzn – uprawiać seks z najlepszą przyjaciółką ich żony, partnerki. Jednak wbrew pozorom to nie ja szukałem tego zbliżenia. Przynajmniej nie od razu.

Ale od początku. Mówiłem, że podobają mi kobiety o pełniejszych kształtach. I Renata takie ma, jest piękną kobietą. Kiedy się rozwiodła, znalazła się na życiowym zakręcie. Janina zachowała się jak dobra przyjaciółka – zapewniła wsparcie psychiczne, zabierała na wino, wpadała do niej, a potem wracała z tych spotkań do domu, siadała obok mnie i mówiła, że Renata potrzebuje też innej pomocy. Kogoś, kto wniesie nowe meble do nowego mieszkania, poskłada je, pomaluje ściany, pogrzebie w kanalizacji, coś wkręci, coś wykręci, wywierci dziurę w ścianie. Zrobi to, co zazwyczaj robią w domu mężowie, a męża już przecież Renata nie miała. Zgodziłem się niechętnie. Odwiedziłem ją po pracy raz, drugi, trzeci i okazało się, że całkiem dobrze się bawię. Zapominam o swoich kłopotach, o kredycie, pieniądzach, dzieciach, nieszczęśliwej żonie i żartuję z Renatą, coś tam maluję, postukam młotkiem. Nie wiem, chyba wkręciliśmy się w jakąś dziwną fantazję rodem z lat sześćdziesiątych, gdzie ja jestem męskim samcem, który remontuje, naprawia, świetnie sobie ze wszystkim radzi, a ona jest tą bezradną gospodynią domową, która podaje mi piwo. Oboje nas to bawiło, chociaż przecież ja nie byłem taki męski, a ona taka bezradna. Pewnego dnia ubrudziłem się farbą. Renata akurat wyszła na szybkie zakupy, postanowiłem więc wziąć szybki prysznic, a ona weszła do łazienki. Jestem pewien, że przypadkiem, myślała, że już sobie poszedłem, bo zdążyłem właśnie zakręcić kran i stałem tam całkiem nagi, jeszcze trochę pomazany farbą. Zamiast wyjść z łazienki, została. Zamiast powiedzieć jej, żeby przestała, zacząłem ją rozbierać.

Mogliśmy na tym poprzestać. Umówić się, że to wypadek, nic więcej. Dwoje ludzi, którzy stracili nad sobą panowanie. Przeprzić się nawzajem i milczeć. Ale my zrobiliśmy to po raz drugi, trzeci i kolejny.

Spotykaliśmy się od czasu do czasu w jej mieszkaniu. Chciałem więcej, dlatego nie przeszkadzały mi wyjazdy Janiny – wtedy myślałem, że do

pracy, teraz wiem, że do Wojnara. Czekałem na nie. Oddawałem dzieci pod opiekę dziadkom, wymawiałem się dłuższą pracą i gnałem do Renaty, żeby spędzić z nią tak dużo czasu, jak to tylko możliwe.

Pieprzyliśmy się, bzykaliśmy, kochaliśmy. Robiliśmy to wszystko, a ja nie byłem wtedy sobą. Ale przecież Janina też nie. To dlatego kazała się nazywać Niną. Bo Nina była kimś innym niż Janina. Nina była pisarką, która tylko na chwilę przestała pisać. Nina była odważna. Nina była szalona. Miała za kochanka znanego aktora z domkiem na Mazurach, a nie nudnego analityka spółek giełdowych z funduszu inwestycyjnego średniej wielkości. Nina spełniała swoje marzenia, podczas gdy Janina tkwiła w Warszawie, w kiepskiej pracy, w kiepskim związku.

Tak łatwo stać się kimś innym z kimś innym. Janina z Wojnarem, ja z Renatą. Może wcale nie chodziło o to, że przestaliśmy się kochać, bo ja ją przecież kochałem, a ona, pomimo wszystko, chyba mnie też, tylko nie mogliśmy znieść ludzi, którymi sami się staliśmy.

– Dlaczego to zrobiłaś?

Bała się na mnie spojrzeć, więc odwróciła głowę. Niepotrzebnie. Nie odczuwałem żadnej wściekłości. Nie miałem do niej żadnych pretensji. Po prostu chciałem wiedzieć.

– Bo się w tobie zakochałam – powiedziała. – Zakochani ludzie robią głupie rzeczy. Myślałam, że jeśli ona się dowie... Jeśli cię zostawi... Nie byliście ze sobą szczęśliwi.

– Mówiła ci o tym?

– Ona nie. Ty tak. Nie dosłownie, nie wprost, ale wystarczyło ci posłuchać. Myślałam, że po prostu nie starczy ci odwagi, żeby od niej odejść. Myślałam, że jeśli ci pomogę... Wtedy być może... Wtedy będziesz ze mną.

Przypomniałem sobie tamten dzień, wieczór, kiedy dowiedziałem się o śmierci Janiny. Przywiozłem dzieci do Renaty, żeby potem pojechać do Mrągowa. Otworzyła mi wtedy umalowana, w czarnej obcisłej sukience. Teraz zdałem sobie sprawę, że to była jej zbroja, bo spodziewała się awantury. Spodziewała się, że będę jej wyrzucał, że zniszczyła moje

małżeństwo. Zamiast tego zostawiłem u niej dziewczynki, powiedziałem o wypadku i zniknąłem. Przypomniałem sobie jej przerażenie.

Wreszcie mogłem to sobie ułożyć w głowie. Zrozumieć, co się stało. Ciągle nie wiedziałem wszystkiego, i co więcej, zapewne nigdy nie poznam odpowiedzi na niektóre zagadki (jak chociażby co właściwie Janinie zrobił Konrad, dlaczego po rozstaniu z nim szukała „porządnego” chłopaka), ale przynajmniej wszystko rozumiałem.

Ułan zgwałcił Janinę. Zaszła z nim w ciążę i nie zdążyła jej usunąć. Nie wiem, czy planowała w ogóle to zrobić czy nie. Pewnie tak, ale przecież, do cholery jasnej, wydarzenia ostatnich tygodni udowodniły, że słabo ją znałem. Może i tym razem by mnie zaskoczyła. Kolejne dni, tygodnie musiały być dla niej koszmarem. Nie mogła pójść na policję. Nie mogła nikomu powiedzieć o tym, co się stało, bo wtedy ja dowiedziałbym się, że od miesiący mnie oszukuje i zamiast robić reporterskie materiały, pieprzy się z Wojnarem. Została z tym sama.

A być może najgorsze z tego wszystkiego było to, że ja nic nie zauważyłem.

Zawiodłem ją. Zawiodłem ją tak bardzo, że bardziej już się nie dało.

Pomimo tego pojechała na Mazury. Ale nie po to, żeby spotkać się z Wojnarem. Specjalnie wybrała ten hotel z naszych wakacji, które tak dobrze wspominaliśmy, że aż oboje mieliśmy zdjęcia z tego wyjazdu na swoich pracowniczych biurkach. Sądzę, że chciała to na spokojnie przemyśleć, zastanowić się, co dalej. Odejść ode mnie? Spróbować ułożyć sobie życie z Wojnarem? A może próbować ratować nasze małżeństwo?

Wybrała to trzecie. Jestem tego pewien. Jestem tego pewien, bo inaczej wiadomość od Renaty nie zrobiłaby na niej takiego wrażenia. Potrafię to sobie teraz wyobrazić. Jest przerażona, targają nią wyrzuty sumienia, zdradziła mnie, zgwałcono ją, nosi w sobie dziecko Ułana, a mimo wszystko decyduje się do mnie wrócić, wyznać mi prawdę, błagać, żebym jej wybaczył i pozwolił spróbować od nowa.

I wtedy dowiaduje się, że ją zdradziłem. Nie tylko ja. Także Renata. Jej najlepsza przyjaciółka. Jej mąż.

Dwie osoby, którym ufała najbardziej na świecie.

To był impuls. Głupia myśl, która zakiełkowała w jej głowie. Jeden ruch ręki, nieprzemyślana decyzja i zaraz potem refleksja. Na pewno pomyślała o dzieciach. Zobaczyła ich twarze. Próbowała odbić w drugą stronę. Ale tak jak powiedział ten kierowca ciężarówki – było już za późno.

To właśnie się wydarzyło. Nie zabiła się z powodu gwałtu, ciąży czy Ułana.

Kiedy dowiedziałem się o wypadku, sądziłem, że to ja ją zabiłem, bo kazałem jej wracać jak najszybciej do domu. I miałem rację. Zabiłem ją. Ale w zupełnie inny sposób.

Powinienem zadzwonić teraz do Wojnara, pomyślałem. Powiedzieć mu, że zamordowaliśmy nie tego człowieka, co trzeba.

Wstałem z kanapy. Musiałem się oprzeć o ścianę, bo nogi miałem jak z waty. Renata siedziała skulona na fotelu, nieszczęśliwa, załamana.

– To nie twoja wina – powiedziałem.

– Zabiłam ją. Bo byłam głupia, bo byłam zakochana, a najgorsze w tym wszystkim jest to, że byłam zakochana właśnie w tobie... Idiotka ze mnie...

Powinno zboleć, ale przecież za dużo już przeżyłem, by te słowa mogły zrobić na mnie wrażenie.

– Ona o nas wiedziała.

Sięgała właśnie po butelkę, żeby dolać sobie wina. Zastygła, a potem powoli podniosła na mnie wzrok.

– Jak to?

– Powiedziałem jej o nas. Dwa tygodnie przed wypadkiem. Pokłóciliśmy się. Rozmawialiśmy. Wyznałem jej wszystko.

– Dlaczego?

– Bo próbowaliśmy to naprawić.

– Nic mi nie mówiła.

Wzruszyłem ramionami.

– Bo to nie miało nic wspólnego z tobą. To dotyczyło tylko mnie i Janiny. Ty po prostu znalazłaś się na linii ognia. Przykro mi.

– Nie miała do mnie żalu? – zapytała z niedowierzaniem.

Kłamstwo nie może być zbyt doskonałe, przypomniałem sobie słowa Wojnara, wtedy nikt w nie nie uwierzy. Zawsze trzeba coś zostawić.

– Miała – przyznałem. – Ogromny. Ale myślę, że chciała z tobą na ten temat porozmawiać później. Kiedy załatwimy sprawę między sobą, ja i ona.

Wahała się. Mogła uwierzyć w moje słowa, pozbyć się wyrzutów sumienia, a przynajmniej je pomniejszyć albo odrzucić. Tylko że wtedy musiałyby dalej dźwigać na barkach odpowiedzialność za śmierć Janiny, do końca swojego życia. Bo nikt inny nie mógł jej wybaczyć tego, co zrobiła. Dziewczynki były za małe. Rodzice Janiny nigdy nie zrozumieją. Ja z oczywistych względów odpadałem. Nie zastanawiała się za długo.

– To dlaczego się zabiła? – zapytała.

Pomasowałem się po czole.

– Myślę... Wydaje mi się, że jednak doszło do wypadku. Zwykłego, głupiego wypadku.

Skuliła się jeszcze bardziej i schowała za kieliszkiem wina. Nie miałem już nic więcej do dodania. Tylko tyle mogłem dla niej zrobić.

– Pójdę po dzieci – powiedziałem.

Ruszyłem w stronę sypialni, gdzie zazwyczaj spały dziewczynki. Renata poszła za mną.

– Maciek... – powiedziała cicho.

– Tak?

– Jest późno. Może zostaniesz na noc?

Odwrociłem się do niej.

– Nie ze mną oczywiście – dodała gorączkowo, kiedy zdała sobie sprawę, jak to zabrzmiało. – Będiesz spać z dziewczynkami.

– Nie – odparłem, chociaż ujęła mnie jej propozycja. – Dziękuję, ale czas wracać do domu.

Obudziłem córki, pomogłem im się ubrać. Basia potem poradziła sobie sama, Iwonę niosłem na rękach. Wróciliśmy do domu. Rozebrałem je, położyłem spać, a sam zmusiłem się, żeby wziąć prysznic, i poszedłem do sypialni.

Po kilku godzinach obudził mnie płacz Iwonki. Otworzyłem oczy i ze zdumieniem zorientowałem się, że ona już jest w moim łóżku, a w nogach, jak mały piesek, zwinięta w kulkę śpi Basia.

– Mama! Mama! Mamusia! – jęczała Iwona.

Przytuliłem ją mocno.

– Już dobrze – wyszeptałem. – Już dobrze. Jestem tutaj. Jestem.

Płacz najpierw ucichł, potem się urwał. Poczułem dłoń Iwony na mojej piersi. Zacisnęła się na koszulce. Spojrzałem na jej twarz. Łzy powoli zasychały na policzkach mojej córki.

– Tatusz... – powiedziała cicho.

I zasnęła. A ja chwilę później także.